

BESTSELLEROWY BRYTYJSKI THRILLER

Siostra



Wydawało jej się, że nie ma nic gorszego
niż samotność

LOUISE JENSEN

Siostra

LOUISE JENSEN

Z języka angielskiego
przełożył Jacek Żuławnik



*Dla Iana Hawleya
Mocno kochałam. Bardzo tęsknię.*

1.

Teraz

Wysiadam z samochodu na ciężkich nogach, zapinam kurtkę i nakładam skórzane rękawiczki, po czym wyjmuję z bagażnika szpadel i torbę. Już pora. Nogi mi się rozjeżdżają, kiedy brnę w kaloszach przez chlupoczące błoto. Zmierzam w stronę przerwy w żywopłocie, która jest w tym miejscu, odkąd pamiętam. Gdy zagłębiam się w las, przechodzi mnie dreszcz; wydawało mi się, że będzie tu więcej światła. Dla uspokojenia kilka razy nabieram w płuca sosnowego powietrza. Walczę z chęcią, by odpuścić i wrócić dopiero rano. Wtedy przypominam sobie, co tu właściwie robię, i zmuszam się, aby iść dalej.

Oświetlam drogę smartfonem, wypatruję króliczych nor, w które mogłabym wpaść. Przechodzę nad powalonymi drzewami, sadzę duże kroki; dawniej skakałam przez te pnie jak przez płotki. Mam dwadzieścia pięć lat, to przecież nie za dużo na bieganie, ale niosę nieporęczny bagaż, poza tym wcale mi się nie spieszy tam, dokąd zmierzam. A jeszcze nie planowałam robić tego sama...

Zatrzymuję się, opieram szpadel o biodro, rozcapierzam palce i próbuję pozbyć się mrowienia. Słyszę szelest w krzakach. Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Z wściekle tłukącym sercem kieruję w tamtą stronę światło smartfona i przepłaszam dwa króliki.

– Wszystko dobrze – mówię do siebie, ale własne słowa dudnią mi w głowie.

Powraca dojmujące poczucie osamotnienia.

Plecak zaczyna ciążyć, poprawiam paski na ramionach i ruszam dalej. Gałązki trzaskają pod butami. Zaczyna mi świtać, że chyba jednak trzeba było skręcić w inną stronę, ale w końcu docieram do polanki. Rośnie na niej drzewo, w które uderzył piorun. Nie miałam pewności, czy nadal tu będzie, ale rozglądam się i mam wrażenie, że nic się nie zmieniło – choć przecież, co oczywiste, zmieniło się wszystko. Wspomnienie poprzedniej wizyty w tym miejscu zapiera mi dech w piersi. Uderza z taką mocą, że upadam. Wilgoć liści i ziemi przenika przez spodnie, tak jak przeszłość wlewa się do teraźniejszości.

– Pospiesz się, bo zastaną cię tu szesnaste urodziny. Zimno mi! – zawołała Charlie. Siedziała na rozpadającym się płocie na skraju pola kukurydzy. U stóp przyjaciółki leżały reklamówki, a jej włosy lśniły w słabym, koralowym słońcu. Charlie nigdy nie należała do najcierpliwszych, teraz niestety musiała poczekać, aż dowłokę się do niej, przyciskając do piersi pudełko zawierające nasze nadzieje i marzenia.

– No dawaj, Grace! – zawołała.

Zeskoczyła z płotu, zabrała swoje rzeczy i pobiegła w stronę drzew. Włożyłam pudełko pod pachę i próbowałam za nią nadążyć; śledziłam jej fioletową kurtkę i szłam za zapachem dezodorantu Impulse, który podkradała matce.

Gałęzie drapały nas po nogach, nawet przez dzinsy, i ciągnęły za włosy, ale niestrudzenie brnęliśmy przed siebie, aż dotarliśmy do polanki.

– Czerwone policzki pasują ci do włosów – roześmiała się Charlie, kiedy położyłam pudełko na ziemi i pochyliłam się, usiłując złapać oddech.

Spociałam się, mimo że temperatura tego późnego popołudnia nie była wysoka. Charlie zaczęła opróżniać reklamówki: przekąski, napoje, zapalki, rydel... i prezencik, opakowany

w lśniący fioletowy papier z naklejką „PIĘTNASTKA” – wszystko to wysypała na kruszejącą ziemię. Z uśmiechem na ustach wręczyła mi podarek. Usiadłam po turecku, delikatnie rozkleiłam boki, tak żeby nie uszkodzić papieru, i wysunęłam ze środka pudełeczko. Znajdował się w nim łańcuszek, a na nim połowa złotego serduszka z wygrawerowanymi słowami „NAJLEPSZE PRZYJACIÓŁKI”. Spojrzałam na Charlie i poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Charlie pociągnęła za kołnierzyk swojej polarowej bluzy i pokazała drugą połowę serca. Założyłam łańcuszek. Moja przyjaciółka zaczęła kopać dół, ja zaś, jak przystało na skautkę, sprawnie rozpałałam niewielkie ognisko. Kiedy słońce schowa się za horyzontem – a dni były już krótkie – zrobi się jeszcze zimniej. Charlie zziąwała się z wysiłku i miała pełno ziemi za paznokciami, ale w końcu wykopała dość głęboki dół.

Umieściłam w nim nasz pudełkowy bank pamięci. Poświęciliśmy całą sobotę na wybór zawartości i dekorowanie wieka, polegające na przyklejeniu wyciętych z czasopism zdjęć supermodelek i gwiazd popu, które chciałyśmy naśladować.

– Nie da się być z b y t bogatą albo z b y t chudą – powiedziała Charlie.

Zgarnęła garść ziemi i wsypała ją do dołu.

– Czekaj! – krzyknęłam. – Chcę włożyć jeszcze to. – Machnęłam papierem, w który był opakowany prezent.

– Teraz już nie można. Przecież zapieczętowałyśmy.

– Postaram się ostrożnie.

Powoli odkleiliśmy przezroczystą taśmę i uchyliłam wieko. Zajrzałam do środka i zobaczyłam na wierzchu, na kupce zdjęć, różową kopertę, której na pewno tam nie było, kiedy wcześniej wypełnialiśmy pudełko. Zerknęłam na Charlie, a ona zrobiła zagadkową minę.

– Co to jest? – Wyciągnęłam rękę po kopertę.

Przyjaciółka mocno chwyciła mnie za nadgarstek.

– Nie rób tego.

Wyswobodziłam się i zaczęłam rozcierać bolące miejsce.

– Co jest w środku?

Unikała mojego wzroku.

– Wiadomość, którą przeczytamy, kiedy wrócimy po pudełko.

– Jaka wiadomość?

Wyrwała mi papier, wcisnęła go byle jak do pudełka i zatrasnęła wieko. Kiedy Charlie nie chciała o czymś rozmawiać, nie było zmiłuj. Postanowiłam odpuścić. Uznałam, że jej cokolwiek dziwne zachowanie nie zepsuje mi urodzin, o nie.

– Chcesz się napić? – Sięgnęłam po cydr i otworzyłam puszkę, niestety tak, że musująca pianka popłynęła po ściance.

Wytałam dłoń o dzinsy i wzięłam łyk. Poczułam ciepło w żołądku, napój splukał mój niepokój.

Charlie wsypała ziemię z powrotem do dołu, wyrównała ją i ubiła rydlem. Potem dołączyła do mnie.

Siedziałyśmy przy trzaskającym ognisku, opierając się o pień powalonego drzewa i podjadając upieczone pianki. Dopiero kiedy zgasł żar, uświadomiłam sobie, jak jest późno.

– Chodźmy już. Muszę być w domu przed dziesiątą.

– Okej. Paluszek i sztama, że razem wrócimy i otworzymy pudełko? – Złączyłyśmy dłonie małymi palcami, stuknęłyśmy się puszkami cydru i wypiliśmy za obietnicę.

Jeszcze nie wiedziałyśmy, że nie zdołamy jej dotrzymać...

Zostałam sama.

– Charlie – mówię szeptem. – Szkoda, że cię tu nie ma.

Pół serduszka od Charlie, zawsze na mojej szyi, dynda, kiedy pochylam się, jakbym szukała drugiej połówki. Ostrożnie układam wieniec. Wszechogarniająca panika, która prześladowuje mnie od śmierci Charlie przed czterema miesiącami, znów wypełza na powierzchnię. Zrywam szalik z szyi, żeby móc swobodniej oddychać. Czy to naprawdę moja wina? Czy zawsze to ja jestem winna?

Robi mi się gorąco, mimo że jest styczeń. Kiedy zdejmuję rękawiczki, mam wrażenie, że ostatnie słowa Charlie odbijają się echem między drzewami: „Zrobiłam coś strasznego, Grace. Mam nadzieję, że mi wybaczysz”.

Co takiego zrobiła? Na pewno nic gorszego niż ja, mimo wszystko zamierzam się dowiedzieć. Wiem, że dopóki tego nie zrobię, moje życie się zatrzyma. Aż do dzisiejszego ranka nie miałam pojęcia, jaki powinien być mój pierwszy krok – wtedy przyszedł list w różowej kopercie. Obudził wspomnienie o innym, ukrytym w naszym pudełkowym banku pamięci. Liście, którego Charlie nie pozwoliła mi przeczytać. Kto wie, może znajdę w nim jakąś wskazówkę. A przynajmniej będę miała od czego zacząć. Rozmowy z osobami, które ją znały, niczego nie wniosły, poza tym przecież to ja znałam Charlie najlepiej. Byłam jej najlepszą przyjaciółką, prawda?

Ale czy można naprawdę – tak n a p r a w d ę – poznać drugą osobę?

Siadam na piętach i trwam w bezruchu. Owiewa mnie chłodny wiatr. Gałęzie się bujają, liście szumią, a drzewa szeptem zdradzają mi swoje tajemnice, zachęcając do odkrycia sekretów Charlie.

Kręcę głową, odganiam myśli i obciążam rękawy, a potem wycieram nimi mokre policzki. Zmęczoną dłonią sięgam po szpadel i chwytam trzonek tak mocno, że nadgarstek pulsuje bólem. Biorę głęboki oddech i zaczynam kopać.

2.

Teraz

– Łapciu! – wołam do kotki. – Wróciłam.

Trzymam pudełkowy bank pamięci wysoko w górze i przeciskam się przez korytarz, kierując się w stronę salonu. Udaje mi się nie strącić żadnej z moich nadmorskich grafik, wiszących na zielonkawoniebieskich ścianach.

– Ach, tu jesteś.

Szara puchata kulka zwinęła się w kłębek na taborecie przed pianinem, na którym tata uczył mnie grać. Gdy tylko opanowałam sztukę samodzielnego siadania, podnosił mnie i sadzał na skórzanym stołku. Swoimi dużymi palcami – przypominającymi kielbaski, ale zaskakująco zwinnymi – uderzał akordy, a ja wystukiwałam melodię. Już nigdy więcej nie zagram. Wspomnienie o tym, że kiedyś wiodłam normalne życie – że miałam zwyczajną rodzinę – jest wciąż zbyt bolesne.

W salonie panuje półmrok, choć przez drzwi balkonowe do środka wpada światło. Na zewnątrz po ciemniejącym niebie przesuwają się groźne chmury. Naciskam włącznik. W tym roku zima daje się nam we znaki, już prawie zapomniałam, jak wyglądały słoneczne letnie wieczory, kiedy siadałam na dworze z drinkiem. Kostki lodu brzęczały w szklaneczce, a ja sączyłam napój, patrząc, jak zapalają się lampy solarne, a na tle nieba w kolorze indygo przelatują nietoperze.

Talerz z garncarni Alfreda Meakina, który trzymam na specjalne okazje, stoi niepewnie na stercie starych numerów magazynu „FHM”. Zasnęte żółtko i keczup zasłaniają oryginalny kwiecisty wzór. Solniczka leży na podłodze. Wysypała się jej biała zawartość. Dan jadł.

Robię krok nad zmiętym ręcznikiem, docieram do ławy i odsuwam leżący na niej sfatygowany egzemplarz *Małych kobietek* – czytam tę książkę sąsiadce, pani Jones, która nosi szkła grubości denek od butelek, więc sama nie zdoła poradzić sobie z małą czcionką. Już tylko kilka stron dzieli mnie od fragmentu, w którym Beth umiera, i wiem, że choć czytałam go wiele razy, znów się rozbeczę. Kiedy stawiam bank pamięci na kremowym blacie ławy, z pudełka sypią się okruchy zasnętego błota. Strzepuję je na podłogę. Stare zdjęcia supermodelek i artystów jednego przeboju odkleiły się od plastiku i zwisają smętnie; już nawet nie pamiętam, kim byli ci ludzie. Szukam paznokciem końca taśmy, którą zapieczętowałyśmy wieko. Jest. Straciła przylepność i odchodzi bez trudu. Odklejam ją – i przyklejam z powrotem, mocno przyciskam kciukami i wygładzam. Czuję, że to nie w porządku, nie powinnam otwierać banku bez Charlie, ale nie mam wyboru, jeśli chcę się dowiedzieć, co zawiera różowa koperta. A chcę się dowiedzieć! Mimo to czuję się nieswojo, jakbym naruszała prywatność przyjaciółki.

W domu jest zbyt cicho. Nastawiam płytę. Nina Simone śpiewa, że jest jej dobrze. Cieszę się, że choć jedna z nas może to powiedzieć. Dan wszystko, czego słucha, ściąga z internetu, ale mnie więcej przyjemności sprawiają staromodne rzeczy, z którymi dorastałam. Co z tego, że dziś nawet dziadek jest ode mnie pod tym względem nowocześniejszy – ma zestaw Bose SoundDock i odtwarzacz Blu-ray. Siadam na brązowej skórzanej sofie i zapadam się w miękkich różnokolorowych poduchach. Winył kręci się na talerzu, trzeszczy i szumi, domaga się uwagi, tak jak moje wspomnienia.

Nie czuję, że minęło już siedem lat, od kiedy wprowadziliśmy się do tego domu. Wtedy nie miałam na głowie żadnych zmartwień, a moje życie wreszcie toczyło się we właściwym

kierunku. Ogarnęła mnie obsesja, właściwie obsesyjka, na punkcie tkanin dekoracyjnych. Dan przewracał oczami za każdym razem, gdy kupowałam nową poduszkę.

Raz wyrwał mi jedną z rąk i zaczął wirować z nią po pokoju, trzymając tak, jak trzyma się partnerkę w tańcu.

– Tańcz, jakby nikt nie patrzył, ty wypchany pianką strzępku mądrości.

– Na pewno nikt nie chce patrzeć, jak t y tańczysz – powiedziałam mu wtedy.

Rzucił się na mnie i zaczął łaskotać, aż upadliśmy na podłogę. Zdarliśmy z siebie ubranie, znalazł się na mnie, we mnie, i potem plecy mnie swędziały od tarcia o dywan w czerwone zawijasy, który jakiś czas później wymieniliśmy na puszysty czekoladowobrązowy. Potem przytuliliśmy się do siebie owinięci różnokolorową narzutą z sofy i podzieliliśmy pizzą hawajską. Powiedziałam Danowi, żeby zamówił pepperoni, bo nigdy nie potrafił zrozumieć obecności owoców w pikantnej potrawie, ale wiedział, że przepadam za połączeniem słodkiego i słonego.

Dzisiaj wydaje mi się, że minęło bardzo dużo czasu, od kiedy ostatni raz się tak śmialiśmy. Tak się kochaliśmy. Smutek sprawił, że odsunęliśmy się od siebie jak odpychające się magnesy i dzisiaj bez względu na to, jak bardzo staramy się zbliżyć jedno do drugiego, natrafiamy na przepaść, nad którą za nic nie potrafimy przerzucić mostu.

Łapcia siada, prostuje łapki i wygina grzbiet w łuk – przypominam sobie, że znowu nie poszłam na zajęcia z jogi. Nic nie działa tak niszcząco jak poczucie winy. Wyżera od środka. Wiem o tym doskonale – zamiast Grace powinnam mieć na imię Wyrzut Sumienia. Powinnam była urodzić się katoliczką. Łapcia zeskakuje z taboretu z wdziękiem właściwym kotom i ociera się głową o moją łydkę, miauczeniem domagając się jedzenia.

Idę za nią do kuchni. W powietrzu unosi się zapach starego oleju, a w zlewie, który był czysty i lśniący, kiedy wychodziłam, stoi woda. Wystaje z niej, niczym słupek z tabliczką: „UMYJ MNIE”, rączka patelni. Otwieram okno wychodzące na podwórze za domem. Do środka wpada zimne powietrze. Na jutro zapowiadają śnieg. Włączam czajnik. Na drewnianym blacie leżą dwie skorupki po jajkach, wypływają z nich płynne resztki białka. Wrzucam je do przepełnionego kosza na śmieci. Później go opróżnię. Przecieram blat i płuczę kubek, w duchu narzekając, że Dan zawsze musi wziąć czysty, kiedy robi sobie coś do picia. Nie mamy zmywarki, tylko zmywaczkę – mnie. Kuchnia jest maleńka, czy też „niewielkich rozmiarów, lecz funkcjonalna”, jak powiedziała by Dan, gdyby nasz dom był jednym z tych, które sprzedaje. Brakuje miejsca na szafki, ale za to lubię spiżarnię, w której mieści się wszystko, czego potrzebujemy.

Wkładam rękę do puszek z herbatą i dotykam metalowego dna. Światło w lodówce rozświetla niemal puste półki. Co mogę zrobić z kawałkiem koziego sera i pomarszczoną czerwoną papryką? Dan wróci do domu po meczu i będzie się domagał kolacji. To niesprawiedliwe. Nigdy nie prosi mnie, żebym coś ugotowała, tylko zawsze zakłada, że to zrobię. I się nie myli. Odsuwam od siebie wspomnienie czasu, o którym już nie rozmawiamy. Czasu, w którym nie wiedziałam, jak się nazywam, a tym bardziej jak się obsługuje piekarnik. Teraz jakoś sobie radzę. Naprawdę.

Wpisuję herbatę na niekończącą się listę zakupów, którą przyczepiam do drzwi lodówki magnesem z wizerunkiem świnki i napisem „STOP”. Dan kupił mi go w zeszłym roku – „żeby mnie wesprzeć na duchu”, tak powiedział, po tym jak zrezygnowałam z kolejnej diety. Kolorowe magazyny nie pomagają. W jednym piszą, że brytyjska czternastka to średnia krajowa i że wcale nie jestem gruba, a w drugim publikują zdjęcia wychudzonych modelek z wystającymi obojczykami i zapadniętymi policzkami. Zostawiłam sobie ten magnes, aby mi nieustannie przypominał, że muszę zrzucić z pięć kilogramów. Nigdy mi się to nie udaje.

Łapcia kręci mi się pod nogami, zachęcając, bym schyliła się po jej pustą miskę. W szafce

znajduję ostatnią saszetkę kociej karmy. Przekładam zawartość do miski i dorzucam nieco herbatników. Miauczy niecierpliwie.

Przyglądam się, jak się zabiera do jedzenia, bez skrupowania, jak to zwierzę. Od śmierci Charlie kotka jest dla mnie wielką pociechą. Więcej ulgi znalazłam w jej milczeniu niż w nieporadnej gadaninie Dana. Nie planowałam, że będę miała zwierzaka, ale trzy lata temu, kiedy kotka sąsiada babci urodziła sześć młodych, poszłam zrobić im zdjęcia, żeby je potem pokazać dzieciom w przedszkolu, w którym pracuję. Kociaki były cudowne, a kiedy najmniejszy wgramolił mi się na kolana i zasnął, nie miałam wyjścia – musiałam zabrać go do domu. Zniosłam go, a właściwie ją, jak się okazało, do mojej używanej fiesty. Usiadła na miejscu dla pasażera w specjalnie przygotowanym pudełku, wyściełanym spłóciętym różowym kocikiem, i zmrzyła oczy przed słońcem, które zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Jechałam do domu wolniej niż zwykle, zaparkowałam na pełnej wybojów uliczce przed domem i potrząsnęłam mrowiącymi dłońmi. Zacisnęłam pięści i wbiłam sobie paznokcie w skórę wewnętrznej strony dłoni, tak że zostawiły wyraźny półkolisty ślad. Pamiętam, że pokręciłam głową do samej siebie. W pracy opiekowałam się trzydziściorciem sześciorgiem czterolatków. Zajmowanie się kotkiem to przy tym pestka.

Po wejściu do środka patrzyłam, jak rozgląda się i odważnie wędruje po swoim nowym domu. Jak ją nazwać? Kiedy byłam mała, miałam fioła na punkcie Beatrix Potter. Tata codziennie przed snem czytał mi jedną opowiastkę, kwestie każdego zwierzaka wypowiadając innym głosem. Uwielbiałam słuchać o wyglupach Toma Kociaka i jego sióstr: Mopci i Łapci. Łapki tej małej wydawały się delikatniejsze niż cała reszta. Łapcia – doskonałe imię, kojarzyło mi się z tatą.

Kiedy wypuściliśmy ją po raz pierwszy, o mały włos przejechałaby ją śmieciarka. Tak się przestraszyła, że za nic nie chciała już wychodzić. Próbowaliśmy zwabić ją do ogrodu, ale za każdym razem dopadał ją taki stres, że weterynarz powiedział: dajcie spokój, wyjdzie, kiedy będzie gotowa – okazało się, że nigdy.

Dziś nie potrafię sobie wyobrazić, jak dom wyglądałby bez niej. Patrzę, jak kończy posiłek i chłepcze wodę szybkimi ruchami różowego języczka, po czym wymyka się z kuchni.

Czajnik głośno bulgocze i wypluwa parę, a potem się wyłącza. Idę za Łapcią do salonu. Siadamy obok siebie na sofie i wpatrujemy się w pudełko. Ciekawe, czy pamięta, że przyjechała w czymś takim do domu.

– Spokojnie, nie ma tam nic żywego – zapewniam ją.

Ale to kłamstwo. Moje wspomnienia nadal żyją i trudniej je okiełznać niż wierzącego się kociaka.

Zaczynam obgryzać paznokieć kciuka. Nie zdziwiłabym się, gdyby zza drzwi nagle wyskoczyła Charlie i krzyknęła: „Tadam! Naprawdę sądziłaś, że cię opuszczę?”. Ogarnia mnie poczucie osamotnienia. Przez większość czasu chce mi się płakać i nie czuję się na siłach, by stawić czoło wspomnieniom, które od siebie odsunęłam. Boję się, że jeżeli już zacznę sobie przypominać, nie będę potrafiła przestać, a są rzeczy, o których wolałabym nie myśleć. Ani teraz, ani nigdy.

W domu panuje bałagan, postanawiam więc posprzątać. Sprzątanie zawsze działa na mnie terapeutycznie, cieszę się, że mogę skupić się na czymś innym niż myśli. Zostawiam pudełko tam, gdzie stoi, i zaczynam od kuchni. Podwijam rękawy, wlewam do zlewu kilka kropel płynu do mycia naczyń i odkręcam gorącą wodę. Woda pieni się i podnosi, a ja ścieram tłuszcz z płyty grzejnej. Kiedy zlew jest pełny, zanurzam ręce w wodzie, po czym błyskawicznie je cofam i odkręcam kurek z zimną – ale się oparzyłam!

Stojący na parapecie słoiczek z balsamem do rąk jest pusty. Jestem przekonana, że Dan

używa moich kosmetyków, choć on stanowczo temu zaprzecza. Idę na górę do drugiej sypialni, w której trzymam zapas przyborów toaletowych. Kiedy oglądaliśmy dom przed zakupem, wiedzieliśmy, że poprosimy Charlie, aby zamieszkała z nami, i nadal myślę o tym pokoju jak o jej pokoju, mimo że nawet go nie widziała.

Znajduję balsam i nacieram nim obolałe dłonie. Zapach lawendy mnie uspokaja, przywodzi na myśl torebeczki, które szyła babcia, gdy byłam mała i kiedy koszmary zwyciężały, ilekroć zamykałam oczy. Wkładała saszetki z lawendą do mojej szuflady z pidżamami i pod poduszkę. Kwiatowa woń łagodnie układała mnie w objęciach snu i czuwała nade mną przez całą noc. Babcia od dawna nie szyje – przez artretyzm – ale dla mnie pociecha nadal ma zapach lawendy.

W kieszeni zaczyna wibrować mój telefon. Sięgam po niego tłustymi, śliskimi palcami, odbieram, kładę na ramieniu i przytrzymuję uchem, po czym wycieram dłonie o fartuch.

– Cześć, Dan. Wygrałeś?

– No. Trzy do dwóch. Trafiłem w ostatniej minucie.

– Pewnie się cieszysz. To pierwszy raz od dłuższego czasu.

– Dzięki, że mi przypomniałaś.

– Nie chciałam... – Milknę. Udawaj, że jesteśmy normalną parą, i uważniej dobieraj słowa, mówię sobie. – To świetna wiadomość. Kupię stek i wino. Uczymy to.

– My już świętujemy. Jesteśmy w barze. Przyjdź do nas.

– Nie mogę.

– Kiedyś musisz znowu zacząć żyć. Czemu nie dzisiaj? Wszyscy tu są.

Nie wszyscy. Moje myśli biegną ku stojącemu na ławie pudełku, będącemu częścią Charlie. Jak mogłabym wyjść i ją zostawić?

– Muszę coś zrobić.

– Jak chcesz. – Niemal słyszę odrzucenie w jego głosie i przez krótką chwilę żałuję, że nie ma mnie przy nim w barze, że nie sączę ciepłego cydru i nie śmieję się z dowcipów tak sprośnych, że byłoby mi wstyd je powtórzyć. – Nie czekaj na mnie.

Rozłącza się, zanim zdążę odpowiedzieć, że nie będę czekała. Nigdy tego nie robię.

Mam przed sobą długi, cichy wieczór. Nie jestem głodna, mimo że nic nie jadłam.

W kuchni otwieram butelkę wina. Przecież nie zrobię sobie herbaty, usprawiedliwiam się sama przed sobą. Zawsze czuję się trochę dziwnie, kiedy piję sama.

W salonie jest ciemnawo, ale zamiast jaskrawego górnego oświetlenia zapalam lampkę stojącą na ławie. Pokój wypełnia ciepła morelowa poświata. Siadam na sofie, podciągam nogi i kładę dłoń na śpiącej Łapci.

– Dziś wieczór zostałyśmy same – mówię do niej.

Spoglądam na pudełko i wiem, że to nieprawda. Bo Charlie jest wszędzie.

Wkrótce pierwszy kieliszek chardonnay mam już za sobą. Chłodny płyn spływa mi pomiędzy motyle kłębiące się w brzuchu. Dopiero w połowie drugiej lampki moje drżące palce lądują na pudełku i uchylają wieko. Na wierzchu leży kawałek mieniącego się fioletowego papieru do pakowania prezentów. Pod nim, pamiętam dobrze, znajduje się list. Podnoszę różową kopertę pod nos i wącham, zaciągając się głęboko. Liczę na to, że wyczuję zapach Charlie. Koperta pachnie jednak wilgocią i ziemią. Znów coś ścisną mnie za gardło. Ile jeszcze osób stracę? Czasem zaciskam zęby, kiedy słyszę, jak Dan przekręca klucz w drzwiach, i szykuję się na kolejną kłótnię, ale na myśl o samotności wypełnia mnie przerażenie. Poza tym skoro nie rozdzieliło nas to, co się wydarzyło, chyba staliśmy się silniejsi, prawda?

Trzymam w dłoni telefon. Przeglądam listę ostatnich połączeń. Numer Dana. Naciskam zieloną słuchawkę. Na ekranie pojawia się nasze zdjęcie, to z jednej z imprez u Lyn, na którym

on jest przebrany za Supermana, a ja za Wonder Woman. Lyn jest dla mnie bardziej przyjaciółką niż szefową, a to zdjęcie zawsze wywołuje uśmiech.

- Chciałam tylko powiedzieć, że cię Kocham – mówię.
- Wiem – odpowiada krótko.
- Uważaj na siebie, dobrze? Nie wsiadaj za kierownicę po alkoholu.
- Co? Słabo cię słyszę?
- Mówiłam, żebyś na siebie u...
- Grace, przerywasz. Mam kiepski zasięg. Poczekaj chwilę, to...

Tracę połączenie. Wybieram numer ponownie, ale mechaniczny głos prosi mnie o pozostawienie wiadomości. Poirytowana rzucam telefon na sofę i pochylam się nad ławą, żeby rozpakować pudełko.

Kiedy przeglądam niewielki album ze zdjęciami, przez głowę przelatują mi tysiące wspomnień. Na tym zdjęciu Charlie i ja pozujemy na plaży, jesteśmy dumne z naszych pierwszych bikini, wypinamy płaskie jak deska piersi; tutaj jesteśmy na szkolnej dyskotecie, całe ręce mamy w srebrnym brokacie. Są tu fotografie, na których roześmiani Charlie, Dan i ja w gorący letni dzień polewamy się w ogrodzie wodą z węża. Jest taka, na której Charlie uśmiecha się do aparatu, a Dan wpatruje się w nią z uwielbieniem. Tu widać mnie, Charlie i Dana w ostatni dzień semestru, jak z uśmiechem na ustach zrzucamy szkolne krawaty, których już nigdy więcej nie założymy. Ależ wtedy czuliśmy się wolni! Kolejne zdjęcie, tym razem grupowe: ja, Esmée, Charlie i Siobhan. Nasza Wielka Czwórka. Byłyśmy bardzo żyte. Kto by pomyślał, że zwrócimy się przeciwko sobie?

Wyjmuję ostatnie zdjęcie z foliowej koszulki. Charlie stoi na nim w ogrodzie moich dziadków. Wiatr rozwiewa jej równo obcięte blond włosy. Ma na sobie pomarańczową koszulkę w nierównomierne plamy i kuse szorty z białego dżinsu. Nieźle jej się dostało za to, że podkraśla spodnie z szuflady matki, a potem stępiła nożyczki babci, obcinając nogawki.

Zdejmuję z pianina fotografię, na której jestem z Danem – machamy na niej kluczami do domu i wywijamy butelką szampana – i zamiast niej wsuwam do srebrnej ramki zdjęcie Charlie.

Dzwoni telefon. Rzucam się do niego, licząc, że to Dan, ale nie – wyświetla się nieznany numer. Od razu myślę o najgorszym: Dan miał wypadek i trafił do szpitala. Czuję, że zaczynam się pocić. Odbieram i słyszę czyjś oddech.

- Halo – mówię. – Halo? – powtarzam głośniej. – Halo?!

Nikt się nie odzywa. W końcu ciszę zastępuje sygnał. Ktoś się rozłączył. To już trzeci taki telefon dzisiaj. Postanawiam wyłączyć aparat.

Przetacza się przeze mnie fala zmęczenia. Alkohol i silne wzruszenie mieszają się i ciążą mi na powiekach. Przecieram oczy, próbuję rozproszyć widmo przeszłości. Zabieram zdjęcie i kopertę do łóżka i opieram obie te rzeczy o lampkę stojącą na szafce nocnej. Oglądanie albumu wzbudziło we mnie tyle emocji, że boję się, iż całkiem stracę nad sobą panowanie, jeśli do tego wszystkiego dziś wieczorem otworzę list od Charlie. Wyłuskuję tabletkę nasenną z plastikowego kokonu, kładę ją na języku i połykam, popijając letnią wodą. Zapadam w niespokojny sen zmacony wizjami Charlie i mojego taty.

- *To twoja wina, Grace – mówi tata ze snu. – Gdyby nie ty, byłbym tu z tobą.*

- *Grace, otwórz kopertę – szepcze Charlie. – Nie zawieź mnie.*

Budzę się rano w zmiętej pościeli i na wilgotnej poduszce. Dan jeszcze nie wrócił.

3.

Wtedy

Świat powoli przestał wirować i zdałam sobie sprawę, że ciepła, pewna dłoń dziadka niespiesznymi, okrężnymi ruchami masuje moje plecy.

– Oddychaj pomału, Grace – powiedział, na co wypuściłam z ust kłąb pary jak lokomotywa.

Gwałtownie nabrałam powietrza i lodowaty podmuch sprawił, że się rozkaszałam. Po zmarzniętych policzkach popłynęły łzy. Zrobiłam wdech i wydech na pięć, tak jak mnie uczoneo, dopóki nie uspokoiłam się na tyle, żeby wyprostować plecy i poluzować żelazny uchwyt na metalowej poręczy. Złapałam się tak mocno, że płatki pokrywającej ją zielonej farby przykleiły mi się do rękawiczek. Zatarłam dłonie, strząsając drobiny na chodnik, i przyjrzałam się stojącemu przede mną straszemu gmachowi.

– Nie każ mi tam wchodzić.

– Wiem, że bardzo przeżyłaś przeprowadzkę.

Mało powiedziane. Nie chodziło wyłącznie o koleżanki, które zostawiłam w dawnym miejscu, o pokój pomalowany na słonecznikowy kolor, o szkołę, za którą tęskniłam. Rzecz w dźwiękach składających się na dom. Pobudce do szumu przewalających się fal; skrzypieniu schodów, ilekroć ktoś po nich chodził; wrzasku mew, kiedy szłam do szkoły; chrzęście kamyków pod stopami, gdy biegłam plażą w drodze do domu, a słońce powietrze wypełniało mi płuca.

Zawsze lubiłam przyjeżdżać do dziadków na wakacje. Obserwowałam, jak z roku na rok rozrasta się ich urocza wioska w Oxfordshire. Jak na peryferiach wyrastają domy z czerwonej cegły, jak w centrum powstają drugi pub, kawiarnia, sklep. „Wygód w bród”, mawiała babcia, ale i tak nie czułam się tam jak w domu. Brakowało mi dźwięków. Choć już nigdy nie miałam kulić się pod kołdrą, kiedy wiatr i deszcz chłostały klify, a pulsujące światło latarni przebijało przez moje zasłony.

– Zobaczysz, że szybko nawiążesz nowe znajomości – powiedział dziadek, wieczny optymista.

– Wcale nie, jeśli wyda się, co zrobiłam.

– Przestań się obwiniać. Nikt się nie dowie, jeśli sama nie powiesz. – Poprawił mi czapkę. – Gracie, przecież musisz chodzić do szkoły.

Uśmiechnął się, ale inaczej niż zwykle, bo w kącikach jego oczu nie pojawiły się zmarszczki. Pokiwałam głową z poczuciem winy, że wprowadziłam tyle zamieszania. Niedawno skończyłam dziewięć lat. Powinnam zacząć zachowywać się, jak na mój wiek przystało. Gdyby to babcia mnie odprowadzała, a nie dziadek, po prostu zaciągnęłaby mnie do środka.

– No chodź. – Podał mi pomarszczoną i poplamioną starością dłoń. – Pójdziemy razem.

Wzięłam go za rękę i przecięliśmy pusty dziedziniec. Niedawno przeczytałam *Podróż Guliwera* i teraz, stojąc u stóp betonowych schodów i patrząc na ogromny czerwony budynek, czułam się jak Liliputka. Ta szkoła wydawała się milion razy większa od mojej dawnej podstawówki.

Dziadek przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko potrząsnął głową i delikatnie pociągnął mnie za rękę, wprawiając w ruch moje oporne nogi. Razem przekroczyliśmy próg mojej nowej szkoły.

W wejściu siedziała za biurkiem ponura recepcjonistka, a za nią na ścianie wisiał

sklecony żółtymi literami komunikat: „SZKOŁA W GREENFIELDS WITA!”.

– Grace Matthews. – Dziadek poklepał mnie po ramieniu. – To jej pierwszy dzień.

Recepcjonistka gestem poleciła nam usiąść na miękkich, łososiowych krzesłach, które kiedyś mogły być czerwone. Klapnęłam z wdzięcznością. Dyndałam nogami. Postawiłam nowe plastikowe pudełko z drugim śniadaniem na drewnianym stoliku, na którym ktoś wyrzył: „Pani Markham to wypasiona foka”.

– Hm, ciekawe, czy pani Markham rzeczywiście jest taka gruba – mruknął dziadek.

Rozejrzałam się, skubiąc luźne nitki postrzępionego siedziska. Na podrapanych ścianach nie wisiały żadne obrazki ani dzieła uczniów. W kącie stała zapomniana, żałosna choinka o niemal całkiem gołych gałęziach, przewiązana pośrodku zbyt krótkim łańcuchem jarmarcznych lampek. Już dawno odeszła mi ochota na święta. Jeszcze kilka tygodni wcześniej czułam się jak zwyczajna dziewięciolatka – a teraz musiałam chodzić do psycholożki, Pauli. Nie znosiłam tych cotygodniowych wizyt, opowiadania o swoich uczuciach, tak jakby terapia mogła cokolwiek zmienić. W tej chwili jednak poczułam, że z dwojga złego wolałabym siedzieć w gabinecie Pauli, którego ściany są tak intensywnie niebieskie, iż mam wrażenie, jakbym tonęła. Wolałabym być gdziekolwiek, byle nie tu.

Wciągnęłam przesłodzony cytrusowy zapach środków czystości, ścisnęło mnie w żołądku i przeraźliwie zatęskniłam za dawną szkołą. Za wonią tenisówek i plakatówek; za starymi znajomymi; za grą w klasy i bieganiem za chłopakami, których chciałyśmy pocałować. Odchyliłam głowę do tyłu, oparłam ją o ścianę i zamknęłam oczy. Było upiornie cicho. Powiedziano nam, abym zgłosiła się do szkoły dopiero po dzwonku i że dzięki temu nie poczuję się przytłoczona nowym otoczeniem, ale to był zły pomysł. Wiedziałam, że będę musiała dołączyć do klasy po rozpoczęciu lekcji. Zaczęłam głęboko oddychać, tak jak uczyła mnie Paula, i starałam się przenieść w myślach w jakieś lepsze miejsce. Wyobraziłam sobie siebie we własnym pokoju, prawdziwym pokoju, tym, którego zapewne już nigdy więcej nie zobaczę. Powoli rozwarłam zaciśnięte pięści i chyba na moment odpłynęłam, a z drzemki wyrwał mnie dopiero stukot obcasów. Przez chwilę udało mi się uwierzyć, że wszystko znów jest normalne. Wróciłam do domu, mama robiła kolację dla taty.

– To pani Beeton – powiedział dziadek. – Rozmawiałem z nią, kiedy cię zapisywałem.

– Grace. Miło cię poznać. – Dyrektorka szkoły zatrzymała się przede mną.

Na ustach miała pełen współczucia uśmiech – ostatnio często mnie nim obdarzano.

Patrzyłam na nią w milczeniu i z poważną miną.

– Zechciałby pan pójść ze mną, panie Roberts. Czeka nas nieco papierkowej roboty.

Grace, to nie potrwa długo.

Pochylili się nad biurkiem recepcjonistki i rozmawiali cicho, od czasu do czasu rzucając mi pełne niepokoju spojrzenia.

– Do zobaczenia później, kochanie – powiedział dziadek odrobinę za głośno i pomachał mi na pożegnanie.

Na ustach miał nieco zbyt szeroki uśmiech. Jego kroki, gdy patrzyłam, jak się oddala i wychodzi, odbijały się echem, które współgrało z moim walącym sercem.

Potruchtałam za panią Beeton przez labirynt identycznych korytarzy. Zwalniałam, ilekroć przechodziłyśmy obok okna, bo chciałam zobaczyć dziadka, jak idzie pod wiatr z pochyloną głową, trzymając ręce w kieszeniach sztruksów. Moje nowe eleganckie clarksy piszczały na podłodze z linoleum; czułam, że robią mi się odciski.

– Jesteśmy na miejscu. – Pani Beeton otworzyła drzwi do klasy.

Morze głów obróciło się w naszą stronę i naraz poczułam się mała jak nigdy dotąd.

– Grace, oto pani Stiles.

Pani Stiles przesunęła okulary na grzbiet nosa. Nosiła spodnie i była młodsza od mojej poprzedniej nauczycielki, która zawsze wkładała sukienki. Modliłam się, żeby tylko nie kazała mi się przedstawić.

– Witaj, Grace. Z tyłu jest wolne miejsce.

Przepełniona ulgą pobiegłam we wskazanym kierunku szybciej, niż powinnam, biorąc pod uwagę, że miałam na nogach nierozchodzone buty. W chwili gdy poczułam, jak rozjeżdżają mi się nogi, odruchowo wyciągnęłam przed siebie ręce i rozłożyłam dłonie, żeby zamortyzować upadek. Pudełko z drugim śniadaniem stuknęło o podłogę, a ja wylądowałam tuż obok niego. Zapraǳnęłam umrzeć.

Kiedy obciągałam spódniczkę, chcąc zachować choć resztkę godności, i zbierałam drugie śniadanie z podłogi, starałam się nie patrzeć nikomu w oczy. Gdzieś mi się zapadziała łyżeczka do jogurtu, ale to nieważne. Wieczko nowego pudełka wisiało pod dziwnym kątem, jeden z zawiasów się wyłamał, mimo to włożyłam wszystko z powrotem do środka i przycisnęłam pojemnik do piersi. Kiedy wstawałam, poczułam ból w kostce. Zacisnęłam zęby, żeby powstrzymać łzy.

– To chyba twoje.

Jakiś chłopak przechylił się na krześle i podał mi karteczkę.

Pokręciłam głową. Pokuśtykałam dalej.

– „Gracie, pamiętaj, że bardzo cię k o c h a m y”.

Zamarłam, kiedy chłopak szyderczym tonem przeczytał na głos pełne miłości słowa, które mógł skreślić jedynie dziadek.

Wyrwałam mu karteczkę. Klasa zarżała ze śmiechu.

Chłopak dźgnął mnie palcem.

– Patrzcie, Ruda zrobiła się czerwona jak jej włosy!

– Danielu Gibsonie, dość już tego – powiedziała pani Stiles.

Wdzięczna za interwencję poszłam na wyznaczone miejsce, wbijając spojrzenie w podłogę, jakby ta mogła przemienić się w żółtą brukowaną drogę i zabrać mnie do Czarnoksiężnika. Nie ma to jak w domu.

Siedzieliśmy po dwie osoby w ławce. Nawet nie podziękowałam mojej sąsiadce, kiedy przesunęła podręcznik na środek, tak żebym też mogła skorzystać. Byłam w stanie znieść wrogość, ale życzliwość doprowadziłaby mnie do łez. A tych wylałam ostatnio wystarczająco dużo.

Próbowałam się uspokoić, wyobrażając sobie, że chodzę po plaży, ale wtedy moje myśli popłynęły ku domowi, tak że miałam ochotę tylko oprzeć się czołem o ławkę i zawyć, przeklinając niesprawiedliwość losu. Miałam wrażenie, że minęło kilka godzin, zanim wreszcie zadzwonił dzwonek na długą przerwę.

Pani Stiles precyzyjnie się na koniec klasy przez chmarę uczniów biegnących w stronę drzwi.

– Charlotte – odezwała się do siedzącej obok mnie dziewczynki, która wkładała swoje rzeczy do różowego plecaka. – Czy mogłabyś pokazać Grace, gdzie jest stołówka?

– Okej – odparła Charlotte, a kiedy po chwili pokonywałyśmy labirynt korytarzy, zapytała: – Skąd jesteś? – Była wysoka. Żeby za nią nadążyć, co kilka kroków musiałam podbiegać. Bolała mnie kostka, ale nic nie mówiłam. Cieszyłam się, że nie jestem sama. – Czemu przyszedłeś później?

Spodziewałam się tego pytania, ale gdy rzeczywiście padło, kłamstwa, które przećwiczyłam przed lustrem w pokoju, nie chciały mi przejść przez gardło. Charlotte się zatrzymała, a ja głośno przełknęłam ślinę, sądząc, że nie wymigam się od odpowiedzi, lecz

zorientowałam się, że po prostu dotarliśmy na miejsce. Zajrzałam do środka i ujrzałam obrazek jak z więzienia (kiedyś zobaczyłam coś takiego w telewizji): rzędy plastikowych szarych stołów i pomarańczowych krzeseł. Cała placówka dopiero zaczęła jeść drugie śniadanie, a podłoga już chrzęściła od chipsów i okruchów. Uderzyła mnie tęsknota za moją dawną szkołą, w której jadaliśmy drugie śniadanie w klasie, wymienialiśmy się batonami, jogurtami i ciastkami.

– No więc tu mamy stołówkę. „Cholerny Ritz to to nie jest”, jak by powiedziała moja mama, ale wiesz...

Pokiwałam głową, mimo że nie miałam pojęcia, o czym Charlotte mówi.

Pomachała do dwóch dziewczyn, które kuczały w kącie.

– To Esmée i Siobhan, później cię przedstawię. Zwykle siadam z nimi, ale nie dzisiaj.

Chodź.

Pomknęłam za nią, starając się usłyszeć, co do mnie mówi.

– Po szkole możesz do mnie przyjść, jeśli chcesz. Zrobię ci makijaż, uczeszę i takie tam.

Moja mama jest piosenkarką i ma kupę fajnych rzeczy. Rzadko bywa w domu, więc się nie dowie.

Nie mogłam. Dziadek miał mnie odebrać. Poza tym babcia chyba dostałaby zawału, gdybym wróciła do domu w makijażu.

– Może – odparłam, nie chcąc wyjść na dzikuskę.

– Chodź, usiądziemy tutaj. – Charlotte postawiła swoje rzeczy obok chłopaka, który upokorzył mnie w klasie.

Zawahałam się. Powiedziałam sobie, że to i tak lepiej, niż siedzieć samemu, ale jednocześnie poczułam, iż pieką mnie policzki.

– Klapnij sobie. – Charlotte wbiła we mnie spojrzenie. Jej jasnozielone oczy skojarzyły mi się z naszą starą kotką, Bessie, i coś mi szepnęło, że mogę jej zaufać.

Zawsze kiedy się denerwowałam, miałam wrażenie, że coś ściska mnie za gardło.

Obawiałam się, że nie zdołam nic przełknąć, mimo to usiadłam i rozpakowałam drugie śniadanie. Gdybym nie zgubiła łyżeczki, zjadłabym jogurt. Morelowy, mój ulubiony. Spojrzałam gniewnie na chłopaka – Daniela – po czym wbiłam słomkę w kartonik z sokiem jabłkowym i powoli zaczęłam saczyć. Charlotte wyjęła buteleczkę mleka bananowego.

– Przyniesiesz mi słomkę? – Obdarzyła Daniela promiennym uśmiechem.

– Jasne. – Zaczerwienił się, z piskiem odsunął krzesło i poszedł dumnym krokiem, jakby chciał pokazać, że szkoła może mu naskoczyć.

– Pilnuj, czy nie patrzy. – Charlotte wzięła nadgryzioną kanapkę Daniela i zdjęła górną warstwę chleba. Sięgnęła po keczup i wycisnęła zdrową porcję na dżem truskawkowy, którym była posmarowana dolna kromka, po czym na powrót złożyła kanapkę.

W napięciu czekałam, aż Daniel wróci, podniesie kanapkę do ust i ugryzie. Zrobił to. Przeżuł raz i drugi, a potem wypluł i wytarł usta rękawem.

– Patrz! – Charlotte pokazała go palcem. – Jest czerwony jak kanapka.

– Kto to zrobił? – Daniel wstał, zaciskając pięści.

– Ja. Należało ci się, bo byłeś niedobry dla Grace w jej pierwszym dniu szkoły.

– Cholerna z ciebie zołza, Charlotte Fisher. – Daniel schował drugie śniadanie do plecaka.

Spiorunował mnie wzrokiem, aż przeszedł mnie dreszcz. – Jeszcze zobaczysz! – Ruszył szybkim krokiem do wyjścia.

– Krzyżyk na drogę! – krzyknęła za nim Charlotte.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś, Charlotte – powiedziałam.

– Musisz mi mówić Charlie, nie Charlotte, jeśli mamy się zakumplować – odparła. –

Chcesz?

Miałam sucho w ustach i nie chciało mi się jeść, ale wzięłam serowo-cebulowego chipsa i położyłam go na języku.

– No to powiedz, czemu się przeniosłaś.

Chips w moich ustach naraz zrobił się ciężki i twardy. Próbowałam go przełknąć, ale nie zdołałam tego zrobić przez ściśnięte gardło.

4.

Teraz

Wczoraj długo nie mogłam zasnąć. Album ze zdjęciami rozbudził we mnie tyle emocji, że z żalu żołądek podchodził do gardła, a umysł nie chciał się uspokoić. Proszki nasenne przestały działać na mnie tak jak kiedyś. W poniedziałek pójdę do lekarza i udam, że zgubiłam poprzednią receptę, dzięki temu będę mogła podwoić dawkę.

Kiedy ostatni raz zerknęłam na zegarek – odchodząc od zmysłów z niepokoju, że Dan wciąż jeszcze nie wrócił do domu – była druga w nocy. Myślałam, że nie uda mi się zmrużyć oka, ale teraz patrzę, że jest już po szóstej, więc chyba jednak trochę pospałam. Wstaję z łóżka tak szybko, że zaczyna kręcić mi się w głowie, wsuwam stopy w kapcie i zarzucam szlafrok, który wisi na wieszaku na drzwiach. Niewykluczone, mówię sobie, że Dan wszedł po cichu do domu i położył się na sofie, aby mnie nie budzić. Kiedy jednak zapalam światło w salonie, zastaję w nim jedynie Łapcię, która mruga zaskoczona nagłą jasnością.

Rozsuwam zasłony. Z pulsującym bólem skroni sięgam po telefon i po raz enty dzwonię do Dana, zachodząc w głowę, który z czarnych scenariuszy się sprawdził: samochód Dana dachował, wylądował w rowie, koła jeszcze się obracają; Dan został napadnięty i porzucony w jakimś zaułku; Dan leży na poboczu i się wykrwawia.

Wyglądam przez okno od strony drogi, ale niewiele widać, raptem kawałek podwórka przed domem. Nadal jest ciemno, jak to zimą, poza tym w powietrzu wisi gęsta mgła i spowija ulicę. Dopiero po przeprowadzce tutaj doceniłam potęgę aury: to ona decyduje, czy możemy poruszać się normalnie, czy musimy robić to po omacku. Nie jest mi zimno, mimo to przechodzi mnie dreszcz i poprawiam szlafrok, szczelniej się nim opatulając. W kieszeni znajduję opakowanie miętówek, wydaję jedną i kładę na języku. Lekarstwo, które przyjmuję, pozostawia nieprzyjemny posmak w ustach, którego za nic nie potrafię się pozbyć, choćbym nie wiem ile razy szczotkowała zęby i ile miętówek zjadła.

Ponownie zerkam na zegarek, tak jakbym mogła przyspieszyć upływ czasu. Jeszcze nie ma siódmej, za wcześnie na panikowanie, mimo to wyobrażam sobie najgorsze – jak zawsze. Paula twierdziła, że wynika to z lęku przed stratą. Natomiast Dan uważa, że po prostu jestem zbyt spięta. Chodzę tam i z powrotem przed oknem w salonie jak tygrys w klatce, w tę i z powrotem, cała w nerwach. Kaptami wycieram dywan.

W którym momencie Dan i ja zaczęliśmy się od siebie oddalać? Mam wrażenie, jakby moje życie dzieliło się na dwa etapy: przed śmiercią i po śmierci Charlie. Wydaje mi się, że przed byliśmy szczęśliwi, ale właściwie nie potrafię sobie tego przypomnieć. Czasem myślę, iż odepchnęłam go tak daleko od siebie, że już nie zdołam przyciągnąć z powrotem, ale chociaż przeraża mnie to, że mogłabym go całkiem utracić, jednocześnie nie umiem opanować niemal nieustannego rozdrażnienia, które czuję. Powtarzam sobie, że to przecież bez znaczenia, kiedy bałagani, kiedy nie robi tego, co obiecał – i równocześnie suszę mu głowę, prowokuję, chcę, żeby czasem się odgryzł.

Przechodzą mi ciarki po plecach, kiedy nagły podmuch wiatru szarpie furtkę. Zasułka puszcza i drzwiczki otwierają się na oścież, po czym zamykają z głośnym trzaskiem. Tyle razy prosiłam Dana, żeby naprawił tę zasuwkę. Słyszę silnik i wyteżam wzrok. Światła samochodu przebijają przez mgłę, wyglądają jak kocie oczy, czekam, aż wyłoni się auto. To na pewno Dan. Nasza uliczka prowadzi na pola. Kiedy kupowaliśmy dom, wyobrażałam sobie, że za oknem

zobaczę pasące się owce albo wystawiające łby za płot konie, ale okazało się, że sąsiadujemy z gruntami ornymi. Rośnie tam pszenica i ilekroć jem pszeniczne płatki śniadaniowe, czuję osobliwą dumę, tak jakby pochodziły z mojego pola, uprawianego własnymi rękami.

Samochód wyłania się z mgły. Za mały na wóz Dana, w dodatku jedzie wolno, jakby ledwo się poruszał. Może ktoś się zgubił. Przy uliczce stoją tylko dwa domy: nasz i pani Jones. Ona nie ma auta, a gości przyjmuje jedynie w Boże Narodzenie i swoje urodziny. Poza tym, kto przyjeżdża w odwiedziny o takiej porze? Przecież jeszcze nawet nie zrobiło się jasno.

Auto mozoli się, jest coraz bliżej, aż w końcu zatrzymuje się dokładnie przed naszym domem. Niestety, mgła nie pozwala mi zobaczyć, kto jest w środku. Silnik mruczy, reflektory oświetlają naszą jabłonkę, ale nikt nie wysiada. Mijają sekundy, a ja zaczynam się zastanawiać, co ten ktoś robi. Kogo obserwuje? Ta myśl wywołuje dreszcz. Nie po raz pierwszy mam wrażenie, że jestem obserwowana. Tłumaczę sobie, że to absurdalne. Po co ktoś miałby mnie obserwować? Mimo to nie potrafię oderwać oczu od auta. Kiedy ostatnio poprosiłam o kolejną receptę, lekarz zapytał, czy środki nasenne wywołują u mnie jakieś skutki uboczne. Odparłam, że nie, ale pytanie zasiało we mnie niepokój. Miewam ciarki na plecach, w głowie pojawiają się setki myśli i nie mogę się skupić. Naprawdę powinnam przestać brać leki. Jestem podenerwowana, mam paranoję i nie poznaję samej siebie.

To przecież tylko samochód.

Ukazuje się druga para świateł i z mgły wynurza się stary land rover Dana. Podbiegam do sofy, układam się na niej niby w swobodnej pozie i trzęsącą się ręką sięgam po książkę. Będę spokojna. Dan wchodzi do pokoju, zdejmuje kurtkę, rzuca ją na sofę obok moich stóp i spogląda na mnie przekrwionymi oczami. Wygląda fatalnie. Walczą we mnie wściekłość i radość; ta pierwsza zwycięża.

– Gdzieś ty był, do cholery? Kto jest z tobą?

– Ze mną? – Ogląda się przez ramię.

– W drugim samochodzie.

– W drugim samochodzie?

– Będziesz powtarzał wszystko, co powiem? Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Zgubiłem telefon.

– Gdzie?

– Gdybym wiedział, tobym go znalazł, nie? – odwarkuje.

– Tylko nie...

Zasłania się podniesionymi dłońmi.

– Przepraszam. Mogłem zadzwonić od Harry'ego, ale zasnąłem u niego na kanapie.

Czuję ukłucie w brzuchu, bo wyobrażam sobie Dana, Harry'ego i Chloe, dziewczynę Harry'ego, siedzących przed kominkiem ze skrzynką budweisera, miską chipsów z tortilli i miseczką salsy, tak jak zwykle w sobotnie wieczory przed śmiercią Charlie.

– Martwiłam się.

– Jak zawsze. Ogarnę się i prześpię ze dwie godziny.

Unikając mojego wzroku, wychodzi z pokoju i człapie na górę. Chwilę później słyszę skrzypienie drzwi do łazienki, a potem bulgot wody w rurach.

Zastanawiam się, czy zejdzie do mnie po prysznicu i zaproponuje, żebyśmy się przytulili w ten niedzielny poranek. Dlaczego mam wrażenie, że sama nie mogę mu tego zaproponować? Niedługo potem otwierają się i zamykają drzwi do sypialni. Słysząc skrzypiącą skargę sprężyn w łóżku.

W łazience wisi obłok pary wodnej, unosi się jak chmura niepewności. Otwieram okienko i podnoszę z podłogi ręcznik Dana. Wchodzę pod prysznic, odkręcam wodę i czekam, aż zacznie

lecieć gorąca. Przechodzi mnie dreszcz. Przemykam oczy i przypominam sobie, jak oboje się tu mieściliśmy. Opierałam dłonie na mokrych płytkach, a on swoje na moich biodrach. Potem wcierał mi szampon we włosy, a ja przyciskałam się do niego plecami. Czy naprawdę spędził tę noc u Harry'ego? Myję się lawendowym żelem pod prysznic. Znajomy zapach, moja pociecha z dzieciństwa. Zmywa ze mnie niepokoje, aż jeden po drugim znikają w odpływie. Nie mam powodów, by przypuszczać, że Dan mnie okłamał. Żal wypaczył mój osąd. Paula zawsze przekonywała, żebym nie poddawała się strachowi, lecz podchodziła do własnych myśli racjonalnie. „Wychodząc od jednej myśli, umysł potrafi stworzyć wiele prawdopodobnych scenariuszy, tyle że większość z nich będzie nieprawdziwa”, mawiała. Jestem zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać.

Wychodzę spod prysznica, zostawiając tam swoje myśli, i wkładam pidżamę. Niech Dan sobie śpi. Boję się tego, co mogłabym powiedzieć, gdybym z nim teraz została, i tego, co mogłabym usłyszeć. Dopiero kiedy schodzę z powrotem na dół, przypominam sobie o samochodzie. Idę sprawdzić, czy nadal stoi przed domem, ale już go nie ma.

W szopie jest lodowato. Para leci mi z ust. Włączam grzejnik i wkładam rękawiczki bez palców. Oszlifowany stolik pod telefon stoi na gazetach i czeka na pomalowanie. Zrobiłam go dla pani Jones na urodziny. Bo zawsze jej się podobał stolik, który stoi u nas. Zanurzam pędzel w farbie koloru pistacji i nanoszę ją na oczyszczone drewno. Dan nie potrafi zrozumieć mojej fascynacji starymi meblami, ale ja lubię ponownie wykorzystywać przedmioty i ocalać w ten sposób fragment historii. Zawsze myślę o pierwszych właścicielach tych rzeczy: jak wyglądało ich życie i czy byli szczęśliwi. Malowanie mnie uspokaja. Stopniowo czuję, jak odchodzi napięcie, a obawy cofają się i kulą w kącik, gdzie nie można ich dostrzec. Sygnał telefonu, sprawdzam wiadomość: dziadek potwierdza lunch o pierwszej – nie to, żebym zapomniała, bo przecież jadłam lunch z dziadkami prawie w każdą niedzielę, ale dziadek bombarduje mnie esemesami, od kiedy babcia kupiła mu telefon komórkowy na siedemdziesiąte urodziny. Wklepuję odpowiedź, dużo bardziej pogodną, niż się czuję, i wysyłam. Chowam telefon do kieszeni. Lepiej obudzę Dana.

Sos do pieczeni jest gęsty i gładki. Przelewam go do białej porcelanowej sosjerki, ocierając palcem krople, które pociekły bokiem. Dziadek kroi pieczeń wołową, a babcia wykłada na półmiski parujące warzywa o intensywnych kolorach. Kiedy czuję zapach Yorkshire puddingu, ślinka napływa mi do ust. Umieram z głodu. Nie jadłam śniadania, bo byłam taka zła, że nawet nie czułam głodu. Na opakowaniu moich proszków nasennych widnieje ostrzeżenie „NIE ŁĄCZYĆ Z ALKOHOLEM”, ale to przecież na wyrost, prawda? I tak wszyscy lekceważymy te zalecenia. Wkładam kawałek pieczeni do ust i czuję, że od sosu chrzanowego zaczyna mi kapać z nosa. Babcia podaje mi chusteczkę i rozwódzi się o „przemiliłym młodym człowieku”, który przyszedł podłączyć komputer i że dzięki niemu może teraz codziennie buszować w internecie.

Ramiona trzęsą mi się od tłumionego śmiechu. Próbuję uchwycić spojrzenie Dana. Grzebie pochylony w talerzu i nawet nie podnosi wzroku, kiedy zaczynam sprzątać ze stołu. Zanoszę brudne naczynia do kuchni i ustawiam z nich piramidę obok zlewu. Wiele razy starałam się namówić dziadków na zmywarkę – stać ich na nią i mieliby gdzie ją zmieścić – ale nieodmiennie odpowiadają, że się zastanowią. Wydaje mi się, że po prostu lubią rytuał towarzyszący zmywaniu: że stoją obok siebie, babcia zmywa, a dziadek wyciera, że mogą

komentować, jakie wielkie cukinie wyrosły, i rozpoznawać ptaki, które siadają na karmniku.

Głos dziadka, niski i chropawy, przenika przez ścianę. Można by pomyśleć, że jest starym palaczem. Dan wybucha śmiechem. Tak dawno nie słyszałam tego dźwięku, że rozpoznaję go dopiero po chwili. Razem dorastaliśmy i czasem zastanawiam się, czy to, że oddaliśmy się od siebie, nie wynika z naturalnej kolei rzeczy, i czy w innych okolicznościach wszystko i tak potoczyłoby się tym torem?

Babcia szykuje domowej roboty sos angielski do szarlotki z kruszonką, która podgrzewa się w piekarniku. Staję na palcach i zdejmuję z kredensu różowy dzbanek z rysunkiem pasących się krów. Oplukuję go pod kranem.

– Joan – wiesz, ta moja przyjaciółka – przysłała mi e-maila. Wisi na lodówce.

– Wydrukowałaś go?

– No tak. Przysłała przepis, który chciałam ci przekazać.

Otwieram usta, żeby wytłumaczyć jej, do czego służy przycisk „przełącz dalej”, ale rezygnuję. Na razie i tak nieźle, że opanowała umiejętność pisania e-maili. Nie szkodzi, że za każdym razem wpisuje w temacie „OD BABCI”, a potem jeszcze dzwoni, aby upewnić się, czy odebrałam wiadomość.

Przepis jest na risotto z dyni piżmowej, wygląda zachęcająco. Wypróbuję w przyszłym tygodniu; będę musiała dodatkowo usmażyć stek dla Dana, bo inaczej tylko nabije warzywa na widelec, będzie je oglądał z każdej strony i pytał, gdzie schowałam mięso.

– Aha, i widziałam się z Lexie.

Zastygam, słysząc imię mamy Charlie.

– Znowu była pijana, ledwo stała.

Zawsze lubiła sobie wypić, ale po śmierci córki całkiem się wykołęła. Babcia wyłącza gaz i odwraca się do mnie.

– Wahałam się, czy ci powiedzieć, Gracie. Nie chcę, żebyś się denerwowała przez tę kobietę. – Babcia nigdy nie darzyła Lexie zbyt wielkim szacunkiem.

– Powiedzieć o czym?

– Ona chce się z tobą zobaczyć.

Na samą myśl o spotkaniu z Lexie tętno zaczyna mi rosnać w zawrotnym tempie. Nie widziałam się z nią od pogrzebu Charlie. Pogrzebu, z którego musiałam wyjść po tym, jak Lexie oznajmiła, że nigdy nie wybaczy mi śmierci córki.

To, co wydarzyło się przed śmiercią Charlie, nie wynikało z mojej winy. Ani z winy Charlie. Jak mogło być inaczej? Dlaczego więc Charlie uciekła? – słyszę szept w głowie. Próbuję go ignorować, ale nie daje mi spokoju.

Babcia przekłada sos do dzbanka, po czym wręcza mi go, abym zaniósła do jadalni. Niosę naczynie tak, że w nim chlupocze i krople gorącego płynu kapią mi na dłoń, ale nawet tego nie zauważam. Babcia idzie za mną z szarlotką, której teraz już nie zdołam przełknąć. Siadam przy stole i biorę łyżkę. Szmer rozmów staje się coraz bardziej odległy i mniej zrozumiały. Uśmiecham się i kiwam głową w odpowiednich, mam nadzieję, momentach, jednocześnie intensywnie zastanawiając się nad jednym: czego Lexie może ode mnie chcieć?

5.

Wtedy

Czekając na Charlie, przeskakiwałam z nogi na nogę, pobudzałam krążenie w rękach i wyglądałam na ulicę. Umówiliśmy się na podwieczorek. Kiedy babcia zaproponowała, żebym pod koniec pierwszego tygodnia w szkole zaprosiła do siebie kogoś z koleżanek albo kolegów, musiałam się dobrze zastanowić. Esmée była urocza, Siobhan bardziej powściągliwa, ale też miła, nawet Dan okazał się w porządku, ale najsilniejsza więź zaczynała się tworzyć między mną a Charlie. Nigdy wcześniej nikt się za mną nie wstawił. Pewnie dlatego, że nie było takiej potrzeby.

– Bo wleci zimne powietrze – ofuknęła mnie babcia.

Zamknęłam drzwi, ale nadal czekałam na progu i stawałam na palcach, ilekroć usłyszałam samochód. Dwadzieścia minut później, kiedy Charlie w końcu się zjawiała, okazało się, że przyszła sama i na piechotę.

Wpuściłam ją do środka.

– Chodź, pójdziemy do mnie na górę.

– Tylko nie w butach, młoda damo. Znasz zasady. – Babcia wpadła do przedpokoju, wycierając w fartuch dłonie białe od mąki.

Zrobiło mi się gorąco ze wstydu, kiedy Charlie zabrała się do zdejmowania wypłowiałych niebieskich adidasów. Babcia wzięła je i postawiła na półce na buty, cmokając z dezaprobatą na przetarte prawie na wylot podeszwy. Pobiegliśmy z Charlie na górę i wskoczyliśmy na łóżko.

– Co chcesz robić?

Nie zdążyłam się jeszcze całkiem rozpakować. W kącie stały pudła pełne gier i książek. Charlie podeszła, wybrała *Pułapkę na myszy* i potrząsnęła pudełkiem. Zawartość zagrzecotała.

– Pograć w to. – Podała mi pudełko, a ja je otworzyłam.

Gra nie należała do moich ulubionych, niektóre elementy były dość nieporęczne.

– Dlaczego mieszkasz z dziadkami?

Spodziewałam się tego pytania, ale i tak poczułam się nieprzygotowana.

– Bo moi rodzice nie mogą się mną opiekować. Jakim chcesz być kolorem? –

Wyciągnęłam rękę.

Charlie wzięła zieloną mysz i bacznie mi się przyjrzała.

– Dlaczego?

– Bo nie żyją. – Kłamstwo utkwilo mi w gardle.

Sięgnęłam po plastikowy kubek z sokiem, który babcia przyniosła wcześniej do pokoju, i wzięłam solidny łyk, tak jakbym mogła splukać nim fałszywe słowa. Skrzywiłam się na słodki ulepek.

– Nie żyją? – Charlie zmarszczyła czoło.

– Tak.

– Jak umarli?

– Ja chyba wezmę niebieską. – Pozostałe myszy wrzuciłam do pudełka. – Masz rodzeństwo?

– Nie – odparła Charlie. – Jesteśmy tylko we dwie z mamą. Kiedyś czułam się taka samotna, że wymyśliłam sobie przyjaciółkę.

– Naprawdę?

– No. Miała na imię Bella. Namawiała mnie do złego, a kiedy mama się denerwowała i krzyczała na mnie, Bella tylko się śmiała. Raz dostałam Barbie na święta i Bella kazała mi obciąć jej włosy i pomalować jej buzię lakierem do paznokci. Ale bywała też zabawna.

– Nazwałaś ją na cześć Belli z *Pięknej i Bestii*?

– Chyba tak. Ale wyrosłam z niej. Tak jak z Disneya.

– Ja też. – Oby nie otworzyła mojej skrzynki z kasetami wideo.

Jeszcze do niedawna miałam obsesję na punkcie księżniczek. No, ale po tym, co się stało z moimi rodzicami, szybko dorosłam. Każdy by dorósł.

– Dobrze, że masz dziadków.

– No wiem. A ty nie masz?

– Nie-e. Mama mówi, że nie potrzebujemy nikogo. Tylko ona i ja przeciwko całemu cholernemu światu. Ale teraz mamy siebie, ty i ja. Jesteśmy takie same w tym, że nie mamy ojców. Zaprzyjaźnimy się.

Charlie sięgnęła do kurtki i wyjęła kitkatak. Zsunęła papierek i kciukiem odwinęła baton z folii, po czym przełamała go na pół. Podawała mi jedną część. Przyjęłam ją z wdzięcznością.

– Zagrajmy w *Pułapkę na myszy*. Z tobą na pewno będzie się lepiej bawiło niż z Bellą. Nawet jeśli przegram. – Charlie wyszczerzyła zęby i potrząsnęła kostką do gry. – I rozchmurz się! Ty, ja, Siobhan i Esmée będziemy w szkole jak rodzina. Zobaczysz.

Zacząłyśmy grać. Akurat wypadła kolej Charlie, kiedy do drzwi zapukała babcia. Mąka z jej dłoni sypała się na dywan; wcierała ją kapciem we włosie.

– Grace, telefon do ciebie.

– Tylko nie oszukuj – rzuciłam do Charlie. – Zaraz wracam.

Zeszłyśmy na dół i babcia zniknęła w kuchni, a ja podniosłam słuchawkę i zaczęłam okręcać kabel wokół palca. Nie odzywałam się, tylko słuchałam zakłóceń. Wiedziałam, kto dzwoni, i nie miałam tej osobie nic do powiedzenia.

– Grace? Grace? – Głos mamy wydawał się bardzo odległy.

Odłożyłam słuchawkę.

– Tak szybko? – zawołała babcia, kiedy ciężkim krokiem ruszyłam na górę.

– Rozłączyło nas – odpowiedziałam.

Usiadłam na łóżku. Charlie wręczyła mi kostkę.

– Kto dzwonił?

– Nikt – odparłam, krzyżując palce. – Głuchy telefon.

6.

Teraz

Leżę i nie mogę zasnąć, zastanawiam się, dlaczego Lexie powiedziała babci, że chciałyby się ze mną spotkać. Waham się pomiędzy myślą, że zamierza przeprosić mnie za swoje zachowanie podczas pogrzebu Charlie, a przekonaniem, że chce mnie zabić. Mam w głowie prawdziwy ul, jest głośno, tłoczno i ruchliwie, a kiedy wreszcie wschodzi słońce, barwiąc niebo na ognistą czerwień, jestem już po trzech kubkach herbaty, ale nadal nie postanowiłam, czy mam ochotę zobaczyć się z Lexie.

Wiem, że przestała śpiewać w miejscowym pubie i rzadko pokazuje się publicznie, chyba że w supermarkecie, kiedy pcha przed sobą wózek, w którym jest więcej alkoholu niż jedzenia. Dan sądzi, że pomieszało jej się w głowie – uważał tak już wcześniej, przed sceną na pogrzebie – za to babcia ma dla niej więcej współczucia.

– Nie powinna była mówić ci tego, co powiedziała – stwierdziła. – Ale ludzie przeżywają żalobę na różne sposoby.

Docieram do pracy wykończona i z podpuchniętymi oczami.

– Dzień dobry, Grace. – Lyn, moja szefowa, jak zawsze tryska radością. – Gotowa na szturm? – Otwiera drzwi wejściowe i przytrzymuje je, witając każde dziecko i każdego rodzica z osobna.

Morze maluchów wlewa się do szatni, poganiane przez zmęczone matki, które tupią, żeby oczyścić buty z błota, i potrząsają mokrymi parasolkami. Krople deszczu spadają na podłogę. Zapisuję w pamięci, żeby przetrzeć ją mopem, bo inaczej ktoś może się poślizgnąć. Podbiega Emily i obejmuje mnie w kolanach. Nie powinnam nikogo faworyzować, i naprawdę uwielbiam wszystkie te dzieciaki, ale z Emily łączy mnie wyjątkowa więź. Rozpinam jej płaszczek przeciwdeszczowy i pomagam go zdjąć. Pod spodem ma różową bluzeczkę z bohaterką bajki *Dora poznaje świat*.

– Dzień dobry, Sarah – mówię. Mama Emily wygląda niewyraźnie, ma sine plamy pod oczami. – Jak się czujesz?

– Zmęczona. Mała wrzeszczała całą noc. – Kołyszę wózkami. Zaglądam do środka i widzę niemowlę w pozycji rozgwiadzy i rączkami zaciśniętymi w piąstki. – Nie mogę spać, od kiedy... – Nasze spojrzenia spotykają się ponad głową Emily.

Wiem, co Sarah chce powiedzieć: od kiedy odszedł Greg. Przed kilkoma tygodniami uprzedzała, że Emily może być niespokojna, ponieważ tęskni za ojcem. Sarah wyrzuciła go z domu po tym, jak nakryła Grega w łóżku z sekretarką – filmowy banał, który, jak dotąd sądziłam, nie ma przełożenia na rzeczywistość.

– Idę się przespać – ciągnie Sarah – dopóki mała nie wstanie.

Całuje Emily w czubek blond główki, odwraca się i odchodzi, jedną ręką pchając wózek, a drugą naciągając kaptur.

Ranek mija mi całkiem przyjemnie przy stole do pracy. Przyglądam się, jak całkowicie pochłonięte zadaniem dzieci tworzą błyszczące arcydzieła.

– Grace, popatrz. – Emily podsuwa mi kartkę z bloku rysunkowego, na której widnieje uproszczony do koślawych kresek obrazek przedstawiający dwie osoby. Niebieska farba skapuje na moje czarne spodnie.

– Pięknie, Emily. Czy to ty i Lily?

– Tak.

– Pewnie się cieszysz, że masz siostrę?

– Nie. Ona cały czas płacze. Mama mówi, że kiedy urośnie, będzie fajniejsza.

Uśmiecham się na tę pomyłkę.

– Na pewno będzie znacznie fajniejsza. – Wieszam kartkę ociekającą farbą na sznurze do bielizny, który rozpięłam nad stołem. – Zdaży wyschnąć, zanim pójdziesz do domu. Zobaczysz, że spodoba się mamie.

Emily biegnie do kącika z przebraniem, a ja przyglądam się obrazkowi dwóch dziewczynek. Kiedy byłam mała, bardzo chciałam mieć siostrę, z którą mogłabym się dzielić zwierzeniami. Potem poznałam Charlie i sądziłam, że już zawsze będziemy miały siebie nawzajem. Że razem się zestarzejemy, razem będziemy chodziły o lasce i razem ssały miętówki, siedząc na ławce w parku i licytując się na bolączki i dolegliwości. Że będziemy się śmiały, wspominając dawne dzieje.

– O czym myślisz? – Dłoń Lyn miękko łąduje na moim ramieniu.

– Och, o niczym ważnym.

– A jednak wydajesz się... – Przerywa jej dzwonek. Ktoś się na nim uwiesił albo jest zepsuty, bo brzęczy bez przerwy.

– Nie wypuszczaj dzieci – instruuje Lyn Hannah, po czym obie z dyrektorką wychodzimy na korytarz.

Zamykam za sobą drzwi do pokoju zabaw.

Tata Emily zdejmuje palec z dzwonka, kiedy nas zauważa, ale za to wali w drzwi otwartą dłonią. Po jego wściekłym, czerwonym obliczu płyną strugi deszczu.

– Wpuść mnie!

– Czego chcesz, Greg? – pyta dyrektorka przez domofon.

Głos Lyn brzmi z pozoru normalnie, ale znam ją na tyle dobrze, że potrafię wyczuć w nim drżenie.

– Emily.

– Idź do domu i się uspokój. Nie mogę cię wpuścić w takim stanie.

– Otwieraj drzwi, do kurwy nędzy.

Zaczyna w nie kopać. Ślady jego ubłoconych podeszew odciskają się na szybie jak ziemniaczane stemple, którymi bawią się dzieci. Framuga trzeszczy, ale – na razie – się nie poddaje.

– Wystraszysz dzieci. Jeśli nie odejdziesz, wezwę policję.

– Słuchaj no, jebana zołzo, mam prawo zobaczyć się z córką. Wszystkie jesteście takie same, pojebane suki.

Zastanawiam się, po jakim czasie przyjedzie policja. W pokoju zabaw cisza. Wyobrażam sobie dziecięce twarzyczki, blade i przestraszone, i rączki zasłaniające uszy. Złość pokonuje we mnie strach. Jak on śmie? Ojcowie powinni być opiekunami, obrońcami. Budzą się we mnie dawno uśpione emocje, kiedy wymykam się na zewnątrz tylnym wejściem, przez pokój nauczycielski. Biorę gwałtowny wdech, gdy wiatr nagle smaga mnie po twarzy lodowatym deszczem. Przygarbiona i z pochyloną głową obchodzę budynek i docieram na front.

– Greg.

Odwraca się. Żyła na jego skroni wyraźnie pulsuje.

– Gdzie, kurwa mać, moja córka?

– Nie przyprowadzę ci jej. – Zimny jak lód deszcz spływa mi po plecach i przykleja do nich fioletową koszulkę z logo naszego przedszkola: Little Acorns.

Greg rusza w moją stronę z uniesioną pięścią. Wzdrygam się. Czuję, jak trzęsą mi się

nogi. Mam wrażenie, że nie zdołają mnie utrzymać, bo są zbyt słabe. Myślę o Emily, która z różowym językiem na wierzchu skupia się na rysunku.

– Grace, jeśli nie pozwolisz mi jej zobaczyć, przysięgam, że pożałujesz. – Drga mu mięsień szczęki.

– Naprawdę chcesz, żeby zobaczyła cię w takim stanie? – pytam z pozoru spokojnym tonem, który jednak skrywa lęk.

Jego uniesiona ręka zastyga. Patrzymy sobie w oczy. Gdzieś w oddali uderza piorun. Pod Gregiem uginają się nogi, pada na kolana, twarz ma mokrą od deszczu i wykrzywioną wyrzutami sumienia. Trzęsącymi się dłońmi zasłania oczy.

– Tęsknię za nią. Tak cholernie tęsknię za obiema. – Opiera czoło na ziemi, jakby modlił się do Boga, który go nie słucha.

Wyciągam rękę i dotykam jego ramienia. Nie jestem pewna, czy próbuję go pocieszyć, czy może uspokoić samą siebie.

Podnosi głowę i spogląda na mnie oczami nabiegłymi krwią.

– Nie mogę sobie poradzić z bólem, który zadałem.

„Ależ możesz” – myślę. Wszyscy musimy ponosić konsekwencje naszych czynków, niezależnie od ich wagi. Akurat to wiem doskonale.

– Grace, błagam, pozwól mi się z nią zobaczyć.

– Nie mogę.

– Wobec tego sprawię, że poczujesz się tak, jak ja teraz. Co ty na to?

Lyn ustawia się w kolejce po napoje, a ja w tym czasie zajmuję stolik przy oknie. Zdejmuję szalik i kurtkę. Mam na sobie ubranie Hannah, które przyniosła, żeby pójść w nim na siłownię. Mój mokry strój przedszkolanki leży pognieciony w bagażniku. Odchylam się na fotelu i lekko zsuwam na skajowym siedzisku. Za oknem przewalają się tłumy ludzi; zastanawiam się, dokąd idą: do domu, odebrać dzieci, a może na spotkanie z kochankiem? Obcasy stukają po mokrym chodniku, przechodnie opatulają drżące z zimna ciała i poprawiają szaliki, żeby lepiej chroniły szyje. Wprawdzie jeszcze nie spadł zapowiadany śnieg, ale styczniowe powietrze daje w kość.

Po drugiej stronie ulicy pod latarnią stoi samotna postać: ktoś w grubej, czarnej kurtce zimowej i w kapturze, który zasłania twarz. Patrzy prosto w stronę kawiarni. Spogląda w okno – na mnie? Robi mi się nieswojo. Poprawiam się na fotelu i odwracam wzrok, ale kiedy znów zerkam, ten człowiek nadal tam jest. Podobnie czułam się w niedzielę, kiedy przed domem zatrzymał się obcy samochód. Dreszcze przechodzą mi po plecach.

– Proszę. – Lyn stawia na stoliku dwa kubki pełne gorącej czekolady.

Z jednego śmietanka spływa po boku i Lyn oblizuje palce.

– Widzisz tego kogoś po drugiej stronie ulicy?

– Gdzie? – Lyn mruży oczy, bo jest bez okularów.

– Tam. – Wstaję i przykładam dłoń do szyby. Dotykam czołem okna, a mój oddech pokrywa szkło parą. Odwracam się do Lyn. – Widzisz?

Lyn zakłada okulary i też wstaje. Wygląda na ciemną ulicę, marszcząc brwi.

– Kogo mam szukać?

Ponownie odwracam się w stronę okna, ale postaci po drugiej stronie już nie ma. Zastanawiam się, czy w ogóle tam była.

– Nieważne – mówię. – Chyba po prostu Greg wytrącił mnie z równowagi. Dzięki za to. Siadam i przysuwam sobie kubek, słuchając jednym uchem opowieści Lyn o pomyłce

w zamówieniu. Mój wzrok znów wędruje na zewnątrz. Nie, zdecydowanie nikogo tam nie ma. Besztam siebie za ten objaw paranoi. Od śmierci Charlie mam wyjątkowo wyczulone zmysły. Zdumiewające, jak wiele obliczy potrafi mieć żaloba: może przejawiać się łzami i smutkiem, konsternacją i złością. Otwieram opakowanie minimuffinek, wydaję jedną i odgryzam kawałek. Uderzenie cukru pozwala mi odzyskać choć część energii, której pozbawiły mnie dzisiejsze wydarzenia.

– Co za dzień. – Lyn wydłubuje kawałki czekolady z muffinki i kładzie je na języku.

– Dobrze, że przynajmniej Emily jest bezpieczna.

Zajrzałam do prowadzonego w przedszkolu wykazu osób, które należy powiadomić w nagłym wypadku, i znalazłam tam numer siostry Grega. Ta przyjechała i zabrała go. Mimo wszystko uważałam, że nie zasłużył, by sprowadzać mu na głowę policję. Wiem, jak to jest, kiedy poczucie winy ściska w żołądku i dręczy. To taki tępy ból, który nigdy do końca nie mija. Greg jest człowiekiem, tak jak wszyscy ma swoje wady i tak jak każdy odczuwa żal, a przecież nie ma wśród nas nikogo, kto nie popełniałby błędów, prawda? Tyle że niektóre pomyłki trudniej wybaczyć.

– Myślisz, że Sarah przyjmie go z powrotem? – pyta Lyn.

Wzruszam ramionami i spijam śmietankę z czekolady, rozkoszując się aksamitną słodyczą, która rozpuszcza mi się na języku.

– Miło posiedzieć – mówi Lyn. – Tak się natańczyłam na osiemnastce siostrzenicy Steve'a w sobotę, że mam bąble na bąblach. Szkoda, że nie przyszłaś.

– Wiem. Chodzi o to, że...

– Za wcześnie po... Charlie. – Lyn klepie mnie po dłoni, po czym sięga po następną muffinkę i odchyła się na fotelu.

Próbuję odbudować swoje życie. Minęło ponad pięć miesięcy. Czasem zahaczam o normalność, ale choć doceniam wysiłki Lyn, by mnie gdzieś wyciągnąć, to jednak żaloba ciąży mi tak bardzo, że nie jestem jeszcze gotowa na radość tańca. Staram się wpuszczać ludzi z powrotem do swojego życia, wdzięczna im za to, że nadal ze mną są. Kiedy pochowaliśmy Charlie, rozpadłam się na kawałki. Nie potrafiłam wstać z łóżka. Dopiero gdy dziadkowie stanęli nade mną ze sztucznymi uśmiechami na twarzach i zapakowanymi w lśniący papier prezentami na moje dwudzieste piąte urodziny, zauważyłam troskę wyrytą w ich rysach. Po tym zdarzeniu zaczęłam zbierać się do kupy. Przekonuję siebie, że jakoś sobie radzę, ale to nieprawda. Wcale tak nie jest. Gdyby zabrać mi tabletki na sen, znów bym się rozleciała.

– Babcia widziała się z mamą Charlie. Lexie chce się ze mną spotkać.

– Po co?

– Nie wiem. Znam tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– Czy to dobry pomysł, Grace? Postąpiła okropnie w stosunku do ciebie. Wypędziła cię z pogrzebu twojej najlepszej przyjaciółki.

– Wiem, ale to jednak mama Charlie. Poza tym ona nie ma nikogo. Powinnam się upewnić, czy wszystko u niej w porządku. Pewnie chce mnie przeprosić.

– Pewnie tak. – Lyn jednak nie wygląda na przekonaną.

Tak samo jak ja.

Pralka zaczyna mleć strój przedszkolanki, a ja przebijam folię rybnej potrawki, którą znalazłam na samym dnie zamrażarki. Miałam pójść na zakupy, ale zamieszanie z Gregiem i poczucie bycia obserwowaną tak bardzo wytrąciły mnie z równowagi, że pożegnawszy się z Lyn, wróciłam prosto do domu. Wkładałam potrawkę do mikrofalówki i nalewam sobie wina.

W poniedziałki Dan trenuje piłkę nożną i zawsze potem je kolację w barze. Przysłał mi esemes z informacją, że znalazł telefon. Dobrze, że nie zdążyliśmy kupić nowego. Postanawiam, że zjem i położę się wcześniej do łóżka.

Przeładam winyle, szukając albumu, który będzie pasował do dzisiejszego dnia. Rzadko włączam telewizor, kiedy nie ma Dana. Opuszczam igłę i słucham trzasków. Po chwili Ella Fitzgerald intonuje *Stormy Weather*. Też potrzebuję słońca, tak jak w tej piosence. Jest jeszcze wcześnie, mimo to wkładam ciepłą pidżamę w szkocką kratę, w której zdaniem Dana wyglądam jak Rupert Bear, ten misiek z komiksu. Różowa koperta Charlie stoi między lampką nocną a stosikiem książek, które mam do przeczytania. Sięgam po nią i ostrożnie biorę w palce, tak jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć, po czym zabieram ją na dół i tam wpatruję się w nią, jedząc potrawkę z poplamionej tłuszczem plastikowej tacki – żeby nie musieć zmywać. Z jednej strony ciekawi mnie, co Charlie napisała, a z drugiej powstrzymuję się przed otwarciem listu, bo boję się emocji, które ten może we mnie obudzić. Trzymam w ręku ostatnie nowe wspomnienie, które mogę mieć o Charlie. Kiedy otworzę kopertę, wszystko będzie przypominało wieczne powtórki.

Stawiam tackę na podłodze, wyciągam się na sofie, opieram stopy na podłokietniku i przykrywam nogi patchworkową narzutą. Otwieram kopertę, trzymając ją dwoma palcami.

7.

Wtedy

– Wschodzą cebulki żonkili. – Dziadek umył ręce w zlewie, a babcia wytarła krople wody z kranu ze stali nierdzewnej; zrobiła to jedną ze swoich ściereczek do naczyń, tą z napisem *J'adore Paris*.

Nigdy nie była we Francji, w ogóle nie wyjeżdżała poza Wielką Brytanię, ale uwielbiała ściereczki do naczyń i zawsze sprawiała sobie nową, ilekroć odwiedzała jakieś miejsce, do tego często kupowała je na prezent. Miała pełną szufladę miejsc, których nigdy nie widziała. Zresztą sama też nie byłam za granicą, ale wtedy, mając trzynaście lat, sądziłam, że mam całe życie przed sobą.

Usiadłam przy sosnowym stole kuchennym, ustawionym obok kredensu pełnego białych i niebieskich naczyń. Kiedy po kawałku babki cytrynowej, którą sobie ukroiłam, zostały same okruszki, odsunęłam talerz, a przysunęłam stos albumów ze zdjęciami.

Zacząłam przekładać brązowe, pomarszczone strony. Coś zakuło mnie w piersi, że aż położyłam na niej dłoń. Widok mojej rozbitej rodziny zawsze sprawiał, że traciłam oddech. Zasadniczo unikałam zaglądania do tych albumów, ale niestety, potrzebowałam kilku zdjęć do szkoły. Dziadek stanął za mną, położył mi dłonie na ramionach i przyglądał się w milczeniu, jak przewracam kartki. Wodziłam palcem po twarzach ludzi na fotografiach. Wyglądaliśmy jak zwyczajna rodzina: mama, tata i ja. Cukierki na choince w święta, zamki z piasku w wakacje. N a p r a w d ę byliśmy normalną rodziną. Brakowało mi tego. Zatrzymałam się przy zdjęciu, na którym mama i tata stoją na plaży i szczerzą zęby do obiektywu, trzymając mnie między sobą, unoszą z dumą jak trofeum, które właśnie zdobyli, a wiatr rozwiewa im włosy. Mam tu jakieś dwa lata, roztopione lody płyną mi po brodzie, celuję wafelkiem w aparat. Zdjęcie tak doskonale uchwyciło ten moment, że oglądając je, niemal poczułam promienie słońca na skórze, zobaczyłam przełamujące się fale i usłyszałam krzyk mew. Poczucie, że jestem w domu. Ziarnista fotografia, na której pozuję z tatą. Siedzimy w barze mlecznym nad kubkami gorącej czekolady z bitą śmietaną i płatkami. Tata robił porządną gorącą czekoladę – „moja córka nie będzie piła tych rozpuszczalnych pomyj”, mawiał. Miał specjalny rondelk przeznaczony wyłącznie do mleka, rozpuszczał w nim kawałki prawdziwej, dobrej czekolady i cierpliwie mieszał i mieszał, aż mleko robiło się gładkie i brązowe.

– To. – Wyjęłam zdjęcie z foliowej kieszonki i położyłam na stosiku fotografii przedstawiających dziadków, mamę oraz przeróżne ciotki i wujków, których chyba nawet nie widziałam na oczy. Byli dla mnie zaledwie imionami i nazwiskami na kartkach z życzeniami świątecznymi.

– Pewnie za nimi tęsknisz. – Dziadek usiadł obok mnie. – Nie musi tak być. Wczoraj wieczorem znów dzwoniła twoja mama. – Położył dłoń na mojej. Była ciepła i wilgotna.

– Nie chcę o niej rozmawiać. – Ścisnęło mnie w żołądku na samą myśl o tym, co zrobiłam. Zabrałam rękę.

– Ale powinnaś. Musisz poukładać sobie to wszystko w głowie.

– Przecież rozmawiałam o tym z Paulą, tak? Jaki sens, żebym chodziła na cholerną terapię, skoro teraz mam z wami gadać o tym samym?

– Grace, nie wyrażaj się.

Odsunęłam krzesło, aż zapiszczało na płytkach, i wstałam.

– Idę do Charlie.

– Zaczekaj. – Babcia podniosła rękę jak policjant, który zatrzymuje ruch. Oparłam się o framugę drzwi i bębniąc palcami o drewno, czekałam, aż babcia przełoży spory kawałek biszkoptu na arkusz folii, a następnie go pokroi. – Weź ze sobą. Charlie powinna więcej jeść. – Zdaniem babci nikt poza nami nie odżywał się odpowiednio. – Zapytaj ją, czy nie wybrałaby się z nami na wakacje w tym roku. Jedziemy za granicę.

– Serio? Dokąd? – Ciekawość poprawiła mi nastrój.

Skrzyżowałam palce za plecami. Oby do Disneylandu, oby do Disneylandu. Rok temu Esmée pomieszkała u ciotki w Paryżu i od tamtej pory buzia jej się nie zamyka o Disneylandzie.

– Na wyspę Wight.

– Ivy, przecież tłumaczyłem ci, że to nie zagranica. – Dziadek puścił do mnie oko, a ja odpowiedziałam uśmiechem, zapominając o wybuchu złości.

– Skoro to nie zagranica, to dlaczego musimy płynąć promem, żeby się tam dostać? I co? Jak to wytłumaczysz?

Pełna zdjęć i zawiniętego w folię ciasta reklamówka z Tesco obijała mi się o nogi, kiedy gnałam przez wieś i mijałam buczące kosiarki oraz węże ogrodowe, którymi właściciele zmywali brud z samochodów. Moje adidasy plaskały na betonie, a ja biegłam coraz szybciej, uciekając przed goniącymi mnie słowami dziadka. Miałam wrażenie, że moje życie dzieli się na dwa etapy: przed i po.

Kiedy wreszcie dotarłam do głównej ulicy i oparłam się o skrzynkę pocztową, żeby złapać oddech, moja koszulka była mokra od potu. Usłyszałam dobiegające z drugiej strony ulicy salwy śmiechu. Siobhan i jej młodsza siostra Abby. Wyszły z drogerii. Zaczęłam do nich wołać, ale Siobhan przyłożyła dłoń do ust i szepnęła coś Abby do ucha. Obie obejrzały się i zachichotały. Zamknęłam usta i wbiłam spojrzenie w rozpiskę godzin odbioru listów. Wiedziałam, że moje policzki mają tę samą barwę co skrzynka, i żałowałam, że nie pobiegłam przez park – pewnie dlatego, iż babcia nie lubiła, kiedy chodziłam tam sama. „Niepożądany element”, mówiła, ale za dnia w parku było tylko pełno lepiących się od brudu małuchów i zestresowanych matek. Nie wiedziałam, co konkretnie Siobhan ma przeciwko mnie, ale nie zaakceptowała mnie równie ochoczo, jak Charlie i Esmée, w dodatku im byliśmy starsze, tym większą niechęć mi okazywała. Abby i Siobhan wstąpiły do kawiarni, a ja przemknęłam obok przygarbiona i z pochyloną głową.

Dom Charlie znajdował się w środkowej części rzędu wiktoriańskich szeregowców z czerwonej cegły. Mieszkali tam pracownicy starego zakładu włókienniczego. Zakład dawno zamknięto, teraz mieściła się w nim szkoła podstawowa, ale domy pozostały.

Trawa sięgała mi do kolan i rosło w niej mnóstwo pokrzyw, dlatego przedzierając się, trzymałam ręce w górze. Podeszłam do drzwi i zamiast zadzwonić dzwonkiem – nigdy nie wiedziałam, czy działa – załomotałam kołatką. Odpadło od niej kilka płatków łuszczącej się czarnej farby. Czekałam... i kiedy już miałam zapukać po raz drugi, usłyszałam stukot szpilek i brzęk bransolet. Po chwili drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

– Cześć, Lexie.

Mama Charlie przywarła plecami do ściany i wślizgnęłam się do środka. Lexie pomachała palcami.

– Zamknij za sobą, dobrze? Mam mokre paznokcie.

Zrobiłam, o co prosiła, a nawet jeszcze podniosłam pocztę z wycieraczki.

– Rachunki możesz sobie zabrać – powiedziała Lexie. – Na cholerę mi one? –

Podmuchała świeżo pomalowane ciemnoczerwone paznokcie. – Jak ci leci? Masz już chłopaka?

– Nie...

– I bardzo dobrze. Bo chłopaki to same kłopoty, mówię ci. Charlie jest w kuchni, robi herbatę. Głodna?

– Jak wilk. – Zdążyłam spalić babkę cytrynową, którą zjadłam w domu.

Charlie właśnie wysypywała nuggetsy z kurczaka i frytki na rudą od rdzy blachę do pieczenia.

Lexie prawie nigdy nie gotowała. Charlie żywiła się niemal wyłącznie pizzą, burgerami i frytkami – i była przy tym chuda jak patyk. „Proste jedzenie dla prostych ludzi”, mawiała babcia, ale mi i tak ciekła ślinka.

– Gracie, bądź tak miła i przypal mi peta. Nie chcę sobie rozmazać lakieru. – Lexie pokazała broda na paczkę.

Wyjęłam papierosa i podałam go jej do szkarłatnych ust. Dopiero za trzecim razem udało mi się wykrzesać płomień z zapalniczki. Kiedy Lexie się pochyliła, żeby sobie przypalić, przestraszyłam się, że zajmą się jej włosy wysuszone od wielokrotnego farbowania. Zaciągnęła się i końcówka papierosa się rozjarzyła.

– Co tam masz? – spytała, łypiąc na moją reklamówkę.

Przesunęłam stos listów, które rozpełzły się po stole jak papierowy bluszcz, i wysypałam zdjęcia.

– To na historię. Mamy zrobić drzewo genealogiczne. Głupi pomysł, ale to zadanie obowiązkowe. Charlie też będzie potrzebowała zdjęć.

– Nie wiem, czy mam takie, które się nadadzą. To wszystko materiały reklamowe, trochę, rozumiesz, pikantne.

Nie rozumiałam, ale i tak się zaśmiałam, kiedy zarechotała.

– A tata Charlie?

– Co: tata Charlie? – Zmarszczyła brwi i dłonią rozwiała dym, który wypuściła z ust. Charlie zmierzyła mnie wzrokiem i głośno wsunęła blachę do piekarnika.

– Macie jakieś jego zdjęcia? Potrzebna jest cała rodzina. Wiem, że to bez sensu, ale...

– Ja jestem jej całą cholerną rodziną. To nie wystarczy? – Lexie zdusiła niedopałek.

– No tak, ale...

– Ale co?

– Ale mają być zdjęcia. Spłonęły w pożarze?

– Jakim pożarze?

– Charlie mówiła, że wybuchł tu pożar, kiedy była mała.

– Charlie ma cholernie bujną wyobraźnię.

– Ale mam, przecież pamiętam...

– Nic nie pamiętasz, ty mała kłamczucho. Nigdy się tu nie paliło. – Lexie gwałtownie odsunęła krzesło, aż wpadło na ścianę. – Wychodzę.

– Mamo, daj spokój, gotuję...

– Nie jestem głodna.

Echo szpilek w korytarzu. Cały dom się zatrząsł, kiedy trzasnęła drzwiami.

– Czemu to zrobiłaś? – spytała Charlie, opierając dłonie na biodrach.

– Ale co?

– Mówiłam ci, jak mama się zachowuje, kiedy wspominam o tacie.

– Masz prawo wiedzieć. Poza tym potrzebujemy...

– Nie, nie. My niczego nie potrzebujemy. Siobhan miała rację, że czasem jesteś naprawdę upierdliwa. Przestań się wtrącać do mojej rodziny tylko dlatego, że twoja jest taka pochrzanią.

Zerwałam się na nogi, przewracając krzesło, które upadło z hukiem. Zacisnęłam dłonie w pięści.

– Nie wierzę, że to powiedziałaś. Podobno jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

– No to może powinnam przestać nią być. Nie potrzebuję ani taty, ani ciebie, Grace Matthews. Weź się po prostu odpierdol.

Charlie skoczyła na równe nogi i wybiegła. Jej kroki zadudniły na schodach. Po chwili, kiedy wparowała do swojego pokoju, zatrzęsł się żyrandol nad moją głową. Nie miała dywanów ani wykładzin, które tłumiłyby dźwięki. Przypomniałam sobie, jak mówiła, że po pożarze zostały bez niczego. Ciekawe, dlaczego Lexie zaprzeczyła, jakoby w ich domu kiedyś się paliło. Co takiego próbowała ukryć? Zbierając zdjęcia ze stołu i wkładając je z powrotem do reklamówki, uświadomiłam sobie, że Charlie ma rację co do jednego: moja rodzina rzeczywiście właściwie nie istniała – przeze mnie.

8.

Teraz

Trzymam list. Kartka jest postrzępiona z jednej strony, widać wyraźnie, że Charlie wyrwała ją z zeszytu. Oczami wyobraźni widzę naszą nauczycielkę z podstawówki, panią Stiles, jak krzyczy: „Charlotte Fisher! Powiedz mi, co ty wyprawiasz!”. Charlie często wpadała w tarapaty.

Sięgam po kieliszek wina, opieram głowę na poduszce i zaczynam czytać.

TEN LIST WOLNO PRZECZYTAĆ TYLKO GRACE I CHARLIE, JEŚLI WIĘC NIE JESTEŚ JEDNĄ Z NAS, ZAKOP Z POWROTEM TO PUDEŁKO I SPIEPRZAJ!!!

No dobra, nie mamy już piętnastu lat, jesteście dorośli i w ogóle wspaniale. Oto moja lista rzeczy do zrobienia (o ile jeszcze ich nie zrobiłam):

1. Chcę odnaleźć tatę. No i proszę, przyznałam się. Cholernie mi przykro, Grace, że byłam taką jęczącą żółką, kiedy próbowałaś mi pomóc, ale mama jest temu strasznie przeciwna i już sama nie wiem, co robić. Myślałam, że pisanie o tym będzie łatwiejsze od mówienia, ale czuję okropne wyrzuty sumienia już przez samo to, że o tym myślę. Mama bywa jak szalona krowa, ale nie mam nikogo poza nią, dlatego nie chcę przysparzać jej zmartwień. Ale przecież wiesz, jak to jest, kiedy nie ma przy tobie taty, prawda, Grace? Czujesz pustkę, zgadza się? Smutek pod skórą, który nie chce przeminąć i który coraz trudniej ignorować.

Ostatnio coraz częściej o tym rozmyślam. Zastanawiam się, czy choć trochę go przypominam (po kimś muszę mieć tę urodę), czy mamy podobne poczucie humoru (jakoś muszę wytłumaczyć tę obsesję na punkcie Monty Pythona) i czy tak samo jak ja nie znosi buraków. Połowę cech mam po kimś, kogo nie znam – a chcę poznać. Chcę się dowiedzieć, kim jestem i skąd pochodzę, i chcę, żeby on też mnie poznał (ale tylko z dobrej strony!).

Mam nadzieję, że do tej pory mama już zdradzi mi, kim on jest (nawiasem mówiąc, NIGDY nie będę kłamała, tak jak ona to robi), że go odnajdziemy i że spędzimy wakacje w jego hollywoodzkiej willi z basenem. (Czy proszę o zbyt wiele, licząc, że tata jest gwiazdą kina i milionerem?)

2. Obym nie utyla!!! Skoro będziemy często chodziły w bikini (patrz wyżej)!

3. Obyśmy na zawsze pozostały przyjaciółkami. Grace, Siobhan, Esmée i Charlie. Fantastyczna Czwórka. Kocham Was wszystkie (ale zwłaszcza Ciebie, Grace, moja najlepsza przyjaciółko).

Charlie

Czytam tę listę jeszcze dwa razy, popijając wino. Nadal nie zbliżyłam się do odkrycia znaczenia ostatnich słów Charlie. Tutaj niestety nie ma nic, co pomogłoby mi je zrozumieć.

Czuję, jak wypełnia mnie poczucie zawodu. Sama nie wiem, czego się właściwie spodziewałam. Wskazówek krok po kroku? Wielkiej czarnej strzałki z napisem „zaczynij od tego miejsca”? Czytam list i uzmysławiam sobie, że nigdy nie udało nam się odnaleźć jej ojca. Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju. Co się z nią działo, kiedy zniknęła? Czy to możliwe, że go znalazła? Może będzie wiedział, co takiego zrobiła, że uważała to za aż tak straszne?

Zamykam oczy. Pomyśl, Grace. Mogłabym go zapytać – jeśli bym go odnalazła. Sęk w tym, że jedyną osobą, która zna jego tożsamość, jest Lexie.

9.

Teraz

Jadę do Lexie. Na szaroniebieskim niebie wiszą ciężkie, ciemne chmury. Jestem niespełna w połowie drogi, kiedy zaczyna padać. Kanonada grubych kropel rozpryskuje się na przedniej szybie auta. Włączam światła, mimo że nie ma jeszcze szesnastej.

Dan nie chciał mi towarzyszyć, choć go prosiłam. Próbowałam mu wytłumaczyć, że muszę pogodzić się z Lexie, bo to dla mnie jedyna realna szansa na odnalezienie ojca Charlie, ale on nie rozumie, dlaczego czuję się w obowiązku nawiązać kontakt z tym człowiekiem. W najlepszym razie okaże się, że Charlie, kiedy zniknęła, spotkała się z ojcem, i uzyskam od niego odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. W najgorszym – że się nie spotkali. Wtedy trudno, przynajmniej opowiem mu o jej losie. Żeby mógł uczyć jej pamięć.

Poza tym muszę pojąć sens ostatnich słów Charlie: „Zrobiłam coś strasznego, Grace. Mam nadzieję, że mi wybacysz”.

Dzwoni telefon. Zatrzymuję się na przystanku, żeby sprawdzić, kto się dobija; odbiorę, jeśli to babcia. Mija mnie czerwona corsa. Zerkam na wyświetlacz: początek numeru typowy dla telefonicznych akwizytorów. Odrzucam połączenie. Wrzucam kierunkowskaz i włączam się do ruchu. Niemal przyklejam nos do szyby, żeby cokolwiek widzieć w tej ulewie. Czuję ulgę, kiedy w końcu docieram na ulicę, przy której mieszkała Charlie.

Przebijam się przez zarośniętą ścieżkę, prowadzącą przez ogród przed domem Lexie, ale ponieważ wszędzie stoją kałuże, to kiedy docieram do wejścia, dół dzinsów mam tak mokry, że można go wyźymać. Nie czuję, że minęło siedem lat, od kiedy zapłakana waliłam w te drzwi otwartymi dłońmi, aż piekły, i krzyczałam do Charlie, domagając się prawdy. Nie mogłam wtedy podejrzewać, że zobaczę ją dopiero po kilku latach i że kiedy znów zapukam do tych drzwi, zrobię to po to, aby zabrać Lexie na pogrzeb córki.

Kołatka zwisa sztywno. Kiedy ją podnoszę, protestuje skrzypnięciem. Czekać, tupię nogami, by otrząsnąć wodę z butów. Kulę się, słysząc trzask pioruna. Z początku mam wrażenie, że komuś strzelił gaźnik, i się odwracam. Za moim autem zaparkowała czerwona corsa. Nie widzę kierowcy, bo jest za ciemno. Żałuję, że nie zapamiętałam numerów samochodu, który mijał mnie, kiedy stałam na przystanku. Ile czerwonych cors jeździ po drogach? „Pewnie setki” – myślę, ale i tak zastanawiam się, czy to nie ten sam wóz, który w sobotę stał pod moim domem. Czuję, jak jeżą mi się włoski na karku.

Raz jeszcze pukam do drzwi, tym razem szybciej i mocniej.

– Kto tam?

– To ja, Grace.

Uśmiecham się, próbując zachować tę minę, kiedy drzwi się otwierają i wygląda zza nich pomarszczona twarz Lexie. Białka oczu ma pokryte gęstą siatką maleńkich czerwonych naczynek.

– Nie otwieram, chyba że wiem komu. Mam, cholera, dość tych, co próbują uszczęśliwić mnie na siłę. Nie byłam pewna, czy przyjdiesz.

– Ja też nie.

Wchodzę do środka, gotowa bronić się, jeśli Lexie zacznie na mnie wrzeszczeć, ale ku mojemu zaskoczeniu ona otwiera ramiona... i naraz jej zachowanie na pogrzebie przestaje mieć aż takie znaczenie. Jest mamą Charlie i cierpi. Obie cierpimy. Obejmujemy się niezgrabnie;

nigdy nie przepadała za tego rodzaju bliskością. Wbijają mi się w ciało jej kości biodrowe i muszę odwrócić głowę, żeby włosy Lexie nie wchodziły mi do ust. Ciemnoszare odrosty kontrastują z jasnoczerwonymi rozdwojonymi końcówkami, w dodatku śmierdzą, jakby nie myła ich od kilku tygodni.

Idę za nią wąskim korytarzem, moje buty zostawiają mokre ślady na gołej drewnianej podłodze.

– Klapnij sobie.

W kuchni cuchnie jak w chlewie. Pod drzwiami na podwórzu leży wysoka sterta śmieci, które wysypują się z reklamówek. Obleva mnie fala wstydu. To przecież mama Charlie i bez względu na to, co wydarzyło się na pogrzebie, powinnam była odwiedzić ją znacznie wcześniej. Ona nikogo nie ma. Przysuwam sobie krzesło. Stoi na słowo honoru. Strzepuję okruchy z siedziska i siadam.

– Herbaty?

– Poproszę.

Brudne naczynia w zlewie wyglądają jak wysoka budowla z klocków jenga; kiedy Lexie wyjmuję kubek, rozpada się konstrukcja ze sztućców, a ich brzęk przełamuje krępującą ciszę.

– Z cukrem?

– Nie, dziękuję.

Lexie płucze poplamiony kubek pod zimnym strumieniem i zalewa torebkę z herbatą gorącą, ale jeszcze niegotującą się wodą. Odsuwam stos listów i popielniczkę, z której wysypują się pety, robię miejsce na kubek. Daruję sobie prośbę o mleko.

Podnoszę kubek do ust i trzymam go tak przez chwilę, udając, że piję.

– Jak się trzymasz?

Lexie wzrusza ramionami i rozgląda się po koszmarnie brudnej kuchni, jakby to wystarczyło za odpowiedź – i raczej wystarcza. Powraca niezręczna cisza.

– Chyba jakoś sobie radzę. Twoja babcia przynosi mi tyle zapiekane i ciast, że można nimi nakarmić całą ulicę.

Nie dają poznać po sobie zaskoczenia. Babcia nigdy szczególnie nie przepadała za Lexie. Wzrusza mnie jej gest.

– No dobrze. – Biorę głęboki oddech. – Chciałaś się ze mną zobaczyć.

Lexie drżącymi palcami zapala papierosa. Sięga po popielniczkę i idzie z nią do drzwi prowadzących na podwórzu, po czym próbuje wcelować zawartością popielniczki do przepełnionej torby na śmieci. Zamiast tego rozsypuje wszystko na podłodze.

– Muszę odnająć pokój. Potrzebuję forsy. Nie pracuję, od kiedy... no wiesz.

Kiwam głową.

– Muszę wysprzątać pokój Charlie. Sama nie dam rady.

Lexie bierze złotą zapalniczkę Zippo, otwiera ją i zamyka, otwiera i zamyka. Zaciskam zęby. Chcę wziąć ją za rękę i uspokoić, ale nie robię tego.

– Chcesz, żebym ci pomogła?

– No. Jutro się wprowadza.

– Jutro?

– No. Pomożesz?

Pytanie zawisa w powietrzu, domagając się odpowiedzi, a ja czuję suchość w ustach i nie mogę wydusić ani słowa. Nie mam ochoty wracać do pokoju Charlie.

Szare oczy Lexie wpatrują się w moje.

– Proszę – mówi tak cichym szeptem, że ledwo ją słyszę.

Otwieram usta. Mam „nie” na końcu języka, słowo siedzi tam jak ptak w klatce, który

czeka na wypuszczenie na wolność, ale moje poczucie winy wie lepiej.

– Tak – mówię.

Drzwi są zimne i twarde w dotyku, tak jakby wiedziały, że strzegą wejścia do pokoju, który utracił serce. Kiedy je otwieram, czuję, że coś mnie dławi: kurz albo dawne wspomnienia – sama nie wiem. Spłowiałe fioletowe zasłony, które nigdy nie schodziły się w środku, są zaciągnięte. Rozsuwam je i otwieram okno. Biorę duży haust powietrza, jakbym zbyt długo przebywała pod wodą, i z otwartymi ramionami przyjmuję padające mi na twarz krople deszczu.

Pokój Charlie nie był wykorzystywany przez te sześć lat, które upłynęły od jej zniknięcia do śmierci, ale odeszła wtedy tak nagle, że większość jej rzeczy nadal znajduje się na swoim miejscu. Spod chaosu noszącego dawniej imię Charlie ledwo widać podłogę, a mimo to pokój wydaje się pusty. Opustoszały.

Lexie zatrzymuje się w progu, nie wchodzi dalej. Gryzie paznokcieć.

– Pójdę po worek na śmieci – rzuca.

Kiwam głową, choć wiem, że jeśli chcemy zrobić tu porządek jeszcze dzisiaj, będziemy potrzebowały nie jednego, a całej rolki worków na śmieci. I cudu.

Na pokrytej tynkiem strukturalnym ścianie wisi przekrzywiona jak dawniej tablica korkowa pełna zdjęć. Charlie nie znosiła tego pokoju. „Kto normalny wykańcza ściany tak, żeby wyglądały jak sufit?” – pytała retorycznie. Pamiętam, że w końcu darowała sobie proszenie Lexie o wynajęcie fachowca, który położyłby zwykły tynk, i któregoś weekendu same pomalowałyśmy brudne od dymu papierosowego ściany na jasny róż. Było jeszcze gorzej. Charlie przyszła do mnie i, wykruszając farbę z włosów, z płaczem narzekała, że pokój wygląda teraz jak wielka pianka żelowa. Babcia zrobiła nam zapiekankę wiejską, a dziadek po cichu wziął z szopy drabinę i wałek do malowania. Kiedy następnego dnia Charlie wróciła do siebie, pokój był śnieżnobiały. Ale tynk strukturalny pozostał.

Odczepiam jedno ze zdjęć, przesuwam palcem po konturach twarzy Charlie i czuję, że coś ściska mnie w żołądku.

– Tęsknię za tobą – mówię szeptem.

– Ja też za nią tęsknię. – Lexie wręcza mi worek i kartonowe pudełko. – Wzięłam ostatnie piwo, żebyśmy miały jeszcze to. – Pokazuje na pudełko. – Przyda się.

Powstrzymuję się od sarkastycznej uwagi. Przynajmniej się stara.

– Od czego chcesz zacząć? Powinniśmy to wszystko jakoś posegregować: do zatrzymania, do sprzedania, do wyrzucenia.

– Zdejmę pościel i włożę do prania. Przejrzyj szuflady i weź sobie, co chcesz.

Klękam na drewnianej podłodze. Dobrze, że założyłam znoszone spodnie. Górna szuflada nie chce się otworzyć. Szarpnię mocno za uchwyt, aż ten zostaje mi w dłoni, ale przynajmniej szuflada ustępuje. „Może poproszę Lexie o śrubokręt” – myślę. Po co? Przecież w bagażniku mam małą skrzynkę narzędziową. Chowam uchwyt do kieszeni. W szufladzie znajduję bogatą, tęczową kolekcję koszulek. Wszystkie małe, zdecydowanie za małe, nawet gdybym w ogóle chciała je nosić. Wybieram kilka, te, które, jak mi się wydaje, Lexie mogłaby chcieć zatrzymać – pomarańczowy nierównomiernie pofarbowany T-shirt oraz parę podkoszulków w landrynkowych kolorach – a resztę wkładam do worka z rzeczami przeznaczonymi do sprzedania. W dolnej szufladzie leży kwiecista koszula.

– To moja – mówię Lexie. – Ciekawe, co jeszcze znajdę.

Na jej ustach pojawia się cień uśmiechu.

– O co chodzi? – pytam.

– Kiedy Charlie miała pięć albo sześć lat, dorwała się do mojej komody i zaczęła bawić w przebieranki. Akurat szykowałam kolację, kiedy wparowała do kuchni, wymachując wibratorem. Buczał jej w dłoni. „Mamusiu, co to?” – zapytała.

– I co jej odpowiedziałas?

– Że to specjalny przyrząd do masowania ramion, którego używam, kiedy jestem zmęczona.

– Sprytnie.

– Szybko o wszystkim zapomniałam, ale dwa tygodnie później, kiedy poszłam odebrać Charlie ze szkoły, pani Johnson, jej nauczycielka, poprosiła mnie na słówko. Powiedziała, że dzień wcześniej zwierzyła się dzieciom, iż bolą ją ramiona i dlatego nie może pisać na tablicy. Charlie przyniosła „specjalny przyrząd do masowania” – żeby sobie pożyczyła. Pani Johnson wręczyła mi wibrator w reklamówce z Tesco. Myślałam, cholera, że tam zejść ze wstydu.

– Mój Boże! I co powiedziałaś?

– Że dziękuję i mam nadzieję, że pomógł.

Parsknęłam śmiechem.

– Biedactwo. I biedna Charlie. Miała przez to kłopoty?

– E, nie. Przecież chciała tylko pomóc. To zresztą nic takiego. Gorzej było, kiedy chodzili u nas po domach i prosili o datki na rzecz chorych dzieci w Afryce.

– Co zrobiła?

– Ja brałam wtedy prysznic, ale Charlie postanowiła, że odda jedną z moich roślinek. „To ziółka, po których robi się wesoło. Dajcie je dzieciom”, powiedziała i wręczyła im doniczkę moich domowych konopi.

– Lexie! Miałaś szczęście, że nie trafiłaś za kratki! – Nie mogę przestać się śmiać.

Atmosfera zaczyna rzędnąć.

– Chyba nie wiedzieli, co to takiego. Powiedzieli Charlie, że woleliby pieniądze. „O nie, u nas nigdy nie ma choleryjnej forszy”, odparła. Miała wtedy jakieś pięć lat.

– Nie potrafię jej sobie wyobrazić w takim wieku. Masz jakieś zdjęcia?

– Kilka. Później ci pokażę, jak będziesz chciała.

– Chętnie. – Oczami wyobraźni widzę pięcioletnią Charlie, nieustraszoną dziewczynkę z kucykami.

Nigdy nie zapomnę tego, jak wstawiła się za mną, kiedy zetknęliśmy się po raz pierwszy.

– Grace – odzywa się Lexie. Jej głos cichnie. – Jestem ci winna przeprosiny...

Wyglądam zagniecenia letnich sukienek, składam zimowe swetry. Ubrania na pory roku, których Charlie już nigdy nie zobaczy.

– Pogrzeb był stresujący. Nie musisz przeproszać.

– Nie chodzi tylko o pogrzeb. – Pstryk zapalniczki, zapach dymu. – To skomplikowane...

– Nie musimy o tym rozmawiać akurat dziś. – Wyjmuję ostatnią rzecz z szuflady. – Kiedyś ty je nosiłaś, pamiętasz? – Pokazuję na kuse szorty z białego dżinsu.

– Uwielbiałam je. Czuję się w nich jak gorąca laska.

Odkładam na kupkę „do zostawienia”.

Komoda jest pusta. Wstaję, otrzepuję kolana i otwieram szkatułkę Charlie. Balerina w różowej tutu kręci niekończące się piruety w takt muzyki.

Półowa wisiorka z serduszkami leży w pudełeczku wyściełanym czerwonym aksamitem. Kiedy go podnoszę, kręci się dokoła, tak jak mój wtedy, w lesie, jakby szukał brakującej części.

– Weź go – mówi Lexie. – Miała go na sobie tamtego dnia. Na pewno chciałaby, żebyś go zatrzymała.

Kiwam głową. Coś dławi mnie tak, że nie mogę wydusić słowa. Rozpinam łańcuszek

i zakładam na niego należącą kiedyś do Charlie połówkę serca; dopasowuje się do mojej, ale nie do końca – złamane serce, które już nigdy nie zrośnie się w jedną całość.

Pracujemy w milczeniu aż do wschodu księżycy, który rzuca mleczną poświatę na rząd czarnych worków, stojących w szeregu pod brudnymi ścianami jak pluton wojska.

– W poniedziałek zaniosę je do sklepu charytatywnego.

Zarzucam jeden worek na lewe ramię, a drugi niosę w prawej ręce. Idąc po schodach, ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, czuję się jak Święty Mikołaj. Składam tylne siedzenia w aucie i jakoś udaje mi się upchnąć całe życie Charlie do bagażnika. Z wyjątkiem worka z rzeczami, które, jak uznałam, Lexie będzie chciała nosić – ten chowam do szafy.

Żegnam się z pokojem Charlie. Wyblakłe prostokątne plamy po plakatach oraz klejące się resztki masy mocującej są jedynymi widocznymi pozostałościami dawnego życia. Jakże szybko potrafimy wymazać ślady czyjejs fizycznej obecności, podczas gdy wspomnienie trwa wiecznie. Wyłączam światło i schodzę na dół, do Lexie.

– Napijesz się?

– Poproszę.

Siadam na popękanej skórzanej sofie, wsuwam stopy pod pupę i biorę łyk merlota. Czekam, aż cierpkość wina złagodzi mój niepokój. Wykorzystam sposobność i zapytam Lexie o tatę Charlie. Muszę to wyjaśnić. Mam okazję wydobyć z niej nazwisko, a może nawet adres.

– W tym miejscu po raz pierwszy piłam czerwone wino – mówię. – Charlie oznajmiła, że to krew i że nie odważę się wypić. Wróciłam do domu zapłakana. Dziadkowi powiedziałam, że zamieniłam się w wampira.

– Niezła z niej była cholera – stwierdza czule Lexie.

– Pokażesz mi zdjęcia, na których jest mała? – rzucam niby od niechcenia, ale serce wali mi jak szalone. Biorę kolejny, tym razem większy łyk.

Lexie zaczyna grzebać w szafce; oby udało jej się znaleźć.

– Mam. – Wyjmuje brązową kopertę formatu A4 z nagryzmołonym „CHARLOTTE” na wierzchu. Przez łączenia, które z czasem się rozkleiły, wystają rogi fotografii.

– Nie mogłam się zabrać do powklejania ich do albumu. – Rozkłada zdjęcia między nami.

Bezzębna Charlie z pianą od szamponu na włosach uśmiecha się do mnie ze zlewu w kuchni.

– Słodkie. – Sięgam po stare zdjęcie polaroidowe. Różowowłosa Lexie ma na sobie cętkowany szlafrok, na jej nadgarstku widać szpitalną opaskę, a przy piersi trzyma śpiące niemowlę. – Tuż po porodzie?

– No. Czternaście godzin! Jezu, myślałam, że się wykończę. Dobrze, że mi dali rozweselacz.

– Czy tata Charlie był przy porodzie?

– Nie. – Lexie podnosi kieliszek do ust.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Skurwiel dał nogę, jak tylko dowiedział się, że jestem w ciąży.

– Nigdy nie widział Charlie?

– Nie.

– Musiało być ci ciężko. Samej z dzieckiem.

– Nawet nie masz pojęcia.

– Opowiedz mi o nim.

– To był drań. Dobrze, że Charlie nie musiała go znać.

– Domyślam się. – Kłamstwo gładko spływa mi z ust. – Po prostu jestem ciekawa. Cisza, która zapada między nami, jest pełna napięcia; napina się coraz mocniej, aż w końcu pęka.

Lexie głośno wypuszcza powietrze.

– Okej. Co chcesz wiedzieć?

Ostatnie krople wina skapują do jej kieliszka, który grozi przelaniem. Lexie wychyla się i sięga za sofę. Wyjmuje drugą butelkę, macha nią i pytająco unosi brew.

– Prowadzę. – Zasłaniam kieliszek dłonią i poprawiam się na poduszce.

W powietrzu gęsto od dymu papierosowego i tajemnic. Lexie przegląda zdjęcia i w końcu wyjmuje podniszczoną fotografię mężczyzny, który salutuje kuflem piwa komuś spoza kadru. W ustach miętoli papierosa. Wykapana Charlie.

– Nazywał się Paul Lawson. Poznałam go jako szesnastolatka. Przesiadywałam w Folk Lore, bo mieli niezłe kapele, które zmieniały się co kilka tygodni. Już chyba nie istnieje. – Lexie marszczy czoło. Pochyliłam się, chcąc tym gestem zachęcić ją do dalszych zwierzeń. – Wślizgiwałam się tylnym wejściem, tak że nie musiałam płacić za wstęp. Przyglądałam się zespołom z zaplecza i marzyłam, że sama stoję na scenie. Któregoś dnia Frank, właściciel, podszedł do mnie i poklepał po ramieniu. Prawie narobiłam w gacie. Myślałam, że mnie wyrzuci, ale on powiedział: „Słuchaj, skoro już musisz się zakradać, to chociaż przydadź się na coś i pozbieraj szklanki”. – Uśmiecha się do wspomnień. – Paul śpiewał. To był jego pierwszy występ i wypadł prze-kur-wiś-cie. Od razu się w nim zakochałam.

Przerywa i zapala papierosa. Dym wiruje dokoła mojej twarzy, a słowa Lexie – dokoła mojej głowy. Kochała tatę Charlie? Tak naprawdę kochała?

– Miał dwadzieścia dwa lata. Nie było między nami aż tak dużej różnicy wieku, ale miałam wrażenie, że jest ode mnie znacznie starszy. Wiesz, był prawdziwym facetem. Zabijałam się w nim jak wariatka. Miał bardzo jasne włosy i najzieleńsze oczy, jakie widziałam. – Popiół z papierosa spada jej na nogę; nawet tego nie zauważa.

– Masz. – Podaję jej popielniczkę. – Zaczęliście się spotykać?

– Po tym pierwszym występie zszedł ze sceny jak na haju. Podniósł mnie i zakręcił mną tak, że myślałam, że się porzygam. Zaproponował, żebyśmy opili sukces, ale Frank odparł, że mnie nie obsłuży, nawet po godzinach. – Lexie otwiera drugą butelkę wina i napełnia swój kieliszek. – No więc Paul kupił butelkę whisky na wynos i poszliśmy do parku. – Obejmuje się rękami, jakby przytulając się do wspomnień. Pierwszy raz widzę ją taką bezbronną. – Whisky mi nie smakowała, dla mnie to było paskudztwo. Ale się nie odezwałam. Zamiast połknąć, połowę wyplułam z powrotem do butelki. – Wzdryga się. – Nigdy, Grace, nie staraj się zmienić dla mężczyzny.

– Co się wydarzyło?

– Powiedział, że jestem wyjątkowa, a ja uwierzyłam. Uprawialiśmy seks na jego kurtce. To był mój pierwszy raz. Z klasą, co? – Pociąga łyk wina.

– Potem cię zostawił?

– Nie. Spędziliśmy razem sześć tygodni. Później zniknął. Nawet się nie pożegnał. Od tamtej pory go nie widziałam. I nie chcę.

– Byłaś wtedy w ciąży?

– Tak, ale on o tym nie wiedział.

– Mogłaś go chyba jakoś odnaleźć? Powiedzieć mu? Miał prawo wiedzieć, że zostanie ojcem.

Lexie bawi się paczką papierosów, odwleka odpowiedź, tak jakby szukała w myślach właściwych słów.

- Powiedziałaś mu. Nie chciał nas.
- Ale przecież mówiłaś, że...
- Chodziło mi o to, że nie wiedział, dopóki mu nie powiedziałam. Nie chciał mieć dzieci.

Wolał, żebym usunęła ciążę. Drań.

- A czy wie, że tego nie zrobiłaś? I że urodziłaś mu córkę?
- No pewnie. – Lexie zdejmuję nogi z sofy i przy okazji przewraca wino. – Ożeż cholera! Idę po ścierkę. Klękam, zbieram bordowy płyn i osuszam poprzecierany dywan.
- Jak zareagował, kiedy powiedziałaś mu o Charlie?
- Nie mam pojęcia. To było dwadzieścia pięć lat temu, a ja ledwo pamiętam, co robiłam

wczoraj.

- Lexie, posłuchaj. Czy on wie, że Charlie nie żyje?
- Wpatruje się w szkarłatną plamę, a w jej oczach zbierają się niewylane łzy.
- Nie chce mi się już gadać.
- Ale Lexie, to ważne...

– Nie psuj tego, Grace. Miło było cię widzieć, ale jestem zmęczona. – Wyciąga rękę po mokrą ścierkę.

Wkładam buty i kurtkę i zabieram swoją torebkę.

– Jeszcze do tego wrócimy – mówię.

Potakuje, po czym obejmujemy się na pożegnanie.

Kiedy siadam za kierownicą fiesty, wyczuwam w kieszeni uchwyt od szuflady w komodzie Charlie. Zapomniałam przykręcić. Będę miała wymówkę, żeby wrócić. No i będę musiała zwrócić zdjęcie Paula, które ukradkiem wsunęłam do kieszeni, kiedy Lexie nie patrzyła. Włączam silnik i gdy odjeżdżam, nie potrafię opanować dreszczu podniecenia. Mam plan.

10.

Teraz

Bolą mnie mięśnie. Leżę na brzegu materaca, kiwam się na krawędzi jak linoskoczek. Dan ciągle śpi – na plecach, z otwartymi ustami i czołem gładkim jak otoczak. Sen wygładza zmarszczki, które pojawiają się między jego brwiami, kiedy się budzi. Między nami zimna biała przestrzeń prześcieradła – przestwór, którego nadal nie potrafię pokonać bez względu na to, jak bardzo bym chciała. Już sama nie wiem, co Dan do mnie czuje. Przyglądam się, jak wraz z oddechem rytmicznie opada i podnosi się jego pierś. Chciałabym położyć na niej głowę. Poczuć na policzku laskotanie ciemnych włosów, posłuchać bicia serca.

Żal przygniata, izoluje, osamotnia. Oboje straciliśmy Charlie, ale Dan nie wie, co naprawdę czuję, bo i skąd miałby wiedzieć? Wstrząs był tak silny, że z początku zaniemówiłam, nie byłam w stanie wykonywać nawet najprostszych czynności, posługiwać się urządzeniami, z których korzystałam tysiące razy. Przypalałam grzanki, nosiłam niewyprasowane ubrania. Straciłam zdolność komunikacji. Słowa grzęzły mi w ustach. Połykałam je, po czym ścierały się z masą kłębiących się we mnie emocji. Jak mogłam wytłumaczyć Danowi, jak się czuję, skoro nie potrafiłam tego określić? Dan zaczął zostawać w pracy coraz dłużej, nierzadko wracał do domu dopiero około północy. Schody trzeszczały pod jego ciężarem. Mrużyłam oczy i leżałam cicho i nieruchomo, kiedy siłował się z ubraniem. Potem opadał na łóżko obok mnie, tak intensywnie zionąc alkoholem, że miałam wrażenie, jakbym sama była pijana.

Ostatnio to się zmieniło. Częściej bywa w domu, ja zaś wróciłam do pracy. Spotykam się z ludźmi, tak jakbym była jedną z nich i jakby konstrukcja mojego świata się nie zmieniła.

Wiatr napiera na szyby, aż brzęczą. Furtka do ogrodu otwiera się z piskiem i zamyka z trzaskiem. Siadam na łóżku i sięgam po kaptcie. Coś mi strzela w karku. Wsuwam stopy w sztuczne futerko, wkładam szlafrok, schodzę na dół i otwieram drzwi wejściowe. Jabłonka stoi pochylona jak staruszek, który idzie, opierając się wiatrowi. Ostrożnie stawiam stopy na oszronionej ścieżce, podchodzę do furtki i zamykam ją na zasuwkę, choć wiem, że to i tak na nic.

Idę do kuchni, włączam stary jak świat piecyk, który bulgocze, sapie i wreszcie ożywa, i wyjmuję boczek z lodówki. Kiedyś na zmianę robiliśmy sobie śniadania do łóżka w niedzielne poranki. Nie pamiętam już, kiedy przestaliśmy – przed śmiercią Charlie czy po niej. Kroję grube kromki białego chleba, obtaczam je w maśle i brązowym sosie. Boczek skwierczy, a Łapcia ociera się o moje nogi i mrużeniem daje znać, że też lubi mięsko. Okrajam plastry z tłuszczu: połowa dla niej, połowa dla ptaków.

– Dzień dobry. – Stawiam tacę w nogach łóżka.

Kubki obijają się o siebie i trochę herbaty wylewa się na talerze.

Dan siada, podkłada poduszkę pod plecy i strąca na podłogę gazety i opakowania po żelkach owocowych. Podaję mu śniadanie.

– Dzięki. Późno wczoraj wróciłaś. Jak poszło z Lexie?

Wgryza się w kanapkę. Tłuszcz płynie mu po brodzie. Wyciera się wierzchem dłoni.

– Wynajęła pokój Charlie. Pomogłam jej posprzątać i napiłyśmy się wina. Opowiedziała mi o Paulu.

– Paulu?

– Tacie Charlie.

– O kurwa! Nie sądziłem, że coś powie. Prawdę mówiąc, myślałem, że sama nie wie, kto

zrobił Charlie. Wiesz, jaka z niej zdzira.

– Nie zawsze taka była. Paul był jej pierwszym, naprawdę go kochała.

– Zakochana Lexie. Kto by pomyślał? No i co się stało?

Przecieram oczy.

– Nie jestem pewna. Lexie mówiła, że on nie wiedział, że była w ciąży, ale potem zmieniła wersję i stwierdziła, że uciekł, kiedy mu powiedziała. Coś kręci. No, ale teraz przynajmniej możemy go odnaleźć, prawda?

– Czy na pewno tego chcesz?

– Tak. Nie wiemy, dokąd wyjechała Charlie, kiedy zniknęła. Jeśli spotkała się z nim, być może dowiemy się od niego, co takiego straszego zrobiła.

– Wiesz, to loteria. Być może nigdy go nie odnajdziesz. Albo nie spodoba ci się to, co od niego usłyszysz. – Dan przeżuwa kanapkę.

– Nie przekonam się, jeśli nie spróbuję. Dan, proszę.

Odnajdę Paula Lawsons tak czy owak, ale z pomocą Dana będzie mi łatwiej.

– Grace, myślę, że miałaś ostatnio dość zmartwień. Nie chcę, żebyś zadręczała się kolejną rzeczą.

– Wobec tego mi pomóż. Chcę zrobić kolejny krok, naprawdę. Chcę, żeby było jak dawniej, o ile to możliwe. Chcę, żeby „ty i ja” znów oznaczało „my”.

Dan kończy jeść kanapkę i wyciera palce o koldrę. Cząsteczki tłuszczu wnikają w białą bawełnę. Sięgam po kubek i biorę łyk herbaty, żeby nie stracić panowania nad sobą. Dan bierze mnie za rękę i splata swoje palce z moimi.

– Ja też. Okej, pomogę ci. Gdzie on mieszka?

Wzdycham. Naraz zadanie, które mnie czeka, wydaje mi się ponad siły.

– Nie wiem.

– No... to jak się z nim skontaktujemy?

– Nazywa się Paul Lawson i jest wokalistą folkowym. Pomyślałam, że mógłbyś spróbować namierzyć go w sieci.

– Bo jestem geniuszem?

– Bo szarpnęliśmy się na MacBooka, który tańczy i śpiewa i który, jak twierdziłeś, jest wart swojej skandalicznie wysokiej ceny, ponieważ potrafi wszystko.

– Wszystko za wyjątkiem cudów. Chodźmy na dół, spróbuję wygooglować tego Lawsons.

Laptop leży na kolanach Dana. Ten naciska przycisk i maszyna ożywa, a ekran się rozjaśnia. Pochyla się nad klawiaturę. Siedzę blisko niego, nasze uda się stykają. Od wielu miesięcy nie mieliśmy ze sobą tak bliskiego kontaktu fizycznego. Podaję mu zdjęcie, które wczoraj wieczorem zabrałam od Lexie. Mam nadzieję, że ta nie zauważy jego zniknięcia.

Dan przebiera palcami po klawiaturze.

– Paul Lawson, mówisz. Wokalista folkowy.

– Tak.

– Znajduje mi oddzielnie „Paula Lawsons” i „wokalistę folkowego”, ale nie ma wyników, w których byłyby oba te hasła.

– Przejrzyjmy je i tak.

Dan wybucha śmiechem.

– Chyba nie do końca rozumiesz, jak działa internet. Wyników jest czterdzieści milionów. Powodzenia, jeśli chcesz przeglądać wszystkie.

Biorę od niego laptop i oglądam każdą stronę po kolei. Coraz bardziej bolą mnie ramiona, aż w końcu muszę wstać, spleść dłonie na plecach i się przeciągnąć.

– Spróbujmy na stronach organizacji, które zajmują się poszukiwaniem zaginionych osób.

Popołudnie schodzi nam na lekturze kolejnych stron: Armii Zbawienia, Missing Persons; wygląda na to, że każdy kogoś szuka. Czytam opowieści o dzieciach, które uciekły z domu, o mężach, którzy wyszli do sklepu i nie wrócili, o matkach, które po prostu zniknęły.

Kanapka z boczkiem, która tak bardzo smakowała mi na śniadanie, teraz ciąży w żołądku. Jej tłuste macki penetrują całe moje ciało.

– Okej. – Dan drapie się po nosie. – Nikt nam nie pomoże znaleźć Paula, ponieważ nie jesteśmy z nim spokrewnieni. Mogliby jednak pomóc Lexie, gdyby znali okoliczności. Jeśli istnieje szansa, że...

– Nie.

– W takim razie zostają nam tylko media społecznościowe.

– Przecież już tam byliśmy.

– Tylko je przeszukaliśmy. Moglibyśmy zadać pytanie w jakiejś grupie. Tych związanych z muzyką jest całe mnóstwo. Ktoś musi go znać.

Powiew optymizmu. Kiwam głową.

– Skocz po chińskie menu, kobieto, a ja poczaruję. – Porusza palcami jak czarny charakter z kreskówki, który obmyśla nikczemny plan. Idę znaleźć ulotkę z chińskiej knajpy, żeby wybrać, co zjemy – choć i tak zawsze decydujemy się na chow mein szefa kuchni i smażony ryż z jajkiem.

Na ławie stoją resztki naszego chińskiego posiłku. Opakowania, które opróżniłam za ledwie w połowie, włożyłam do tych opróżnionych przez Dana w całości. Łapcia bawi się kluską zwisającą z talerza. Kluska dynda, więc Łapcia strzela oczami to w lewo, to w prawo, jak widz na meczu w Wimbledonie.

– Wrzucimy zdjęcie, które wzięłaś od Lexie. Jak chcesz je podpisać?

Chrupię chipsy krewetkowe.

– Może: „Nazywasz się Paul Lawson? Znasz Paula Lawsona? Jeśli tak, prosimy o kontakt w pilnej sprawie. Mamy ważne informacje”?

– No nie wiem. To brzmi, jakby dostał spadek. Nie chcemy, żeby zaczął się pod niego podszywać każdy świr.

– Dobrze. Więc może tak: „Szukamy Paula Lawsona w pilnej sprawie. Nie chodzi o pieniądze! Jeśli go znasz, skontaktuj się z nami”.

– A teraz to brzmi, jakby zrobił coś podejrzanego. Ja bym nie odpowiedział na takie ogłoszenie.

– Bo jesteś za bardzo podejrzliwy.

– Muszę być, skoro ty jesteś taka ufna.

– Spróbujmy: „Jestem starym znajomym Paula Lawsona z branży muzycznej i chętnie bym się dowiedział, czy nadal wyczynia cuda na gitarze. Znać go?”.

– Lepiej. Przyjazne. Powinno wzbudzić zainteresowanie. Założę konto mailowe specjalnie pod to ogłoszenie, coś z muzyką w nazwie, ale bez imienia i nazwiska.

Opieram się o podłokietnik i patrzę, jak blask ekranu rozświetla twarz Dana. Jest całkowicie pochłonięty zadaniem, mój komputerowiec. Dawno nie czułam się tak zadowolona.

– Gotowe. – Dan pokazuje mi, co stworzył, po czym zamyka klapę laptopa i wsuwa go pod ławę.

Sięgam po kieliszek wina. Zmniejsza się dystans między nami. Ciekawe, czy Dan też to czuje. Biorę głęboki oddech i już mam zaproponować, żebyśmy dziś wcześniej się położyli, kiedy nagle wibruje jego telefon. Dan wyjmuje aparat z kieszeni, zerka na wyświetlacz i marszczy czoło.

– Że też robota nie może mnie zostawić w spokoju nawet w niedzielę.

– Wyłącz go.

– Nie mogę. Ekspertyza wykazała jakiś problem z domem przy Easton Road, który próbuję sprzedać. Kupujący chcą się wycofać. Muszę zadzwonić. Skoczę po wino i pogadam z nimi po drodze do sklepu.

– Mamy jeszcze jedną czwartą butelki. W końcu jutro trzeba do pracy...

Ale Dan już mnie nie słyszy. Wychodzi z telefonem przy uchu.

Bez niego w domu jest ciszej. I bardziej pusto. Po chwili podchodzę do okna i rozsuwam zasłony. Żadnych tajemniczych postaci ani aut. Mimo to mam nadzieję, że Dan zamknął drzwi na klucz. Idę sprawdzić. Wyciągam rękę do klamki i nagle słyszę jakiś dźwięk. Zastygam. Szuranie na ganku. Czyjeś kroki? Przykładam ucho do drzwi i wydaje mi się, że słyszę czyjś oddech, ale wiem, że to niemożliwe, bo zagłuszyłoby go moje walące serce. Brzęk! Coś się przewróciło – chyba stojak na parasole – albo zostało przewrócone. Mówię sobie, że to tylko lis, ale lis nie powiedziałby: „Cholera”. Słowo padło szeptem, więc nie wiem, czy chodzi o mężczyznę, czy o kobietę.

– Kto tam? – Głos mi się łamie, boję się ruszyć, ale wysiłkiem woli wyciągam rękę i włączam światło na zewnątrz.

Przyciskam ucho do drzwi. Cisza. Wyobrażam sobie, że osoba po drugiej stronie robi to samo co ja. Że przez szczelinę na listy wsuwa się dłoń i mnie chwyta. Że pięść rozwala ozdobną szklaną wstawkę w drzwiach. Nie mogę się zdecydować, co zrobić: pobiec do salonu po telefon, czy do kuchni po nóż. Nagle słyszę pomruk silnika auta Dana. Jego niechlujne kroki na chodniku. Drzwi się otwierają, a ja rzucam się na niego, wrywam mu butelkę z ręki i zaglądam w ciemność przez jego ramię, ale niczego tam nie dostrzegam.

11.

Teraz

Tydzień mija szybko i już jest piątek. Przez cały dzień martwiłam się, że wieczorem nie będę miała co na siebie włożyć, ale kiedy wróciłam z pracy, na wycieraczce znalazłam zawiadomienie od kuriera, że zostawił u pani Jones przesyłkę dla mnie. Pukam do drzwi mojej sąsiadki, pomalowanych satynową zieloną farbą, po czym wkładam ręce głęboko do kieszeni i przestępuję z nogi na nogę. Czekam całe wieki. Kucam, zaglądam przez szczelinę na listy i widzę siwowłosą panią Jones, jak idzie korytarzem, powłócząc nogami. Prostuję się, akurat kiedy drzwi się otwierają.

– Witaj, Grace, moja droga. Jakże miło cię widzieć.

– Panią też, pani Jones. Jak się pani miewa?

– Nie mogę, kochanie, narzekać. Wszystko jest na swoim miejscu i nadal działa, jak trzeba.

– Podobno odebrała pani moją paczkę.

– Stoi tutaj, na nowym stoliku pod telefon. Muszę ci powiedzieć, moja droga, że jestem z niego bardzo zadowolona. Cudowny kolor. Wczoraj wieczorem widziałam zupełnie taki sam w programie tej ślicznotki Kirstie Allsopp.

– Cała przyjemność po mojej stronie; naprawdę miło mi się go odnawiało. I cieszę się, że się pani podoba.

Pani Jones ściska paczkę i patrzy na mnie wyczekująco.

– Mięciutka.

– Kupiłam sukienkę na eBayu.

– Wybierasz się gdzieś, kochanie?

– Na wieczór paniński Hannah, dziewczyny z pracy. Idziemy do Pizza Express.

– Cudnie. Pewnie niedługo będziesz urzędowała własny?

Uśmiecham się cierpko.

– Najpierw on musiałby poprosić mnie o rękę.

– Na co on czeka, mając taką śliczną dziewczynę? Może mam mu szepnąć, żeby się pospieszył, zanim ktoś mu cię skradnie?

Uśmiecham się do staruszki. Bardzo ją polubiłam.

– Czuje się już lepiej? – pyta pani Jones.

– Kto?

– Dan. W poniedziałek widziałam, jak wychodzi do pracy i godzinę później wraca do domu. Pomyślałam, że pewnie się rozchorował. Bo jak bierzecie urlop, to w tym samym czasie. Zdjął garnitur i znowu wyszedł. Domyślałam się, że do lekarza.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Jeśli przyznam, że nie miałam pojęcia, że Dan nie poszedł do pracy ani dlaczego to zrobił, do wieczora rozniesie się to po całej wsi. Pani Jones wykonuje tyle telefonów – których motywem przewodnim są słowa: „Słyszałaś, że...” i „Nie uwierzysz, co się stało...” – że tylko dzięki niej miejscowa firma telekomunikacyjna nadal utrzymuje się na rynku. Nie kieruje nią jednak złośliwość, ale jak sądzę zwyczajna samotność.

– To przez stres, prawda? Wy wszyscy, młodzi ludzie, to macie. Za moich czasów tego nie było. Słyszałam, jak Dan krzyczy na kogoś przez ten swój telefon bez kabelka. Powinniście zrobić to samo, co moja wnuczka.

– Czyli?

– Ona „wrzuca na luzik”.

Wybucham wymuszonym (sama to czuję) śmiechem.

– Na pewno spróbujemy.

Zabieram od niej przesyłkę i przestępuję nad niskim płotkiem, który oddziela nasze posesje. Paczka wydaje się lekka w porównaniu z wagą pytań, które chcę zadać Danowi.

Bładoniebieska szmizjerka pasuje doskonale. Cieszę się, bo w dodatku niewiele kosztowała. Nie stać mnie na kupowanie w Coast i tego typu sklepach, a ta sukienka wygląda na prawie nienoszoną. Przyglądam materiał, obracam się w obie strony i przeglądam w lustrze: wciągnąć brzuch, wypiąć pierś. Ella Fitzgerald śpiewa, że chce, aby ktoś nad nią czuwał. No cóż, pani Jones sumiennie czuwa nad Danem. Ćwiczę układanie pomalowanych na różowo ust w radosny uśmiech.

Drzwi wejściowe zamykają się z trzaskiem. Klucze z brzękiem wpadają do miseczki stojącej na stoliku pod telefon. Zrzucając z nóg buty walą o ścianę.

Znajduję Dana w kuchni. Ma podwinięte rękawy koszuli i poluzowany krawat. Stoi przed zlewem, jakby nogi wrosły mu w ziemię. Wpatruje się w ogród. W rękę trzyma zimną puszkę piwa, po której spływa skroplona para wodna.

– Wszystko w porządku? Miałeś mnie później odwiedzić do miasta.

– Wypiję tylko jedno. Miałem główniany dzień.

– Chcesz o tym pogadać? – Kładę dłoń na jego ramieniu i czuję, jak tężeją mu mięśnie, kiedy ją strąca.

– Nie ma o czym.

– Pani Jones mówi, że ostatnio wydajesz się zestresowany.

– Nie rozmawiaj o mnie z sąsiadami, do cholery. – Jego palce zaciskają się na puszcze, która zaczyna się wginać.

Spinam się.

– Nie rozmawiałam. Pani Jones wspomniała, że słyszała, jak krzyczałeś do telefonu. Z kim rozmawiałeś?

– Z klientem. Jezu... – Uderza puszką o ociekacz. Spienione, syczące piwo wypływa na lśniąca powierzchnię. – Czy człowiek nie może w spokoju, bez przesłuchania, wypić piwa po pracy?

Przywieram plecami do lodówki, a Dan przeciska się obok mnie. Wychodzi, trzaskając drzwiami. Stoję i nie ruszam się jeszcze przez dłuższą chwilę. Drżącą dłonią wydaję telefon i dzwonię po taksówkę, ale dopiero kiedy głośnie bicie serca przestaje huczeć mi w uszach.

Papryczki jalapeño na mojej pikantnej mięsnej pizzy palą jak ogień. Wychylam kieliszek schłodzonego wina, żeby ugasić pożar w przełyku. Lyn dolewa mi pinot grigio, a ja znów zerkam na telefon. Nadal brak wiadomości od Dana.

– Nie mogę uwierzyć, że Charlie chciała odnaleźć tatę. To takie smutne – mówi Lyn.

– Czytałam w „Take a Break” historię o matce, która oddała synka do adopcji. – Hannah pochyla się nad stołem i sięga po kromkę pieczywa czosnkowego. Rękaw jej błyszczącej bluzki szoruje po pizzy. Biorę serwetkę i czyszczę materiał z ciągnącego się sera. Wygląda nietypowo tak wystrojona, zamiast jak zwykle w leginsach i T-shircie Little Acorns. – Przez całe życie czekała, aż syn zapuka do jej drzwi. Wyobraźcie sobie, jak ojciec Charlie czeka na nią i ma

nadzieję, że pewnego dnia się spotkają. I że będzie miał wnuki.

– Wiem. Właśnie dlatego chcę go odnaleźć. Żeby powiedzieć mu prawdę. – „I żeby ją odkryć” – myślę, ale nie dodaję tego głośno.

– Uważasz, że Lexie podała ci prawdziwe imię i nazwisko? – pyta Lyn.

– Paula Lawsona? Tak. Miałam wrażenie, że czuła ulgę, opowiadając o nim. Lexie nie ma rodziny ani przyjaciółek. Pewnie dusiła to w sobie od lat. Ale zrobiła się podejrzliwa, kiedy próbowałam dociec, czy Lawson wie o Charlie.

– Powiedziałas jej, że go szukasz? – pyta Hannah.

– Nie. Ma Paulowi za złe, że zostawił ją, kiedy była w ciąży. Przypuszczam, że Lexie mogło nawet nie przyjść do głowy, że powinna poinformować go o śmierci córki.

– Nie dziwię jej się. Z opisu wynika, że to niezły drań – stwierdza Lyn.

– Nie znamy jego wersji zdarzeń.

– Co dalej? Możliwe, że nie zna się na internecie, tak jak wiele osób z jego pokolenia.

– Sama nie wiem. Ale znajdę go tak czy inaczej.

Daję znak kelnerowi, pokazując pustą butelkę.

– Grace. – Lyn przykrywa dłonią moją rękę. – Nie bierz zbyt wiele na siebie. Martwię się.

– No to się nie martw. – Wyswabadam dłoń i podnoszę kieliszek do ust.

– Dużo pijesz. Wydaje mi się, że nie powinnaś łączyć alkoholu z proszkami. Przestałaś brać?

– Prawie. – Nie dodaję, że noszę je w torebce. I że dzielę każdą tabletkę na ćwiartki, które łykam, ilekroć życie mnie przytłacza. To za mało, żebym zasnęła, ale dość, bym wpadła w lekkie, ciepłe otumanienie, od którego się uzależniłam. Odstawię proszki. Naprawdę to zrobię. Tylko jeszcze nie teraz.

Zmieniam temat.

– Za Hannah! – mówię i wznoszę kieliszek. – Za wieczną miłość!

– Nie wyobrażam sobie innej – komentuje Hannah.

Rozmowa schodzi na temat ślubu. Po jedenastej regulujemy rachunek i wytaczamy się w atramentową ciemność. W restauracji było ciepło, tymczasem na zewnątrz zimne powietrze zapiera mi dech. Zapinam kurtkę i wkładam rękawiczki.

– Idziemy do klubu? – proponuje Hannah.

– Skoro życzy sobie tego przyszła panna młoda... – odpowiada Lyn. – Do którego?

– Bo ja wiem... A w którym zamówiłyście striptizera?

– Zabiłabyś nas, gdybyśmy to zrobili. – Hannah jest wpatrzona w Andy'ego.

– Cieszę się, że nie kazałyście mi nosić elki¹ i nadmuchiwanego fiuta. Może spróbujemy w Rumours? Grają sporo muzyki z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Bierzemy się pod rękę i ruszamy chodnikiem. Dziś była pierwsza wyplata po świętach, więc na ulicach tłumy: mężczyźni z modnym kilkudniowym zarostem i dziewczyny, które wyglądają na zbyt młode, by mogły legalnie pić. Kuse kiecki, sztuczna opalenizna, gołe ręce i nogi. Przechodzi mnie dreszcz pod moimi kilkoma warstwami ubrań i naraz czuję się stara. Kolejka do klubu jest długa. Stajemy w niej i rozgrzewamy się, przestępując z nogi na nogę.

Bramkarze w czarnych krawatach taksują nas wzrokiem, po czym pokazują brodą na drzwi. Płacimy za wstęp znużonej tlenionej blondynce i schodzimy ciemną klatką schodową, co nie jest łatwe, zwłaszcza gdy tak jak ja rzadko nosi się buty na wysokim obcasie. Na dole dudni bas, cała klatka się trzęsie, a ja czuję mrowienie w palcach u nóg. Mrugam i próbuję przyzwyczaić wzrok do jaskrawego blasku neonów. Miga strzałka kierująca do baru. Od gładkich jak lustro czarnych stolików odbijają się błyski stroboskopów.

– Sex on the beach? – piszczy Hannah.

Dobrze, że ten jej ślub dopiero za parę tygodni. Bo rano wszystkie będziemy miały kaca. Przeciskam się do baru i opieram o lepki kontuar. Wymachuję dwudziestofuntowym banknotem, ale i tak muszę odczekać całe wieki, zanim zostanie obsłużona.

– Co podać? – Młody barman opiera się łokciami o blat i wbija we mnie spojrzenie.

Ma na sobie jaskrawobiałą koszulę, w której rozpiął zbyt wiele guzików, eksponując opaloną, wygoloną klatę.

– Trzy razy sex on the beach proszę. – Dobrze, że w klubie jest ciemno, bo czuję, że się rumienię.

Przebijam się przez tłum i wracam do Lyn i Hannah, które przysiadły na wysokich stołkach niedaleko parkietu. Podrygujemy w miejscu, sącząc słodkie koktajle.

– Zatańczmy. – Hannah posuwistym krokiem rusza w stronę DJ-a.

Trzy kawałki później ledwo mogę złapać oddech. Pokazuję, żebyśmy wróciły na miejsca.

– Jeszcze nie. – Hannah łapie mnie za nadgarstek i wrzeszczy do ucha. – Uwielbiam ten kawałek!

Gardłowy głos Madonny w *Vogue* każe nam poddać się rytmowi muzyki. Ciała tańczących zaczynają płasnąć, a moje zastyga. Hałas klubu zanika. Nie muszę zamykać oczu, by ujrzeć twarz Charlie. Ćwiczymy kroki. Słyszę głos babci, która krzyczy z dołu, że zachowujemy się jak stado słońi.

Czuję na ramieniu czyjąś gorącą dłoń. Widzę strapioną minę Lyn. Przypominam sobie, że mamy się bawić, więc przywołuję uśmiech na twarz.

– Idę siku – mówię bezgłośnie i pokazuję za siebie.

Przedzieram się do toalet i staję na końcu ogonka krzykliwie pomalowanych pańienek w małych czarnych. Potem zamykam się w łazience i opieram czoło o chłodne drzwi. Przyczepił mi się papier toaletowy do obcasa; pozbywam się go, przyciskając drugim butem. Chciałabym już wrócić do domu, ale nie zamierzam zepsuć Hannah wieczoru. Ktoś wali do drzwi i krzyczy, żebym się pospieszyła. Potrzebuję jeszcze chwilę. Wkładam nadgarstki pod lodowatą wodę, po czym poprawiam usta szminką. Kładę dłoń na klamce i kiedy ciągnę do siebie ciężkie drzwi, jednocześnie ktoś pcha je z drugiej strony. Wpadamy na siebie. Czerwone wino brudzi mi przód nowej sukienki.

Machnięciem ręki zbywam przeprosiny i znów zanurzam się w klubowym zaduchu. Nieźle muszę wyglądać w niebieskiej sukience z czerwoną plamą, kiedy przeciskam się przez ciżbę. Moje tętno zrównuje się z rytmem muzyki. Nie widzę Lyn ani Hannah.

Sięgam do torebki z nadzieją, że może chusteczka wchłonie większość wina. Zauważam migającą diodę na telefonie. Esemes od Dana: „Znaleźliśmy ojca Charlie”.

Lyn i Hannah nie chcą jeszcze wychodzić, ale ja nie mogę się doczekać rozmowy z Danem, więc wymawiam się zmęczeniem i rozstaję z nimi. Wiedzą, że kiepsko sypiam. Widzę współczucie w ich spojrzeniach. Nocny wietrzyk chłodzi moje rozpalone policzki. Powietrze wypełnia tłusty i słodki zapach smażonej cebuli z zaparkowanego nieopodal food trucka. Rozglądam się za taksówką, niecierpliwie uderzając kopertówką o udo. W klubach zabawa dopiero się rozkręca, taryfciarze jeszcze nie mają tu czego szukać. Do postoju niedaleko. Przejdę się.

Na ulicy żywego ducha – wszyscy imprezują. Skręcam w boczną uliczkę i kiedy cichnie miarowa łupanka basu, słyszę za sobą czyjeś kroki. Zatrzymuję się. Gmeram przy torebce i zerkam przez ramię. Nikogo nie widzę, ale wejścia do sklepów rzucają cienie, w których coś może się kryć. Coś – albo ktoś. Ruszam. Obcasy stukają po chodniku i znów to słyszę: czyjeś kroki na betonie.

Przyspieszam. Ten ktoś też. Alkohol miesza mi w żołądku. Zastanawiam się, którądy

najbliżej do głównej ulicy. Puszczam się biegiem. Mam świszczący oddech, biegnę z ustami otwartymi w niemym krzyku. Włączyła mi się reakcja walcz albo uciekaj – w moim przypadku zdecydowanie to drugie. Obcasy mnie spowalniają; zastanawiam się, czy mam czas się zatrzymać i zdjąć buty. Trudno w nich chodzić, a co dopiero biegać. Kroki się zbliżają i już wiem, że nie mogę sobie pozwolić na przystanek. Czuję gorący oddech na karku. Coś się ociera o moje ramię. Próbuję zrzucić to z siebie. Skręcam za róg i z impetem uderzam w coś twardego. Policjant. Przyklejam się do jego ramienia, płacząc z ulgi i odwracam się, aby pokazać, że ktoś mnie goni... ale ulica jest pusta.

12.

Wtedy

Toalety w szkole zawsze cuchnęły papierosami i tanimi perfumami. Staralam się nie zaciągać tymi woniami, gdy pakowałam koszulę do torby, wkładałam dopasowany T-shirt i podwijałam pasek w spódnicy tak, żeby jej brzeg podjechał mi nad kolana. Chciałam za wszelką cenę wyglądać na więcej niż piętnaście lat.

Podeszłam do lustra, przed którym stała Charlie, i sięgnęłam po jej tusz do rzęs Boots 17.

– Las? – spytałam. – Czy park? – Staraliśmy się wykorzystywać ciepłe wieczory do maksimum.

– Park. Umówiłam nas z Esmée i Siobhan.

Wydałam długie i głębokie westchnienie.

– Ktoś mi podprowadził z plecaka pracę z historii. Jestem pewna, że Siobhan. Ona mnie naprawdę nie lubi.

Siobhan notorycznie zapraszała Charlie i Esmée do siebie, mnie pomijając. Twierdziła, że jej mama jest bardzo zasadnicza i pozwala na wizytę tylko dwóch przyjaciółek jednocześnie.

„Sorry, Grace – mówiła i robiła minę, ale wiedziałam, że tak naprawdę wcale nie jest jej przykro. – Zrozumiałabyś, gdybyś miała mamę?”. Miałam wtedy ochotę jej przywalić, i to mocno.

– Ja i Esmée cię lubimy. A Siobhan się przyzwyczai.

– Charlie, ja tu mieszkam od sześciu lat!

– No – szczyrzy się Charlie. – Lotna to ona nie jest.

– Słyszałam, jak mówi, że jestem nudna. Też tak myślisz? – Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego Charlie się ze mną zaprzyjaźniła. Byłyśmy jak dwa bieguny.

– Nie jesteś nudna. Po prostu działasz uspokajająco. Mama mówi, że gdyby nie ty, tobym się w cholerę wykoleiła. Przestań rozkładać wszystko na czynniki pierwsze. Ja cię uwielbiam, a Siobhan nie ma pojęcia, o czym mówi. Poza tym nie będziemy same. Przychodzą Dan i Ben.

Mój stosunek do Dana ewoluował. Kiedy na niego patrzyłam, coś we mnie zaczynało syczeć i strzelać jak oranżada w proszku. Jeszcze nie powiedziałam o tym Charlie. Zachowałam te odczucia dla siebie, rozkoszowałam się smakiem nieznanego. Trochę liczyłam, że też mu się podobam – a trochę się tego bałam. Nocą leżałam pod kołdrą i marzyłam, że pewnego dnia złapie mnie w swoje ramiona, kiedy będę zjeżdżała na zjeżdżalni, modląc się, żeby tyłek mi się nigdzie nie zaklinował. „To dla ciebie codziennie tu przychodzę”, szepnęłyby, a potem poznałabym smak chłopięcych ust.

Charlie całowała się już z połową klasy.

– Jak to jest? – spytałam z pewną odrazą, ale też zaintrygowana.

– W porządku, dopóki nie wepchną ci języka do ust i nie zaczną nim poruszać. Ethan ma jęzor jak węgorz. Przesuwał mi nim po zębach. No, ale przynajmniej wyczyścił je z kawałków chipsów.

– Charlie!

– Zapytałaś, to odpowiadam. W większości smakują papierochami. Sama spróbuj.

Ćwiczyłam na własnej dłoni, ale ona niczym nie smakowała. Czekałam na odpowiedniego chłopaka. Na Dana. Gdyby Charlie się dowiedziała, że Dan mi się podoba, zaczęłyby nas pchać ku sobie. Nie byłam na to gotowa, chyba za bardzo bałam się odrzucenia.

„Obchodź się ostrożnie ze swoim sercem – powiedziała mi kiedyś babcia. – Jest cenne,

ponieważ masz tylko jedno”.

„Skoro nie możesz być grzeczna, to chociaż bądź przezorna”, poradziła z kolei Lexie Charlie, wręczając jej paczkę prezerwatyw. Kondomy pękały jeden po drugim, kiedy wkładałyśmy je na banana. Musiałam potem trzy razy myć ręce, a i tak zapach gumy utrzymywał się przez kilka godzin.

– Dan zaprosił mnie na randkę – powiedziała Charlie, malując usta błyszczkiem.

Tusz ześlizgnął mi się na policzek i musiałam pójść do kabiny po papier. Na drzwiach było napisane: „CHARLIE FISHER TO ZDZIRA”. W zeszłym tygodniu zeskrobałam podobne hasło. Tym razem je zostawiłam. Zaczęłam trzeć policzek. Łzy nabiegły mi do oczu, bo podrapałam się niemal do żywego mięsa, nagiego jak moje emocje.

Wydymuchałam nos.

– I co odpowiedziałas? – spytałam, wychodząc z kabiny.

– Że może.

– Podoba ci się?

Charlie wzruszyła ramionami.

– Jakoś nigdy nie myślałam o nim w ten sposób. Dan to Dan. Gość od keczupu, co nie? Ale i tak chcę to zrobić.

– Co takiego?

– No, przespać się z chłopakiem. Mój Boże, jaka ty bywasz naiwna. Nie wiem tylko, czy chcę to zrobić z Danem. On się chyba podoba Siobhan.

– Tak? – Zrobiło mi się niedobrze na samą myśl.

– No. Chyba go jej zostawię. Znajdę kogoś innego. Pora pójść na całość.

„Jeśli stracisz dziewictwo, już go nie odzyskasz. Oddaj je komuś wyjątkowemu”, radziła babcia.

„Nie daj sobie zrobić bachora”, radziła Lexie Charlie.

– Idę stąd. Strasznie tu śmierdzi. – Pokazałam brodą na kabinę. – Ktoś cię nazwał zdzirą. – Zobaczyłam, jak Charlie opada szczeka, a potem wyszłam, pozwalając, by drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem.

Dan i Ben byli już w parku. Dan stał na zjeżdżalni i trzymał butelkę wódki jak znicz olimpijski. Charlie, która nigdy nie chowała długo urazy, odwróciła się do mnie, wyszczerzyła zęby i jeszcze wyżej podciągnęła spódnicę. Miała opalone nogi. Moje, choć był już czerwiec, nadal świeciły styczniową bladością.

– Brawo, Danny! – zawołała Charlie. – Daj łyka. – Dan zjechał i wylądował przed nami. – Coś śmierdzi. – Charlie zmarszczyła nos.

– Nie śmierdzi, tylko pachnie, i to seksownie. – Uśmiechnął się Dan. – Old Spice.

– Seksownie dla kogo? Capisz jak stary dziad. – Zasłoniła nos rękawem, pociągnęła wódkę i przekazała mi butelkę. Zapieкло mnie w gardle, przelknęłam ślinę, żeby się nie zadławić.

– Patrzcie. – Pokazałam brodą na przerwę w żywopłocie. Siobhan szła wolnym krokiem, a za nią podążała Abby, która próbowała naśladować sposób chodzenia starszej siostry, kołysząc biodrami i wypinając płaską jak deska pierś. Towarzyszyło im pięcioro starszych dzieciaków. Widywałam je na mieście, ale nie chodziły do naszej szkoły. Miały bladą skórę i różnokolorowe włosy, ubierały się zawsze na czarno. Nazywaliśmy je Żywymi Trupami. Babcia zawsze przechodziła na drugą stronę, kiedy widziała je na ulicy. Czemu Siobhan się z nimi zadawała?

Wzięłam kolejny łyk wódki, żeby Siobhan nie zauważyła mojego uśmiechu, gdy szła ku nam na chwiejnych nogach i w butach, których obcasy zapadały się w trawie, wykręcając jej

kostki.

– Masz kasę? – Siobhan zatrzymała się i wsparła dłonie na biodrach, co zaraz skopiowała Abby, jej mniejsza wersja. Siobhan nie dostawała kieszonkowego, bo rodzice każdy nadprogramowy grosz wpłacali na konto oszczędnościowe, żeby mogła pójść na studia. Chciała zostać prawniczką. Dziadek nazywał prawników „pijawkami” – wypisz, wymaluj Siobhan.

– No co ty. Jestem splukana. – Charlie nigdy nie miała pieniędzy. – A ty, Grace?

– Coś tam mam. A co?

– Przynieśli zioło. – Pokazała brodą na trzymające się na dystans, zbite w gromadkę pod ciemnym żywopłotem Żywe Trupy.

– Nie kupię narkotyków!

– Nie musisz. Ja to zrobię.

– Nie.

– Nudna jesteś, Grace. Naucz się życia, dziewczyno.

– Właśnie, naucz się życia – powtórzyła Abby.

– Uczę się, dziękuję.

Przełknęłam czystą. Zapiekło mnie w gardle i tak się rozkaszałam, że popłynęły mi łzy z oczu.

Siobhan prychnęła.

– Ofiara losu.

– Przynajmniej nie jestem niedoszłą narkomanką.

– Przynajmniej nikogo nie zabiłam.

Skoczyłam na nią, wystawiając palce jak szpony, i przeorałam jej policzki.

– Odwołaj to!

Dan objął mnie w pasie i szarpnął do tyłu. Oparłam się o jego silne ciało i dyszałam, rwąc się do kolejnego ataku.

– Siobhan, nie bądź jędzą – huknął na nią. – Grace opowiedziała nam o swojej przeszłości, bo jesteśmy przyjaciółmi.

– Poza tym wiesz, że było inaczej, niż to się wydaje – dodała Charlie niskim głosem, który przeszedł w warknięcie. – Zamknij się albo spierdalaj.

– Sorry – mruknęła Siobhan.

Nie odzywałam się przez resztę wieczoru, ale wpatrywałam się w Dana, który przyglądał się Charlie, i w Siobhan, która obserwowała Dana, i wypilałam tyle wody, że przestałam widzieć cokolwiek, ale słowa Siobhan nadal dźwięczały mi w głowie. Czy rzeczywiście go zabiłam? Czy oni wszyscy naprawdę tak myśleli?

13.

Teraz

Jest jeden z tych rzadkich lutowych dni, które można pomylić z kwietniem. Po błękitnym niebie płyną chmury jak kępki waty. Morelowe słońce przenika przez szybę w kawiarni i daje złudne wrażenie, że na zewnątrz jest dużo cieplej niż w rzeczywistości. Zdejmuję kurtkę. Dobrze, że znalazłam wolny stolik pod oknem. Kawiarnia pęka w szwach od niedzielnych ojców, którzy zakasują rękawy i wyjmują marudzące pociechy ze spacerówek. Pary zakochanych patrzą sobie w oczy, nie zwracając uwagi na świat dokoła. Dwie nastoletnie dziewczyny dyskutują o tym, którą z nich woli gość imieniem Nick.

Śmietanka rozplywa się na gorącej czekoladzie i miesza z nią, a ja w tym czasie rozprawiam się z muffinką. Nie mogę się uwolnić od aromatu świeżo zmielonej kawy. Czuję łaskotanie w żołądku – to z niepokoju.

Trudno mi uwierzyć, że namierzyliśmy Paula Lawsona – a raczej znaleźliśmy kogoś, kto go zna. E-mail od Anny był skąpy w informacje, ale zgodziła się ze mną spotkać, żeby odpowiedzieć na moje pytania, o ile ja odpowiem na jej.

Dzwoni telefon – nieznany numer. Odbieram, modląc się w duchu, żeby Anna nie zechciała odwołać spotkania. W słuchawce słyszę czyjś oddech i zakłócenia, a potem ciszę.

Otwierają się drzwi kawiarni i dzwoni zawieszony nad nimi dzwonek. Odwracam głowę – nie, to tylko jakiś mężczyzna; próbuję ukryć rozczarowanie. Na razie Anna spóźnia się tylko pięć minut. Czas płynie i kiedy jest już dwunasta dwadzieścia, stwierdzam, że gorąca czekolada zrobiła się zimna, a ja rozłożyłam muffinkę na tyle części, że wygląda jak kupka okruchów.

Wibruje telefon, przesuwa się po śliskim blacie. Kolejny pełen troski esemes od Dana. Nie chciał, żebym szła na to spotkanie sama. Wpisuję: „Wszystko w porządku, nadal czekam”, i naciskam „wyślij”. W tej samej chwili na wyświetlacz pada cień.

– Grace? – pyta kobieta łagodnym głosem z lekkim akcentem; północnym, ale mogę się mylić.

Kiwam głową.

– Tak myślałam. Jesteś tu jedyną rudowłosą.

– Anna, tak? – Mój głos brzmi słabo i piskliwie. Wycieram dłoń o spodnie i dopiero wtedy podaję jej rękę. Anna ma długie palce. – Dziękuję, że przyszedłeś. Mam nadzieję, że nie musiałeś jechać z daleka?

– Nie.

Zdejmuje bladą różową skórzaną kurtkę, której z miejsca jej zazdrozczę, i wiesz ją na oparciu krzesła. Kiedy wygładza spódnicę opinającą wąskie biodra, postanawiam, że od poniedziałku przechodzę na dietę.

– Chcesz jeszcze jedną? – Pokazuje na mój pusty kubek. Kręcę głową i zbieram się, żeby wstać. – Nie trzeba. – Pokazuje, żebym usiadła, po czym wstaje i idzie na koniec kolejki. Kiedy chodzi, jej lśniące blond włosy rytmicznie przesuwiają się po łopatkach.

Obserwując ją, znęcam się nad stojącymi na stoliku papierowymi serwetkami. Spodziewałam się kogoś starszego, kobiety w wieku Paula, a nie moim. Kim ona jest? Przekładałam stosik serwetek, tak jakbym mogła wśród nich znaleźć odpowiedź.

– Już myślałam, że się nie doczekam. – Anna stawia swoją americano na stoliku.

Filizanka chwieje się na spodku, ale kawa się nie rozlewa. Nie wzięła ciastka. Nosi

najwyżej ósemkę, pewnie omija węglowodany szerokim łukiem – może w ogóle nic nie jada. Razem z zazdrością strzepuję na podłogę okruszki po muffince.

– To raczej nie miejsce dla tych, którym się spieszy, ale przynajmniej wiadomo, czego można się spodziewać.

– Komercałizmu po zawyżonych cenach?

– Chciałam powiedzieć, że niezłych ciast, ale owszem, to też. Pracowałam tu pod koniec liceum. Tylko na część etatu. – Ale paplam. – Tu, we wsi, mamy naprawdę niewielki wybór.

Przesadzam z tą „wsią”; mieszkam tu od piętnastu lat i przez ten czas miejscowość bardzo się rozrosła. Dziś to niewielkie miasteczko targowe, które z jednej strony może się pochwalić różnorodną ofertą handlową, a z drugiej kurczowo trzyma się wiejskich korzeni.

Zapada milczenie. Anna miesza kawę. Drażni mnie dźwięk łyżeczki uderzającej o filiżankę. Szukam słów, wyglądam przez okno, patrzę na podłogę, tak jakbym mogła tam znaleźć odpowiedź.

– No dobrze. – Anna opiera łokcie na stole i kładzie brodę na splecionych palcach. – Skąd znasz mojego tatę?

Odchylam się do tyłu tak gwałtownym ruchem, że uderzam głową o znajdującą się za moimi plecami ścianę. Nie zauważam bólu.

– Paul jest twoim tatą?

– Był. Zmarł, kiedy miałam dziewięć lat.

– Przepraszam. – Odsuwam się od stolika, krzesło głośno szura, biegnę do toalety.

Opieram się o umywalkę i próbuję odzyskać równowagę. Powoli biorę kilka głębokich oddechów. Z pokrytego smugami lustra patrzy na mnie przestraszona twarz. Tata Charlie nie żyje. Anna jest przyrodnią siostrą Charlie. Jak mam jej powiedzieć, że straciła kolejną osobę? Odkręcam zimną wodę, zbieram ją w podstawioną dłoń i podnoszę do ust. Płynie mi po brodzie. Wycieram się rękawem.

– Wszystko w porządku? – Anna przyszła za mną.

– Tak – odpowiadam jej odbiciu.

Odnajduję w niej podobieństwa do Charlie, których nie wiem czemu wcześniej nie zauważyłam. Ma ciemniejsze włosy i jest niższa, ale jej oczy mają taką samą zieloną barwę.

– Kim jesteś?

Zakręcam wodę, wycieram dłonie papierowym ręcznikiem i zastanawiam się, czy skłamać, ale nie jestem w tym zbyt dobra.

– Paul, twój tata, był ojcem mojej najlepszej przyjaciółki, Charlie.

– Nie rozumiem.

– Charlie jest – była – twoją przyrodnią siostrą.

– Była?

– Lepiej usiądźmy.

Opowiadanie Annie o Charlie i Lexie zajmuje trochę czasu. Z początku mówię powoli, o tym, jak Paul i Lexie się poznali. Anna od czasu do czasu wtrąca pytanie, ale przeważnie milczy. Siedzi z bladym obliczem i zmarszczonym czołem. Tłumaczę jej, że Charlie dorastała bez wiedzy o tym, kim jest jej ojciec, i że zawsze czuła, iż czegoś jej brakuje. Anna wydmuchuje nos i wyciera oczy.

– Próbowала go odnaleźć?

– Chciała to zrobić, ale Lexie się denerwowała.
– Nie chciała pomóc?
– Nie.
– To jędza.
– Chyba miała swoje powody. Uważała, że tak będzie lepiej.
– Jak można wytłumaczyć chęć rozdzielenia rodziny?
– Nie wiem. – Poprawiam się na kanapie. Czuję się skrępowana. – Przypuszczam, że nie wiedziała o twoim istnieniu.

Marszczy brwi.

– Opowiedz mi o niej, o mojej siostrze.

Próbuję. Z początku łamiącym się głosem, bo takie słowa, jak „piękna”, „zabawna”, „niesamowita” są zbyt oklepane i nie oddają istoty Charlie.

Opowiadam Annie o szkolnych czasach, na przykład o pracy domowej na temat silnych i inspirujących kobiet. Charlie podwędziła babci lejki do przetworów i następnego dnia przyszła do szkoły w domowej roboty stożkowym biustonoszu, twierdząc, że najbardziej wpływową kobietą na świecie jest Madonna. Mówię długo i bez przerwy, aż w końcu zaczynają mnie boleć szczęka i gardło.

Podchodzi barista i sprząta naczynia, wraca po chwili ze ściereczką i przeciera stół, a potem zmiata okruszki, wsypuje je do kieszeni fartucha i mówi:

– Zamykamy.

Zerkam na zegarek.

– Wpół do piątej. Ale się zagadałyśmy!

– Kilka kroków stąd widziałam pub. Znasz go? Może wpadniemy na drinka i wczesną kolację? Chętnie posłucham więcej opowieści o Charlie.

– Świetnie. Nigdy tam nie jadłam, zwykle chodzę do The Hawley Arms, to przy parku, ale tu na pewno też dobrze karmią. Wyślę tylko wiadomość do chłopaka.

– Och, nic mu się nie stanie, jeśli zaczeka. – Anna bierze mnie pod rękę i ruszamy w stronę drzwi.

Wychodzimy i kiedy maszerujemy przez wieś, Anna się rozkręca. Cieszę się, że nie jestem sama. Nadal czuję pod skórą strach po wczorajszej ucieczce, gotów w każdej chwili podnieść puls i rozgrzać krew. Nie wiem, kto mnie gonił, i odsuwam od siebie myśl, że ten ktoś jeszcze wróci, ale im bardziej się staram, tym natrętniej ona wraca.

W pubie cisza i spokój. Kierujemy się w stronę wyszczerbionego drewnianego stołu w kącie, a spłowiała wykładzina w pasy klei nam się do podeszew butów. Stół kołysze się, kiedy kładę na nim torebkę. Wsuwam pod jedną z nóg podstawkę pod kufel. Za barem wisi wypisane na tablicy menu. Mrużę oczy, żeby cokolwiek rozczytać.

– Czy mogę przyjąć od pań zamówienie? – Wyrasta nad nami kelnerka uzbrojona w bloczek i obgryziony długopis.

W kącikach ust ma czarne plamy od tuszu. Jej brudna, kiedyś pewnie biała, koszula ledwo się zapina.

– Dla mnie lasagne i frytki.

– A ja poproszę sałatkę z kurczakiem – rzuca Anna.

Dobijają mnie moje rozpląszczone na krześle uda – zasłaniam je papierową serwetką.

– Coś do picia?

– Kieliszek wina? – ośmielam się zaproponować.

– A co tam! Należy nam się cała butelka. Białe?

– Idealnie.

– Wskoczę tylko do ubikacji.

Wykorzystuję okazję, żeby zajrzeć do telefonu. Kilka esemesów od Dana, każdy coraz bardziej rozpaczliwy. Zapewniam go, że wszystko w porządku. Że Anna to cudowna osoba, a nie wymachujący siekierą morderca.

Kelnerka stawia przede mną butelkę ciepłego białego wina stołowego i dwa kieliszki. Nalewam nam, ale zanim zdążę zamoczyć usta, dzwoni telefon. Znowu nieznany numer. Odbieram i rzucam do słuchawki: „Halo?”, ale w tej samej chwili ktoś się rozłącza. Rozglądam się po sali, wyciszam aparat i chowam go do torebki.

– Jak wino? – Anna wraca na miejsce.

Upijam łyk i się krzywię.

– Przyda się, jeśli zapomną podać ocet do frytek.

– Aż tak dobre? – śmieje się Anna.

– Jak umarł twój tata? Zrozumiem, jeśli nie będziesz chciała o tym rozmawiać.

– Nie, w porządku. To się stało dawno temu. – Bawi się kieliszkiem. – Jechaliśmy na wakacje. Bardzo się cieszyłam, bo wybieraliśmy się nad morze. Mama kupiła żelki na drogę. Najbardziej lubiłam pomarańczowe: odgryzałam głowę miśkowi, a potem pożerałam resztę. Jak łatwo się domyślić, zjadłam za dużo i zrobiło mi się niedobrze. Mama powiedziała, żebym zaczerpnęła świeżego powietrza. No więc wystawiłam głowę za okno, tak jak robią psy, i rzeczywiście poczułam się lepiej. Nagle usłyszałam bzyczenie, pomyślałam, że pszczoła wleciała mi do ucha, wrzasnęłam i potrząsnęłam głową. Tata obejrzał się, żeby sprawdzić, co się dzieje – i nic więcej nie pamiętam. Podobno zjechaliśmy na przeciwny pas i zderzyliśmy się czołowo z innym samochodem. Mama i tata zginęli na miejscu. – Anna spuszcza głowę, a ja sięgam przez stół i kładę rękę na jej dłoni. – Miałam dziewięć lat. Winiłam siebie za wypadek: gdybym tylko nie zjadła tylu żelków. Gdybym nie otworzyła okna. Gdybym nie krzyknęła. Wolałam, żeby ta pszczoła mnie użądliła.

– Straciłaś oboje rodziców?

– No tak. Sierotka Ania to ja. Gdybym miała twoje rude włosy, śpiewałabym, że jutro wszędzie słońko² – Klepie mnie po dłoni i posyła cierpki uśmiech.

Kelnerka stawia przed nami dwa talerze. Moja lasagne pływa w tłuszczu. Anna nadziewa sałatkę na widelec i próbuje, a ja na razie tylko grzebię we frytkach.

– Gdzie potem mieszkałaś?

– Porozmawiajmy o czymś radośniejszym, dobrze? Zostawmy tę tragiczną historię na następny raz.

Piję wino, raptem wdzięczna za jego kwaśny smak, bo odwraca uwagę od bolesnego smutku, w którym lada moment mogę się pogrążyć.

– Czym się zajmujesz? – pyta Anna.

– Pracuję w przedszkolu i uwielbiam tę pracę. A ty lubisz dzieci?

– Nie. – Dolewa mi wina. – Masz szczęście, że robisz coś, co sprawia ci przyjemność. Ja pracuję jako sekretarka i szczerze tego nie cierpię.

– Dlaczego?

Na twarzy Anny pojawia się grymas.

– Powiem tak: nie bez powodu nazywam szefa „ośmiorniczką”.

– Okropne! Nie możesz złożyć skargi?

– To mała firma. Znajdę inne zajęcie, praca sekretarki nie jest przecież moim powołaniem. Nie marzyłam o tym, że będę robiła notatki dla jakiegoś dziadka, który ślini się,

zaglądając mi w dekolt.

– A co chciałaś robić?

– Kiedy byłam młodsza, zastanawiałam się, czy nie zostać pielęgniarką. Wiesz, myślałam, że pomagałabym osobom po wypadkach.

Kiwam głową.

– Co stało na przeszkodzie?

– Chyba pieniądze. Kiedy skończyłam szesnaście lat, musiałam zacząć sama się utrzymywać.

Kiedy tak rozmawiamy, przychodzi mi do głowy myśl, że moje życie mogło potoczyć się innym, ale to zupełnie innym torem. W pewnym momencie, po tym jak kelnerka zabrała puste talerze, wyciągam rękę, żeby ponownie ucisnąć dłoń Anny, ale nie udaje mi się tego zrobić, bo łąduje przede mną menu deserów.

– Co podać? – pyta kelnerka.

– Poproszę czarną kawę – mówi Anna.

Myślę o swoich udach i rezygnuję z zamówienia puddingu toffi.

– Macie gorącą czekoladę?

Kelnerka wzdycha.

– Nie.

– W takim razie niech będzie herbata.

Sączymy ledwo ciepłe napoje w wyszczerbionych filiżankach. Biorę rachunek na siebie.

– Następnym razem ja stawiam – deklaruje Anna.

– Trzymam cię za słowo. Mam nadzieję, że nasze spotkanie nie było dla ciebie zbyt dużym wstrząsem.

– To rzeczywiście duży wstrząs. Okazuje się, że straciłam siostrę, o której nawet nie wiedziałam. Czasami czuję się strasznie samotna. Kiedy pomyślę, że mogłam mieć siostrę, rodzinę... – Wzrusza ramionami. – Dobrze, że chociaż zyskałam, jak sądzę, przyjaciółkę.

– I nawzajem. Może dasz się zaprosić do mnie na kolację w przyszłym tygodniu? Pokażę ci zdjęcia Charlie. Poznasz Dana, mojego chłopaka.

– Dzięki, będzie mi bardzo miło. – Obejmujemy się na pożegnanie i Anna odchodzi, kołysząc biodrami, w czym przypomina mi swoją przyrodnią siostrę.

Ciekawe, co Dan o niej powie. Czy jemu też będzie przypominała Charlie? A jeśli tak, to czy nie za bardzo ryzykuję, zapraszając ją do domu?

Wiesz spowija ciemność. Pali się co druga latarnia, jest ponuro i sennie, jak to w niedzielny wieczór. Syte po kolacji rodziny zasiadają przed kominkami albo telewizorami i myślami wybiegają ku poniedziałkowemu porankowi. Ruszam szybkim krokiem, ale zatrzymuję się, kiedy słyszę buczenie w torebce. Wibruje telefon. Pewnie Dan się niecierpliwi, bo długo mnie nie ma. Znowu nieznany numer. Odbieram, mówię: „Halo?”, i słyszę czyjś oddech. Ktoś przełyka. Pociąga nosem. Rozłączam się, ale wyświetlacz rozbłyska niemal natychmiast. Kolejne połączenie. Za plecami słyszę pomruk silnika. Ktoś jedzie bardzo, bardzo wolno. Chowam się za ścianą kościoła, kucam i niemal wstrzymuję oddech, kiedy obok mnie przesuwa się samochód. Mija sporo czasu, zanim dźwięk cichnie, i dopiero wtedy rozprostowuję zdrętwiałe nogi. Wstaję i wydaje mi się, że widzę czerwone światła, które znikają za rogiem, ale wcale nie jestem pewna, dlatego ruszam biegiem w przeciwnym kierunku i pędzę na złamanie karku aż do samego domu.

14.

Teraz

Z wywołanego lekami snu przeważnie wrywa mnie dopiero dźwięk budzika. Nie tym razem. Dziś rano obudziło mnie radosne podniecenie. Jest czwartek. Anna przychodzi na kolację.

– Śpisz? – pytam teatralnym szeptem.

– Już nie. – Dan zakrywa głowę poduszką.

– Wróc dzisiaj normalnie po pracy, dobrze?

– Tak. Spokojnie. To tylko siostra Charlie, a nie cholerna królowa.

Siostra. Przytulam się do tego słowa jak do starego polaru Dana, w którym chodzę po domu. Od tygodnia zasypujemy się z Anną esemesami. Dan wzdycha, ilekroć sięgam po telefon, ale ja już czuję, że nawiązałam z nią silną więź. Nie zastąpiła mi, rzecz jasna, Charlie; znajomość z nią jest dla mnie czymś odświeżającym, nowym początkiem. Wstaję z łóżka, biorę prysznic i ubieram się w rekordowym tempie, niemal zbiegam po schodach i tanecznym krokiem wpadam do kuchni.

– Co ugotować? – pytam Charlie, która uśmiecha się do mnie ze srebrnej ramki na pianinie.

Kuchnia tonie w żonkilowej poświacie. Uszyte przez babcię cienkie zasłonki nie zatrzymują promieni wczesnorannego słońca. Rozsuwam je i słyszę ćwierkanie ptaków na dzień dobry. Dziś wszyscy są w radosnym nastroju. Łapcia mruczy i ociera się o nogi, kiedy nalewam jej wody do miseczki, nakładam porcję mięsa i posypuję herbatnikami.

Jem owsiankę z miodem, jednocześnie przeglądając książki kucharskie. Robię listę zakupów. Potem kręcę się po domu, poprawiam poduszki, wyrównuję narzuty. Jest jeszcze wczesnie. Jeśli się pospieszę, po drodze do pracy zdążę wstąpić do supermarketu.

Pochylam się i nosem wduszam przycisk domofonu. Bolą mnie ręce od taszczenia ciężkich toreb z zakupami. Uszy reklamówek wpijają się w palce.

– O rany! – Lyn otwiera drzwi najszerzej, jak się da, a ja wchodzę do środka jak kowboj do saloonu, czyli bokiem.

– Dzięki. Nie chciało mi się tego odkładać, żeby znaleźć klucz. – Wtaczam się do pokoju nauczycielskiego, stawiam torby na podłodze i rozmasowuję obolałe dłonie.

Lyn patrzy na stos jedzenia i napojów i unosi brew.

– Skromne zakupy – komentuje.

– Anna przychodzi na kolację – odpowiadam, tak jakby nie wiedziała. Od tygodnia nie mówię o niczym innym. – Bałam się to zostawić na cały dzień w aucie. Wolałabym jej nie otruć.

– W każdym razie nie na pierwszej kolacji... Myślę jednak, że dziś na zewnątrz jest zimniej niż w naszej lodówce. – Sięga po butelkę chardonnay, która zaczyna toczyć się po podłodze. – Oby tylko nie wpadł z wizytą nikt z kuratorium. Dużo kupiłaś wina?

– Tylko trzy butelki. Czerwone, białe i różowe. No i sok, jeśli nie będzie chciała alkoholu. I wodę gazowaną, jeśli nie będzie chciała soku. Mam też kawę, herbatki ziołowe i czekoladki z miętowym nadzieniem, ale tych pewnie nie tknie. Mówiłam ci, jaka z niej drobina?

– Kilka razy.

Klękam przed niewielką lodówką przeznaczoną dla pracowników przedszkola. Lyn

podaje mi opakowanie sałaty. Muszę je przekłuć, żeby zmieściło się na półce.

– Rukola. Elegancko. Grace, posłuchaj, wiem, jak bardzo ci zależy, ale jeśli Anna jest choć trochę taka jak Charlie, na pewno nie lubi, kiedy robi się z czegoś wielkie halo. Paczka chipsów i puszka piwa wystarczą.

Podnoszę opakowanie srebrnych świeczek i siadam na piętach.

– Dan mówi, że zachowuję się, jakby sama królowa miała wpaść na podwieczorek.

– To naturalne, że chcesz, aby cię polubiła, i zależy ci na łączności z Charlie, ale wszyscy kochamy cię taką, jaka jesteś. Pozwól Annie poznać cię lepiej i zobaczysz, że też zapala do ciebie sympatią. – Lyn rozpakowuje cztery płytkie szklane miseczki. – A to do czego? Na słodycze?

– To są miseczki do obmywania palców. Będziemy jedli pieczywo czosnkowe. –

Podnoszę zabłąkaną cytrynę. – Przesadzam?

– I to bardzo. Może pokroimy tę cytrynę do dżinu i trochę się zrelaksujemy?

– Nie powinniśmy poczekać do lunchu? A może podzielimy się z dzieciakami?

– Założę się, że niejedna z mam miałaby ochotę na szklaneczkę dżinu z tonikiem.

Chociaż pewnie nie o tak wczesnej porze. – Lyn zerka na zegarek. – Pora otwierać. Sprzątnij to, Nigello Lawson, a ja pójde otworzyć drzwi.

Wkładam buteleczkę octu balsamicznego na półkę na drzwiach lodówki i zaczynam żałować, że nie kupiłam po prostu zwykłego majonezu.

Maluję twarz w tygrysie barwy i przez cały dzień skradam się i poluję na dzieciaki. Pod koniec, kiedy ostatnia mama odbiera swoją pociechę, jestem wykończona. Wrzucam zabawki do pojemników w jaskrawych kolorach, stojących w rzędzie pod ścianą. Lyn przynosi moje zakupy, starannie włożone z powrotem do reklamówek.

– Zostaw, Tygrysku, ja posprzątam. Ty leć do domu wyprasować serwetki.

– Liczę, że lokaj już to zrobił. – Wkładam kurtkę i wyjmuję z kieszeni kluczyki do samochodu. – Dzięki, Lyn. Naprawdę.

– Mam nadzieję, że kolacja się uda. Jeśli nie, to przynajmniej masz dość wina, by utopić smutek.

– I czekoladę w rozmiarze XXL, w sam raz na sytuacje awaryjne. Do zobaczenia jutro. – Biorę torby i tarabanię się do auta.

Wszystko gotowe. Świece, które przed chwilą zapaliłam, syczą i ledwo migoczą, ale już za chwilę płomienie będą wysokie i jasne. Wokół okna w salonie błyszczą kolorowe światełka.

– Możesz otworzyć wino? – proszę Dana.

Korek wysuwa się z piskiem i cichym pyknięciem.

Dzwonek do drzwi. Uśmiecham się promiennie i biegnę otworzyć. Nikogo nie ma.

Wychodzę za próg.

– Anna?

Na ulicze ciemno. I cisza. Przechodzi mnie dreszcz. Zamykam drzwi.

Nalewam sobie wody do szklanki i połykam połowę tabletki. To z nerwów. Każdy byłby zdenerwowany. Zapach czosnku i bazylii sprawia, że zaczyna mi burczeć w brzuchu; o tej porze jesteśmy już zwykle po jedzeniu. Przewijam listę odtwarzania w iPodzie i decyduję się na *Islands* Einaudiego. Nucę do dźwięków pianina i poleruję sztuce, które już przecież lśnią. Stukanie do drzwi. Idę otworzyć, trzymając w ręku nóż i ściereczkę.

– Wow. Aż tak tu niebezpiecznie?

– Nie, ja tylko...

– Żartuję. Dobrze, że nie chcesz nadziać mnie na widelec.

Anna wchodzi do przedpokoju, wręcza mi opakowanie orzechów brazylijskich w czekoladzie i strzepuje płatki śniegu z kurtki.

– Coś ładnie pachnie.

– Spaghetti bolognese. Może być?

– Jedno z moich ulubionych.

– Obawiam się, że mogłam przeholować z czosnkiem.

– Nie szkodzi, nie jestem wampirem.

– Wiem, poznałam to po tym, że weszłaś do środka bez zaproszenia. – Posyłam jej szeroki uśmiech. Mam wrażenie, że nasza znajomość rozwija się w łatwy, niewymuszony sposób. Że jest naturalna. – Minęłaś się z kimś na ulicy?

„Polly Paranoiczka”, powiedziałaaby babcia.

– Nie. Ale widziałam samochód.

Sztywnieję.

– Jaki?

– Nie mam pojęcia. Chyba czerwony. Czyżbyś...

Anna wypowiada słowa – widzę, jak poruszają się jej usta, i słyszę dźwięki, które wydają – ale żadnego z nich nie rozumiem. Widziała samochód. Czerwony samochód. Na pewno tę corsę, którą sama niedawno zauważyłam. Zdecydowanie ktoś mnie śledzi.

– Halo! – Anna przesuwając dłoń przed moimi oczami. – Ziemia do Grace.

– Przepraszam. – Maskuję strach uśmiechem.

– Mówię, że chyba nie zaskoczysz mnie randką w ciemno z jakimś swoim kolegą, co?

– Skąd. – Przypominam sobie, że powinnam zachowywać się jak gospodyni. – Chodź, poznasz Dana. – Prowadzę ją do salonu. Dan wstaje z rękami w kieszeniach i przestępuje z nogi na nogę.

– Cześć, przystojniaku. – Anna rozkłada szeroko ramiona i Dan obejmuje ją jedną ręką. Wyraźnie czuje się skrępowany. Wysilił się i założył koszulę, ale pod pachami ma plamy potu. Biedactwo. Takie wieczorki zapoznawcze to nie jego bajka.

– Zobacz, co przyniosła Anna. – Potrząsam pudełkiem.

– Masz alergię na orzechy – przypomina Dan, marszcząc czoło.

– Przepraszam, nie...

– Nie przejmuj się tym. To miły prezent. Dan się nim zaopiekuje. Napijesz się czegoś? Może wina?

– Poproszę.

– Ja naleję. – Dan cieszy się, że może się czymś zająć.

Prowadzenie rozmowy towarzyskiej nie należy do jego mocnych stron. Wraca kilka chwil później z dwoma kieliszkami białego wina. Jeden podaje Annie.

– Może być białe? – pytam. – Mamy jeszcze czerwone i różowe.

– Przepraszam, nie pomyślałem, żeby zapytać – bąka Dan.

– Nic nie szkodzi. Białe to moje ulubione. – Upija łyk. – Lepsze niż ten rozpuszczalnik, który dali nam w pubie.

– Gorzej się już chyba nie da. – Marszczę nos na samo wspomnienie.

– Nie wiem, czy wypada spytać... ale czemu jesteś pomarańczowa?

Dotykam policzka. No tak, wyszorowałam twarz flanelą, lecz farba i tak nie zeszła do końca.

– Robiłam dzisiaj za tygrysicę.

Anna uśmiecha się figlarnie.

– Szczęściarz z tego Dana.

Szyja mojego chłopaka pokrywa się czerwonymi plamami. Głaszczę go po ramieniu i marszczę brwi, posyłając mu pokrzepiające spojrzenie. Nie wiem, dlaczego zachowuje się jak dzikus. Zależy mi, żeby ten wieczór się udał.

– Rozgość się. – Pokazuję na sofę, na której na przerzuconej przez podłokietnik kapie ze sztucznego futra śpi Łapcia.

– O, masz kota.

– Nazywa się Łapcia. Mam ją od małego.

– A nie Tom albo Mopcia?

– Lubisz Beatrix Potter?

– Tata czytał mi opowiadki.

W mojej głowie wybuchają feerią barw wspomnienia. Biegnę do kuchni, opieram rozpalone czoło o lodówkę i próbuję się ostudzić, chłodem odsunąć od siebie obrazek, na którym siedzimy z tatą na moim łóżku i chichoczymy, czytając opowieść o psotnych kociakach.

– Wszystko w porządku? – Dan staje w drzwiach. – To był zły pomysł. Mam jej powiedzieć, żeby sobie poszła?

– Nie, już dobrze – odpowiadam. – Jestem po prostu zmęczona i reaguję przesadnie emocjonalnie. Chcę, żeby wszystko wyszło idealnie.

Przez oblicze Dana przemyka cień czegoś, czego nie potrafię nazwać. Jest i już go nie ma.

– Naprawdę, wszystko gra. Idź, posiedź z Anną.

– Zostanę i ci pomogę.

– Niegrzecznie zostawiać gościa samego. – Prawie wypycham go z kuchni.

Przekładam jedzenie na talerze i stawiam je na naszym niewielkim stole, który niemal ugina się pod ciężarem mis pełnych makaronu, pieczywa czosnkowego i sosu. Siadamy ściśnięci wokół stołu i jemy, trzymając łokcie przy sobie.

– Świetnie gotujesz – zauważa Anna. – Sos jest wyśmienity. Jakiej firmy?

– Nie jest ze sklepu. Grace hoduje własne warzywa – mówi Dan. – Ogródek to jej duma i radość.

– Superpomysł. Ja żyję na sałatkach. Nigdy mi się nie chce gotować dla jednej osoby.

– I wyglądasz wspaniale. Na okrągło powtarzam, że muszę zrzucić z pięć kilo. Dana już pewnie nudzi to moje gadanie, prawda, Dan?

– Na pewno woli kobiety o bardziej krągłych kształtach, a nie takie patyczaki jak ja. Co powiesz, Dan?

– Powiem, że skoczę po ser. – Zaciska usta i wstaje od stołu.

Prawie nie tknął jedzenia.

– Sprytnie wybrnął – zauważa Anna.

– Wyrobił się. Nie był taki delikatny, kiedy się poznawaliśmy.

Dan wraca z miseczką parmezanu.

– Długo się znacie? – pyta Anna z zagadkową miną.

Nawijam spaghetti na widelec.

– Prawie od zawsze. Poznaliśmy się w szkole. Nasze pierwsze spotkanie nie było zbyt przyjemne, prawda, Dan?

– A czemu?

Dan wydaje jęk.

– Naprawdę nie masz ochoty poznać tej historii.

– Ale musi, bo to dotyczy też Charlie. – Opowiadam szczegóły pierwszego spotkania

z Danem.

Anna z szeroko otwartymi oczami słucha o tym, jak jej przyrodnia siostra zemściła się na Danie w moim imieniu.

– Dan, Dan, Keczupman – wyrzuca z siebie Anna. – To dobre!

Dan wzrusza ramionami.

– Miałem dziesięć lat. Szybko do mnie dotarło, żeby nie zadzierać z dziewczynami.

– Bardzo słusznie. – Anna przypatruje się Danowi sponad kieliszka.

– Spójrz. – Podaję Annie zdjęcie, na którym jesteśmy ja, Charlie, Dan, Esmée i Siobhan. Ben zrobił je przed szkołą. – Poszliśmy do parku i wpadliśmy na pomysł, żeby spalić szkolne krawaty. Mieliśmy parę starych gazet i zapalki. Dan rozpalil ogień i polal go odrobiną whisky, którą podwędził ojcu z szopy. Było tak sucho, że ogień błyskawicznie się rozniósł. Płomienie buchały ogromne. W końcu musieliśmy zadzwonić po straż pożarną.

– Mieliście przez to kłopoty?

– I to jakie. Do naszych domów przyjechała policja, żeby poinformować rodziców o zajściu. Miałam niezłego pietra. Nigdy wcześniej nie przysparzałam kłopotów. Policjant był bardzo surowy. Dobrze, że nie oskarżyli nas o podpalenie. Nie dostałabym pracy w przedszkolu, gdybym była karana.

– Ale spaliliście te krawaty?

– Właśnie nie. Potem to już nie miało wielkiego znaczenia. Dan i ja nadal mamy je gdzieś w szafie.

Anna sięga po srebrną świecę i zaczyna nią poruszać. Strzelają płomienie, a wosk kapie na obrus.

– Przynieś je. Dokończymy dzieła.

– Może jednak nie będziemy drażnili czujnika dymu. Już się zdenerwowałam, kiedy zapomniałam, że mam w piekarniku pieczywo czosnkowe. A ty? Masz w sobie łobuza?

– Gdybym miała, zemściłabym się okrutnie i złośliwie na szefie.

– Anna nazywa go „ośmiorniczką” – wyjaśniam Danowi.

– Mam dość zagładania mi w dekolt i prób wsunięcia dłoni pod spódnice. – Anna sprawia wrażenie prawdziwie przygnębionej.

Bardzo jej współczuję.

– Nie wiem, jak możesz to znosić.

– Muszę, dopóki nie znajdę czegoś nowego. – Łzy napływają jej do oczu. – Mówisz, że jestem chuda... ale to dlatego, że bardzo często nerwy nie pozwalają mi jeść. Kładę się do łóżka i nie mogę zasnąć, w myślach odtwarzam dzień, przypominam sobie wszystkie te insynuacje i podteksty, i sytuacje, w których mnie dotykał. Przez większość czasu zastanawiam się, co jeszcze zrobi, jak daleko się posunie. Mam tak napięte mięśnie, że kark właściwie nigdy nie przestaje mnie boleć.

Podaję jej chusteczki.

Anna wydmuchuje nos.

– Ale mi wstyd. Normalnie się tak nie zachowuję.

– Nie możesz znaleźć innej pracy?

– Próbuję, ale to nie takie łatwe. Często pracuję po godzinach, a szef nie chce mi dać wolnego, żeby mogła pójść na rozmowę. Płacę ogromne pieniądze za kawalerkę. Gdybym mogła sobie pozwolić na życie bez dochodów przez kilka tygodni, pewnie znalazłabym jakieś nowe zajęcie. Ale to trudne, kiedy nie masz rodziny, na którą możesz liczyć.

Ściskam jej dłonie.

– Teraz masz nas. Jesteś siostrą Charlie i jeśli potrzebujesz pomocy, możesz śmiało się do

nas zwrócić, prawda, Dan?

Dan bąka coś w odpowiedzi, sprząta pustą butelkę ze stołu i wychodzi. Łzy zawsze go krępowały.

– Czy mogłabym się u was zatrzymać? Nie potrafię już patrzeć w oczy temu okropnemu człowiekowi. Na tydzień albo dwa, zanim czegoś nie znajdę. Mieszkacie bliżej Oksfordu niż ja. Byłoby mi łatwiej jeździć na rozmowy. Poza tym chciałabym lepiej was poznać, dowiedzieć się czegoś więcej o Charlie. Zresztą już zaczynacie być dla mnie jak rodzina.

Dan hałasuje naczyniami w kuchni.

– Ależ oczywiście – mówię. – Będzie miło. Z chęcią pomożemy. – To niejedyny powód, dla którego chcę, żeby się wprowadziła. Jestem coraz mocniej przekonana, że ktoś mnie obserwuje, ale nie potrafię się przyznać, nawet przed sobą, że boję się zostać sama. Nie umiem powiedzieć: „Jeżeli Anna będzie tu ze mną, kiedy Dan wyjdzie do pracy, przestanę się bać. Będę bezpieczna – nieprawdaż?”.

15.

Wtedy

Żar zmusił nas do odsunięcia się od ogniska, stałyśmy w pewnym oddaleniu i przyglądałyśmy się, jak strzelają płomienie. Charlie nigdy nie lubiła podchodzić zbyt blisko ognia. Mówiła, że boi się po pożarze, choć Lexie zawsze twierdziła, że córka go zmyśliła. Widziałam strach w jej oczach, kiedy patrzyła na płomienie. Ten lęk musiał się przecież skądś wziąć. Kukła Gya Fawkesa³ osunęła się na środek stosu palących się polan i zwiesiła głowę, jakby dręczyło ją poczucie winy, jakby z rezygnacją przyjmowała swój los. Języki ognia lizały stopy kukły. Tłum zawył, kiedy zajęły się jej spodnie.

– Chcesz hot doga? – Charlie pociągnęła mnie za rękaw.

Pokiwałam głową. Przepisnęłyśmy się przez masę ludzi – większość wioski zgromadziła się na zieleńcu, żeby obejrzeć doroczny pokaz sztucznych ogni – i stanęłyśmy na końcu ogonka do furgonetki z przekąskami. Sprzedawca położył kilka krążków cebuli na przypalonej parówce, a ja wycisnęłam na to jeszcze szlaczek keczupu.

– Weźmiemy colę?

Charlie pokręciła głową.

– Nie, idziemy na piwo.

– Mike nas nie obsłuży, zapomnij. – Właściciel miejscowego pubu znał nas przecież doskonale.

– Mam osiemnaście lat.

– A ja nie. – Brakowało dziesięciu dni, zanim będę mogła legalnie pić alkohol.

– Ale prawie. Zaczekasz przed namiotem, a ja kupię piwo. Mike ma dziś taki ruch, że nawet się nie zorientuje. Potem znajdziemy pozostałych.

– Okej.

Trzymałam się blisko Charlie, kiedy szłyśmy do piwnego namiotu, schodząc z drogi dzieciakom, które zimnymi ogniami pisały w powietrzu swoje imiona. Wolałabym, żebyśmy nie spotykały się ze Siobhan. Przy niej zawsze usuwałam się w cień, ginęłam pod jej sztucznym śmiechem i machaniem włosami, kiedy przy byle okazji pchała Danowi cyci pod nos. Moje rosły większe niż jej – ale cała reszta ciała niestety też była okazalsza. Zaczęłam podrabiać pismo babci na zwolnieniach z WF-u. Udawałam na przykład, że boli mnie kolano, żeby nie musieć chodzić na lekcje i przebierać się pod pogardliwym spojrzeniem chudej jak patyk Siobhan. Jej siostra wcale nie była lepsza. Kiedy mijałam ją na korytarzu w szkole, pochylała głowę i czmychała, ale w towarzystwie Siobhan robiła się odważna.

Zanim dotarłyśmy do namiotu, zdążyłam zjeść hot doga, oblizać palce i z powrotem włożyć rękawiczki.

Charlie zaczęła przepychać się do baru, a ja stanęłam przy wejściu i tupałam nogami, by się rozgrzać. Było przejmująco zimno, para leciała mi z ust. Czekaając na Charlie, obserwowałam przybite do płotu wirujące koła ogniste, które obracały się szybko, coraz szybciej, strzelając w niebo iskrami, aż w końcu przypominały niebiesko-złotą plamę.

– Gracie! Grace!

Aż podskoczyłam, kiedy ktoś objął mnie w pasie i omiół kark skwaśniałym oddechem.

– Lexie...

– To jest Ant. Przystojniak, co nie? – Lexie zachichotała i pogłaskała stojącego obok niej

chłopaka po twarzy oblanej rumieńcem. Pracował w sklepie za ladą i był niewiele starszy ode mnie. Lexie przewiesiła mi swoją rękę przez ramię. Piwo z plastikowego kubka, który trzymała w dłoni, chlapnęło mi na szalik. Zaczęłam wycierać go rękawiczką.

– To jest Grace. Śliczna, no nie? W życiu nie sprawiła mi kłopotu. – Lexie zachwiała się na nogach. Zaparłam się mocniej o ziemię, żebyśmy obie nie straciły równowagi.

Ant wzruszył ramionami.

– Co to było, do cholery? – Przedrzeźniła jego ruch. Starła się stać prosto, a chwiała się jak brzoźka na wietrze. – Cudowna jest, no, Grace. Złote dziecko.

– A ja nie? – Charlie podała mi piwo.

Odsunęłam się od Lexie, która nagle straciła oparcie i wyłożyła się na oszronioną trawę. Nie wypuściła przy tym kubka z rąk.

– Nie rozlała się ani kropelka! Juhu! – Leżała na plecach, wznosiła w górę kubek i machała w powietrzu nogami jak zdychająca mucha.

– Mamo... – syknęła Charlie. – Ludzie patrzą.

Lexie chwyciła wyciągniętą dłoń Charlie i dźwignęła się na nogi. Ant bąknął coś i odszedł, powłócząc nogami.

– Taa jest, spierdalaj! I tak mi się nie podobałeś. Chłoptaś z ciebie, a ja potrzebuję prawdziwego faceta. Któryś chętny? – Lexie podniosła kubek nad głowę i obróciła się na pięcie, lądując jak długa na ścianie namiotu.

Śledzie jęknęły i wysunęły się z twardej ziemi. Linki załopotwały na wietrze. Charlie i ja upuściliśmy swoje kubki, złapałyśmy Lexie za ręce i postawiłyśmy ją na nogi.

– Muszę odstawić ją do domu.

– Pomogę ci.

Na skraju zieleńca tłum był sporo rzadszy. Zauważyłam sylwetki Siobhan, Abby i Esmée i zacisnęłam zęby, kiedy podeszły bliżej.

– Już idziecie? – spytała Esmée.

– Tak, musimy odprowadzić mamę do domu.

– Pomóc ci? – zaproponowała Siobhan.

– Nie, damy sobie z Grace radę.

– No tak, Grace bardziej ci się przyda, w końcu jest dużo większa ode mnie.

– Nie bądź wredna. – Esmée szturchnęła Siobhan w bok.

– Wcale nie jestem. Chodzi mi o to, że jest silniejsza ode mnie. No, ale idźcie już.

Zrobiliśmy kilka chwiejnych kroków z Lexie.

– Aha, Grace. – Odwróciłam głowę. Siobhan uśmiechała się groźnie. – Przekażę Danowi buziaczki od ciebie, dobrze?

– Głupia krowa – bąknęłam.

– Olej ją – poradziła Charlie, kiedy odeszły. – Mam jej dość. Odmrozi sobie dupę w tej kusej kiece. Zresztą Ben mówi, że Dana wcale do niej nie ciągnie.

– Serio?

Charlie i Ben spotykali się na poważnie. Wyobrażałam sobie, jak idą na podwójną randkę z Siobhan i Danem, a ja siedzę w domu w pidżamie w szkocką kratę, oglądam *Bridget Jones* i opycham się śmietanowymi pringlesami.

Choć droga do domu Charlie zwykle zajmuje kwadrans, pokonałyśmy ją w prawie pół godziny, bo Lexie na zmianę wyrwała do przodu i zataczała się do tyłu. Tak trudno było utrzymać ją w pionie, że kiedy w końcu dotarłyśmy pod drzwi, nie czułam rąk.

Charlie oparła ją o framugę.

– Grace, wyjmij klucz.

Podniosłam krasnala imieniem Brian. Dawno temu babcia zabrała Charlie do centrum ogrodniczego, żeby wybrała prezent urodzinowy dla Lexie. Lexie nie była fanką roślin i kwiatów – „cholerne pielenie” – ale Charlie zakochała się w figurce skrzata rybaka. Lexie aż zapiszczała ze śmiechu, kiedy go rozpakowała – „Jest tak cholernie paskudny, że nikt nie będzie chciał go ukraść” – i od tamtej pory Brian został strażnikiem zapasowego klucza do drzwi wejściowych.

Charlie zaczęła powoli wspinać się po schodach, ciągnąc Lexie za obie ręce, a ja położyłam dłonie na jej plecach i pchałam.

– Przepraszam – bąknęła Lexie w poduszkę, kiedy zdejmowałam jej buty.

– Nie szkodzi, mamó. – Charlie przykryła matkę kołdrą po samą brodę.

– Moja córeczka. Już dorosła. Szkoda. Wolałabym, żebyś ciągle była mała. – Tusz do rzęs spływał jej strumieniami.

– Śpij już, mamó.

– Moje życie jest do dupy.

Sięgnęłam do kieszeni i znalazłam chusteczkę pod otwartą paczką miętówek. Była czysta, więc podałam ją Lexie.

Wydymuchała nos.

– Nie chciałam, żeby tak wyszło. Nie wiem, jak to wszystko wyprostować. Wiesz, jak to jest, prawda, Grace? Wiesz jak to jest, kiedy człowiek popełni błąd.

– Rano wszystko będzie dobrze.

– Nie będzie. Nie może być. Nie powinnam...

Szczęka Lexie zatrzymała się w pół drogi. Spojrzałam zaniepokojona na Charlie, ale wtedy żuchwa jej mamy zatrzęsała się, bo jej właścicielka nagle zachrapała.

– Dzięki Bogu. – Charlie wyłączyła światło i zeszyliśmy na dół.

– Chcesz wrócić na pokaz?

– Nie-e. Lepiej z nią zostanę. Chcesz popatrzeć z ogródka?

Kiwnęłam głową. Wyjęliśmy piwo z lodówki i poszliśmy na dwór. Usiadliśmy na kruszejącym murku z cegieł. Nogi dyndały nam w powietrzu.

Wydałyśmy okrzyk zachwytu, kiedy niebo rozświetliły płonące smugi jaskrawego światła i rozpadły się na miliony złotych i srebrnych cząstek. Wyglądało to tak, jakby ktoś sypnął garścią brokatu. Zafascynowane patrzyłyśmy, jak niebo przecinają kolorowe pasemka, jak wybuchają i nikną w ciemności.

– Szkoda, że nie jestem takim sztucznym ogniem – powiedziała Charlie.

– Czemu?

– Bobym się wystrzeliła jak najdalej stąd.

– Co się dzieje? – Dopiłam piwo i zmięłam puszkę.

– Chodzi o mamę. Nie wiem, co się z nią stało. Zachowuje się tak mniej więcej od miesiąca.

– Pije?

– Niemal na okrągło. – Charlie machnęła nogą i od murku odpadł kawałek tynku.

– Dlaczego nic nie mówiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba się wstydziłam. Przestała wychodzić z domu, ciągle siedzi przy zaciągniętych zasłonach. W poniedziałek cała się zarzygała. Musiałam wsadzić ją pod prysznic i umyć.

Obrzydliwe. No, ale nie chcę ci biadolić, bo sama nie miałaś lekko.

– Nie. Ale to nie znaczy, że tobie nie wolno mieć problemów. Jak myślisz, dlaczego Lexie to robi?

– Nie wiem. Ma jakąś fazę.

– Wspominała o twojej osiemnastce. Może martwi się, że się wyprowadzisz? Moja babcia ma tak samo. Myśli, że po szkole wyjadę na studia i o nich zapomnę. Boi się, że już nigdy mnie nie zobaczy.

– Kto wie? A może chciałyby, żeby był z nami ojciec. Kimkolwiek jest... – Charlie zeskoczyła. Tenisówki plasnęły o szary beton. – Idziemy poszukać chłopaków?

– A co z twoją mamą?

– A niech się udławi. Mam to gdzieś – rzuciła Charlie, ale wiedziałam, że się przejmuje.

Kiedy fajerwerki się skończyły i ciszę po nich wypełnił przenikliwy wrzask, odwróciła się i pognęła na górę, do pokoju Lexie.

16.

Teraz

Nie ma to jak zapach smażonego bekonu o poranku. Śniadanie w łóżku to zawsze miła niespodzianka. Podnoszę głowę, słysząc znajome trzeszczenie obluzowanej deski na szczycie schodów i skrzypienie otwieranych drzwi do sypialni. Mam śpiochy w kącikach oczu; wycieram je palcami. Podsuwam sobie poduszki, układam je pionowo za plecami i się opieram. Kładę dłonie na podolku – czuję się jak pacjentka szpitala w oczekiwaniu na odwiedzinę.

– Dzień dobry. – Anna włożyła mój fartuch. Podaje mi tacę. Dzwonią porcelanowe naczynia. – Pomyślałam, że zrobię dobre wrażenie pierwszego dnia u was.

– Udało ci się – odpowiadam i zabieram się do soku pomarańczowego.

Cierpkość cytrusów zmywa resztki snu.

– Bekon jest chrupiący – mówi Anna – pieczywo lekko opieczzone i masz sporo ciemnego sosu. Herbata jest z cukrem i mlekiem.

– Tak jak lubię.

– Wiem. Zapytałam Dana, zanim wyszedł na trening.

Wgryzam się w kanapkę, a Anna przysiadła na brzegu łóżka. Słonność bekonu miesza się ze słodkością sosu.

– Ale dobre. Dziękuję.

– Przynajmniej tak mogę się odwdziżyć. Jestem wam bardzo wdzięczna, że pozwoliliście mi się u was zatrzymać. Powoli zaczyna mi się wydawać, że te ostatnie miesiące to był tylko zły sen.

Jem śniadanie, a w tym czasie Anna przegląda książki leżące na mojej szafce nocnej.

– *Małe kobiety*. Autobiografia karzełków?

Śmieję się.

– Nie czytałaś?

– Nie. Ostatnią książką, jaką przeczytałam, było *Pięćdziesiąt twarzy Greya*.

– No... ta jest trochę inna. Opowiada o czterech siostrach. Najbardziej lubię Jo March, najstarszą i najsilniejszą.

– Ty też jesteś silna, Grace. Strata najbliższej przyjaciółki musiała być dla ciebie ciosem. – Anna kartkuje książkę, po czym odkłada ją na wierzch niekończącego się stosu lektur do przeczytania.

Wieża chwieje się i przewraca, strącając na podłogę opakowanie tabletek.

– Przepraszam. – Anna podnosi to, co pospadało.

– Proszki na sen – wyjaśniam, choć nie pytała. – Od śmierci Charlie mam kłopoty z zasypianiem.

– Działają?

– Aż za dobrze. Nie słyszę budzika i gdyby nie Dan, spóźniałabym się do pracy. Lekarz niechętnie mi je przepisuje. Uważa, że powinnam brać raczej antydepresanty.

– Żal po czyjejś śmierci to jednak nie choroba, prawda? – Anna marszczy czoło. – Nie wyleczysz się z tego jak z ospy. Minęło wiele lat od dnia, w którym zginęli moi rodzice, a ja nadal zapominam, że już ich nie ma, i łapię się na tym, że chcę im opowiadać o wszystkim dobrym i złym, co mi się przydarza. Kiedy zgodziłaś się, abym się wprowadziła, pomyślałam, że muszę powiedzieć mamie i tacie, jaką jesteś wspaniałą osobą. Głupie, co?

– Raczej naturalne. Trudno pogodzić się z tym, że kogoś nigdy więcej nie zobaczymy. Umysł nam tego nie ułatwia.

– We śnie wszystko mi się przypomina. – Anna siedzi na brzegu łóżka i pochyla głowę, tak że opiera brodę na piersi. – Do dziś mam koszmary związane z wypadkiem. I z pogrzebem. Przełykam, ale mam tak wyschnięte gardło, że kęś się zatrzymuje. Popijam herbatą.

– Przepraszam cię, ale muszę już wstać. Umówiłam się rano.

– Umówiłaś się?

– Tak. Przepraszam. Gdybym wiedziała, że zostaniesz, niczego bym nie planowała. Obiecałam Lexie, że pójde z nią na grób Charlie.

– Lexie? Mamie Charlie?

Kiwam głową.

– Pójde z tobą. Chcę ją poznać.

Waham się.

– Chciałabym ją poznać. To w końcu matka mojej przyrodniej siostry. Poza tym chcę zobaczyć, gdzie leży Charlie.

– Oczywiście – odpowiadam. – Zabiorę cię na cmentarz, ale nie dzisiaj. Lexie kiepsko się czuje. Źle się trzyma. Nawet nie wie o twoim istnieniu.

– Może udałoby mi się ją pocieszyć. W pewnym sensie jestem dla niej łącznikiem z Charlie.

– Może. Ale muszę z nią najpierw porozmawiać. Przygotować ją. Nie mogę tak po prostu zjawić się z tobą u boku.

Anna zagryza wargę. Przez jej oblicze przemyka cień.

Dotykam jej ramienia.

– Przepraszam cię. Wrócę do południa. Pokażę ci album ze zdjęciami i zrobimy sobie babskie popołudnie.

– W porządku. – Anna zabiera tacę. – I tak muszę się rozpakować.

Dziwne, ale nigdy jakoś nie utożsamiałam cmentarzy ze śmiercią – dziadkowie chronili mnie przed bolesną rzeczywistością, jak potrafili, dlatego teraz, kiedy stoję przed bramą, sama myśl o wszystkich leżących tu ciałach przyprawia mnie o zawrót głowy. Kiedyś ja, Charlie, Esmée i Siobhan biegałyśmy tu, wspinałyśmy się na drzewa i budowałyśmy szałas. Dziś żałuję, że nie okazywałyśmy więcej szacunku – akurat nie zmarłym, lecz żałobnikom przy nagrobkach, którzy patrzyli na nas ze zdumieniem i oburzeniem na ściągniętych twarzach. Co też musieli myśleć o nas, czterech wrzeszczących dziewczynkach, które ganiały po krzakach i bawiły się w chowanego?

Biorę Lexie pod łokieć jak niewidomą i prowadzę ją oszronioną ścieżką. Ostrożnie stawiamy stopy na płytach chodnikowych porośniętych mchem. Idziemy z pochylonymi głowami, nie chcemy widzieć bólu innych ludzi. Za rzędami kruszejących nagrobków z zatartymi, niedającymi się odczytać napisami znajduje się sporej wielkości prostokątny plac usiany krzyżami i lśniącoymi tabliczkami – to miejsce upamiętnienia niedawno zmarłych. Zdziwiłam się, kiedy Lexie poprosiła o pochówek tutaj, bo nie wiedziałam, że jest katoliczką. Cmentarz przykościelny, już i tak pękający w szwach, mógł zaoferować jedynie pogrzebanie prochów.

Koścista dłoń Lexie kurczowo trzyma się mojego ramienia. Głaszczę ją i nic nie mówię, bo co tu powiedzieć? Żadne słowa nie ulżą jej cierpieniu. Chciałabym móc pocieszyć ją, że pierwsza wizyta jest zawsze najgorsza, ale nie potrafię, bo to nieprawda. W czarnym

plastikowym wazonie stoi zielona woda, z której sterczą patyki zwiędłych czerwonych róż. Kiedy je usuwam, sypią się brązowe liście. A przecież postawiłam je raptem tydzień temu. Muszę zapamiętać, żeby już więcej nie przynosić róż, bo są nietrwale.

– Zaraz wracam.

Nie jestem pewna, czy Lexie mnie usłyszała. Chyba nawet nie zauważyła, że zostawiłam ją samą. Na tyłach kościoła stoi żółty pojemnik na śmieci, przeznaczony na zwiędłe kwiaty. Klapa się nie domyka, więc po prostu rzucam róże na samą górę i nie dopycham ich, bo boję się, że wbije mi się jakiś kolec. Pochylam się nad wystającym ze ściany kranem, płuczę wazon i napelniam go świeżą wodą. Kiedy prostuję plecy, widzę postać na końcu zarośniętej ścieżki: czarna, wywatowana kurtka, kaptur zasłaniający twarz.

Jest mnóstwo takich kurtek. Nie sądzę, aby to była ta sama osoba, która przyglądała mi się, kiedy siedziałam w kawiarni, mówię sobie, ale stoję, jakby nogi wrosły mi w ziemię. Nie wiem, co robić. Ten człowiek się nie rusza i choć nie dostrzegam jego twarzy, czuję, że patrzy prosto na mnie. Zastanawiam się, czy uciekać, czy ruszyć w jego stronę. Widzę, że trzyma w ręku bukiet kwiatów. Zatem przyszedł na czyjś grób.

Kilka sekund później – dla mnie raczej minut – postać rzuca kwiaty na ziemię, odwraca się i biegnie w stronę bramy. Biorę się w garść i wracam do Lexie.

Stoi tam, gdzie ją zostawiłam, mocno ściskając bukiet różowych goździków. Zabieram je i – najlepiej jak potrafię – układam w nieco zbyt wąskim wazonie.

– Teraz wygląda o wiele ładniej – kłamię.

Miejsce nadal wydaje się równie czarne i surowe, jak pustka, którą pozostawiła po sobie Charlie.

– Dziękuję, Grace, że mnie tu przyprowadziłaś – mówi Lexie cicho i łagodnie. Pochylam głowę, żeby ją lepiej słyszeć. – Nie zasługuję na twoją życzliwość.

– Oczywiście, że zasługujesz.

– Wcale nie. Byłam niedobra. Wszystko schrząniłam. – Przyciska zaciśnięte pięści do oczu, tak jakby tym gestem mogła zmienić rzeczywistość. – Nie byłam tu od dnia pogrzebu. Okropnie to wygląda.

Kiwam głową. Zgadza się. Parę słów na bezbarwnym kamieniu nie przynosi żadnej pociechy. Bo niby jak? Charlie tu nie ma. Mój rozum o tym wie, mimo to przychodzę tu co tydzień, bojąc się, że jeśli tego nie zrobię, ona pomyśli, że o niej zapomniałam.

– Chcesz wrócić do domu?

– Nie. – Po białych policzkach Lexie płyną łzy. – Chodźmy na szklaneczkę.

– Ale tylko jedną – zaznaczam.

Z jednej robią się dwie, z dwóch – trzy, z trzech – cztery, i kiedy odstawiam ją do domu, jest już wpół do piątej.

W domu przyjemnie pachnie. Zaglądam do rondla i wciągam aromat domowej zupy.

– Zużyłam wszystkie warzywa z lodówki. Mam nadzieję, że to nie problem.

Aż podskakuję. Nie słyszałam, kiedy Anna weszła do kuchni.

– Ależ skąd! Pięknie pachnie. Myślałam, że nie potrafisz gotować.

Związała blond włosy na czubku głowy. Zakłada zabłąkany kosmyk za ucho.

– Nie to, że nie potrafisz, po prostu tego nie robisz. Miło mieć dla kogo gotować. Chcę się jakoś odwdziaczyć, bo głupio się czuję, że nie płacę za pokój.

– Nawet by mi do głowy nie przyszło brać od ciebie pieniądze. Jesteś naszym gościem. Poza tym to tylko na kilka dni.

– Jak Lexie?
– Kiepsko. – Włączam czajnik i wyjmuję kubki z szafki. – Przepraszam, że tak późno wracam, ale zabrałam Lexie jeszcze do pubu i nie mogłam jej tam zostawić.
– To normalne?
– Zdarza się. Ma swoje fazy. Charlie mówiła, że raz Lexie położyła się na podłodze w salonie i leżała tak kilka godzin. Charlie nie mogła jej dobudzić i bała się ją zostawić samą.
– Charlie musiała mieć okropne dzieciństwo.
– Nie zawsze tak było. Lexie miała swoje odchyły, ale kiedy ją poznałam, była ogólnie w porządku. Dopóki Charlie nie skończyła osiemnastu lat. Zdziwię się, jeśli się okaże, że Lexie cokolwiek pamięta z tamtych czasów.
– Wiadomo dlaczego?
– Nie. – Staram się kontrolować oddech. Nie chcę rozmawiać o tamtym okresie, nawet nie mam ochoty o tym myśleć, i to nie tylko ze względu na Lexie. – W każdym razie wzięła się w garść i od tamtej pory była trzeźwa. No dobrze, trzeźwiejsza. Aż do dnia, w którym Charlie...
– Nie ma krewnych, którzy by jej pomogli? Żadnych ciotek, wujków?
– Nie. Lexie sprowadziła się tu, kiedy Charlie była mała. Nie ma rodziny.
– Ma ciebie.
– No tak. Poza tym pomagają jej moi dziadkowie. Musisz ich poznać. Uwielbiali Charlie.
– Wygląda na to, że nie było takiego, który by jej nie lubił. Głodna? – Anna nakłada zupy do miseczki.

Kilka kropel chlapie mi na koszulę. Usuвам je zmywakiem – oby tylko nie zostały plamy.

Sączymy zupę, siedząc przy stole, w którego gładkiej, czystej powierzchni odbija się światło z żyrandola.

– Czyżbyś starła kurze?
– Tak. Chciałam się do czegoś przydać. Szybko się rozpakowałam, więc miałam dużo czasu. Później pokażę ci, co zrobiłam w ogrodzie. Natomiast odpuściłam sobie polerowanie pianina, bo wygląda na stare i nie chciałam go uszkodzić.
– Należało do mojego taty. Nauczył mnie grać.
– Dobrze grasz? Ja niestety nie mam talentu muzycznego.
– Kiedyś byłam niezła. Nie grałam od lat, ale nie potrafię się rozstać z tym pianinem. – Ilekroć spoglądam na wytarty skórzany taboret, widzę tatę i moje drobne ciało oparte o jego szeroką pierś. Czuję jego wodę po goleniu. I palce, które kierują moimi i pokazują, które klawisze naciskać. Cokolwiek grałam – z początku *Twinkle, Twinkle Little Star*, potem *Odę do radości* – zawsze z takim samym entuzjazmem bił mi brawo.

Myjemy miseczki, wkładamy kurtki i wychodzimy do ogrodu. Zmierzcha już. Łapcia zostaje w domu, patrzy za nami, przyciskając różowy nosek do szyby. Idziemy po ścieżce z kamieni, która prowadzi do szklarni. Zatrzymuję się. Gwałtownie nabieram powietrza. Obracam się powoli, zasłaniając usta dłonią.

– Moje rabaty!
– Panował w nich straszny bałagan. Zrobiłam porządek. – Anna pokazuje na krzewy i byliny z pozwijanymi liśćmi i odsłoniętymi korzeniami, które powyrywała z ziemi.
– Anno, coś ty zrobiła!
Padam na kolana i podnoszę rośliny tak delikatnie, jakby były zranionymi dziećmi.
– Były uschnięte, prawda? Prawda? – Anna klęka obok mnie. – Grace?

– Nie były uschnięte. Wyrwałaś prawie wszystkie. Latami przy nich chodziłam... –
Walczę ze łzami, tłumaczę sobie, że to przecież tylko rośliny, ale dokładam tę stratę do zbioru pozostałych.

– Ale nie mają kwiatów. Wyglądają jak chwasty.

– Bo jest zima. Jak mają wyglądać?

– Strasznie cię przepraszam. Nigdy nie miałam ogródka. Możemy włożyć je z powrotem do ziemi?

– Spróbuję, ale szok po wyrwaniu może je zabić, o ile jeszcze tego nie zrobił.

Anna wstaje i strzepuje ziemię z kolan.

– Pójdę po narzędzia.

Ziemia jest twarda, zaczyna zamarzać. Anna świeci latarką, a ja wbijam widły, najpierw jedną nogą, a potem obiema, wieszam się na nich, żeby weszły głębiej. Czuję pulsujący ból w dolnej części pleców i pocę się pomimo chłodu wieczoru. Kiedy słyszę głos Dana i widzę jego postawną sylwetkę, czuję taką ulgę, że niemal wybucham płaczem. Podaję mu widły, a potem rękami kopię dołki w ziemi. Szybko umieszczam oklapnięte, usychające rośliny na swoich miejscach.

Anna przeprasza raz za razem i dopiero kiedy siadamy po turecku na podłodze w salonie, przed trzaskającym kominkiem i z kieliszkiem brandy w ręku, mówię jej, że nic się nie stało – i naprawdę w to wierzę.

– Chciałaś pomóc. Pewnego dnia będziemy się z tego śmiali.

Opowiadam jej, jak kiedyś Charlie próbowała upiec ciasto. Starannie odmierzyła wszystkie składniki, umieściła je w robocie kuchennym i włączyła go, nie domykając pokrywkę. Masa czekoladowa była dosłownie wszędzie. Dziadek musiał przemałować sufit, a plamy na babcynych zasłonkach zostały do dziś.

Anna i ja wybuchamy śmiechem. Dan siedzi osobno i milczy, popijając drinka. Nie potrafię rozszyfrować jego miny. Sama nie wiem, dlaczego nagle przechodzi mnie dreszcz.

17.

Wtedy

Otworzyłam szeroko oczy. Oto dzień, o którym myślałam, że już nigdy nie nadejdzie. Osiemnaste urodziny! Wskoczyłam z łóżka i zbiegłam na dół susami, jak Tygrys w Kubusiu Puchatku.

– Dzień dobry!

– Wszystkiego najlepszego, Gracie. – Babcia i dziadek dali mi całusy o kawowym smaku.

Babcia zabrała się do przygotowywania śniadania, a ja otwierałam ułożone na stole różnokolorowe koperty i czytałam na głos znajdujące się w nich kartki z życzeniami. Następnie przekazywałam kartki dziadkowi, który wkładał je między stojące na kredensie porcelanowe naczynia.

– Wcinaj. – Babcia postawiła przede mną kopiasty talerz bekonu, kiełbasek, jajek, grzybów, pomidorów i fasoli.

– Dzięki. – Od czego zacząć?

Kiedy ostatni grzybek zniknął w moich ustach i odsunęłam od siebie talerz, od przeżuwania aż bolała mnie szczęka.

– Nic dziwnego, że się nie mieszczę w spodnie – powiedziałam, odchylając się na krześle. – Przy takich porcjach! Dobrze, że idę kupić nową sukienkę na dziś wieczór.

– Te dzisiejsze dziewczęta są takie chude... – stwierdziła babcia. – Ty przynajmniej wyglądasz, jak na kobietę przystało.

– Chyba na kobietę z lat pięćdziesiątych.

– Mężczyźni lubią trochę ciała.

Czyżby? Moje życie intymne nie istniało. Tak bardzo zafiksowałam się na Danie, że nawet nie przyszło mi do głowy, żeby spotykać się z innymi. Zastanawiałam się czasem, czy Charlie nadal mu się podoba, ale ona powiedziała, że tylko raz zaprosił ją na randkę. Nie wydawał się też, dzięki Bogu, zainteresowany Siobhan, mimo że sama pchała mu się w ramiona: pochylała się tak, żeby mógł zajrzeć jej w dekolt, dotykała go pod byle pretekstem i chichotała ze wszystkiego, co powiedział, nawet jeśli to wcale nie było śmieszne. Charlie zaczęła nazywać ją „złą siostrą bliźniaczką Jessiki Rabbit” – tej dziewczyny z *Kto zrobił królika Rogera?*

Nagle przez kuchenne drzwi wpadła Charlie.

– Nie mówcie, że ominęło mnie śniadanie! – Była czerwona, sapała z wysiłku i dźwigała sporej wielkości prezent zapakowany w papier w kropki.

– Odłożyłam dla ciebie trochę bekonu – powiedziała babcia. – Musisz nabrać ciała. Kiedy spojrzeć na ciebie z boku, jesteś cienka jak papier.

Charlie z każdym dniem wydawała się coraz wyższa i chudsza.

Babcia posmarowała masłem grubą kromkę białego chleba i wycisnęła keczup na bekon, tak jak lubiła Charlie.

– Usiądź. Właśnie mieliśmy wręczać prezenty.

Charlie z hukiem postawiła pudło na stole i przesunęła je w moją stronę. Wgryzła się w kanapkę i oblizwała palce.

Zaczęłam ostrożnie zdejmować wstążeczkę i kokardki i odklejać taśmę tak, żeby nie uszkodzić papieru. Papier i kokardki ze wszystkich prezentów chciałam później wkleić do zeszytu z wycinkami, a pod spodem opisać każdy podarek i zaznaczyć, od kogo go dostałam.

Przechowywanie wspomnień miało dla mnie duże znaczenie. Tata miał całe mnóstwo rzeczy. Nie wiedziałam, skąd się wzięły ani ile dla niego znaczyły, i jakoś nie wydawało mi się istotne, żeby zapytać, póki jeszcze mogłam. Później z bólem myślałam o tym, że wiem tak mało o człowieku, którego, jak sądziłam, bardzo dobrze znam.

– Jak będziesz otwierała w takim tempie, to zastanie cię dziewiętnastka.

W środku znajdował się zbiór winyli: Billie Holiday, Etty James, Bessie Smith. Muzyka, przy której dorastałam, a której Charlie nigdy nie chwycił. Potrząsnęłam głową, żeby się nie rozplakać, i wstałam, by uściskać przyjaciółkę. Odwzajemniła się, mocno mnie obejmując przedramionami, tak by nie usmarować rozcapierzonymi tłustymi palcami.

– Gdzieś ty to znalazła?

– Na giełdach rzeczy używanych, na eBayu, na Amazonie. Przez rok odkładałam pieniądze z opieki nad dziećmi.

Dziadek zaniósł płyty do jadalni i po chwili przez otwarte drzwi popłynęły dźwięki Etty James. Wrócił i podał mi rękę.

– Czy mogę cię prosić, Ginger? – Zaczęliśmy kręcić się po kuchni: ja, chichocząca świeżo upieczona osiemnastolatka, i on, Fred Astaire w pidżamie w paski.

– To od dziadka i ode mnie – powiedziała babcia, kiedy opadliśmy zdyszani na krzesła. Podsunęła mi prezent zapakowany w mieniący się srebrny papier.

Obróciłam go w dłoniach, szukając miejsca, od którego najlepiej zacząć rozpakowywanie.

– Znowu to samo – westchnęła Charlie. – Wiesz, że sklepy zamykają w pół do szóstej, prawda?

– Bardzo śmieszne...

Wysunęłam prezent z papieru. Okazało się, że to kolczyki z brylantami.

– Należały do mojej mamy – powiedziała babcia. – Oddałam je do oczyszczenia.

Przechyliłam pudełko w stronę okna i kolczyki prababci zaśniły w słońcu. Te piękne przedmioty jakoś nie przywodziły mi na myśl starej, słabowitej, pachnącej landrynkami kobiety, do której jeździłam, kiedy byłam mała.

– Dostała je od twojego pradziadka w dniu ślubu.

– Są piękne. Dziękuję.

– I kup sobie coś ładnego na wieczór. – Dziadek włożył mi do ręki kilka banknotów.

Nie umiałam dłużej zapanować nad emocjami.

– Kocham was wszystkich. – Głos mi się załamał.

– My ciebie też. – Babcia przytuliła mnie, a potem wygoniła z kuchni. – Idź no się ubierz, chyba że chcesz pójść na zakupy w pidżamie.

Złapałam jeszcze papier do pakowania, ubiegając dziadka, który już chciał wyrzucić go do śmieci, i pobiegłam na górę.

Kanapa była ciężka. Charlie pchała, a ja ciągnęłam. Razem udało nam się przesunąć ją w sam róg i postawić ławę pod ścianą. Sprzątnęłam wszystkie rzeczy z niskiej szafki i przykryłam ją obrusem – to będzie nasz bufet.

– Na pewno twoja mama nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy wyprawiły tu imprezę?

– Pewnie, że nie. Sama nie może się doczekać. Obiecała, że nie narobi wstydu.

Przesypałam do miseczek zawartość kilku opakowań chrupek serowych, a Charlie zrobiła poncz w wielkiej misie, którą przytargałam od babci. Dodała sok owocowy i zamieszała, aż napój zrobił się pomarańczowy.

– Spróbuj.

Siorbnęłam z łyżeczki, którą mi podała.

– O rany, ale mocny. Coś tam wlała? – Łzy napłynęły mi do oczu.

– Wszystko. – Charlie wyszczerzyła zęby i odkręciła korek z opróżnionej do połowy butelki dzinu, którą znalazła na dnie szafki.

– Całe szczęście, że dziadkowie nie przyjdą – skomentowałam.

Zaprosiłam ich, ale odpowiedzieli: „Niech się młodzi bawią”.

O dziewiątej kręciło mi się już w głowie i chodziłam niepewnym krokiem. W ciasnej przestrzeni domu Charlie zmieściła się połowa naszego rocznika. Ściany drżały od miarowego dudnienia basu. Dyskotekowe światła błyskały na czerwono, zielono i niebiesko. Przyglądałam się obojętnym wzrokiem, jak na prowizorycznym parkiecie kołyszą się ciała w rytm kawałków, które Charlie ułożyła według tylko sobie znanego klucza. Dan przebierał nogami do *Sex on Fire*, machając w górze puszką piwa, a Siobhan podnosiła wysoko ręce i rzucała głową na boki, trzęsąc cyckami. Nie miała biustonosza pod koszulką na ramiączkach. Dziwka. Sięgnęłam po kawałek paróweczki na wykałaczce i przegryzłam ją na pół. Gdybym mogła przebić tą wykałaczką Siobhan na wylot, zrobiłabym to. Były moje urodziny. Dan powinien kręcić się przy mnie.

Lexie nałała sobie ponczu do szklanki.

– Bierz go, dziewczyno – wybelkotała, pokazując brodą na Dana. – Raz jest się młodym. Tylko nie zrób tego, co ja, Grace. Nie spierdol wszystkiego.

– A co takiego zrobiłaś?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wybrzmiały pierwsze dźwięki *Mamma Mia* i Charlie pociągnęła mnie za rękę.

– Chodź potańczyć.

Wypiłam, co miałam w szklance, i precisnęłam się na środek salonu. Esmée wzięła mnie za lewą rękę, a Charlie za prawą. Straciłam Siobhan z oczu. Zaczęłyśmy się kręcić, wirować, unosić w powietrze i opadać. I grzmotnęłyśmy o podłogę. Leżałyśmy splątane i zachichotane, kiedy nagle zrobiło mi się niedobrze.

Kolejka do łazienki ciągnęła się aż na schody, dlatego zamiast tam, pobiegłam od razu do tonącego w ciemności pokoju Lexie. Na łóżku leżał stos kurtek, więc usiadłam po turecku na podłodze, położyłam dłonie na deskach i zaczęłam się modlić, żeby pokój przestał wirować.

Drzwi otworzyły się z hukiem i padł na mnie prostokąt światła z korytarza. Charlie podeszła do mnie, zataczając się.

– Wszystko gra?

– No. Pewnie wypięłam za dużo ponczu. – Potarłam oczy. – Wyglądam jak siedem nieszczęść, co?

Włączyła lampkę na szafce nocnej.

– Najwyżej trzy. – Otworzyła szufladę Lexie, pogrzebała w niej i wyjęła rzeczy do makijażu.

– Słuchaj, Charlie, tęsknisz za tatą? – Alkohol sprawił, że dałam się ponieść emocjom. – Bo ja za swoim tak.

– Mogę ci poprawić make-up – powiedziała. – Ale co do taty...

– Wiem – westchnęłam. – Przeważnie jakoś się trzymam, ale w takie dni jak ten... Jak ty sobie radzisz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało.

– A jeśli go odnajdziesz? Mogłabyś mieć zupełnie nową rodzinę.

- Nie byłoby źle. Mama znowu chodzi wnerwiona.
- Zauważyłam.
- Wciągnij policzki. – Zanurzyła pędzelek w samoopalaczu.
- Mogłybyśmy go odnaleźć.
- Jak?

– Nie wiem. Ale mamy już po osiemnaście lat. Jeśli mama nadal nie chce ci pokazać twojego aktu urodzenia, sama możesz wystąpić o odpis. Istnieją organizacje, które pomagają w szukaniu osób. Jest Google.

– Sama nie wiem. Powinnyśmy się skupić na egzaminach. To ostatnia klasa. Trochę brakuje czasu, wiesz, mama, Ben...

– Ja to zrobię. Nie mam chłopaka, więc zostaje mi sporo wolnego czasu. – Poczułam, jak wzbiera we mnie radosne podniecenie. Miałam okazję coś zmienić. Coś wyprostować. – Przydałoby mi się jakieś zajęcie.

Ktoś jęknął. Charlie odsunęła kurtki leżące na łóżku.

– To mama. Znowu film jej się urwał. Chodźmy na dół.

Tłum nieco się przeredził. Charlie zniknęła w salonie. Ruszyłam korytarzem do kuchni szlakiem usypanym z pokruszonych precelków i nalałam sobie wody.

Aż podskoczyłam, kiedy zobaczyłam w szybie odbicie Dana. Stał tuż za mną.

– Spójrz. – Objął mnie w pasie i pokazał na nocne niebo. – To gwiazdozbiór Oriona.

Zmrużyłam oczy, wpatrując się w mrowie gwiazd. Wszystkie wyglądały tak samo.

– Gdzie?

– Widzisz tamto skupisko? To jaśniejsze od pozostałych? O, tam?

– Tak.

– To Orion.

– Tak?

– Nie jestem pewien. Dostałem teleskop na urodziny, ale jeszcze go nie używałem. No, ale przyznaj, że jesteś pod wrażeniem.

Walnęłam go łokciem w zębra, ale nie kazałam mu zabrać ręki. Oparłam się o niego i zaczęłam szybko szukać w myślach tematu do rozmowy, żałując jednocześnie, że tak dużo wypiałam. Zastanawiałam się, co sprawiło, że zaczęło kręcić mi się w głowie: alkohol czy pełne niepokoju oczekiwanie na ruch Dana?

– Jak w pracy? Dawno cię nie widziałam.

„W pracy?” Co ty pleciesz? Nic dziwnego, że Siobhan zgarnia wszystkich chłopaków. Gdzieś ty się uczyła flirtować?

– W porządku. Oprowadzam ludzi po domach, których i tak nie zamierzają kupić.

Brakuje mi szkoły i naszych wygłupów. Brakuje mi ciebie.

Wpatrywałam się w jego oblicze odbite w szybie. Nie potrafiłam nic wyczytać z jego miny.

– My też za tobą tęsknimy.

– Ale mi naprawdę brakuje c i e b i e.

Poczułam się tak lekka, że odleciałabym, gdyby mnie nie trzymał.

– Charlie też? – spytałam piskliwym głosem.

– Też, ale w inny sposób. Posłuchaj, Grace. Nie mogę przestać o tobie myśleć. Zawsze byłaś gdzieś blisko i myślałem, że zawsze będziesz. Teraz cię nie ma i okazuje się, że brakuje mi rozmów z tobą. Charlie to było zadurzenie, w sam raz, żeby się zabawić, poflirtować. Do ciebie czuję coś zupełnie innego. Coś prawdziwego. Naturalnego. Chcę być z tobą. A czy ty chciałabyś być ze mną?

Odwrócił mnie do siebie i spojrzał mi łagodnie w oczy. Ułożyłam zalęknione usta w odpowiedź szeptem:

– Tak.

Dan odgarnął mi włosy z czoła i przesunął palcem po policzku.

– Wszystkiego najlepszego, Grace. – Musnął ustami moje usta.

– Nie!

Odskoczyliśmy od siebie. Siobhan weszła między nas i oparła dłonie na biodrach.

– Siobhan – bąknęłam – ja...

– Taka z ciebie, kurwa mać, przyjaciółka? – Odwróciła się i pobiegła korytarzem w stronę drzwi. – Pożałujesz tego! – wrzasnęła przez ramię.

Odezwało się we mnie poczucie winy. Przecież wiedziałam, jak bardzo jej się podobał.

– Pójdę za nią.

Wysłałam na zewnątrz. Furtka prowadząca do ogrodu była otwarta. Ani śladu Siobhan.

Wsparłam się na kamiennym murku, żeby odzyskać równowagę i zaczerpnąć lodowatego powietrza. Księżyc zaczął się rozmywać, a mdłości powróciły i uderzyły z siłą tornada. Opadłam kolanami na twardą, mokrą ziemię i zwróciłam poncz na hortensję.

Usłyszałam czyjeś kroki na chodniku. Buty na wysokim obcasie. Pomyślałam, że to Siobhan wróciła nacieszyć się moim upadkiem.

Czyjeś dłonie zebrały mi włosy i przytrzymały je, głaszcząc chłodnymi palcami po czole, kiedy wstrząsnęła mną kolejna fala torsji.

– Babcia powiedziała, że cię tu znajdę.

Podniosłam głowę i gwałtownie nabrałam powietrza. To nie była Siobhan, tylko mama.

18.

Teraz

– Gdzie byłeś?

Stół przy śniadaniu ugina się od przetworów i oskarżeń. Dan otwiera słoik, wkłada do środka nóż. Korci mnie, żeby cmoknąć z niezadowoleniem, kiedy do pomarańczowej marmolady wpadają kawałki masła. Zanurzam czystą łyżeczkę w konfiturze truskawkowej i nakładam sobie na talerz.

– Wyskoczyłem z chłopakami na szybkiego.

– I byłeś z nimi aż do północy? – Nie chce mi się klócić przed pracą, ale jestem niewyspana i boli mnie głowa ze zmęczenia.

Leżałam w łóżku, zdenerwowana i z otwartymi oczami, dopóki nie usłyszałam, jak Dan próbuje trafić kluczem w dziurkę, a potem człapie chwiejnym krokiem na górę. Rozbierał się przesadnie powoli, a kiedy w końcu się zwałił na łóżko, odwróciłam się od jego alkoholowych wyziewów, nie chcąc wszczynać awantury w środku nocy. Pamiętałam, że Anna śpi w pokoju obok.

– Po prostu się martwiłam. Szkoda, że nie zostawiłeś wiadomości.

– Pomyślałem, że i tak nie zauważysz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że zwykle ślęczycie z Anną nad albumami ze zdjęciami. Gdyby tyle samo czasu poświęcała na szukanie pracy, ile poświęca na wypytywanie cię o Charlie, szybciej by się wyprowadziła.

– Chcesz, żebym pokazała jej drzwi?

– Miało być kilka dni, a zrobiły się trzy tygodnie. Zaraz będzie marzec.

– Wiem. – Nalewam sobie herbaty. Za długo się parzyła, jest czarna i niezbyt zachęcająca.

– Sądziłem, że mieliśmy skupić się na nas.

– Porozmawiam z nią.

– Nie. – Dan bierze łyk herbaty i wykrzywia usta. – Ja to zrobię. Tobie już wystarczy nerwów.

– Dzień dobry!

Oboje podskakujemy. Anna wstaje zwykle dopiero po naszym wyjściu do pracy. Ciekawe, ile zdołała usłyszeć. Pochylam głowę, żeby włosy zasłoniły mi czerwone policzki, i wpatruję się w stół, jakbym nigdy nie widziała czegoś bardziej interesującego od tego mebla.

Dan odsuwa krzesło, zapina koszulę pod szyją, poprawia krawat i rzuca: „Na razie”.

– Grace, czy mogę pożyczyć twój laptop? – pyta Anna. – Chciałabym porozysłać CV i poszukać mieszkania do wynajęcia. Nie będę nadużywać waszej gościnności.

– Jasne, bierz. I wiesz, że możesz u nas mieszkać tak długo, jak zechcesz. – W myślach przepraszam Dana, zbierając ze stołu okruchy chleba i poczucia winy.

Po pracy mamy w przedszkolu spotkanie robocze, ale trudno mi się skupić na jego przebiegu. Nie chcę, żeby Anna się wyprowadziła, ale rzeczywiście Dan i ja musimy poświęcić więcej czasu naszemu związkowi. Może powinniśmy wyjechać na weekend? Nadal nie

wróciliśmy do tematu seksu. No, ale gdybyśmy zaczęli działać w tym kierunku, Anna usłyszałaby trzeszczenie zagłówka i skrzypienie sprężyn.

Mam napięte mięśnie pleców, czuję to, zwłaszcza kiedy jadę do domu. Leje jak z cebra, wycieraczki uwijają się na najwyższej prędkości, ale i tak niewiele widać. Prowadzę więc ostrożnie. Na poboczu tworzą się kałuże, a grube krople deszczu odbijają się od maski. Przykładam dłoń do nawiewu. Szczękam z zimna, bo powietrze nie zdążyło się jeszcze nagrzać. Nie mogę się doczekać, kiedy wejdę do wanny z gorącą wodą, zeskrobie plakatówki z paznokci i zmyję brokat z włosów. Postanawiam, że na kolację będzie chińszczyzna. Usiądziemy na kanapie z laptopem i rozejrzemy się za pensjonatami gdzieś na wsi. Anna ucieszy się, że zyska kilka dni tylko dla siebie. No i zaopiekuje się Łapcią.

Wyrywa mnie z zamyślenia ostry, biały blask. Muszę zmrużyć oczy, bo ledwo widzę drogę. Mrugam reflektorami do kierowcy wozu jadącego z naprzeciwka: „Obniż światła, kretynie!”. We wstecznym widzę, że samochód zatrzymuje się z piskiem i zawraca. Ściszam radio. Skupiam się na krętej szosie. Słyszę wycie silnika. Migają światła. Auto mnie dogoniło. Jest tak blisko, że niemal dosłownie wisi mi na zderzaku.

Pocą mi się dłonie. Zdejmuję je – najpierw jedną, potem drugą – z kierownicy i wycieram o spodnie. Stopą naciskam pedał gazu. Jadę coraz szybciej wiejskimi drogami, które dobrze znam, ale obcy samochód wciąż siedzi mi na ogonie. Trąbi. Miga. Zaczynam się poważnie bać. Nie lubię jeździć tak szybko. I nie przepadam za kierowaniem po ciemku, zwłaszcza w taką pogodę. Dochodzę do stu dwudziestu na godzinę. To o wiele za dużo na mokrej, pełnej ostrych zakrętów drodze i nierównym asfalcie, ale nie potrafię się zmusić, żeby zwolnić. Na łukach opony piszczą i ślizgają się na mokrej nawierzchni. Przypomina mi się film, który kiedyś oglądałam, o seryjnym zabójcy ścigającym kierowcę samochodu, i pochylałam się do przodu, tak jakbym mogła tym gestem zmusić auto do jeszcze szybszej jazdy. Docieram do mojego zjazdu, naciskam hamulec, skręcam ostro w prawo i się zatrzymuję. Opony tracą przyczepność i znosi mnie nieco na bok. Drugi samochód nie skręca za mną, ale zatrzymuje się kawałek dalej i stoi z włączonym silnikiem. Pomarańczowa poświata latarni rzuca blask na jego maskę. Jest czerwona. Wiem już na pewno, że to ten człowiek, który mnie śledzi.

Lewą dłonią ściskam kierownicę, a prawą kładę na klamce. No już, zrób to! Mogłabym wysiąść, podejść tam i zapytać, w co, do ciężkiej cholery, ten ktoś sobie pogrywa. Ręka mi się trzęsie. Czuję ból w dolnej części pleców, kiedy odwracam się całym ciałem. Słyszę bębnienie deszczu. Kierowca czerwonego auta otwiera drzwi. W kabinie robi się jasno i widać, że ciemna postać się porusza. Leje jednak tak bardzo, że dostrzegam jedynie zarys sylwetki, żadnych szczegółów. Wiem, że powinnam uciec do domu, ale siedzę jak sparaliżowana. Jesteśmy jak wąż i jego zaklinacz.

Klakson. Tuż za czerwonym samochodem zatrzymuje się autobus, którego kierowca zaczyna niecierpliwie trąbić. Zamykają się drzwi, gaśnie światło w kabinie i wóz rusza – a ja mam poczucie, że udało mi się uniknąć... nie wiem czego. Opieram czoło na kierownicy. A potem zmuszam trzęsące się nogi do pracy, naciskam pedał gazu i pędzę do domu.

– Dan!

W domu wita mnie zapach pieczenia wołowej. Na stole w salonie zapalone świece i zastawa dla dwóch osób. Na ławie duży wazon z różowymi różami.

– Jesteś później. – Anna wychodzi z kuchni, wycierając dłonie o mój fartuch.

– Miałam spotkanie w pracy. Gdzie Dan? – Słyszę, że sapie.

– Wyszedł. Zostałyśmy same.

– Powiedział dokąd?

– Nie, rzucił tylko: „Nie czekajcie na mnie”. Wszystko dobrze? Błada jesteś.

Otwieram usta, żeby opowiedzieć jej, co się wydarzyło, ale uświadamiam sobie, jak absurdalnie to zabrzmiało: „Spotkałam samochód na drodze i się przestraszyłam. Chyba ktoś mnie śledzi”. Ot, bujna wyobraźnia, powiedziałałaby babcia.

– Muszę się napić.

Na stole stoi shiraz. Nie jest to moje ulubione wino, ale się nada. Otwieram butelkę, wlewam całkiem sporo do dużego kielicha i wychylam wszystko. Alkohol pali mnie w przełyk i momentalnie zaczyna szumieć mi w głowie.

– Gracie, na pewno wszystko w porządku?

– Tak. – Nalewam kolejny kieliszek. – Spójrz za okno, dobrze?

– Czego mam szukać? – Podchodzi do okna i rozsuwa zasłony.

– Samochodu.

Patrzy w prawo, potem w lewo.

– Widzę tylko twój. – Odsuwa się od okna i puszcza zasłony, które schodzą się, jakby miały wszyte magnesy. Do środka wpada jedynie wąski promień światła. Cofam się pod ścianę. Boję się, że ktoś zagląda do domu.

– Grace, co się dzieje?

– Nic takiego. Idę się przebrać. – Po drodze zatrzymuję się przy drzwiach wejściowych i upewniam, że są zamknięte. Pokonuję trzy schodki, cofam się, sprawdzam ponownie, szarpiąc za klamkę, i dodatkowo zakładam łańcuch. „Jesteś bezpieczna – powtarzam sobie. – Jesteś bezpieczna”.

Sprawdzam telefon: żadnych nieodebranych połączeń ani esemesów od Dana – to tyle, jeśli chodzi o naszą pogadankę o informowaniu się nawzajem. Połykam kawałek tabletki, zdejmuję ubranie, które noszę w pracy, i wrzucam je do kosza na brudy, po czym wchodzę pod prysznic. Spłukuję zimny pot i strach powrotu do domu. Wycieram się i ubieram – i czuję, jak oblewa mnie znajome ciepło po zażyciu leku. Lęk się ulotnił.

Biorę kieliszek, który podaje mi Anna. Czuję się niewyraźnie, ale co tam, przecież jest piątek. W piątki się pije, tak?

– Miałaś udany dzień? – pytam.

– Produktywny. Wysłałam oferty do kilku miejsc. Znalazłam też parę przyjemnych mieszkań. Niestety, będę musiała założyć wysoką kaucję i zapłacić za pierwszy miesiąc z góry...

– Mogę ci trochę pożyczyć.

– Nie wygłupiaj się. Dam sobie radę. No, ale mam dla ciebie niespodziankę. To takie małe podziękowanie za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. – Podaje mi kopertę.

– Co to jest?

– Otwórz.

W środku znajduje się bon prezentowy do spa.

– Na jutro. Mam nadzieję, że niczego nie zaplanowałaś? Dan mówił, że idzie na mecz.

– Nie, nie mam żadnych planów. To musiało sporo kosztować.

– Wcale nie. Znalazłam na Grouponie. Wyszło właściwie za darmo.

– Dziękuję. – Naprawdę się cieszę. Czytam na głos listę zabiegów, a Anna podaje jedzenie. – Masaż czekoladą, maseczka ze skórki pomarańczowej... – Cieknie mi ślinka. – Az chciałoby się to zjeść.

– Spróbuj lepiej tego. – Pieczeń jest różowa, a polane gęsim tłuszczem ziemniaki kruche. Nie zmieszczę deseru, myślę, ale kapituluję przed tiramisu pod przyprószoną czekoladą śmietanową pierzyną. Smakuje równie wyśmienicie, jak wygląda.

– Dan nie wie, co traci. – Czuję, że zaraz dżinsy pękną mi na brzuchu, więc odchyłam się na krzesło i rozpinam guzik.

– Prawda. Bo to dureń. – Nie słyszałam wcześniej takiej goryczy w głosie Anny. – Grace, nie wiem, jak ci to powiedzieć, więc nie będę owijała w bawełnę.

Prostuję plecy.

– Słyszałam, jak przed wyjściem Dan rozmawiał przez telefon. Umawiał się z kimś.

Zastygam, ale po chwili się otrząsam. Nie zakładaj od razu najgorszego, Grace, upominam sama siebie. Wpatruję się bacznie w Annę.

– Pewnie z Harrym.

– Czy zwraca się do Harry’ego per „kochanie”?

Mam wrażenie, jakby nagle spadła temperatura w domu. Poprawiam sweter.

– Jesteś pewna, że to powiedział?

– Tak mi się wydaje. Nie chciałam ci o tym mówić, ale pomyślałam sobie: „Co zrobiłaby Charlie na moim miejscu?”.

Brandy i śmietana tańczą oberka w moim brzuchu. Robi mi się niedobrze. Czemu zawsze muszę się przejadać?

– Mogłam źle usłyszeć. Telewizor był włączony. Przepraszam, chyba jednak nie powinienam była nic mówić. – Anna nagle wstaje i zaczyna zbierać brudne naczynia i sztućce.

Zaciskam powieki i kiedy je otwieram, już jej nie ma. Poszła do kuchni. Świeca migocze i syczy, ledwo świeci w kurczącej się kałuży wosku. Czarne cienie krążą po ścianach – to obcy z moich koszmarów, potwory spod mojego łóżka. Przechodzą mnie dreszcze. Zdmuchuję świeczkę i zapalam światło.

Anna wlewa gorącą wodę do miski, woda pieni się i wymyka spod kontroli – to zupełnie jak moje myśli.

Wyrzucam resztki z kolacji do kosza. Tłuszcz z pieczeni i niedojedzony groszek lądują na karteczce w linie. Rozpoznaję pismo Dana. Wyławiam kartkę z kosza i strzepuję obierkę, która się do niej przykleiła.

„Idę na piwo z Harrym. Do zobaczenia później”.

– Anno, czy to ty wyrzuciłaś tę kartkę?

Czyta, co jest napisane.

– Nie.

– Dlaczego Dan napisał mi wiadomość, a potem ją wyrzucił?

– Może bał się, że sprawdzisz, czy naprawdę umówił się z Harrym? Że przyłapiesz go na gorącym uczynku? A może po prostu wiatr ją zwiął? Kiedy gotowałam, otworzyłam drzwi do ogrodu. Wysunęłam kosz, bo wrzucałam obierki. Dopiero potem zamknęłam drzwi, bo wydawało mi się, że ktoś się kręci na zewnątrz.

– Słucham? Ktoś był w ogrodzie, a ty dopiero teraz mi o tym mówisz?

Wściekła wrzucam sztućce do miski. Spieniona woda chlapie na podłogę. Podchodzę do kuchennych drzwi, szarpnięciem za klamkę, żeby się upewnić, czy są zamknięte, i wyglądam przez szybkę na ogród.

– Pewnie tylko mi się wydawało. Było ciemno.

– Mimo wszystko. Przecież wiedziałabyś, gdybyś kogoś zobaczyła.

– Albo coś. Nie jestem przyzwyczajona do życia na wsi. Łatwo mnie przestraszyć.

Niewykluczone, że po prostu jakiś borsuk przeciskał się pod żywopłotem.

Zasuwam roletę na kuchennych drzwiach i zaciągam zasłony w kuchni. W milczeniu kończymy sprzątać, po czym idę na górę położyć się i poczytać. Pan Rochester właśnie doprowadza Jane Eyre do płaczu, kiedy nagle słyszę walenie do drzwi. Zamykam książkę i ważę

ją w dłoni – czy przyda się jako broń? Wrócił, myślę. Ten, którego Anna widziała w ogrodzie. Powinnam była zadzwonić na policję.

Znowu walenie do drzwi. I gluhe uderzenie o szybę. Czyjś głos.

– Grace!

To Dan. Przypominam sobie, że założyłam łańcuch na drzwiach, i biegnę na dół.

– Po co ten łańcuch?

– Gdzie byłeś? – Zakładam ręce na piersi.

– Z Harrym. Przecież zostawiłem ci kartkę.

– Nazywasz Harry’ego „kochanie”?

– Jasne, że nie. O czym ty mówisz? – Dan ściąga adidas. – Wszystko w porządku? Masz czerwone oczy.

– Jestem zmęczona. – Nic się nie klei. – Anna słyszała, jak przez telefon mówiłeś do kogoś „kochanie”.

– Tak? – Dan rzuca adidas na wycieraczkę.

Odbijają się od drzwi. Kawalki błota lecą na dywan.

– I pewnie oczekujesz, że jeszcze po tobie posprzątam?

– Nie oczekuję od ciebie n i c z e g o poza tym, żebyś uwierzyła mnie, a nie jakiejś obłąkanej żolzie, którą znasz pięć minut.

– Mów ciszej.

– Bo co? Bo ta twoja kochana Anna podsłucha i wszystko przekręci? Jak będę miał ochotę wrzeszczeć, to będę wrzeszczał. To mój dom, do cholery!

– N a s z dom, do cholery! To gdzie byłeś?

– W klubie, z Harrym. Zapytaj Chloe, jak mi nie wierzysz. Była z nami. Wyobraź sobie, że istnieją jeszcze dziewczyny, które chcą spędzać czas ze swoimi chłopakami.

– No, bo może ich chłopaki nie zwracają się do innych dziewczyn per „kochanie”. –

Wracam na górę, rzucam się na łóżko i leżę sztywno.

Słyszę tłumiony dźwięk telewizora, który przenika przez strop. Dan ogląda jakiś film z pościgami i strzelaninami. Mam wrażenie, że mijają godziny, zanim w końcu morzy mnie sen. Śnią mi się porwane karteczki, czerwone corsy i schowana w krzakach postać w czarnej, wywatowanej kurtce.

19.

Teraz

Wszystko jest nieskazitelnie białe: puszysty szlafrok, kapcie, podłoga, płytki na ścianach. Gdyby nie było tak ciepło, pomyślałabym, że wylądowałam gdzieś za kołem podbiegunowym. Wkładam rzeczy do szafki i chowam kluczyk do płóciennej torby, w której znajdują się już ręcznik i książka, *Dziwne losy Jane Eyre*. Zgrzytają drzwi do sąsiedniej kabiny i wychodzi Anna. Jej drobne ciało tonie w szlafroku; widząc to, zawiązuję pasek mojego nieco ciaśniej.

– Gotowa?

– Gotowa.

– Najpierw do sauny?

– Nigdy nie byłam.

– Naprawdę? Wobec tego koniecznie musimy pójść. Zostaw tu łańcuszek. W saunie metal się rozgrzeje i cię poparzy.

Obracam w palcach złote serca.

– Nigdy go nie zdejmuję.

– Zauważyłam. Dan ci go kupił?

– Nie. Charlie.

– W szafce nie zginie. A będzie przeszkadzał i w saunie, i podczas masażu.

Ostrożnie zdejmuję łańcuszek, zapinam go i chowam do kieszeni kurtki.

– Idziemy.

Wieszamy torby i szlafroki na kołkach przy wejściu do sauny. Anna otwiera drzwi i nagłe uderzenie rozgrzanego powietrza zapiera mi dech. Wchodzę za nią do ciemnego wnętrza i naśladuję jej ruchy. Rozkłada ręcznik na drewnianej ławie i zzuwa kapcie.

– Wszystko w porządku?

– Nie spodziewałam się, że będzie aż tak gorąco.

– Szybko się przyzwyczaisz. Wiesz, tak się zastanawiałam, czy mogłybyśmy jutro odwiedzić Lexie.

– Anno, przepraszam, ale jeszcze nie rozmawiałam z nią o tobie. Zrobię to, obiecuję, ale do tej pory nie miałam okazji.

– Może zrobimy jej niespodziankę?

– To chyba nie jest dobry pomysł. Ona nadal jest w kiepskim stanie.

– Odwiedziny poprawią jej nastrój, nie uważasz?

– Kto wie? Porozmawiam z nią. A może jutro wybierzesz się z nami na niedzielny obiad u dziadków? Nie mogą się doczekać, kiedy cię poznają. No i znają mnóstwo opowieści o Charlie.

– Okej. – Anna kładzie się i zamyka oczy.

Robię to samo. Pot spływa mi strużkami po całym ciele. Kilka minut później Anna proponuje, żebyśmy poszły popływać, i kiedy wstaję, mam mroczki przed oczami. Trzymam się ławki, żeby nie stracić równowagi. Prysznic i chłodny basen przynoszą sporą ulgę. Pływam tam i z powrotem do utraty tchu, a potem odwracam się na plecy i unoszę na wodzie. Anna pierwsza wychodzi z basenu. Uda ma pokryte pomarszczonymi bliznami; nie zauważyłam tego wcześniej. Zastanawiam się, co się z nią działo po śmierci rodziców. Bywa bardzo skryta.

Idę wzdłuż basenu, pamiętając, że podłoga jest śliska. Wielu gości przyszło w japonkach; zapisuję w pamięci, żeby zrobić to samo, jeśli jeszcze kiedykolwiek pójdę do spa. Jest tak ciepło,

że nawet się nie wycieram, tylko podsuszam włosy ręcznikiem, siedząc na brzegu fotela Anny.

– Anno, czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Możesz. Najwyżej nie odpowiem.

– Co się z tobą stało po tym, jak rodzice...?

– Trafiłam na krótko do rodziny zastępczej, ale nic z tego nie wyszło.

– Dlaczego?

– Myślę, że niektóre dzieci trudno kochać. Byłam zła, wściekałam się. Chciałam do mamy. Głodna? – Anna wstaje i składa swój ręcznik na czworo. Czuję się dotknięta tym, że nie ufa mi na tyle, by się zwierzyć.

Lunch jest w formie szwedzkiego stołu. Po basenie jestem pełna samozadowolenia, toteż nakładam solidną porcję kolorowych sałatek i zimnego ryżu. Nie potrafię się oprzeć deserom i pochłaniam dwa kawałki sernika, mówiąc sobie, że później to wypływam. Po kawie i czekoladkach czuję się jednak taka pełna, że nie dam rady się ruszać, i w końcu lądujemy w jacuzzi. Zanurzam się po samą brodę.

– W ilu rodzinach zastępczych byłaś? – dociekam.

– Na pewno nie w tylu, ile kalorii pochłonęłaś. Patrz, jakie ciacho. – Anna pokazuje brodą na faceta, który rozkłada ręcznik na fotelu.

– Ale wielkie bicepsy.

– Nie tylko bicepsy. Spójrz na spodenki.

Odwracam wzrok.

– Nie mój typ.

– Ja nie mam swojego typu. Wystarczy, żeby potrafił mnie rozśmieszyć.

– Dan jest zabawny. – Widzę jej minę, lekko pogardliwą. – Nie, poważnie, zwykle jest, to znaczy był, zabawny – upieram się, ale nie wiem, czemu sama siebie spycham na pozycję obronną.

– Jak to: był? Co się stało?

– Nie potrafiłam sobie poradzić po śmierci Charlie. To był dla mnie ogromny wstrząs. Zastanawiałam się, czy nie ciąży nade mną klątwa. Nie mogłam spać ani jeść. Nieustannie warczałam na Dana, miałam mu za złe, że nie wie, jak sprawić, abym poczuła się lepiej. Zaczął wychodzić z domu każdego wieczoru, wołał mnie unikać, pił. Zawsze niechętnie rozmawiał o uczuciach. Ostatnio co prawda trochę się poprawiło. Związek to ciężki kawałek chleba i chyba po prostu trzeba przyjmować rzeczy takimi, jakie są. Chcę, żeby nam się ułożyło. Oboje tego chcemy.

– No jasne.

– Jak długo jesteś sama?

Anna bawi się kosmykiem włosów.

– Za krótko!

– Nieprzyjemne rozstanie?

– A jakieś jest przyjemne? Nie wiem, czy wierzę w radosne „żyli długo i szczęśliwie”.

W życiu wygląda to inaczej, prawda? Mam sielankowe wspomnienia o rodzicach, ale może dlatego, że umarli, zanim zaczęło między nimi zgrzytać? Związki prędzej czy później się rozpadają. Wszystkie. Nie jest tak? – Przygląda mi się uważnie.

– Moi dziadkowie radzą sobie całkiem nieźle. W tym roku obchodzą złote gody.

– No, to mają szczęście. Albo może są bardziej tolerancyjni niż cała reszta. Kiedy potrafisz pogodzić się z wadami drugiego człowieka, akceptujesz jego błędy, wybaczasz mu, to się nazywa prawdziwa miłość, nie sądzisz?

– Pewnie tak. – Zastanawiam się, czy powinno się pójść na kompromis i zaakceptować

drugiego człowieka takim, jaki jest, czy też oznacza to zgodę na mniej, niżby się naprawdę chciało? Nie jestem pewna.

– A twoi rodzice? – pyta Anna.

Nie odpowiadam, bo podchodzi do nas, kołyszając biodrami, dziewczyna w czarnej tunice i z notatnikiem w ręku. Wygląda, jakby była świeżo po szkole. Ciekawe, że w tym gorącu nie spływa jej gruby makijaż, który ma na twarzy. Nie zawsze zwracam sobie głowę malowaniem się, ale kiedy już to robię, bardzo szybko okazuje się, że nos zaczyna mi się świecić, tusz się rozmazuje, a szminkę zamiast na ustach mam na zębach. Dobrze, że Dan woli naturalny wygląd – ale czy nie jest tak, że mężczyźni tylko tak mówią? Kobiety, które oglądają w czasopismach, w telewizji, i na które zerkają na ulicach, są efektowne i arcychude. Słowem: zupełnie inne niż ja. Zupełnie inne niż większość znanych mi kobiet.

– Grace Matthews?

– To ja.

Pokazuje w uśmiechu niewiarygodnie białe zęby.

– Mam na imię Caroline. Zrobię pani masaż aromaterapeutyczny. Proszę za mną.

W pomieszczeniu panuje półmrok. Zamontowane na ścianach lampy w kształcie świec rzucają mandarynkowy blask na stół do masażu. Z podłączonego do wieży iPod'a sącą się dźwięki fletni Pana. Rozbieram się i kładę na brzuchu na czekoladowym sztucznym futerku, które mnie łaskocze. Caroline przykrywa mnie miękkim kocem z misia. Wdycham olejki zapachowe i modłę się, żeby tyłek zanadto mi się nie trząsał podczas masażu. Caroline rozgrzewa dłońmi olejek lawendowy, a jej palce zaczynają rozbijać moje mocno zaniedbane mięśnie. Kiedy przesuwa nasadą dłoni po obu stronach kręgosłupa, przestają się przejmować cellulitem. Moje powieki robią się ciężkie.

– Grace, pora się ubierać. – Szept i delikatna dłoń na ramieniu.

Siadam na stole zdezorientowana. Szybko mrugam oczami. Czuję się, jakbym wyszła z kina prosto na prażące słońce. Caroline podaje mi szklankę wody. Biorę łyk.

– To była czysta magia. Dziękuję.

Kiedy wracam nad basen, czuję się lekka.

– Twoja kolej – mówię do Anny.

Siadam na fotelu. Nie chcę wchodzić do wody, bo zmyłabym z siebie olejki. Mam taką miękką skórę... Zamykam oczy i odpływam. Budzę się, kiedy Anna zaczyna mną lekko potrząsać.

– Pora do domu, śpiochu.

– Musimy? – Ziewam i prostuję plecy. – Tak mi tu dobrze, że mogłabym zostać do końca życia.

– Znudziłoby ci się.

Nie wiem, jak można się tym znudzić, ale trudno, idę za Anną do przebieralni. Wyjmuję kluczyk z torby, otwieram szafkę, biorę rzeczy i zajmuję wolną kabinę. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuła się tak rozluźniona. Powoli szczotkuję włosy, a potem sięgam do kieszeni kurtki po łańcuszek. Nie ma. Dostałam go od Charlie na piętnaste urodziny i od tamtej pory właściwie nigdy nie zdejmowałam. Czuję, że kręci mi się w głowie. Sprawdzam jeszcze raz. Kieszeń jest pusta. Pozostałe też są puste. Ogarnia mnie panika. Gdzie łańcuszek? Strach ściska mi żołądek. Wypadam z hukiem z kabiny i prędko wracam do szafki, dla pewności rozglądając się po podłodze. Nie ma.

Zagryzam wargę. Myśl, Grace! Przeszukuję torebkę. Wszystko jest na swoim miejscu. Oprócz łańcuszka.

– Co się stało?

Anna wychodzi spod prysznicza cała mokra.
– Łańcuszek zginął.
– Jak to: zginął?
– No zginął. Nie ma go. – Gryzę się w wargę, żeby się nie rozplakać.
– Musi być. – Anna sprawdza szafkę i kieszenie. – Nie rozumiem. Ktoś go wziął?
– Jak? Szafka była zamknięta. Klucze zostawiłam tobie, kiedy poszłam na masaż.
Zaglądałaś do mojej szafki? – Zakładam ręce na piersi.
– Nie. Oczywiście, że nie. Zastanówmy się. Czy w którymkolwiek momencie klucz znajdował się poza zasięgiem twojego wzroku?
– Nie. – Przysiadam na ławce. – Fakt, że zasnęłam po masażu. Torba stała na podłodze obok stołu.
– Czyli ktoś mógł wyjąć z niej kluczyk.
– I ukradł łańcuszek, ale zostawił telefon i portfel, a potem włożył kluczyk na miejsce, zanim się obudziłam?
– Mało przekonujące, prawda? Chodź, zapytamy w recepcji.
Czekam niecierpliwie, aż Anna się ubierze, a potem szybko idziemy do recepcji, w której kilka godzin wcześniej zameldowałam się w radosnym nastroju.
– Usiądź – mówi Anna. – Poproszę, żeby zawołali kierownika.
Siadam na brzegu krzesła o wysokim oparciu i chwytam się blatu stołu. Kłykcie mam białe jak śnieg. Przepraszam cię, Charlie, bardzo przepraszam.
Anna rozmawia półgłosem z kobietą w czarnej ołówkowej spódnicy i białej bluzce. Kobieta co raz zerka na mnie. Ma czoło wygładzone botoksem oraz lśniące, łukowate i zupełnie nieelastyczne brwi. Nie sposób powiedzieć, czy jest zaskoczona tym, co słyszy. Podchodzi do mnie chwiejnym krokiem i wyciąga opaloną dłoń.
– Mam na imię Tina. Może przejdziemy do przebieralni? – Prowadzi nas. – Którą szafkę pani zajmowała?
Pokazuję jedną ze znajdujących się w dolnym rzędzie.
– Proszę spojrzeć. Widzę szczelinę pomiędzy drzwiczkami a podstawą. Czy chodzi o cienki łańcuszek?
– Raczej tak.
– Moim zdaniem niewykluczone, że wysunął się, kiedy wyjmowała pani kurtkę z szafki, a następnie wpadł w szczelinę. Jak pani sądzi?
Z sercem w przelyku badam szczelinę dłonią. Przypominam sobie, jak wyjmowałam ubrania: w jednym tobołku, tak żeby wziąć wszystko naraz.
– To możliwe.
– Myślę, że to racjonalne wytłumaczenie. Nigdy się nie zdarzyło, żeby coś u nas ukradziono.
– Jak mogę go odzyskać?
– Czy jest cenny?
– Ma dla mnie ogromną wartość sentymentalną.
– Wobec tego proszę się nie martwić. Znajdzie się, kiedy będziemy odnawiali i wymieniali szafki. Proszę zostawić nazwisko i numer telefonu. Skontaktujemy się z panią.
– Kiedy to będzie? – Jestem zdesperowana.
– Nie potrafię podać dokładnej daty, ale na pewno prędzej niż później. Stale ulepszamy i rozwijamy nasz obiekt. Dlatego goście do nas wracają. Czy dostała pani ulotkę o członkostwie w klubie? – Odwracam głowę od jej olśniewającego uśmiechu.
Anna głaszcze mnie po ramieniu.

– Strasznie mi przykro, Grace. Wiem, ile znaczył dla ciebie ten łańcuszek. Kupimy ci drugi.

– To nie będzie to samo. To nie będzie łańcuszek od Charlie.

– Nie, ale będzie ode mnie. – Anna uśmiecha się i naraz cieszę się, że jest ze mną. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

20.

Wtedy

Wyruszyliśmy z mamą spod domu Lexie i dotarliśmy do dziadków, kiedy już wstawał dzień. Usiadłyśmy przy drewnianym stole, obejmując dłońmi kubki z gorącą kawą. Mokra po prysznicu włosy spływały mi na ramiona, ale przynajmniej nie cuchnęły wymiocinami, tylko pachniały jabłkowym szamponem. Poczułam się trochę skrępowana w samej pidżamie, więc nałożyłam dodatkowo szlafrok, żeby zasłonić kolana. Było zimno. Włączyłam ogrzewanie. Po chwili zaczęło pykać w rurach – znak, że woda nabiera temperatury.

- Lepiej wysusz włosy, bo się przeziębisz.
- Zjawiasz się po dziesięciu latach i chcesz mi mówić, co mam robić?
- Nie. – Mama uniosła kubek do ust i podmuchała. – Masz rację.
- Więc czego chcesz?
- Porozmawiać.
- Nie mam ochoty.

Nie czułam się na siłach, żeby teraz się z tym mierzyć. Było mi wstyd, ale nie wiedziałam, czy przez to, co zrobiłam, czy może z powodu tego, co teraz mówię. Wzięłam duży łyk kawy, licząc, że rozjaśni mi w głowie. Gorący napój poparzył mnie w język, łzy napłynęły do oczu. Wstałam, otworzyłam zamrażalnik i wzięłam do ust kostkę lodu.

– A ja tak. Kochanie, bardzo mi przykro, że cię zostawiłam, ale jesteś już na tyle duża, że na pewno rozumiesz. To nie tak, że mi na tobie nie zależało. Nie czułam się dobrze. Było mi trudno pogodzić się z tym, co się wydarzyło.

„Co się wydarzyło?”. Poczułam się, jakbym nagle zaczęła rosnąć: moje płuca napierały na żebra, a skóra się rozciągała. I naraz znalazłam się tam, w przeszłości, w dniu, który tak usilnie starałam się zapomnieć.

Obudziłam się w bladej poświacie słońca, którego promienie przenikały przez cienkie żółte zasłony. Było jeszcze wcześniej, ale tego dnia wypadały moje dziewiąte urodziny, dlatego rozemocjonowanie brało we mnie górę nad sennością. Przebrałam się w dżinsy i sweter, związałam włosy w kucyk i zbiegłam boso na dół. Mama krzątała się w kuchni przy grającym radiu, przygotowywała ciasto na Yorkshire pudding, który mieliśmy zjeść na lunch.

– Dzień dobry! – zawołałam, mijając wejście do kuchni i kierując się w stronę jadalni, z której dolatywały dźwięki pianina.

Usiadłam obok taty na wytartym taborecie i oparłam głowę na jego ramieniu.

– Tato, możemy dziś pójść do parku?

Pochylił nieco czoło i posłał mi długie, poważne spojrzenie sponad okularów.

– Grace, naprawdę powinnaś poćwiczyć przed egzaminem w przyszłym tygodniu.

– A nie moglibyśmy poćwiczyć po lunchu?

– W porządku. – Uśmiechnął się. – Zjedz śniadanie i ubierz się ciepło. Na dworze jest zimniej, niż się wydaje.

Pobiegłam do kuchni i wtrząchnęłam grzankę z marmite'em. Mama obierała pasternak na obiad. W radiu Electric Light Orchestra obiecywała błękitne niebo. Tata przyniósł moją kurtkę i buty.

– *It's a beautiful new day* – podśpiewywał z Jeffem Lynne'em. – *Hey, hey.* – Byliśmy gotowi do wyjścia.

– Wróćcie przed pierwszą. I nie objadajcie się lodami... – zaznaczyła mama.

– ...bo nie dostaniecie deseru – dokończyliśmy z tatą chórkami.

Mama pocałowała tatę, a mi wręczyła reklamówkę z chlebem dla kaczek.

Tata zamknął moją rączkę w swojej dłoni i poszliśmy, po drodze wymyślając historyjki i szeleszcząc obutymi w kalosze nogami w pomarańczowych i brązowych opadłych liściach. Byłam okutana w różową puchówkę, która chroniła przed zimmem, ale mróz i tak szczytał w odsłonięte policzki. Maszerowaliśmy rażno przed siebie, odważnie wskakując we wszystkie kupki liści, które leżały na chodniku. Bo w każdej mogło się znajdować przejście do innego świata, równoległego uniwersum, w którym, jak postanowiliśmy, żyją wierne kopie nas. „Nie licząc mojego maćka”, zaznaczył tata, klepiąc się po okrągłym brzuchu.

Dotarliśmy do parku, skierowaliśmy się od razu do stawu. Tata sięgnął do reklamówki z czerstwym chlebem.

– Dla was odjąłem sobie od ust pudding z chleba – oznajmił kaczkom. – Mam nadzieję, że jesteście mi chociaż wdzięczne.

Kiedy gęsi zaczęły rozpychać się wśród kaczek, schowałam się za tatę. Tydzień wcześniej jedna z nich capnęła mnie za palec. Kiedy skończył się chleb w reklamówce, usiedliśmy na tej samej ławce co zawsze i patrzyliśmy, jak ojcowie i synowie puszczają po stawie zdalnie sterowane łódki, które zostawiały na wodzie spienione smugi.

Tata wyjął opakowanie truskawkowych ciągutek i przez chwilę pracowicie memłaliśmy cukierki w buzi. Dzwon w kościele wybił dwunastą. Zobaczyłam błysk żółtego światła na szczycie wzgóрка.

– Lody!

– Nie będziesz chciała zjeść obiadu.

– Jeden mały... proszę...

Tata zsunął okulary na grzbiet nosa i pokiwał przyzwalająco głową. Zerwałam się z ławki i pognałam przed siebie. Nogi rozjeżdżały mi się na mokrej trawie.

– Poczekaj na mnie przy jezdni! – zawołał tata.

Zasapana dotarłam na szczyt wzgóрка. Furgonetka z lodami zaparkowała na drugiego i już zaczęła ustawiać się do niej kolejka. Spojrzałam w lewo, potem w prawo i wyszłam na jezdnię. Usłyszałam pisk hamulców. Srebrny odbłask. Czulałam się, jakby ktoś mi przykleił stopy do asfaltu. Nigdy nie zapomnę miny mężczyzny, jego niemego krzyku, kiedy wbijał się plecami w fotel i obiema rękami ścisnął kierownicę. Jednocześnie zalała mnie fala gorąca i sparaliżowało przenikliwe zimno. W następnej chwili coś mnie uderzyło, uniosło w powietrze i obróciło. Upadłam jak długa. Miałam rozdarte spodnie i podrapane dłonie. Za mną nieruchomo leżał tata. Zepchnął mnie z drogi. Zobaczyłam kałużę krwi wokół jego głowy. Strzaskane okulary. W odłamkach szkła odbijało się słońce.

Jakaś kobieta w jasnoczerwonej czapce podbiegła do taty.

– Niech ktoś wezwie karetkę! – krzyknęła.

Zaczęli podchodzić ludzie. Jedni zasłaniaли usta rękami, nie mogąc odwrócić wzroku, inni zakrywali oczy i patrzyli przez palce, jak na horror w kinie.

Zapanował bezruch. I cisza, zupełna cisza. Nawet wiatr przestał poruszać liśćmi. Na ulicy wylądowało kilka gołębi i zaczęło dziobać cukierki, które wysypały się z kieszeni taty.

Podczołgałam się do niego.

– Obudź się – wyszeptałam.

Jego niewidzące oczy, brązowe jak moje, patrzyły na mnie, jakby próbowały przekazać

mi ostatnią wiadomość, której nie potrafiłam zrozumieć. Naraz ciszę wypełnił jęk syren. I głosy ludzi powtarzających: „O mój Boże” i „Widziałaś?”. Ktoś opatulił mnie drapiącym pomarańczowym kocem i zaprowadził do karetki.

Nie był martwy. W każdym razie ciało nie umarło. Odszedł jedynie umysł – tak powiedzieli, a ja nie potrafiłam pojąć, jak to możliwe, że wyglądał tak samo i w dotyku był taki sam, a mimo to jego istota przepadła. Co się z nią stało? Dokąd odeszła?

Mama zgodziła się na odłączenie aparatury podtrzymującej życie i wyjechała do siostry. Poczułam, że straciłam oboje.

– To była moja wina. – Pociągnęłam nosem. – Nic dziwnego, że potem nie mogłaś na mnie patrzeć.

– Och, Grace, tak myślisz? Byłam z twoim tatą, od kiedy skończyłam szesnaście lat. Myśl, że miałabym dalej żyć bez niego, była nie do zniesienia. Zachorowałam.

Mama podała mi chusteczkę i kiedy podwinął się jej rękaw, zobaczyłam biegnącą w poprzek nadgarstka kreskę lśniącą, pomarszczoną skórą.

– Próbowalaś się z a b i ć? – Wybuchła we mnie złość. – Przecież miałaś d z i e c k o!

– Załamalam się. Dziadek znalazł mnie w wannie dwa tygodnie po tym, jak się tu przeprowadziłyśmy. Babcia kazała zamknąć mnie w zakładzie. Nie chciała, żebym przebywała blisko ciebie. Kiedyś była świadkiem załamania własnej matki i wiedziała, jak to wygląda. Chciała ci tego oszczędzić. Kiedy mnie zwolniono, zamieszkałam z ciocią Jean. Dzwoniłam do ciebie, kochanie, ale wciąż odkładałaś słuchawkę, więc w końcu się poddałam. Żałuję, to był błąd.

– Babcia mówiła, że masz „chore nerwy”. Myślałam, że dlatego, iż działałam ci na nerwy.

– Nie byłam w stanie się tobą zająć.

– A potem? Wyzdrowiałaś?

– Minęło dużo czasu, zanim znów mogłam być twoją mamą, ale zanim to się stało, ty zdążyłaś przyzwyczaić się do mieszkania z dziadkami. Do tutejszej szkoły. Miałas Charlie. Byłaś szczęśliwa. Rozmawialiśmy o tym, żebym się tu przeniosła, ale wiem, jaka jest babcia. Narzekałaby, gorączkowała się i wtrącała we wszystko, a ja nie czułabym się jak twoja mama. Przecież nawet nie chciałaś rozmawiać ze mną przez telefon. Wróciłam więc do Devon. Tam czułam, że jestem bliżej twojego taty.

– Ale dalej ode mnie. On był martwy, za to ja żyła m.

– Wiem. Wtedy wydawało mi się to słuszne, najlepsze dla nas wszystkich, ale gdybym mogła cofnąć czas, postąpiłabym inaczej. Nie było dnia, żebym o tym nie myślała. Babcia informowała mnie o wszystkim, co się u ciebie dzieje, o ocenach w szkole, przysyłała mi twoje zdjęcia i nagrania z tobą. Widziałam, jak dorastasz. Ty jednak nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

– Nie wierzę, że babcia nigdy nawet nie wspomniała, że chcesz mnie odzyskać.

– Zrobiła to, co uważała za najlepsze. Długie lata była świadkiem, jak jej matka walczy z chorobą. Nie chciała narażać cię na to samo. Kocha cię. Wszyscy cię kochamy.

Chciałam coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko zaszlochałam. Płakałam jak bóbr, myślałam, że nigdy nie przestanę. Wraz ze łzami wylewał się ze mnie cały żal, który dusiłam przez lata. Mama podeszła i mnie objęła. Wtuliłam się w jej pierś, a ona pogłaskała mnie po włosach. Pachniała jak dawniej, perfumami Opium i lakierem do włosów Elnett. Nie chciałam jej puścić.

– Zabiłam go. Zabiłam tatę.

– Nie zrobiłaś tego, Grace. To nie twoja wina.

Jak miałabym przestać czuć to, co zawsze czułam? Wszyscy dokoła powtarzali, że to był wypadek. Babcia, dziadek, psycholożka Paula. Nawet Charlie. A moje serce? Otóż ono uważało inaczej. Poczucie winy przenikało każdą jego komórkę, rosło, zwielokrotniało się, aż w końcu stało się częścią mnie równie nieodłączną jak skóra. Jak kości.

– Gdybym... – nabrałam powietrza – ...gdybym nie wybiegła przed furgonetkę. Gdyby nie próbował mnie ratować. Wtedy ja bym zginęła. Nie on.

– Nie chciałby tego. Ani ja, ani nikt z nas. – Mama wyciągnęła do mnie rękę.

Odsunęłam się.

– Ale zabiłam go. – Trzasnęłam kubkiem o stół, aż kawa wylała się na sosnowy blat.

– Nie. To ja wyraziłam zgodę na odłączenie aparatury podtrzymującej życie. Mam nadzieję, że zdołasz mi to wybaczyć.

– Znienawidziłam cię za to. – Zaciśnęłam palce na uchu kubka tak mocno, że dziwię się, iż nie pękło.

– To była najtrudniejsza ze wszystkich moich decyzji.

Siedziałyśmy w milczeniu. Wytarłam rozlaną kawę chusteczką. Babcia byłaby wściekła, gdyby płyn wniknął w drewno. Wydawałoby się, że w środku nocy powinna panować cisza. Ale nie: lodówka buczała, zegar tykał, świat się kręcił. Mój świat rozpadł się dawno temu, ale oto teraz miałam szansę go poskładać.

– Przepraszam, że nie chciałam z tobą rozmawiać, kiedy do mnie wydzwaniałaś, ale nienawidziłam siebie, a gdy zniknąłaś, uznałam, że ty też mnie nienawidzisz.

Mama obracała złotą obrączkę, którą nosiła na palcu.

– Grace, nie mogłabym. Nie potrafiłabym cię znienawidzić. – Postawiła na stole niewielką torebkę na prezenty. – To dla ciebie. Wszystkiego najlepszego.

W torebce znajdowało się pudełko. Położyłam kciuki na wieczku i otworzyłam. W środku na czerwonym aksamicie spoczywał przedmiot, którego nie widziałam od lat.

– To twój pierścionek zaręczynowy. – Wodziłam palcem po lśniąącym brylancie i znowu płakałam.

– Chciałam dać ci coś, co byłoby prezentem również od taty. Byłby z ciebie dumny. Tak bardzo, jak ja jestem. Czy już za późno, żeby zacząć od nowa?

– Możemy spróbować.

Podaliśmy sobie ręce i ze splecionymi dłońmi przegadałyśmy całą noc aż do świtu.

21.

Teraz

Nieważne, jak często powtarzam sobie, że zgubienie łańcuszka, który był łącznikiem między mną a Charlie, nie ma znaczenia – bo przecież zachowałam wspomnienia – i tak nie potrafię pozbyć się pesymizmu, który krąży mi w żyłach. Codziennie przed pracą robię radosną minę, bawię się i śmieję z dziećmi. Udawanie kogoś, kim się nie czuję, pochłania całą moją energię. Kiedy wracam do domu, powieki ciężą mi ze zmęczenia, choć jest dopiero osiemnasta.

Anna codziennie gotuje, a Dan stara się skończyć pracę wcześniej, ale atmosfera w domu jest gęsta i napięta. Zdaję sobie sprawę, że przede wszystkim sama ponoszę za to winę. Dan jest opryskliwy w stosunku do Anny. Słyszę ich rozmowy prowadzone teatralnym szeptem, pełne gniewu i frustracji, i wiem, że ustają, kiedy wchodzę do pomieszczenia. Myślę, że zastanawiają się, jak poprawić mi nastrój, i jestem im wdzięczna za troskę.

Wczoraj załamałam się podczas rozmowy telefonicznej z mamą. Zaczęłam płakać do słuchawki, wydawałam z siebie wściekłe, dławiące szlochy, od których piekło mnie w piersi. Mama zaprosiła mnie do siebie, do Devonu. „Morskie powietrze dobrze ci zrobi”, powiedziała. Mimo że tęsknię za słoną, rozwiewającą włosy bryzą i piaskiem wsypującym się do butów, nie mogę zostawić Anny. Dopiero co ją odnalazłam.

Lexie zaczęła codziennie do mnie dzwonić. Czasem mówi klarownie, ale częściej rozwodzi się ospałym głosem, przesiąkniętym alkoholem. Nie rozłączam się, słucham jej przejmującego łkania, wiedząc, że dziesięć minut po tym, jak odłoży słuchawkę, nie będzie pamiętała o telefonie i pewnie za chwilę znów zadzwoni.

Parkuję przed domem zadowolona, że jest piątek, kiedy nagle odzywa się telefon. Wzdrygam się na samą myśl, że znów będę musiała rozmawiać z Lexie, i nawet kusi mnie, by nie odebrać, ale besztam się za to i sięgam po aparat. Na ekranie miga „Esmée”. Odprężam się i cieszę, że dla odmiany zanurzę się w problemach kogoś innego niż Lexie. Esmée zawsze, również przed przeprowadzką do Londynu, wiodła życie dużo ciekawsze od mojego.

Coś okropnie trzeszczy w słuchawce. Muszę wyłączyć silnik, żeby usłyszeć, co Esmée do mnie mówi. Kiedy opisuje swój ostatni wypadek do świata ekspresowych randek, po raz pierwszy od wielu dni na moich ustach pojawia się prawdziwy uśmiech.

– Miło z tobą pogawędzić, moja droga, ale nie dzwonię bez powodu – mówi Esmée. – To w sumie nic takiego, ale wydaje mi się, że ktoś ci zhakował konto na Hotmailu.

– Zhakował?

– No, włamał się. Przysłałaś mi parę linków.

– Jakich linków?

– Do pornosów. I to całkiem ostrych. Kliknęłam pierwszy link, bo myślałam, że chcesz mi, nie wiem, pokazać jakieś buty, które wypatrzyłaś, albo coś w tym stylu. Skasowałam te wiadomości, ale koniecznie musisz zmienić hasło.

Z przerażeniem i zażenowaniem myślę o adresach, które trzymam w zakładce „kontakty”. Dziadkowie, mama. Czy wszyscy otrzymali takie e-maile?

– Esmée, strasznie cię przepraszam.

– Nic się nie stało. To się często zdarza. Na przykład u nas w galerii w zeszłym tygodniu. Zamiast zaproszenia na wystawę dwustu potencjalnych klientów odebrało ofertę na zniżkę przy powiększaniu penisa.

Obiecuję Esmée, że niedługo ją odwiedzę – obie wiemy, iż tego nie zrobię. Siedzę w aucie zbyt ospała, by się ruszyć. Jest mi zimno i nieswojo. Światła w lusterku wstecznym. Dan. Czekam, aż zgasi silnik, otworzy drzwi i zabierze torbę na garnitur z tylnego siedzenia. Razem idziemy do domu. Anna ściera kurze ze zdjęć w korytarzu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio musiałam sprzątać.

– Nowy garnitur? – pytam Dana.

– Nie, oddałem stary do pralni. Potrzebuję go na jutro.

– A co jest jutro? – Szukam w pamięci.

– Uroczysta kolacja dla agentów nieruchomości. Jak co roku – wzdycha Dan. – Wpisałem do kalendarza. I przypomniałem ci w zeszłym tygodniu.

– Straciłam rachubę czasu.

Anna unosi brew.

– Z tonu twojego głosu wnoszę, że to przednia impreza.

– To bardzo formalne przyjęcie. Odbywa się zawsze w pierwszy weekend marca.

Wręczają nagrody najlepszym agentom w kraju, są przemowy... długie przemowy. – Dotykam grzbietu nosa.

– To ważne. W tym roku kandyduję do nagrody.

Robi mi się głupio, że nie wiedziałam, i ukrywam zażenowanie pod maską sztucznego entuzjazmu.

– Zasługujesz na to, żeby wygrać – mówię. – Ciężko pracujesz.

Nie pamiętam jednak, kiedy ostatni raz świętowaliśmy jakąś sprzedaż. Interes kręci się aż tak słabo, czy po prostu Dan przestał opowiadać mi o tym, jak minął mu dzień? A może to ja przestałam słuchać?

– W co się ubierzesz?

– Nie wiem, czy czuję się na siłach. Może byś zabrał Annę? – Wzdrygam się na samą myśl, że byłabym zmuszona prowadzić uprzejme rozmowy przy trzydaniowej kolacji.

Dan mruży oczy.

– Grace, wszyscy spodziewają się ciebie, nie Anny. Będzie miło, zobaczysz. Siedzimy obok Harry'ego i Chloe.

– Sukienka z wieczoru panieńskiego do niczego się nie nadaje, bo nie udało mi się wywabić plamy z wina, a nie wiem, czy pozostałe jeszcze na mnie pasują. – Myślę o pustych opakowaniach po ciastkach, których wszędzie pełno: w schowku w aucie, w mojej torebce, w szufladzie szafki nocnej, i dochodzę do wniosku, że pewnie nie wcisnę się w żadną kieckę.

– Mogę pójść... – wtrąca Anna.

– Nie – ucina Dan. – Masz co robić. Możesz na przykład powysyłać więcej CV.

– Dan! – Ale wstyd.

Anna uśmiecha się do mnie.

– Nie szkodzi. Może jutro wybrałybyśmy się na zakupy? Co ty na to? Znam kilka świetnych butików, a przy okazji mogłabym popytać, czy nie szukają kogoś do pracy. Widzisz, Dan, n a p r a w d ę się staram.

– Tak. – Dan wkłada garnitur z powrotem do torby. – Rzeczywiście.

Światło w przymierzalni jest stonowane, ale wcale nie łagodzi przerażenia, jakie czuję, gdy patrzę na odbijające się w zbyt wielu lustrach krągłości mojego ciała – miejsca, których przeważnie nie widzę i wcale nie mam ochoty oglądać. Gacie i stanik w stylu Bridget Jones, kiedyś białe, tutaj sprawiają wrażenie dużo bardziej poszarzałych niż w domu. Kładę dłonie na

brzuchu, zatapiam palce w sadelku i naprawdę wolałabym być gdzie indziej – gdziekolwiek, byle nie tu, półgoła i oceniana przez osobistego doradcę klienta.

– Hm – mruczy Tamsin, doradczyni. – Gruszka. Nie szkodzi. Znajdę pani takie sukienki, że będzie w nich pani wyglądała bombowo, tak?

Zamaszystym ruchem zasuwam czerwoną kotarę. Siadam na połączanym krześle, obitym rdzawoczerwonym aksamitem, i popijam sok pomarańczowy. Waham się, czy sięgnąć po jedną z gratisowych czekoladek.

– Cudownie tu, prawda? Czuję się jak gwiazda. – Anna wpada do kabiny, niosąc całe naręcze wiśniowych jedwabi i taft. Wszystko w rozmiarze ósmym. Cofam dłoń znad tacy z czekoladkami.

Anna ściąga ubranie i przymierza delikatne ciuchy.

– Jak wyglądam?

– Ołśniewająco. – Bo to prawda.

Jasne blond włosy spływają jej na ramiona. Myślę o wszystkich tych eleganckich sukienkach, których Charlie nigdy nie założy, i czuję, jak łaza kręci mi się w oku.

– Jak myślisz, przydałby się do tego naszyjnik? Zobaczę, co mają.

Kotara się rozsuwa. Anna wychodzi, na jej miejsce zjawia się Tamsin, trzymając wysoko nad głową trzy wieszaki. Sukienki wyglądają pięknie, są gustowne i bardzo, bardzo drogie. Takie ciuchy ogląda się na modelkach w magazynach mód, a nie na szarych myszkach, które uczą w przedszkolu.

– Grace, od której zaczynamy? Wszystkie robią wrażenie, prawda?

– No nie wiem. Rzadko noszę takie rzeczy.

– Gdzie najczęściej robi pani zakupy?

– Głównie na eBayu.

Tamsin się krzywi, jakby znalazła robala w sałatce.

– Nieważne. Teraz jest pani u nas. – Zdejmuje z wieszaka długą, oliwkową sukienkę. – To z nowej, wiosennej kolekcji.

Przytrzymuje, żebym mogła ją włożyć. Prostuję plecy, zapina mi suwak. Sukienka jest ciężka, uciska mnie w piersiach.

– Wie pani, będę musiała w tym jeść. – Obracam się i przeglądam.

Patrzę na swoje odbicie i już wiem, że mogę zapomnieć o jedzeniu.

– Dobra, prawda? Dobrze wybrałam, tak?

Marilyn Monroe niech się przy mnie schowa! Wyglądam jak dawna gwiazda filmowa, sukienka podkreśla pożądane krągłości, a tuszuje zbędne wyrzuszenia.

– Niesamowita. – Głaszczę materiał. – Sama na pewno bym jej nie wybrała. Moja mama często ubiera się na zielono, ale nie sądziłam, że ten kolor będzie pasował też do mnie.

– Właśnie dlatego potrzebuje pani mnie – stwierdza Tamsin. – eBay? Phi! Teraz dodatki...

Zapina mi na szyi złoty naszyjnik obrożę i zakłada na nadgarstek pasującą do niego bransoletę.

Zachowuj się, jakbyś była pewna siebie, powtarzała mi Charlie – a staniesz się pewna siebie. Tak, w tej sukience czuję się pewna siebie. A nawet seksowna. Kto by pomyślał, że ubranie może tak bardzo podnieść samoocenę? Zachowuję się inaczej niż typowa klientka tego butiku, robię bowiem selfie i wysyłam je Esmée.

Kotara się rozsuwa.

– Anno, spójrz. – Robię obrót. – Co ty na to?

– Szczerze? – Marszczy nos.

– Szczerze. – Kładę dłonie na brzuchu, tak jakbym mogła zatrzymać w sobie tę pewność siebie.

Mierzy mnie wzrokiem.

– Moim zdaniem tęższe kobiety powinny się trzymać czerni, bo wyglądają w niej najkorzystniej.

Zamykam oczy, żeby uciec przed swoimi odbiciami. Głupia byłam, skoro sądziłam, że mogę być kimś innym, niż jestem.

– Nie zgadzam się – mówi Tamsin.

– Pani próbuje sprzedać sukienkę, a ja komentuję jako najlepsza przyjaciółka.

– Uważam, że Grace ma piękną figurę. Mamy wiele klientek w rozmiarze czternastym.

– Grace ma piękne wnętrze, a to najważniejsze.

– Czy ktoś może mnie rozpiąć? – ucinam. Jest mi gorąco i niewygodnie. Czuję się jak poducha, którą ktoś zbyt mocno wypchał pierzem, bezkształtna i guzowata. – Poproszę jednak czarną.

W czarnej czuję się nudna.

– Wygląda świetnie – mówi Anna. – Nie widać brzuszka. Powinnaś ją wziąć.

Buczy telefon. Wiadomość od Esmée: „Kochana, wyglądasz szalowo”.

– Esmée podoba się zielona.

– Esmée tu nie ma – stwierdza Anna. – Na zdjęciu nie widać niuansów. No, ale zrobisz, jak zechcesz. Ja tylko staram się pomóc. W czarnej będziesz chodziła wiele lat, bo czerń to klasyka. Poza tym w przeciwieństwie do zielonej, w tej nie rzucają się w oczy twoje wałeczki na brzuchu.

– Nie dobieram sukienek, w których klientkom widać wałeczki. – Tamsin miażdży Annę wzrokiem. – Czarna nie powala tak jak zielona, ale jest zadowolająca, tak?

– Podobała mi się zielona...

– No i świetnie, o ile masz dość pewności siebie, żeby ją włożyć – mówi Anna. – Bądźmy szczerzy, Grace. Dan będzie z ciebie dumny, cokolwiek włożysz.

– Może pani przymierzyć je w domu i ewentualnie zwrócić. Ma pani na to czternaście dni. Sukienki muszą być nienoszone, a metki nieoderwane.

– Wezmę obie.

Kasjerka składa sukienki, a następnie zawija je w perfumowany papier i wkłada do pudełka w srebrne gwiazdki.

– Życzy pani sobie tę czerwoną jedwabną sukienkę? – pyta Tamsin Annę.

– Nie stać mnie. Poza tym nie wiem, gdzie miałabym ją nosić.

– Nie zaszkodzi mieć w szafie strój wieczorowy. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Taka okazja już się nie powtórzy. Bo sukienka jest piękna, tak?

– Owszem, jest. Mimo to muszę zrezygnować.

– Kupię ci ją – mówię.

– Nie mogę się zgodzić, żebyś za mnie płaciła. Już i tak bardzo dużo dla mnie zrobiłaś.

– Ale chcę. W podziękowaniu za wszystko, co ty zrobiłaś dla mnie. Dzięki tobie odzyskałam radość. No i wizyta w spa była cudowna. Poza tym nie wiem, co bym dziś na siebie włożyła, gdybyś mnie tu nie przyprowadziła.

– Dziękuję, Grace. – Anna ściska mnie, po czym biegnie po sukienkę.

– Serdeczne przyjaciółki, tak? – odzywa się Tamsin.

– Tak – odpowiadam. – To prawda.

Kiedy zamykają się za nami drzwi butiku, mrużę oczy w słońcu, biorę haust świeżego powietrza i nie mogę uwierzyć, że właśnie wydałam prawie trzysta funtów. Obym tylko zdołała

przechwycić rachunek z karty kredytowej, zanim wpadnie w ręce Danowi.

– Chodźmy na kawę – proponuje Anna. – Ja stawiam.

– Dobrze. Może pójdziemy do... – urywam w połowie zdania.

Po drugiej stronie ulicy stoi człowiek w czarnej kurtce i wpatruje się we mnie. Czy to ta sama osoba, którą widziałam przed kawiarnią i na cmentarzu? Czy to kierowca czerwonego samochodu?

Łapię Annę za ramię.

– Posłuchaj, nie pytaj teraz o nic, tylko powiedz mi, czy ten ktoś – pokazuję – to mężczyzna czy kobieta?

Anna mruży oczy i zsuwa okulary przeciwsłoneczne z głowy na nos.

– Nic nie widzę. Strasznie ostre słońce. Zaczekaj. – Biegnie na drugą stronę ulicy, ale zanim tam dociera, po postaci w czarnej kurtce nie ma już śladu.

Zresztą sama już nie wiem, czy w ogóle istnieje.

22.

Wtedy

Puste wieszaki w szafie zastukały jeden o drugi. Wyjęłam kolejną sukienkę, przyłożyłam ją do siebie i rzuciłam na podłogę. Pomimo kaca i braku snu – rozmawialiśmy z mamą przez całą noc – postanowiłam sobie, że dziś zrobię się na bóstwo. Kto by pomyślał, że tego samego wieczoru zejść się z Danem i odnowię stosunki z mamą.

Dotknęłam ust dwoma palcami. Poczułam mrowienie, kiedy pomyślałam o pocałunku, i naraz szczęście zbulgotało we mnie jak bąbelki szampana. Wybierałyśmy się z Charlie do miejscowego pubu na spotkanie z Benem i Danem – niby nic wielkiego, ale tym razem wykonałam makijaż bardziej starannie: pociągnęłam nieco ciemniejszą kreskę nad oczami, a usta posmarowałam mocniejszym błyszczakiem. Był zwyczajny niedzielny wieczór, ja jednak czułam się jak w świąteczny dzień – na dokładkę mogłam legalnie pić. Koniec z przesiadywaniem w kącie nad szklanką coli i dolewaniem przemyconej wódki z piersiówki – którą Charlie chowała w plecaku – kiedy Mike, właściciel knajpy, nie patrzył.

Pukanie do drzwi.

– Proszę.

Mama przycupnęła na brzegu łóżka i poprosiła, żebym przy niej usiadła.

– Niedługo wyjeżdżam, kochanie. Do Devon daleka droga.

– Szkoda, że nie możesz zostać. – Oparłam głowę na jej ramieniu.

– Wróć, zanim się obejrzysz. – Objęła mnie. – Gwiazdka z moją córeczką. Chciałam ci powiedzieć, że z chwilą, w której skończyłaś osiemnaście lat, weszłaś w posiadanie sporych udziałów w funduszu powierniczym. Tata zabezpieczył nas na wypadek najgorszego.

– Mamo?

– Tak?

– Po czym poznam, że chłopak to ten jedyny?

– Pamiętasz, jak chodziłaś na zajęcia z baletu? I jak pokazywałaś tacie figury, których się uczyłaś?

– Tak. – Uśmiechnęłam się na wspomnienie mnie i taty ubranych w stare różowe zasłonki z sypialni i płasających po salonie.

– Był pewien rośły, silny, godny zaufania mężczyzna, którego wszyscy podziwialiśmy. Przez cały dzień pracował w gabinecie, rozpoznawał choroby, ratował życie i słuchał zwierzeń samotnych i chorych. Cieszył się dużym szacunkiem. Chętnie kwestował na rzecz wioski, zasiadał w samorządzie lokalnym. – Mama ścisnęła mnie za rękę. – Wracał do domu, wkładał różową spódniczkę i tańczył *Jeziro łabędzie*, bo chciał zobaczyć uśmiech na twarzy swojej córeczki. Pragnął wyłącznie tego, Grace, abys była szczęśliwa. Kiedy kogoś poznasz, zadaj sobie pytanie: „Czy ten chłopak założyłby dla mnie różowe zasłonki?” – i będziesz miała odpowiedź. Poznałaś kogoś?

– Tak. Chyba.

– Muszę ci powiedzieć o czymś jeszcze. – Mogłam się domyślić, o co chodzi. – Ja też zaczęłam się z kimś spotykać. Ma na imię Oliver.

Czekałam na przeszywający ból. Na łzy. Na poczucie zdrady. Zamiast tego wyobraziłam sobie mojego tatę – kawał chłopa – kręcącego piruety po salonie.

– Tata by się ucieszył. – Wierzyłam w to. Chciałby dla mamy tego, co najlepsze. Dla nas.

Zawsze.

– Dziękuję, kochanie. Bardzo bym chciała, żebyście się poznali. Mogłabym go przywieźć, kiedy przyjadę za miesiąc.

– Byłoby fajnie. – Mówiłam całkiem poważnie.

Po wyjściu mamy musiałam poprawić makijaż, usunąć rozmazany tusz do rzęs wacikami nasączonymi mleczkiem dla dzieci. Jeśli chodzi o ubranie, to zdecydowałam się na jedną ze starych tunik mamy z lat sześćdziesiątych. Błękitne zawijasy wyglądały, jakby wsysało wodę do odpływu. Obróciłam się i sprawdziłam, jak wyglądam z tyłu – oby tyłek mi nie wystawał. Włożyłam czarne kryjące rajstopy i skórzane kozaki, i byłam pełna wiary w siebie. Przećwiczyłam odrzucanie włosów do tyłu – dla podkreślenia pewności siebie, której tak naprawdę nie czułam. Potem pomalowałam paznokcie na wiśniowo, co było dużym aktem odwagi z mojej strony. Zaczęłam dmuchać, żeby lakier szybciej wysechł, bo znowu chciałam zajrzeć do telefonu. Dan przysłał mi tyle esemesów, że musiałam podłączyć aparat do ładowarki.

Charlie głośno wbiegła po schodach i wpadła do pokoju, niosąc pod pachą pudełko owinięte w srebrny papier prezentowy.

– To dla ciebie. Znalazłam na progu.

– O, spóźniony prezent urodzinowy. Ciekawe co to takiego.

Na papierze ktoś napisał odręcznie mazakiem: „GRACE” pismem z zawijasami, którego nie rozpoznałam.

– No nie wiem, ale wiesz, możesz na przykład spróbować... otworzyć.

– Momencik. Paznokcie mi schną. – Usiadłam po turecku na łóżku, rozcapierzyłam palce i zaczęłam wachlować dłońmi. – Nie mogę się doczekać spotkania z Danem. Cały dzień do siebie piszemy.

– Zaliczyłaś lepszą noc ode mnie. Wszystko przez matkę. Nawaliła się bardziej niż my wszyscy razem wzięci.

– Jak ona się czuje?

– Dziwnie się zachowuje. Nie chciała, żebym dziś do ciebie szła. Ale sama gdzieś wybyła. Otworzyć prezent?

– Nie. – Opuszką palca wskazującego sprawdziłam, czy lakier już wysechł. Podniosłam pudełko. – Lekkie.

– Może jest pełne pocałunków – wyszczerzyła się Charlie.

Okazało się, że papier skrywa pudełko po butach (a może z butami?) oraz białą kopertę, która spadła na podłogę.

– Buty. Jak w *Kopciuszku* – zauważyła Charlie. – Myślisz, że przysłał je Księżę z Bajki?

Postawiłam pudełko na łóżku i otworzyłam kopertę. W środku znajdowała się złożona kartka A4 w linie.

– To od Dana?

Złapałam się za gardło.

– Grace, od kogo to?

Nie mogąc wyrzucić słowa, podałam Charlie kartkę.

– Kurwa, co to ma być?

Zaczęłam obgryzać paznokcie kciuka. Moje imię na pudełku ktoś napisał odręcznie, ale wiadomość złożył z liter wyciętych z gazety i przyklejonych do papieru tak, że ułożyły się w słowo „SUKA”. Wyglądało to zupełnie jak żądanie okupu. Wyglądało też jak żart – tyle że nie było mi do śmiechu.

– Grace, otwórz pudełko.

– Nie mogę.

Charlie sięgnęła po pudełko, uchyliła wieko i cofnęła się odruchowo. Nagle pokój wypełnił smród psiej kupy. Prędko je zamknęła, ale nie trafiła dokładnie z wiekiem i pudełko się przechyliło. Kupa wypadła na narzutę. Zrobiło mi się niedobrze. Charlie zerwała kapę z łóżka, zwinęła ją w tobołek i pobiegła na dół. Otworzyłam szeroko okno i wzięłam tak potężny haust zimnego, wilgotnego listopadowego powietrza, że aż się zakrztusiłam.

– Oddychaj, Grace. – Nawet nie zauważyłam, kiedy Charlie wróciła na górę.

Zaczęła masować mi plecy. Powoli rozluźniałam się pod wpływem jej ciepłego dotyku.

– Co z tym zrobiłaś?

– Wyrzuciłam do kosza. Mam powiedzieć dziadkom?

Pociągnęłam nosem.

– Nie wiem. Babcia na pewno zauważy brak narzuty. W końcu sama ją zrobiła.

– Jak myślisz, kto ci to podesłał?

– Nie przychodzi mi do głowy nikt, komu nadepnęłam na odcisk, z wyjątkiem...

– Siobhan.

– Tak. Ale na pewno nie zrobiłaby czegoś takiego. Wiem, że Dan się jej podoba, ale...

– I to od dawna, od lat. Nakryła was, jak się całowaliście. Ta kartka wyglądała jak

wyrwana z zeszytu ćwiczeń.

– Co mam zrobić?

– Zapytamy ją. Może przyjdzie dziś z Esmée.

Zamilkłyśmy. Przeszedł mnie dreszcz, po którym szybko zamknęłam okno.

– No chodź. Będzie dobrze. – Charlie ścisnęła mnie za rękę i wepchnęła przez ciężkie drewniane drzwi prowadzące do Hawley Arms. Kiedy szłyśmy do baru, wbijałam spojrzenie w podłogę i głęboko oddychałam stęchłym powietrzem.

– Borsuczny Tyłek? – Charlie przyjrzała się kijom sterczącym za barem i uniosła brew.

– Śmieję się, śmieję, ale i tak nigdzie w okolicy nie znajdziesz takiego wyboru piw z beczki. – Mike, właściciel przybytku, polerował półlitrowe szklanki. Podniósł jedną do światła, zobaczył plamkę i wytarł ją szmatką. – Tony wspominał, że wpadniecie. – Mike i dziadek przyjaźnili się od lat. – Pewnie macie ochotę na coś wyjątkowego.

– Wiewiórczy Ogon do spółki z Borsuczym Tyłkiem?

Mike podrapał się w brodę, przyjrzał się Charlie i ocenił ją, po czym znów zwrócił się do mnie. Pochylił się nad barem. Poczulałam zapach dymu papierosowego, który lepił się do jego ubrania.

– Karaoke.

– Serio?

– Wszyscy w Londynie to mają. Trzeba iść z duchem czasu. Teraz nawet – pokazał za siebie – sprzedajemy chipsy krewetkowe oprócz zwyczajnych. Dzisiaj była dostawa.

– To się nazywa myślenie przyszłościowe!

Kopnęłam Charlie w kostkę.

– Bardzo fajnie, Mike. To my poprosimy dwa razy chipsy krewetkowe i dwa razy cydr.

Włożyłam opakowanie do torebki i wzięłam szklankę, mokrą od rosy i pełną po brzegi, tak że musiałam trochę upić, zanim doniosłam ją do stolika przy kominku.

Zabrałyśmy się do cydru i po chwili poczułam, jak alkohol rozplywa się po moim ciele, a mięśnie się rozluźniają. Charlie dała mi takiego kuksańca w zębra, że cydr ze szklanki polał się

po rękę. Zlizalam kropelki płynu i podążyłam za jej wzrokiem. Przy barze stał Dan. Wyjmował drobne z kieszeni, płacił za napoje dla siebie i Bena. Kiedy ruszył w naszą stronę, udawałam, że go nie widzę, ale czułam, jak wypełnia mnie ciepło.

– Znajdzie się miejsce dla dwóch osób?

– Dla was? – pisałam.

– Nie, dla tych dwóch brodaczy, co siedzą przy barze.

Dan wcisnął się między Charlie a mnie, a gdy nasze uda się dotknęły, ciarki przeszły mi po skórze. To, że esemesowaliśmy do siebie przez cały dzień, nie oznaczało, że nie będę czuła się nieswojo z powodu zmiany, która nastąpiła w naszych wzajemnych relacjach. Nie wiedziałam, jak się zachowywać, kim być.

Wyłopałam cydr, dosłownie osuszyłam szklankę, i wstałam, żeby pójść po drugą.

– Ja to zrobię. – Dan dotknął mojego ramienia.

Przesunęłam puste szklanki na środek stołu, by zrobić miejsce na pełne. Dan wziął też zwykłe chipsy. Miał na sobie białą koszulę, w której podwinął rękawy. Kiedy szedł z tacą, zobaczyłam, że jego ręce porastają ciemne, kędzierzawe włoski. Jakoś wcześniej ich nie zauważyłam.

Kiedy wybiła dwudziesta pierwsza i zaczęło się karaoke, czułam się już duuużo swobodniej. Siobhan się nie pojawiła. Przyklejałam się udem do Dana i śmiałam się, trochę zbyt głośno, z jego żartów. Charlie wyskoczyła, żeby zaśpiewać *Hit Me With Your Best Shot*. Paradowała tam i powrotem po prowizorycznej scenie do akompaniamentu naszych gwizdów i okrzyków. Potem usiadła Benowi na kolanach, wplotła palce w jego włosy i wpiła mu się w usta. Dan odwrócił się w moją stronę.

– Chodź, znajdziemy jakieś spokojniejsze miejsce.

Wziął nasze drinki i zaprowadził mnie do niewielkiego okrągłego stolika w kącie sali.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – odezwał się, kiedy usiedliśmy.

– Wiesz wszystko. Przecież znamy się od lat.

– Ale nie w taki sposób. – Zamknęłam moją dłoń w swoich dłoniach. Poczułam mrowienie w palcach. – Opowiedz mi o swoim tacie.

Wydawało mi się, że nie chcę o tym mówić, ale kiedy już zaczęłam, słowa same zaczęły płynąć mi z ust. Gdy Mike zasygnalizował dzwonkiem, że przyjmuje ostatnie zamówienia, Dan wiedział o mnie już prawie wszystko. To, co nas łączyło, zmieniło swój kształt, przeobraziło się w coś, czego jeszcze nie rozumiałam. Kiedy zaczął rozmasowywać mi palce, poczułam pragnienie, jakiego nigdy wcześniej nie doznałam.

– Mogę cię odprowadzić do domu?

– Poproszę.

– Może wezmę coś do picia na drogę? Jeśli zaraz wyjdziemy, zdążymy do frytkarni przed zamknięciem.

– Super. – Naprawdę poczułam się głodna.

Zanadto byłam zajęta odtwarzaniem w głowie zdarzeń z imprezy urodzinowej, żeby myśleć o kolacji. Widząc, jak zamiast jeść, tylko przesuwam pieczone ziemniaki po talerzu, babcia narzekała pod nosem.

Powiedziałam Charlie, że wychodzę z Danem. Uśmiechnęła się nabrzmiałymi ustami, które wyglądały, jakby użądliła ją pszczoła.

– Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła.

– O, to mam mnóstwo możliwości. Zadzwoń jutro. – Pocałowałam ją na do widzenia i kiedy wychodziliśmy, wyraźnie czułam w dolnej części pleców dłoń Dana.

Jej ciepło przenikało przez moją grubą kurtkę. Był przymrozek. Wzięłam Dana pod rękę

i szybkim krokiem ruszyliśmy główną ulicą, rozświetloną blaskiem latarni i niebieską poświatą telewizorów, która biła zza firanek w oknach stojących wzdłuż drogi biegnącej przy domach z kamienia. Poczułam zapach smażonej ryby i pomyślałam o tym, co wezmę do jedzenia. Nigdy nie umiałam się zdecydować: piure z groszku czy sos curry.

We frytkarni było ciepło mimo otwartych na oścież szklanych drzwi. Stanęliśmy na końcu kolejki. Zdjęłam rękawiczki.

– Na co masz ochotę? – spytałam.

– Na ciebie – odparł Dan.

Pochylił się i mnie pocałował.

– Frytki, Grace? Jeszcze ci mało tłuszczu?

Odwrociłam się i zobaczyłam Siobhan. Stała z dłońmi na biodrach i szyderczym uśmiechem na ustach. Abby, dwa kroki za nią, zachichotała.

– Siobhan, ja...

– Grace nie jest tłusta. Może jeść, co chce – powiedział Dan i objął mnie ramieniem.

– No jasne. Ale tu bym nie jadła. Ich frytki smakują jak gówno – rzuciła, odwróciła się na pięcie i wypadła z lokalu jak burza.

Nagle przed oczami stanęło mi pudełko po butach z rozmazanymi w środku ciemnobrązowymi odchodami. Wciągnęłam powietrze przesycone zapachem oleju i poczułam, że kręci mnie w żołądku.

– Następny! – zawołał sprzedawca, na co wybiegłam z frytkarni, zgięłam się wpół i zwróciłam cztery szklanki cydru na oszroniony chodnik.

– Trzeba było nie podpadać mojej siostrze – powiedziała Abby, próbując nadążyć za Siobhan. – Lepiej uważaj, Grace.

23.

Teraz

Ta osoba stoi, jakby zapuściła korzenie. Jest środek dnia, świeci słońce, wokół ludzie, ale wcale nie czuję się przez to bezpieczniej. Zaciągam Annę do najbliższej kawiarni. Wieczorami ten sam lokal służy jako winiarnia. Siadam na jasnobrązowej skórzanej kanapie, ściskam zakupy i zastanawiam się, co robić. Anna w tym czasie staje w kolejce do kasy.

– Szybko poszło – mówię, kiedy podaje mi kubek gorącej czekolady.

– Dają tu prawdziwą czekoladę, a nie tę lurę w proszku.

– Dzięki.

– Mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu za to, co powiedziałam w butik. Bardzo ładnie wyglądałaś w tej zielonej sukience. Po prostu bardziej mi się podobałaś w czarnej. Nie mogę się doczekać, kiedy włożę swoją. W życiu nie miałam takiego ciucha!

– Nic się nie stało, Anno. Po prostu jestem podenerwowana. Wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. – To ulga móc komuś o tym powiedzieć.

Anna ma nieprzeniknioną minę.

– Kto? Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

Upijam łyk czekolady. Jest gorzka – inna niż ta, którą robił mi tata – ale i tak ją wypiję, bo nie chcę wyjść na niewdzięczną. Opowiadam Annie o człowieku w czarnej kurtce, o czerwonym samochodzie i o tym, że ktoś mnie gonił, kiedy wyszłam z klubu.

– Powinnaś zgłosić to na policję – mówi stanowczym tonem.

– I niby co miałabym powie... – Milknę i dotykam ust.

Mrowienie. Rozmasowuję je palcami, ale nie mam czucia. Zaczyna mi lecieć z nosa. Gardło nagle puchnie. Uświadamiam sobie, co się ze mną dzieje, i próbuję opanować narastającą panikę.

– Anno. – Język rośnie i wypełnia mi usta. Zaczynam kasłać.

– Wszystko z porządku?

– Alergia – udaje mi się wychrypieć.

– O mój Boże! Zadzwoń po karetkę?

Odwracam torebkę do góry nogami. Jej zawartość rozsypuje się po stole, część rzeczy spada na podłogę. Łapię EpiPen, który też chce się sturlać, i ściągam zatyczkę. Ledwo zauważam postać, która przemyka obok, i słyszę chrzęst, kiedy staje na mojej pudernicze.

– Co mam robić? – Głos Anny brzmi, jakby dobiegał z głębi tunelu.

Ignoruję go. Ściskam kurczowo wstrzykiwacz i wbijam sobie igłę w udo. Słysząc kliknięcie i po chwili epinefryna zaczyna krążyć po moim organizmie. Noga piecze w miejscu ukłucia.

Czuję, jak na czole zbierają mi się kropelki potu. Wdech, wydech.

– Jak ci pomóc? – pyta Anna.

– Wody. – Zamykam oczy.

– Proszę. – Anna wkłada mi do ręki chłodną szklankę. – Wszystko w porządku? Bardzo się wystraszyła. Nigdy wcześniej nie widziałam reakcji alergicznej.

Kiwam głową i popijam wodę. Kaszlę jeszcze, jest mi zimno i czuję się roztrzęsiona, ale najgorsze już minęło.

– Nie powinnyśmy pojechać do szpitala? – Anna jest blada i zaniepokojona.
– Zasadniczo tak, ale wydaje mi się, że już wszystko w porządku. Mam drugi wstrzykiwacz, w razie gdybym potrzebowała jeszcze jednej dawki.
– Nie lepiej się zbadać, na wszelki wypadek?
– Nie chcę, żeby ominął mnie dzisiejszy wieczór. Naprawdę, już dobrze. To nie pierwszy raz. Lekarz i tak podałyby mi leki antyhistaminowe i po kilku godzinach zwolnił do domu. Mam w domu jakieś proszki.
– Czy wszystko u pań w porządku? – pyta kelnerka.
– Tak. – Oddaję jej pusty kubek. Wydaje się bardzo ciężki.
– Już wychodzimy. – Anna zbiera moje rzeczy i wkłada je z powrotem do torebki, sięga po zakupy, a potem podtrzymuje mnie za łokieć, kiedy wstaję z kanapy.
– Mam alergię na orzechy – wyjaśniam kelnerce. – Czy w moim napoju było mleko orzechowe? Dziwnie smakował.
– W gorącej czekoladzie? – Marszczy czoło. – Był syrop z orzechów laskowych.
– Idiotka. – Anna popycha mnie w stronę drzwi. – Poprosiłam o syrop, ale do kawy. Już tu więcej nie przyjdziemy.
– Ale... – zaczyna kelnerka, jednak jesteśmy już z Anną na ulicy.
– Mój Boże, Grace. Mogli cię zabić. Powinnyśmy ich pozwać.
– Nic mi nie jest. Chcę już wrócić do domu i trochę się przespać. Możesz ty poprowadzić? – Kręci mi się w głowie, ledwo mogę zapanować nad opadającymi powiekami.
– Jasne. – Anna spogląda na moje usta. – Wyglądasz jak Kaczor Donald. Szkoda, że jednak ominie cię dzisiejszy wieczór.
– Zobaczę, jak się będę czuła, kiedy się wyśpię.
– Oczywiście. Oby dobrze. Trzymam za ciebie kciuki. – Anna uśmiecha się i głaszcze mnie po ramieniu. – Wrócimy do domu i odpocznesz.
Zaczynamy iść do samochodu i czuję, że płaczą mi się nogi. Mam nadzieję, że nie wyglądam jak pijana. Na parkingu tuż obok mojej fiesty stoi czerwona corsa.
– Anno! To ten samochód! – pokazuję.
– Trzymaj. – Wkłada mi do rąk torby, a sama rusza biegiem. Zanim jednak udaje jej się dotrzeć do podejrzanego auta, jego kierowca zwiększa obroty i corsa odjeżdża z piskiem opon.

Budzi mnie pukanie do drzwi.
– Grace. – Anna wchodzi do sypialni. – Przyniosłam ci zupe warzywną. Nie jadłaś lunchu.
Ziewam i sięgam po telefon. Siedemnasta.
– Dzięki. – Dotykam ust. – Jak wyglądam?
– Normalnie. Masz szczęście. – Stawia tacę na nocnej szafce. – Jedz. Ugotowałam specjalnie dla ciebie. Potem pomogę ci się wyszykować.
Siorbię zupe, zagryzając ją kromką pełnoziarnistego razowca. Wkrótce Dan wraca z pracy. Wybuch, kiedy opowiadam mu o zdarzeniu w kawiarni.
– Kurwa, jak mogli się tak pomylić? – Siada na łóżku i bierze mnie za rękę.
– Zdarza się. To w końcu też tylko ludzie.
– Wyraźnie zaznaczyłaś, żeby dodali syrop tylko do jednego napoju?
– Nie ja, Anna zamawiała.
– Tak? – Mięsień w jego szyi wpada w drżenie. – Pogadam z nią.
– Przestań. Proszę. I bez tego stosunki między wami są napięte. – Głaszcę kciukiem jego

dłoń. – Wiem, że trudno ci dzielić się przestrzenią, ale jej obecność naprawdę sprawia mi przyjemność. Poza tym wszystko dobrze się skończyło: nic mi nie jest, a sukienka pasuje jak ulał. Poczekaj, aż mnie w niej zobaczysz.

Gołę nogi, potem biorę gorący prysznic i robię peeling. Wychodzę z kabiny różowa, owijam się ręcznikiem, siadam przy toalecie i maluję paznokcie na mój ulubiony wiśniowy kolor, a w tym czasie Anna suszy i prostuje mi włosy. Rozmawiamy o perfumach. Opowiadam o obsesji Charlie na punkcie dezodorantu Impulse, którego używa Lexie, i że do dziś nie mogę znieść jego zapachu. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, skręca mnie w żołądku, i to tak, że aż się zginam w pół. Lakier spływa mi po palcu i skapuje na dywan. Prostuję plecy, ale znowu czuję ucisk w żołądku i ruch w jelitach. Zrywam się i biegnę to łazienki. W ostatniej chwili dopadam do muszli klozetowej.

– Grace? – Anna puka do drzwi.

– Źle się czuję. – Pocę się i mam dreszcze. Sięgam po szmatkę, zwilżam ją pod zimną wodą i kładę sobie na karku.

– Pójdę po Dana.

Czuję kolejną falę mdłości i jęczę z bólu. Pochylam się, opierając łokcie na udach – ostrożnie, żeby nie trafić na siniaka po zastrzyku. Podejrzewam, że to sposób mojego organizmu na pozbycie się nadmiaru adrenaliny.

– Kochanie?

– Dan, niedobrze mi.

– Co mam zrobić? Niedługo musimy wychodzić.

– Przepraszam cię, ale chyba jednak nie dam rady.

Kładę policzek na chłodnej terakocie i myślę o pięknych sukienkach, które dziś kupiłam. Nie zdążyłam zdecydować, którą włożyć.

Dopiero mniej więcej po pół godzinie żołądek daje mi odetchnąć i czuję się na siłach, żeby opuścić azyl toalety. Słaniając się na nogach i mocno trzymając się barierki, schodzę na dół i kieruję się w stronę, z której dobiegają podniesione głosy.

Anna i Dan są w kuchni. Anna wygląda obłądnie w czerwonej sukience. Włosy upięła w kok, po obu stronach twarzy zostawiła kilka luźnych kosmyków.

– Co się dzieje?

– Grace. – Anna się czerwieni. – Pomyślałam, że Danowi przyda się towarzystwo na przyjęciu. Miałabym okazję wypróbować sukienkę.

– Nie zgadzam się – mówi stanowczo Dan i zwraca się do mnie. – Idę z tobą albo sam.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby Anna z tobą poszła. Masz dwa bilety, a ona jest gotowa do wyjścia. Ja się wykąpię i położę do łóżka.

– Dziękuję, Grace. – Anna wkłada kopertówkę pod pachę. – Gotowy?

Dan otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale w końcu zamyka je bez słowa. Bierze kluczyki i portfel i rusza w stronę drzwi.

Macham im, kiedy odjeżdżają. Zostaję sama. Zamykam drzwi na wszystkie spusty i zakładam łańcuch. Czułam się już lepiej, ale znowu zaczyna mnie kręcić w brzuchu – i nie przestanie – dopóki nie wrócę.

24.

Wtedy

Otworzyłam z trzaskiem szafkę. Zaczęłam grzebać w kartkach, opakowaniach po słodyczach i książkach, które nagromadziły się przez cały semestr. Za kilka miesięcy, przed samym końcem szkoły, będę musiała przynieść reklamówkę i sprzątnąć to wszystko. Wpadła mi w oko pomarańczowa okładka książki do angielskiego. Wyszarpnęłam ją spod stosu innych. Nie znoszę się spóźniać. Spomiędzy kartek wypadła koperta i poleciała na podłogę. Podniosłam ją i nagle zrobiło mi się gorąco, bo rozpoznałam odręczne pismo z zawijasami.

Tym razem wiadomość była dłuższa: „NIE CHCEMY CIĘ TU”, ale znów ułożona z liter wyciętych z gazety. Zmięłam kartkę i się rozejrzałam. Lekcje już się zaczęły, na korytarzu nie było żywej duszy. Zamknęłam szafkę i przekręciłam kluczyk. Kiedy szłam po wyłożonej parkietem podłodze, moje kroki odbijały się echem w pustym korytarzu. Z gestem otworzyłam drzwi do klasy, po czym spocona i zdyszana klapnęłam na swoje miejsce. *Duma i uprzedzenie* należała do moich ulubionych książek, ale dziś słowa do tego stopnia rozmywały mi się przed oczami, że musiałam trzy razy czytać ten sam akapit. Stukałam palcami o blat ławki, siłą woli zmuszając wskazówki zegara do pośpiechu. W końcu zadzwonił dzwonek. Schowałam rzeczy do torby i niemal wybiegłam z klasy.

Znalazłam Esmée i Charlie na świetlicy. Charlie perorowała, machając bagietką, z której wypadały kawałki pomidora i ogórka.

– Patrz. – Pokazałam jej liścik.

– Co to?

Wtajemniczyłam też Esmée. Opowiedziałam o pierwszej kopercie i pudełku po butach. Dodałam, że miałam nadzieję, iż to jednorazowy wybryk. Zapewniłam ją, że nie musi się angażować ani stawać po którejkolwiek ze stron.

– Nie wierzę, że to sprawka Siobhan. Znamy się od piątego roku życia.

– Zrobiła się z niej jędza, kiedy Grace i Dan się zesłi – stwierdziła Charlie.

– Nigdy mnie nie lubiła – powiedziałam smutno.

– Tak, ale...

Esmée zamilkła i spojrzała ponad moim ramieniem. Odwróciłam się. W drzwiach stała Siobhan.

– Przyniosłam chipsy. – Przepchnęła się obok mnie i wyciągnęła dwie torebki w stronę Esmée i Charlie. – Serowo-cebulowe czy kurczakowe?

– Nic od ciebie nie chcę. – Charlie wstała.

Esmée zagryzła wargę, wbiła spojrzenie w podłogę, starała się nie wtrącać.

– Jakiś problem? – Siobhan wyprostowała plecy, ale Charlie i tak nad nią górowała.

– Owszem. Ty jesteś problemem, skoro podrzucasz Grace takie rzeczy. – Charlie wepchnęła Siobhan list do ręki.

Siobhan spiorunowała mnie wzrokiem i przeczytała wiadomość.

– To nie ja.

– I pewnie nie ty podesłałaś pudełko z gównem dzień po imprezie Grace?

Siobhan otworzyła szeroko oczy.

– Nie. I nie wierzę, że pomyślałaś, iż mogłam to zrobić. Przecież kumplujemy się od lat. Dłużej niż z nią.

Charlie skrzywiła się i powiedziała:

– Już nie. Koniec z naszą przyjaźnią. Odpierdol się, Siobhan.

Siobhan otworzyła usta – i zaraz je zamknęła. Esmée zrobiła krok do tyłu.

– Esmée?

Oczy Esmée napęłniły się łzami. Wzruszyła ramionami.

Siobhan odwróciła się do mnie i zapytała:

– Naprawdę chcesz mieć we mnie wroga, Grace? – Każde słowo tchnęło głęboką nienawiścią.

Oczywiście, że nie chciałam, ale wiedziałam, że już za późno. Delikatna więź przyjaźni, którą nawiązałyśmy, została ostatecznie zerwana. Bałam się pomyśleć, do czego Siobhan będzie teraz zdolna.

25.

Teraz

– Grace, nie pomogłabyś dziś w żłobku? Hannah dzwoniła, że się rozchorowała – mówi Lyn.

Pędzę do niebieskiego pokoju, zanim zmieni zdanie. Uwielbiam trzy- i czterolatki, którymi na co dzień się opiekuję, ale z chęcią spędzę dzień z niemowlakami. Na początek zgłasza się Sarah z Lily, siostrą Emily. To jej pierwszy dzień.

– O, Grace. Cieszę się, że będziesz się zajmowała maluchami. Chociaż Emily będzie strasznie tęskniła. Bez przerwy o tobie opowiada. A jeszcze wczoraj była taka jak ona. – Pokazuje brodą na Lily.

– Wiem, człowiek ani się obejrzy. Zabrać ją od ciebie?

Sarah ze łzami w oczach przekazuje mi śpiące zawiniątko, okutane kremowym kocykiem z Kubusiem Puchatkiem i Prosiaczkiem. Lily jest cięższa, niż sądziłam.

– Nic jej nie będzie – mówię.

– Wiem. Nie planowałam rozstawać się z nią tak wcześnie, ale dostałam świetnie płatną ofertę napisania książki za pewnego autora, a z Lily w domu nie zdołam się skupić. Nie jest łatwo samotnie wychowywać dzieci.

– Zobaczysz, że dzień szybko minie.

Odsuwamy się na bok, robiąc miejsce dla kolejnych matek. Sarah przekazuje mi torbę z rzeczami dla Lily oraz przesadnie długą listę wskazówek, a potem całuje córeczkę i wychodzi.

Ostrożnie i powoli zanoszę cenny ładunek do pokoju, po czym jeszcze ostrożniej i wolniej, by nie obudzić Lily, siadam na jednej z puf z groszkiem. Mięśnie mi drżą z wysiłku – chyba naprawdę muszę przeprosić się z jogą. Ciemne rzęsy Lily muskają jej porcelanową skórę. Uchylam nieco kocyka i widzę dziesięć paluszków o doskonałym kształcie i cienkich jak papier paznokciach.

– Co takiego stworzą te rączki? – zastanawiam się na głos.

Lily cicho chrapie. Przytulam ją do piersi i nie mogę się powstrzymać – wacham jej główkę i wdycham świeży, niemowlęcy zapach. Jest piękna. Mama w każdej rozmowie w taki czy inny sposób daje mi do zrozumienia, że mogłaby zostać babcią, ale ja nie jestem jeszcze gotowa. Oboje z Danem nie jesteśmy.

Lily nagle sztywnieje, po czym się przeciąga – wydłuża się prawie dwukrotnie – i ziewa, szeroko rozdziawiając różową, bezzębną buzię. Zaczyna marudzić, nawet nie otwierając oczu. Mruczę do małej uspokajająco i idę z nią do kuchni, żeby podgrzać butelkę. Potrząsam butelką i wyciskam kropelkę mleka na nadgarstek, żeby sprawdzić temperaturę.

– Idealna – informuję małą.

Siadamy. Pocieram smoczkiem o jej usta, aż w końcu przestaje płakać. Chwyta mnie za palce i przysysa się do smoczka. Ciągnie mocno i hałaśliwie, łapczywie opróżnia butelkę, jakby od kilku dni nie jadła. Odstawiam puste naczynie na podłogę.

– Wystarczy do obiadu. – Delikatnie masuję Lily po plecach, dopóki z jej gardła nie dobywa się głośne beknienie.

– Lily! Siostra byłaby z ciebie dumna – mówię.

Z jej ust cieknie strużka mleka, którą wycieram śliniakiem ze Świnką Peppą.

Poświęcamy godzinę na walenie w jaskrawe, plastikowe zabawki, które mają migające

światelka i wydają zbyt głośne dźwięki, oraz czytanie bajek, których mała jeszcze nie rozumie. Ciężko pracuję na każdy bezzębny uśmiech Lily.

– Grace, może położysz Lily do łóżeczka i wyjdiesz na dwór? Jest ciepło, niech dzieci sobie pobiegają przed obiadem – mówi Lyn.

Kładę Lily na kraciastej macie do przewijania.

– Zmienimy ci pieluchę przed drzemką.

Kiedy rozpinam jej ogrodniczki, mała się wierci, a potem prostuje nogi i trzyma je sztywno.

– No już, Lily, powinnam być na dworze. – Zaczynam robić zabawne miny dotąd, aż mała się rozluźnia i wreszcie mogę zdjąć pełną pieluchę. – Lily, ty śmierdziuszk!

Myję jej pupę, zakładam czystą pieluchę i dmucham pierdzioszkę na pękającym brzuszku. Śmieje się, więc robię to raz jeszcze, a potem wkładam jej ogrodniczki i koszulkę. Kiedy niosę brzdąca do łóżeczka, opiera mi głowę na ramieniu i ściska w piątce kosmyk moich włosów. Pachnie talkiem i szamponem dla niemowląt. Nakręcam karuzelę ze słoneczkiem, księżycem i gwiazdkami. Słysząc dźwięki *Twinkle, Twinkle Little Star*. Przyglądam się, jak Lily opadają powieki. Nagle wrywają ją ze snu przenikliwe wrzaski zza okna. Mała wykrzywia usta, robi się niemal fioletowa i wybucha płaczem.

Waham się tylko chwilę, po czym wybiegam na podwórze. Tłumek płaczących maluchów otacza huśtawkę. Przeciskam się między nimi i widzę Emily: leży na sztucznej trawie, a jej ręka układa się pod nienaturalnym kątem. Oczy zachodzą mi mgłą. Emily naraz staje się moim tatą, który dawno, tak dawno temu leżał na ulicy w podobnej pozycji. Tracę równowagę i padam na kolana.

– Pani Grace?

Spoglądam na stojące najbliżej mnie dziecko i przypominam sobie, że jestem dorosłą osobą, która odpowiada za te maluchy.

– Już w porządku. Co się stało?

– Stała na huśtawce i spadła – informuje mnie William. – Pani Lyn poszła zadzwonić po karetkę.

Kiedy odgarniam grzywkę z zaciśniętych powiek Emily, czuję, że jej czoło jest lepkie. Emily ma trupio blade policzki.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze, karetka już jedzie. Tylko się nie ruszaj.

Emily przestaje wrzeszczeć, a zaczyna zawodzić, co brzmi jeszcze gorzej. Nie wiem nawet, czy jest świadoma mojej obecności. Ból musi być niewyobrażalny. Czuję się zupełnie bezradna.

Nadbiega Lyn z kocem. Spoglądamy na siebie ponad głową naszej cierpiącej podopiecznej.

– Gdzie byłaś? – pyta szeptem Lyn.

– Musiałam przewinąć Lily. – Spuszczam wzrok.

Nie chcę, żeby Lyn zobaczyła w nim poczucie winy. Próbuję pocieszyć Emily zupełnie nieodpowiednimi słowami. Trzymam ją za zdrową rękę, jest chłodna, mimo że na dworze ciepło.

Buzuje we mnie adrenalina, ciarki przechodzą mi po skórze. Mam zdrętwiałe dłonie i stopy.

– Sarah już jedzie – mówi Lyn. – Dobrze, że mieszka dosłownie za rogiem. Wyjdę na ulicę i zaczekam na nią i na karetkę.

Kiedy słyszę zbliżającą się karetkę na sygnale, cała spływam potem, ten jednak nie

zmywa żalu ani wspomnień, które pojawiły się na nowo. Coś ściska mnie w piersi tak, że nie mogę złapać tchu. Nigdy wcześniej nie miałam ataku paniki w pracy. Wiem, że patrzą na mnie zszokowane dzieciaki, i staram się za wszelką cenę uspokoić.

Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Która to pacjentka? – pyta łysiejący sanitariusz, po czym klęka obok mnie i otwiera torbę.

– Emily – odpowiadam. – Spadła z huśtawki.

– Cześć, Emily. Nazywam się David. Przyszedłem, żeby ci pomóc.

– Emily! Emily! – woła zbolalym głosem Sarah i przypada do córki.

Nie mogę na to patrzeć. Opiekując się jedną dziewczynką, zaniedbałam drugą. Zaczynam zagarniać pozostałe dzieci do budynku. Niektóre nadal płaczą. Przyglądamy się przez okno, jak sanitariusze kładą Emily na noszach i transportują do czekającej karetki.

– Czy ona umrze? – pyta któryś z maluchów. – A potem ją ożywią?

– Emily nic nie będzie. Po prostu zraniła się w rękę. – Staram się emanować pewnością siebie, której wcale nie czuję. – Słuchajcie, może pójdziemy do kącika bajek i wybierzemy jakąś książkę, co wy na to? – Udaje mi się pokonać przestrzeń pokoju i utonąć w pufie. Wybór jak zwykle pada na *Grufolaka*. Głos mi drży, ale wczuwam się w opowieść, podszywam się pod lisa, naśladuję węża i podrabiam sowę. Udawanie to coś, w czym jestem dobra.

Kiedy dzieci rozchodzą się do domów, biorę się do porządkowania chaosu na półkach z książkami i wycierania klejących się powierzchni. Lyn wzywa mnie do siebie.

– Dzwoniła Sarah ze szpitala. Emily ma złamaną rękę. Zostanie na noc na obserwacji, bo przy okazji uderzyła się w głowę. Nic jej nie będzie. Greg się zjawił. Emily pewnie ucieszy się, widząc, że ma przy sobie oboje rodziców.

– Dzięki Bogu. – Siadam, bo nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

– Musimy napisać raport z tego, co się wydarzyło. Sarah go podpisze i wyślemy egzemplarze do kuratorium oraz agencji ochrony dziecka.

Z trudem wytrzymuję jej spojrzenie.

– A potem co?

– Zbadają sprawę. Jeżeli kuratorium uzna, że wina leży po naszej stronie, opublikuje informację o zdarzeniu na swojej stronie i podejmie odpowiednie kroki.

– Przepraszam cię, Lyn. Powinnam była od razu wyjść i przypilnować dzieci, zamiast przewijać Lily.

– Grace, to był wypadek. Mógł się wydarzyć niezależnie od tego, czy byłaś na dworze, czy nie. Wiem, jak dobrze radzisz sobie z dziećmi.

– Kuratorium tego nie wie.

– Z Emily wszystko będzie dobrze, to najważniejsze. Mam nadzieję, że kuratorium nie dopatry się niczyjej winy. To wprawdzie pierwszy wypadek, jaki kiedykolwiek wydarzył się w Little Acorns, ale przypuszczam, że jeśli kuratorium publicznie obarczy nas odpowiedzialnością, wielu rodziców zdecyduje się przepisać swoje dziecko gdzie indziej.

– Przepraszam cię, Lyn – powtarzam jak nakręcona.

Lyn zerka na zegarek.

– Idź już to domu. Przed sporządzeniem raportu musimy porozmawiać z dziećmi i pozostałymi pracownikami. Nie ma zresztą pośpiechu, na złożenie papierów mamy czternaście dni.

– Lepiej ty idź, Lyn. Wyglądasz na wykończoną. Posprzątam i pozamykam. – Często

wychodzę jako ostatnia.

– Nie. Ja to zrobię – odpowiada stanowczym tonem.

Chcę ją zapytać, czy nadal mi ufa, ale boję się tego, co mogłabym usłyszeć w odpowiedzi. Zabieram torebkę, wkładam kurtkę i wychodzę. Na niewielkim trawniku przed głównym wejściem widać zrytą kołami darń tam, gdzie stała karetka. Kiedy trawa odrośnie, na podwórzu znikną zewnętrzne ślady dzisiejszego traumatycznego zdarzenia. Zastanawiam się, czy to samo można powiedzieć o Emily. Moje blizny też są już niewidoczne, ale to nie znaczy, że nie istnieją.

Jadę do domu na autopilocie i w pewnym momencie z zaskoczeniem stwierdzam, że dotarłam na miejsce, choć zupełnie nie pamiętam, abym się przemieszczała. Dopiero za trzecim razem udaje mi się opanować drżenie dłoni na tyle, by wsunąć klucz do zamka w drzwiach. Rzucam torebkę na podłogę, zzuwam buty, zostawiam je na wycieracze i boso idę do kuchni nalać sobie duży kieliszek chardonnay. Stoję przy zlewie, w jednej ręce nadal trzymam butelkę, a drugą podnoszę do ust i upijam łyk wina. Przyglądam się ptakom w karmniku. Zazdroszczę im. Mogą w każdej chwili odlecieć i zacząć od nowa w innym miejscu. Jak mogę znów spojrzeć Lyn w oczy? Zawiodłam Emily. Zawiodłam samą siebie.

Opróżniam kieliszek i dolewam kolejny. Zaczyna brzęczeć komórka i dzwoni bez ustanku. Wyświetla się nieznanym numer. Ignoruję ją. Mam dość słuchania ciszy w słuchawce. Trzaśnięcie drzwiami. Dan wchodzi do kuchni i dopiero wtedy pozwalam sobie na płacz. Zalewam się łzami.

– Grace, co się stało?

Nie potrafię znaleźć słów. Ze zbolałą miną prowadzi mnie do salonu, sadza na kanapie i klęka przede mną.

– Grace? – Zrobił się blady jak ściana.

– Chodzi o pracę.

Wypuszcza powietrze.

– Tylko tyle?

– Tylko? – Wycieram policzki rękawem.

– Nie to chciałem powiedzieć. Cieszę się, że nie chodzi o nic poważniejszego. Że wszystko w porządku z twoimi dziadkami. Co się stało?

Na sofę pada cień; to Anna – staje obok mnie. Nie słyszałam, kiedy weszła.

– Grace. – Siada obok i otacza mnie ramieniem.

Mam tak napięte mięśnie, że boli mnie każdy dotyk, więc strącam jej dłoń.

Opowiadam, jaki miałam koszmary dzień.

– To nie twoja wina – mówi Dan i ściska mnie za kolano.

– Jednak trochę tak – wtrąca Anna. – Wiem, że nie skrzywdziłabyś nikogo celowo, ale gdybyś była na placu zabaw i pilnowała dzieci...

– Anno! – ucina ostro Dan. – Wypadki się zdarzają. Czasami po prostu nie ma winnych.

– Ona ma rację. Powinnam była wyjść do dzieci. – Wycieram oczy.

– Nawet jeśli, to i tak Emily stanęłaby na huśtawce i spadła z niej – przekonuje Dan.

– Może.

– Prawie na pewno.

– Nie wiem, jak mam jutro spojrzeć wszystkim w oczy.

– Z podniesioną głową. Grace, mówię uczciwie, nie masz się czego wstydić.

– O tym zadecyduje kuratorium. – Rwę mokrą chusteczkę, którą trzymam w ręku, na kawałki i patrzę, jak spadają na podłogę. Są niczym papierowe confetti. Nie mam czego

świętować.

- Zamkną przedszkole? – pyta Anna.
- Jeżeli kuratorium nie dopatrzy się naszej winy, sprawa na szczęście nie nabierze rozgłosu. Nie wiem, jak bym to przeżyła, gdyby to, co zrobiłam, odbiło się na funkcjonowaniu przedszkola Lyn.
- Ale rodzice zostaną poinformowani, prawda?
- Dzieci na pewno już opowiedziały w domu, że w przedszkolu była karetka, więc jeśli ktoś zapyta, przyznamy, że zdarzył się wypadek. Ale co więcej – nie wiem. Wszystko zależy od tego, jak Lyn sobie z tym poradzi. Mam nadzieję, że się nie dowiedzą. Ufają mi.
- I nadal będą ufali – mówi Dan. – Świetnie sobie radzisz z dziećmi. Uwielbiają cię.
- Dzięki. – Pochyliłam się. Dotykamy się czołami. – Kocham cię, Dan.
- Ja ciebie też. Idź, wykup się, a ja zrobię kolację.
- Ty?
- Owszem, ja. Umiem, wiesz? Już to wcześniej robiłem. Dorsz i frytki trzy razy?

Budzik obwieszcza dzwonieniem początek nowego dnia i wrywa mnie z niespokojnego snu. Spoglądam spod ciężkich powiek. Czuję cierpki smak w suchych ustach. Niepotrzebnie wczoraj zjadłam tę tłustą rybę z frytkami i napiłam się wina. Idę do łazienki chwiejnym krokiem i sięgam po szczoteczkę. Kiedy myję zęby, zbiera mi się na wymioty. Nie mogę patrzeć na swoje odbicie: mam czerwone, podpuchnięte oczy i trupioblada twarz. Przelatuje mi przez myśl, że mogłabym się dziś wymówić chorobą, ale w końcu biorę prysznic, ubieram się i całuję Dana na do widzenia. Drzwi do pokoju Anny są zamknięte. To nawet dobrze, że jeszcze nie wstała. Zraniła mnie swoją wczorajszą reakcją, nawet jeśli tylko powiedziała głośno to, o czym sama myślałam – i nawet jeśli rzeczywiście jestem winna.

Na dole odsuwam zasłony w salonie. Mrużę oczy, bo słońce świeci mi prosto w twarz. Łapcia śpi zwinięta na kanapie wśród opakowań po rybie z frytkami. Na podłodze stoją dwie puste butelki po winie. Osuszyłam obie? Obok leżą opróżnione butelki po piwie – to już dzieło Dana. Znowu się okaże, że mamy za mały pojemnik na szklane odpadki. Mam nadzieję, że panowie śmieciarze nie oceniają nas tak, jak czasem sama siebie oceniam.

Jazda do pracy trwa zbyt krótko. Kieruję zamyślona i po trosze spodziewam się, że na miejscu zastanę tłum rozwścieczonych rodziców i tabliczki z hasłami typu: „SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA EMILY”, ale okazuje się, że jest dzień jak co dzień. Na parkingu pusto, jeśli nie liczyć auta Lyn. Wchodzę głównym wejściem. Z ulgą stwierdzam, że mój klucz nadal pasuje do zamka. Nie wyrzucono mnie zatem.

– Chodź do mnie – mówi Lyn i zamyka mnie w objęciach. – Wyglądasz fatalnie. Nie martw się aż tak. To był wypadek. Dziś jest nowy dzień. – Jej uśmiech rozwiewa moje obawy, ulatują i rozplývają się w powietrzu, a ja pozwalam się przytulić.

Poranek wygląda jak każdy inny, z tą różnicą, że nie ma Emily. Dzieci nie wspominają ani o wypadku, ani o karetce. Zwyczajny dzień. Przy obiedzie czytamy z Lyn raport i podjadamy jej kanapki z jajkiem. Rano czułam się tak paskudnie, że myśl o przygotowaniu jedzenia nawet nie przyszła mi do głowy.

– Sądzę, że sprawa jest jasna. Na jedną naszą opiekunkę przypada przepisowa liczba dzieci. Wszystkie wcześniejsze raporty stwierdzały, że trzymamy wysoki poziom. Sprzęt jest w dobrym stanie. Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, ale nie wydaje mi się, żeby kuratorium zechciało wnikać w sprawę.

– Oby nie.

– Emily dobrze się czuje, to najważniejsze. Jeżeli kuratorium nie zechce się zagłębiać i nie zwróci na sprawę uwagi opinii publicznej, wówczas to, co się wydarzyło, nie powinno wpłynąć na naszą reputację. Będzie po staremu. A teraz idź i zrób mi kawę.

Parzę Lyn kawę, a przy okazji łykam dwie tabletki paracetamolu i pijam je dużą szklanką wody. Większą część popołudniowych zajęć poświęcamy na robienie kartonowych serc, które ozdabiamy brokatem, bibułką i farbami. Wieszam je na sznurze, żeby wyschły. Bolał mnie ręce. Przez cały dzień byłam przesadnie ostrożna i teraz czuję się wypompowana. Z ulgą zamykam drzwi za ostatnim dzieckiem i zabieram się do sprzątanania.

– Skończyłam. Wychodzę. – Zaglądam do biura Lyn. Widzę, że ma bladą, ściągniętą twarz. – Co się dzieje?

– Lepiej usiądź. – Pokazuje brodą na krzesło.

Nie patrz na mnie.

Siadam więc. Skubię pasek od zegarka, który jakiś czas temu zaczął się przecierać. Nitki spadają na podłogę.

– Musisz to zobaczyć. – Lyn podaje mi swojego iPada.

Na ekranie okienko z otwartą aplikacją Twittera.

Niesumienna pracownica żłobka łamie rękę dziewczynce.

– Czy to...

– Czytaj dalej. To jeszcze nie wszystko.

Nie posyłajcie tam dzieci! Tam jest niebezpiecznie!

Dlaczego jeszcze nie zwolnili tej Grace?

Grace powinna trafić za kratki.

Długa lista postów, wszystkie opatrzone hasztagami #littleacorns i #usunacgrace i we wszystkich wezwanie do przelania krwi. Mojej krwi. Kiedy wiadomości udostępnił profil miejscowej gazety, pojawiły się pod nimi okropne, złośliwe komentarze ludzi, o których nigdy nawet nie słyszałam. Robi mi się niedobrze. Tablet, który trzymam w ręku, rozmywa mi się przed oczami.

– Kto to zrobił?

– Nie wiem. To wszystko nowe konta. Nie ma żadnych zdjęć ani informacji o autorach.

– Czy to możliwe, że stoi za nimi jedna osoba?

– Nie wiem. – Lyn wystukuje nerwowy rytm długopisem na biurku. – A może to Greg?

– Kto wie? Powiedział, że pożałuję. Jest porywczy, o czym się przekonaliśmy, no i jest tatą Emily. Co teraz?

– Nie możemy milczeć. Ludzie dzwonią. Rodzice podają sobie wiadomości i się niepokoją.

Czekam, co nastąpi dalej.

Lyn odchyła się na krześle i wzdycha.

– Dzwonił miejscowy dziennik. Jutro puszczają tekst. Poprosili mnie o komentarz.

– I co powiedziałaś? – pytam ledwo słyszalnym głosem.

– Że nikomu nie przypisujemy winy, ale badamy sprawę, i że jesteś zawieszona, dopóki kuratorium nie dojdzie do jakichś konkretnych wniosków.

Łzy napływają mi do oczu.

– Przykro mi, Grace, ale nie mogę ryzykować, że rodzice zaczną rezygnować z naszych usług. Muszę działać w najlepszym interesie przedszkola.

– Wiem. Przepraszam cię. – Znowu te same słowa, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Jak tylko kuratorium podejmie decyzję, wszystko wróci do normy. Zobaczysz, że sprawa rozejdzie się po kościach.

Sięgam do torebki i wyjmuję klucz.

– Proszę. – Podaję go Lyn.

– Zatrzymaj go. Będzie ci potrzebny, kiedy do nas wrócisz. Bo wrócisz, Grace.

Dźwigam się z krzesła. Czuję się, jakbym ważyła tonę – ciąży mi poczucie winy.

Przechodzę przez pokój zabaw, patrzę na rząd schnących kartonowych serc i mam wrażenie, że moje pęka na kawałki.

26.

Wtedy

Rano w skrzynce oprócz świątecznych kartek znalazłam kolejny list. Schowałam go do plecaka, żeby móc później pokazać Esmée i Charlie. Jako pierwsza zameldowałam się w stołówce. Dlaczego zawsze pachniało tam gotowaną kapustą? Przecież nigdy nie jedliśmy warzyw. Pomimo całego tego gadania o zdrowym odżywianiu w szkołach, hot dogi i frytki były jedynymi z niewielu rozpoznawalnych produktów serwowanych przez gburowate kobiety w różowych kitlach i siatkach na włosy. Sprawiały wrażenie, jakby trafiły do szkolnej kuchni za karę. Wyjęłam z chłodziarki marną podróbkę sałatki: sałata lodowa, pomidory, ogórek i odrobina tuńczyka – nie najem się tym... ale przynajmniej zrzucę przed świętami ze trzy kilogramy – które odrobież z nawiązką, obżerając się cukierkami i babeczkami z bakaliami.

Stojąc w kolejce do kasy, nie oparłam się pokusie i dobrałam jeszcze filiżankę gorącej czekolady. Dzięki sałatce zaoszczędzę tyle kalorii, że zasłużyłam na deser. Kiedy wróciłam do naszego ulubionego stolika, Esmée i Charlie już tam siedziały.

- Słyszałaś, co się stało ze Siobhan? – Charlie huštała się na krześle.
- Nie.
- Wyrzucili ją.
- Co? Dlaczego? – Przecież była z nas najzdolniejsza.
- Ukradła laptop.
- To jakiś absurd. Nie zrobiłaby tego. Przecież ma laptopa.
- Nagrały ją kamery. Widziałam radiowóz przed szkołą.
- A co ze studiami?
- Nie pójdzie. Bo nie będzie mogła podejść do egzaminów.
- Mój Boże. – Byłam zszokowana.
- Nie mogę uwierzyć. – Esmée zagryzła wargę. – Mam wrażenie, jakbym w ogóle jej nie znała.
- Bo nie znałaś – stwierdziła Charlie. – Zobacz, co zrobiła Grace.
- Nadal robi. Dzisiaj dostałam kolejny list.
- To suka – skwitowała Charlie.
- No – zgodziłam się, ale potem spojrzałam na Abby – siedziała w kącie i szlochała, otoczona przez zatroskane „przyjaciółki”, które próbowały wyciągnąć od niej coś na temat krnąbrnej starszej siostry – i zrobiło mi się jej szkoda.

Dzięki temu, że Siobhan zniknęła z mojego codziennego życia, mogłam nieco odetchnąć. W szkole huczało od plotek. Że należała do szajki. Że jej tata jest członkiem mafii. Stephen Brown z mojej klasy powiedział, że zaproponowała mu, by kupił od niej laptopa za sto funtów. Nie miał jednak ani takich pieniędzy, ani pojęcia, że Siobhan go ukradła. W to akurat uwierzyłam. Oprócz Siobhan każda z nas gdzieś pracowała: ja w kawiarni w soboty; Charlie pilnowała dziecka; Esmée pomagała mamie rozprowadzać romanse z Avonu. Rodzice Siobhan nie chcieli, żeby odrywała się od nauki. Na co aż tak bardzo potrzebowała pieniędzy?

Pewnie na papeterię... Listy przychodziły teraz niemal każdego dnia, drażniły mnie i męczyły. Charlie chciała rozpocząć poszukiwania taty, a ja z różnym skutkiem próbowałam

skupić się na pisaniu pracy okresowej. W rozmowach z Lexie robiłyśmy aluzje do poszukiwań, na przykład udawałyśmy, że widziałyśmy program Jeremy'ego Kyle'a, w którym pewna dziewczyna zażądała od matki ujawnienia nazwiska biologicznego ojca; albo wymyśliłyśmy historię o dziewczynie ze szkoły, która niedawno odnalazła ojca. Lexie tylko zapalała kolejnego papierosa, nalewała sobie drinka – i nas ignorowała.

Wracając ze szkoły w któryś piątek, skróciłyśmy sobie drogę ścieżką przez park. Zobaczyłyśmy siedzącą na huśtawce samotną postać. Spod jasnożółtej czapki z pomponem wystawały blond loki. Siobhan.

– Pójdźmy inną drogą. – Pociągnęłam Charlie za rękę.

– O nie, nie ustąpię jej. – Charlie ruszyła po oszronionej trawie. – E, złodziejko! – zawołała w kłębach pary z ust.

Spięłam się. Czekałam, kiedy Siobhan wybuchnie. Kiedy się odwróciła, zbyt gwałtownie nabrałam zimnego powietrza i się rozkaszałam. Siobhan miała czerwone oczy i blade, krostowate policzki.

– Niczego nie ukradłam.

Charlie intensywnie się w nią wpatrywała.

– Wierzę ci...

– Dzięki. – Siobhan wyciągnęła rękę, ale Charlie ją odtrąciła.

– ...tak jak wierzę, że to nie ty wysyłasz listy do Grace.

– Ale...

– Daruj sobie. Nagrała cię kamera. Potrzebowałeś forsy na znaczki, co? Żaloszna jesteś.

Dan kocha Grace. Nawet by nie spojrzął na taką prostaczkę jak ty.

Siobhan pociągnęła nosem i wytarła go rękawiczką.

– Proszę cię... Przecież się przyjaźniłyśmy...

– Bo byłyśmy frajerkami. – Charlie złapała mnie za nadgarstek. – Idziemy, Grace.

Dziewczyny czekają.

– Pozwólcie mi też pójść. – Siobhan złożyła dłonie jak do modlitwy. – Rodzice mnie nienawidzą. Nawet Abby nie chce ze mną rozmawiać.

– Spadaj na drzewo, Siobhan – odparła twardo Charlie, ale kiedy odchodziłyśmy, zobaczyłam łzy w jej oczach.

Teraz

Nie wierzę, że po powrocie do domu będę musiała powiedzieć Danowi, że właściwie straciłam pracę. Moja fiesta stoi na miejscu dla pracowników. Idę do auta szybkim krokiem, z pochyloną głową i z kluczykami w ręku. Rzucam torebkę na fotel pasażera, siadam za kierownicą i prędko zamykam drzwi. Jestem roztrzęsiona. Ktoś ewidentnie daje wyraz swojej nienawiści do mnie. Ale kto? Greg? A może ten człowiek, który mnie śledzi?

Nie byłby to pierwszy wróg w moim życiu. Wracam myślami do czasów, kiedy miałam osiemnaście lat. Przypominam sobie, co się wtedy stało, i naraz chce mi się płakać. Dzwonię do mamy. Może jeśli wypowiem te słowa na głos, przestaną mi się wydawać tak okropne i będzie mi łatwiej powtórzyć je w rozmowie z Danem. Telefon dzwoni i dzwoni, czekam, aż włączy się poczta, ale w końcu mama jednak odbiera.

– Cześć, Grace. – Jest wyraźnie zdyszana. – Wszystko w porządku?

– A u ciebie? Masz głos, jakbyś przebiegła maraton.

– Jest u nas córka Olivera z dziećmi. Bawimy się w chowanego. Co się urodziło?

Przeszywa mnie zazdrość. Ze mną nigdy się nie bawiła, a teraz dokazuje z wnukami Olivera. Rozumiem dlaczego, ale i tak czuję ból.

– Nic ważnego. – Przełykam ślinę, bo inaczej głos mi się załamie. – Wracaj do dzieci. Odezwę się w przyszłym tygodniu.

Zgrzytam zębami, zapalam silnik... i aż podskakuję, kiedy fala dźwięku zalewa kabinę. Dziś rano podkręciłam głośność, bo w radiu puszczała miks przebojów z lat osiemdziesiątych. Z głośników huczy *Mr. Blue Sky Electric Light Orchestra*. Prędko wyłączam radio i opieram czoło na kierownicy. Uszami wyobraźni słyszę zawodzący głos taty: *It's a beautiful new day. Hey, hey*. Gdybym tylko mogła z nim porozmawiać. Ciszę w aucie maści jedynie mój nierówny oddech. Gdybym tylko mogła zostać tu na zawsze, zamknąć się jak w kokonie.

Lyn stuka w szybę. Podnoszę głowę, uśmiecham się i pokazuję, że wszystko w porządku. Potem wrzucam wsteczny i wyjeżdżam z parkingu. Na drodze nie rejestruję innych samochodów, choć oczywiście tam są. Koła wozu kręcą się, auto się toczy, przemieszcza się do przodu – i nagle, zdecydowanie zbyt szybko, zatrzymuję się przed domem.

Jestem już w progu, kiedy słyszę podniesione głosy. Wrzucam klucze do miseczki na pierdółki stojącej na stoliku pod telefon i głośno wołam:

– Dzień dobry!

Telewizor w salonie jest włączony, na ekranie ryczą bolidy Formuły 1.

Dan siedzi na brzegu kanapy ze zwieszoną głową i padem do PlayStation w dłoni. Anna stoi nad nim z zaciśniętymi pięściami.

– Co się dzieje?

– Dan nie umie przegrywać. I nie lubi gier, prawda, Dan?

– Twoich nie – odpowiada cicho. Ma ponure spojrzenie.

– To dlatego, że...

– Zamknijcie się oboje. Niepotrzebne mi to dzisiaj. – Znajduję pilota i wyłączam dźwięk w telewizorze. – Zostałam zawieszona.

Siadam obok Dana i opieram głowę na jego ramieniu. Łapcia wskazuje mi na kolana. Drapię ją po karku, wdzięczna, że na chwilę mogę zapomnieć o problemach.

– Słucham? Dlaczego?
Opowiadam, jak wyglądał mój dzień.
– Ale Lyn zachowała się w porządku. Powiedziała, że mam zachować klucze, bo będę mogła wrócić do pracy. To tylko kwestia czasu. Nie wiem dokładnie kiedy, bo to akurat zależy od kuratorium.
– Okropne – mówi Anna. – Ktoś się na ciebie wziął. Masz pomysł, kto mógł to zrobić?
– Ktoś, kto, kurwa, nie ma własnego życia – stwierdza Dan.
– Lyn sądzi, że to Greg, tata Emily. Kilka tygodni temu miałam z nim... scysję.
– Ale ty podejrzewasz kogoś innego?
– Sama nie wiem. Od jakiegoś czasu wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi.
Dan patrzy z powątpiewaniem.
– Jesteś pewna? Wiesz, że bywasz... podejrzliwa.
– Nie, to prawda. Sama widziałam – wtrąca Anna. – Nawet pobiegłam za samochodem tego kogoś.
– Czemu mi nic, do cholery, nie powiedziałaś? – wybuchła Dan.
– Nie chciałam cię martwić.
– Jeśli naprawdę ktoś cię śledzi i jeśli złapię tego człowieka, to... będzie miał ze mną do czynienia.
– O, jaki rycerz w lśniącej zbroi – mówi Anna.
– Anno?
– Tak, Danie?
– Zamknij mordę.
– P r z e s t a ń c i e wreszcie! – Cisza jest gęsta i krępująca, jeszcze bardziej męcząca niż wrzaski. – Mam ochotę na kąpiel i spokojny wieczór.
– Nie będę przeszkadzał. Idę na trening.
– Ja też wychodzę – rzuca Anna.
– Zaplanowałaś sobie coś przyjemnego na wieczór? – pytam.
– Randkę.
Dan wstaje. Widzę, jak chodzą mu mięśnie szyi.
– Szkoda, że nie rozmowę o pracę. Na razie. – Całuje mnie w czubek głowy.
Próbuję złapać go za rękę, ale się wymyka.
– Grace, przepraszam, że musiałaś być tego świadkiem. Po prostu jestem ambitna.
– Tak samo jak Dan. – Biorę głęboki wdech. – Wydaje mi się, że jest mu coraz trudniej dzielić się naszą przestrzenią. Oboje bardzo się cieszymy, że u nas mieszkasz, naprawdę, ale też miło by było wiedzieć, jakie masz plany.
– Oczywiście. Przepraszam. Wiem, że nie mogę mieszkać u was w nieskończoność. Niedługo coś wymyślę. Przyrzekam. Tak się cieszę, że mogłam cię poznać i dowiedzieć się tylu rzeczy o Charlie. Żałuję tylko, że nie spotkałam się z Lexie. Posłuchałabym opowieści z dzieciństwa Charlie i obejrzała zdjęcia. No, ale nic to. Przygotuję ci kąpiel. Mam olejek, dzięki któremu się odprężysz.
– Dzięki, Anno.
Anna idzie na górę i napięcie w salonie opada. Przymykam oczy, głaszczę Łapcię i daję się uśpić jej cichemu mruczeniu.
– Co ja bym bez ciebie zrobiła? Ciebie nie obchodzi, co mówią ludzie, prawda? – Dotyka mojej dłoni miękką łapkę.
– Kąpiel gotowa! – woła Anna.
Buczy telefon. Esmes od Dana: „Ona musi się wynieść”.

Idę zmyć z siebie ten dzień.

Anna wygrzebała skądś opakowanie świeczek do podgrzewaczy i porozstawiała je tak, że cała łazienka mieni się i migocze. Na grzejniku elektrycznym wisi puszysty biały ręcznik, a na wieszaku na drzwiach – mój szlafrok. Na parapecie stoi kieliszek białego schłodzonego wina, obok leży iPod ze słuchawkami.

– Proszę. – Anna wręcza mi *Dziwne losy Jane Eyre*. – Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Chyba pomyślałaś o wszystkim. Niesamowite. Czuję się jak bohaterka komedii romantycznej.

– Każdy czasem potrzebuje, żeby ktoś o niego zadbał.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Zrobić ci coś do jedzenia przed wyjściem?

– Nie trzeba. W zamrażarce mam pizzę, podgrzeję sobie, jeśli zgłodnieję. Z kim masz tę randkę?

– Z jednym facetem, którego poznałam w internecie. Idziemy coś przekąsić w Beefeaterze.

– Baw się dobrze. Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła.

– To by przeczyło idei dobrej zabawy. – Uśmiecha się, a potem zostawia mnie sam na sam z kąpielą i zszarganymi nerwami.

Woda wygładza ich ostre krawędzie, uspokaja tak, że w końcu mogę przymknąć oczy i się rozluźnić.

Leżę w wannie, dopóki nie wystygnie woda i nie pomarszczy mi się skóra na palcach. Jestem wyczerpana emocjonalnie, odpuszczam sobie kolację i idę prosto do łóżka. Zasypiam i nic mi się nie śni. Nawet nie słyszę, kiedy Anna albo Dan wracają do domu.

Dan rzuca ręcznik na podłogę i zdejmuje koszulę z wieszaka. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam go nago. Przeważnie wychodzę do pracy wcześniej od niego, a z kolei w weekendy on często ubiera się w łazience i od razu jedzie na trening. Wyczuwa, że mu się przyglądam. Odwraca się.

– Rozmawiałam wczoraj z Anną – odzywam się szeptem, choć to mało prawdopodobne, żeby nas usłyszała. – Niedługo się wyprowadzi. Możemy...

– Możemy. – Dan podchodzi do łóżka.

Kładzie dłonie na moich ramionach i popycha. Kładę się z powrotem na poduszce. On całuje mnie w szyję, a jego dłoń zakrada się pod moją koszulkę.

– A Anna?

– A my? Minęło dużo czasu.

Ściąga mi spodnie od podżamy. Wbijam mu paznokcie w plecy i gryzę się w usta, żeby nie krzyknąć. Ciemna, słona krew spływa mi do gardła. Kilka minut później jest już po wszystkim, ale ulga, że Dan nadal mnie pragnie – że ja nadal go pragnę – przyprawia mnie o zawrót głowy.

Siada i odgarnia włosy z moich oczu.

– Brakowało mi tego.

– Mnie też. Kocham cię.

– Ja też cię kocham. – Przesuwa kciukiem po moich ustach. – Może później to powtórzymy?

– Czemu nie?

– Powinniśmy zrobić sobie wolne. Spędzić długi weekend z twoją mamą. Mam trochę godzin do odebrania w pracy. Jedlibyśmy rybę i frytki na bulwarze.

– A ta sprawa w przedszkolu?

– W tej chwili i tak nic nie możemy zrobić. Na szczęście u twojej mamy jest tak kiepski zasięg, że nie będziesz co pięć minut sprawdzała Twittera.

– Zadzwoń do niej później i opowiem o twoim pomysle.

Całujemy się na do widzenia – to prawdziwy, długi pocałunek, a nie jedno z tych przelotnych cmoknięć, do których się przyzwyczailiśmy – i choć przy tym wszystkim, co dzieje się w pracy, absurdem byłoby sądzić, że mogę być szczęśliwa, rzeczywiście robi mi się lżej na duszy. Znow gramy w jednej drużynie i wiem, że cokolwiek się stanie, poradzimy sobie z tym w dwoje.

Mam przed sobą cały dzień. Chyba zrobię wiosenne porządki. Bessie Smith śpiewa *Downhearted Blues*, a ja nucę razem z nią i przesuwam sofę, żeby poodkurzać pod spodem. Sierści tam tyle, że starczyłoby na drugiego kota. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy nagle ktoś stuka mnie w ramię.

Odwracam się. Anna wyciąga wtyczkę z gniazdka, a ja wyjmuję zatyczki z uszu. Za jej plecami stoi dwóch policjantów.

Ściany zaczynają tańczyć. Czuję się, jakbym cofnęła się w czasie.

– Danowi nic nie jest?

– Grace Matthews? Posterunkowi Dunne i White. – Błysk odznak.

Kiwam głową bez słowa, trzymając dłonie na policzkach.

– Czy może nam pani powiedzieć, gdzie była zeszłej nocy?

– Zeszłej nocy? – Głos mi się łamie. Zwilżam usta językiem i próbuję raz jeszcze. – Zeszłej nocy? Tutaj.

– Czy ktoś był z panią?

– Nie. A dlaczego?

– Pracuje pani w Little Acorns, prawda?

Kiwam głową.

– Zeszłej nocy ktoś zdewastował przedszkole.

– Słucham? Kto?

– To właśnie staramy się ustalić. Nie było śladu włamania. Sprawca najprawdopodobniej dysponował kluczem. Czy ma pani klucz do przedszkola, pani Matthews?

– Tak – odpowiadam cicho.

– Czy może pani sprawdzić, czy klucz nadal jest w pani posiadaniu?

Przechodzimy do korytarza. Biorę pęk kluczy i pokazuję ten, który służy do otwierania Little Acorns.

– Jest.

– Pojedzie pani z nami na posterunek i złoży zeznania. Proszę włożyć buty.

Anna przynosi moje adidas. Dopiero za drugim razem udaje mi się je włożyć. Dłonie trzęsą mi się tak bardzo, że za nic nie jestem w stanie zawiązać sznurówek.

– Pomogę. – Anna klęka i robi to za mnie. – Mam do kogoś zadzwonić?

Patrzę tępo przed siebie.

– Nie wiem.

– Pani Matthews, prosimy z nami. – Posterunkowy White otwiera drzwi.

Idę ścieżką do radiowozu, mijając rzędy żonkili i hiacyntów, które wystają zza płotka.

Pani Jones stoi na schodkach.

– Grace, wszystko w porządku?

Nie odpowiadam.

Wsiadam z tyłu i nie mogę uwierzyć, że znów siedzę w radiowozie. Powracają wspomnienia. Za szybą przewija się wiejski krajobraz, który zwykle mnie uspokaja. Dziś jest zimny i wrogi. Zamykam powieki i oczami wyobraźni widzę jeden z wpisów na Twitterze: „Grace powinna trafić za kratki”.

28.

Wtedy

Starłam z przedniej szyby warstewkę proszącego śniegu. Dziadkowie kupili mi na święta używaną fiestę, którą z miejsca pokochałam. Była szara, chociaż Dan stwierdził, że jest w kolorze grzybowym, i zaczął ją nazywać „Pieczarką” – również dlatego, iż w środku nie było za dużo miejsca.

Ktoś włożył list za wycieraczkę. Ciarki przeszły mi po plecach. Rozejrzałam się, czy nikt nie patrzy, a potem zabrałam kopertę i schowałam ją do tylnej kieszeni. Po fekalnym pudełku po butach nie dostałam wprawdzie żadnych kolejnych „prezentów”, za to nadal przychodziły coraz groźniejsze w tonie listy. Usiłowałam dystansować się od nich, ale nie było to łatwe. Nie wiedziałam, dlaczego Siobhan nadal to ciągnęła. Dobrze, że przynajmniej nie musiałam oglądać jej w szkole.

Poruszyła się zasłona w salonie. Zobaczyłam pomarszczone oblicze babci. Przykleiłam uśmiech do twarzy i pomachałam. Chowałam przed nią wszystkie te nieszczęsne listy; wystarczająco martwiła się tym, że siadam za kółkiem. Nie chciałam też, żeby mama się dowiedziała. Cudownie, że spędziła z nami Gwiazdkę, ale nasza więź wciąż była świeża, delikatna i wołałam jej nie nadwyręzać. Bałam się, że mogę mamę ponownie stracić, więc tylko śmiałam się z jej żartów i poruszałam same lekkie tematy.

Kiedy telepałam się przez wioskę, mocno ściskając kierownicę, czułam, że mięśnie karku mam twarde jak kamień. Dana bawiło to, że zawsze bezwzględnie trzymałam się ograniczeń prędkości, ale on był kierowcą rok dłużej ode mnie. Żółt zawsze i tak dociera do celu, mawiała babcia. Skręcając do Charlie, włączyłam kierunkowskaz, mimo że na ulicy nie było żywego ducha.

Zatrzymałam się, przy włączonym silniku, który zaczął miarowo dudnić, zerknęłam w lusterka, upewniłam się, że nikt mnie nie śledzi, i dopiero wtedy wysiadłam i popędziłam ścieżką. Byłam nieustannie podenerwowana, bałam się najdrobniejszych rzeczy: drzewa przed domem, którego cień wpadał do mojego pokoju, szczekania psa. Próbowałam sama siebie przekonać, że przecież list nie zrobi mi krzywdy, ale niepokój na trwałe zaległ w moim żołądku, pozostawiając niewiele miejsca na jedzenie. Plus był taki, że chudłam.

Kiedy weszłam na ganek i tupnęłam, żeby pozbyć się śniegu, po podłodze potoczyły się kryształki lodu, które oderwały się od butów.

– To ja! – zawołałam i ruszyłam w stronę kuchni. Lexie nie było stać na ogrzewanie „bez przerwy całego cholernego domu”, ale przynajmniej w kuchni stał termowentylator, dmuchał ciepłym powietrzem i na zmianę włączał się i wyłączał, próbując wyrównać temperaturę w pomieszczeniu. – Dostałam kolejny. – Rzuciłam kopertę na stół i klapnęłam na niewygodne drewniane krzesło.

– Co tym razem? – Charlie wzięła list. – Nie otworzyłaś? – Rozcięła kopertę, wyjęła kartkę w linie i ją rozłożyła.

„WYJEDŹ ALBO POŻAŁUJESZ”. Nierówne litery, wycięte z jakiegoś czasopisma, tak jak we wszystkich pozostałych.

– Pieprzona Siobhan. – Charlie rzuciła kartkę na stół.

– Mówi, że to nie ona.

– A co ma powiedzieć? Kto, jeśli nie ona?

– Dla ciebie. – Lexie postawiła na stole wyszczerbiony kubek z herbatą z mlekiem. Wyprostowałam plecy i odwróciłam głowę, żeby nie wachać jej stęchłego alkoholowego oddechu. Podsunęła mi paczkę ciastek ręką, która trzęsła się tak bardzo, że zawartość opakowania tylko cudem nie połamała się w drobne kawałki.

– Cholerna sprawa. Jak możesz się przy tym skupić na egzaminach?

– Nie mogę. – Ziewnęłam.

Lexie wzięła list.

– Może zrób to.

– Co takiego?

– Wyjedź. Znaczy, wiesz, nie na zawsze. Ale mogłabyś pomieszkać z mamą, niech ta cała Siobhan ochłonie.

– Nie. – Nie mogłam znieść myśli, że znalazłabym się daleko od Dana. – To tylko słowa. Niech sobie gada, znaczy, pisze na zdrowie.

– Nie chce zostawić Dana – wyjaśniła Charlie. – Przez ostatnie kilka tygodni prawie się nie widywałyśmy. – Miała rację. – Wychodzi na to, że jesteś jedną z tych dziewczyn, które odwracają się od przyjaciółek, kiedy już znajdą sobie faceta.

– Wcale nie. Po prostu...

– Grace, wyglądasz na cholernie zmęczoną.

– Bo jestem, ale to ważny rok. Są egzaminy. Dam sobie radę z paroma listami.

– Poza tym Grace obiecała, że pomoże mi w pewnej ważnej sprawie – powiedziała Charlie i dodała łagodnym tonem: – Skoro o tym mowa, mam, to chciałabym...

– Szlag by trafił! – rzuciła Lexie, bo nagle kubek wypadł jej z ręki i rozbił się na podłodze.

Złapała szarą ścierkę, która kiedyś pewnie była biała, uklękła i zaczęła zbierać rozlaną kawę. Potem wstała i wywiała ścierkę nad zlewem. Na stos talerzy pokrytych skorupą zaschłego keczupu spadły krople koloru błota.

– Zbierajmy się. – Charlie wstała od stołu. – Jesteśmy umówione.

– Tak? – spytałam.

– Tak. Może zostawisz samochód? Są wyprzedaje, więc w mieście będzie spory ruch, a sama wiesz, jak ci beznadziejnie idzie z parkowaniem.

– Dzięki za miłe słowa... Ale racja, pojedziemy autobusem.

Siedziałam na ławce przy głównej ulicy, przytupując, żeby nie zamarznąć. Charlie w ostatniej chwili wyskoczyła z autobusu – bo zapomniała wziąć portfel. Liczyłam, że zdąży wrócić do domu, znaleźć zgubę, przybiec z powrotem na przystanek i złapać kolejny, który właśnie toczył się w moją stronę. Wjechał w zatoczkę i się zatrzymał. Charlie machała mi przez okno. Uf! W mieście zapanowało szaleństwo, tłumy przelewały się ze sklepu do sklepu, polując na nieuchwytną idealną kreację na sylwestra. Kobiety i mężczyźni wypatrywali strojów, w których nie byłoby widać, że przejedli się w święta. Ludzie ściągali z wieszaków ciuchy przecenione o połowę i zanosili je do kas całymi naręczami.

Charlie lawirowała w tłumie. Nie spuszczałam z oczu jej zielonej czapki i starałam się nadążyć. Pytałam ją, ale nie chciała mi powiedzieć, dokąd idziemy.

Zatrzymała się przed zielononiebieskimi drzwiami. Salon tatuażu, informował różowy neon.

– Żartujesz, prawda?

– Pomyślałam, że zrobimy sobie identyczne tatuaże.

– Tak, a potem zapuścimy brody.
– Nie no, nie mówię o męskim wzorze. Narysowałam coś takiego. – Wyjęła z kieszeni kartkę i ją rozłożyła. Widniał na niej motyl. – Wybierzemy jakieś dyskretne miejsce. Na ramieniu?

– Mówisz poważnie? – Nie brałam pod uwagę tatuażu, nigdy w życiu.

– No. Nowy Rok, nowy początek.

– Co powie twoja mama? Albo Ben?

– Rzuciłam go.

– Co?! Dlaczego? – To było egoistyczne, ale poczułam się zawiedziona, że już nie będziemy mogły chodzić na podwójne randki.

– Bo ktoś inny wpadł mi w oko.

– Kto? Ben jest uroczy...

– ...ale nudny. – Charlie błysnęła uśmiechem i otworzyła drzwi salonu.

W środku było białe i sterylne. Radyjko grało świąteczne piosenki.

– Charlie Fisher? – Nie mogłam oderwać wzroku od kobiety, która nas przywitała. Tatuaże wiły się po jej odsłoniętych ramionach i oplatały szyję jak pnącza.

– To ja.

– Cześć, mam na imię Nancy. Jesteście umówione na dwa małe tatuaże, zgadza się?

– Jeden. – Usiadłam na ławeczce i założyłam ręce na piersi.

– Charlie mówiła, że będziesz chciała się wykrećić.

– Wykrećić? Najpierw musiałabym się na coś zgodzić.

– Psujesz zabawę. – Charlie pokazała Nancy rysunek.

– Ładny. Sama zaprojektowałaś?

– No. Chcę mieć coś, co symbolizuje wolność.

– Chodźmy – powiedziała Nancy. – Możesz popatrzeć, jeśli chcesz – zwróciła się do mnie.

– Ty będziesz go robiła? – spytałam zaskoczona.

Myślałam, że jakiś obwieszony kolczykami facet w czarnym T-shircie.

– No tak. Spodziewałaś się kogoś innego?

Zawstydzona pokręciłam głową.

Zaplecze było czystsze i nie tak obskurne, jak przypuszczałam. Na gołych, białych ścianach wisiały oprawione w stalowe ramy plakaty z dziewczynami z lat pięćdziesiątych. Nancy włożyła rękawiczki, a Charlie położyła się twarzą do dołu na czarnej skórzanej ławie. Drgnęła i syknęła, kiedy igła dotknęła jej skóry.

– Boli? – spytałam zafascynowana.

– No. Zajmij mnie czymś, dobra? Co robiłaś wczoraj wieczorem?

– Widziałam się z Danem.

– Nawet idiota by się domyślił.

– Była w miarę pogodna noc, więc wzięliśmy teleskop i poszliśmy do lasu.

– Pewnie trzęśliście się z zimna.

– Rozpaliliśmy ognisko i upiekliśmy pianki. Rozgrzaliśmy się...

– No, to na pewno! Wyglądasz na szczęśliwą.

– Bo jestem. Myślałam, że będzie dziwnie się przestawić, wiesz, z przyjaciółki Dana na dziewczynę. Wiem, że jesteśmy jeszcze młodzi, ale wydaje mi się, że to ten jedyny.

– Mój Boże! Zaraz będziesz chciała wytatuować sobie jego imię.

Rysunek zajął Nancy godzinę. Odchyliła się na fotelu, zdjęła rękawiczki, wyrzuciła je do kosza i poinstruowała Charlie, jak postępować ze świeżym tatuażem. Ta zaś napiła się wody.

Powoli zaczęły jej wracać kolory.

- I co? – Nancy spojrzała na mnie. – Przekonałaś się?
 - To chyba jednak nie dla mnie. Ale wygląda ładnie.
 - Powinnaś rozwinąć skrzydła i odlecieć, Grace – powiedziała Charlie.
 - Może kiedy indziej – stwierdziła Nancy.
 - Może. – Ale raczej nie.
- Wolałam mocno stać na ziemi.

Wysiadłyśmy z autobusu. Reklamówki obijały nam się o łydki. Pieniądze, które dostałam od mamy pod choinkę, wydałam na fioletową sukienkę z odkrytymi ramionami, którą chciałam włożyć na imprezę sylwestrową w pubie. Nie mogłam się doczekać, kiedy Dan mnie w niej zobaczy. Charlie kupiła czerwoną jak skrzynka pocztowa sukienkę z lycry i pasującą kolorem szminkę.

- Pojedziemy do mnie? – spytałam.
- Pewnie. Skoczę po rzeczy i powiem mamie.
- Zaczekam w samochodzie.

Wyjęłam kluczyki z torebki, podeszłam do auta od strony kierowcy i zamarłam. Na drzwiach ktoś wielkimi, krzywymi literami wyrył: „SUKA”.

29.

Teraz

– Czy potrzebuję adwokata?

Mam nadzieję, że Anna zadzwoniła do Dana i powiedziała mu, dokąd mnie zabrano. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście przysługuje mi prawo do telefonu, czy to tylko inwencja scenarzystów filmowych. Od oślepiającego sztucznego światła boli mnie głowa, a od zapachu środków czyszczących robi mi się niedobrze. Powietrze w tym pozbawionym okien pomieszczeniu jest zatechłe i zdecydowanie zbyt ciepłe jak na zimowy dzień. Nie przypuszczałam, nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, że jeszcze kiedykolwiek będę siedziała w pokoju przesłuchań. Czekam, aż ktoś się odezwie. Najpierw słychać szelest papierów, potem osoba siedząca naprzeciwko mnie podnosi głowę i spogląda mi w oczy.

– Nie jest pani aresztowana. Na tym etapie jedynie pomaga nam pani w prowadzeniu dochodzenia.

„Na tym etapie”.

Sięgam po stojący przede mną papierowy kubek. Nagle za ścianą słychać huk i krzyki. Blednę, a woda z kubka rozlewa się na stół.

– Przepraszam. – Letni płyn skapuje na szare linoleum.

– Zaczniemy od początku. Proszę uczciwie odpowiadać na każde pytanie. Jeżeli czegoś pani nie rozumie, proszę pytać, powtórzymy. Czy to jasne?

– Tak.

Muszę mówić prawdę. Nie mam nic do ukrycia. Już kiedyś siedziałam w takim pokoju, odpowiadałam na pytania policji i kłamałam. Żyłam w strachu, że to się wyda. Nie zrobię tego po raz drugi.

– Jak długo pracuje pani w Little Acorns?

– Siedem lat.

– Czy może pani opisać wydarzenia ostatnich kilku dni?

Opowiadam o Emily, o tym, że kiedy Lyn poprosiła mnie, bym wyszła na plac zabaw, nie zrobiłam tego od razu, i o tym, że Emily spadła z huśtawki. Nie dodaję, że kiedy zamknę oczy, nadal słyszę jej krzyk i wciąż widzę jej leżące na ziemi blade, wykręcone ciało.

– I spotkała się pani z dość gwałtowną reakcją, zgadza się?

– Tak.

– Czy wie pani, kto za nią odpowiada?

– Kilka tygodni temu doszło do pewnego incydentu. Z ojcem Emily. – Opowiadam, co się wydarzyło.

– Czy zna pani kogoś jeszcze, kto mógłby chować do pani urazę?

– Nie.

Chcę powiedzieć, że ktoś mnie śledzi, ale boję się to zrobić, bo jeszcze uznają, iż zmyślam.

– Czy zna pani kogoś, kto miałby powód, by włamywać się do przedszkola?

– Nie.

– I wczorajszy wieczór spędziła pani samotnie w domu?

– Tak.

Jeszcze kilka razy odpowiadam na identyczne pytania, a potem zostawiają mnie samą.

Wyjmuję chusteczkę z rękawa, wycieram pot spod pach i zastanawiam się, czy mnie obserwują – i czy lustra fenickie (a może weneckie – pal sześć nazwę) istnieją tylko w serialach. Kładę dłonie na stole i zamykam oczy. Słyszę echo kroków na korytarzu. Drzwi się otwierają.

– Dziękujemy, pani Matthews. Na razie jest pani wolna.
„Na razie”.

Kiedy wysiadam z radiowozu przed domem, zauważam ruch firanki w oknie pani Jones. Idę szybko do domu i wyrzucam sobie, że nie zabrałam telefonu. Drzwi są zamknięte. Naciskam dzwonek, zaglądam przez szparę skrzynki pocztowej. Anna nie reaguje. Sfrustrowana walę ze złością w drewniane drzwi, aż zwinięta w pięść dłoń zaczyna pulsować z bólu. Osuwam się na kamienne schodki i trzęsę się z zimna, bo mam na sobie tylko cienką bluzę z kapturem. Co robić? Nie dam rady stawić czoła pani Jones i gradowi pytań, który na pewno na mnie spadnie – o ile pani Jones w ogóle mi otworzy. Myśl o tym, że powinnam się gdzieś schować, wydaje się absurdalna, ale właśnie to robię: biegnę wzdłuż domu i wchodzę przez furtkę na podwórze za budynkiem. W szklarni lodowato. Siadam po turecku na podłodze i czuję, jak wilgoć przenika przez dresy. Szybko drętwieje mi tyłek.

Dan wraca do domu jako pierwszy. Słyszę perkotanie land rovera i pędzę przed dom.

– O, Grace, biegałaś?

Rzucam mu się na szyję.

– Cała się trzęsiesz. Chodź do środka.

Prowadzi mnie na kanapę. Grudki kompostu odklejają się od moich adidasów i spadają na niedawno odkurzany dywan. A niech leżą.

– Grace, strasznie cię przepraszam. – Anna wpada do domu w kurtce i butach.

– Nie mogłam się dostać do domu – mówię płaczącym tonem.

– Szukałam Łapci.

– Co? – Rozglądam się po salonie w poszukiwaniu wszechobecnego szarego futrzaka.

– Kiedy... wyszłaś, zjawiała się pani Jones i zaczęła zadawać pytania. Nie chciałam jej wpuścić, rozmawiałam z nią przy otwartych drzwiach. Łapcia przebiegła mi koło nogi. Nie zdążyłam jej złapać.

– Łapcia nigdy nie wychodzi na dwór.

– Wiem. Może zobaczyła królika albo coś...

– Coś zrobiła, ty jebana suko? – pyta Dan niskim, cichym głosem i robi krok w kierunku

Anny.

Anna się odsuwa.

– Wypadki się zdarzają. Czasami po prostu nie ma winnych – mówi i wychodzi.

Słyszę jej kroki w korytarzu, a potem trzaśnięcie drzwi.

– Dan?

Dan opiera brodę na czubku mojej głowy.

– Strasznie, strasznie mi przykro – szepcze, dotykając ustami moich włosów.

Odpycham go.

– Co się dzieje? Gdzie jest Łapcia?

Bierze mnie za rękę. Ma spoconą dłoń.

– Grace...

30.

Wtedy

Ktoś zniszczył mój piękny nowy samochód. Ulica była niewyraźną plamą, a głos Charlie dolatywał do mnie jak zza grubej zasłony, ale jakoś udało mi się dojechać bezpiecznie do domu i ustawić wóz pod takim kątem, żeby uszkodzona strona była niewidoczna z budynku. Nie chciałam, żeby dziadkowie się dowiedzieli. Zdjęliśmy z Charlie buty na wycieracze i na palcach ruszyliśmy w górę schodów, kiedy nagle zaskrzypiały drzwi do salonu.

– Macie ochotę na herbatkę? – zapytał dziadek.

Już miałam odpowiedzieć, ale słowa stłumił szloch, który wyrwał mi się z gardła.

– Co się stało?

Pokręciłam głową. Charlie wzięła dziadka za rękę i zaprowadziła go na zewnątrz.

Patrzyłam zza zasłony w salonie, jak dziadek przesuwając palcami po literach wyrytych w lakierze. Charlie żywo gestykulowała. Wiedziałam, że opowiada mu o listach i pewnie też o tym, jak Siobhan nakryła mnie i Dana na całowaniu się – i zrobiło mi się wstyd.

Kiedy oboje odwrócili się w stronę domu, odsunęłam się od okna, zapadłam w kanapę i zasłoniłam dłońmi twarz.

– Chodź – powiedział stanowczo dziadek.

Spojrzałam na niego przez palce.

– Przepraszam.

– Jedziemy do Siobhan – wyjaśniła Charlie.

– Co? – Opuściłam dłonie na kolana. – Po co?

– Po to, żeby zapłaciła za naprawę.

– Nie można tego pokryć z ubezpieczenia? – Czułam do siebie odrazę za to, że chciałam uniknąć konfrontacji.

– To by znaczyło, że wyrzuciliśmy obligacje w błoto.

Głośno przełknęłam ślinę. Aby mieć pieniądze na samochód dla mnie, dziadkowie sprzedali obligacje premiowe. Nie mogłam oczekiwać, że teraz dodatkowo pokryją koszty naprawy.

– Sama zapłacę. Mam pieniądze po tacie.

– Nie ma mowy. To pieniądze na twoją przyszłość – odparł dziadek. – Ja poprowadzę.

Czasem z dziadkiem nie było dyskusji. Wstałam i położyłam kluczyki na jego wyciągniętej dłoni.

Wierciłam się przez całą drogę, gdy w milczeniu jechaliśmy przez wioskę, kierując się w stronę domu Siobhan, który mieścił się na nowym osiedlu. Mieszkała w dużym, wolnostojącym budynku, wybudowanym tak blisko sąsiedniego, że wyglądały jak bliźniak. W oknie wykuszowym stała jodła obwieszona światełkami, które zapalały się i gasły, jakby wysyłały sygnał SOS. Charlie wzięła mnie za rękę i ścisnęła. Kiedy dziadek zadzwonił do drzwi, popłynęły dźwięki *Good King Wenceslas* i Charlie o mało nie parsknęła śmiechem.

Otworzyła mama Siobhan. Kiedy mnie zobaczyła, jej usta w kolorze fuksji wykrzywił szyderczy uśmiešek.

– Czego chcecie?

– Przyszliśmy w sprawie listów, które Siobhan wysyła do Grace, a także uszkodzenia samochodu – odparł dziadek niewzruszonym tonem.

– Ona nie wysyła żadnych listów.
– Czy możemy z nią porozmawiać?
– Nie ma jej.
– No tak...
– Powiedziała mi o twoich oskarżeniach. – Mama Siobhan dźgnęła mnie palcem, aż się cofnęłam. – Nastawiłaś wszystkich przeciwko niej. Przez ciebie jest cała w nerwach. I przez ciebie usunęli ją ze szkoły. Nie wiedziała, co robi, kiedy brała tego laptopa.
– To nie wina Grace. – Charlie zrobiła krok do przodu i stanęła w szeregu z dziadkiem.
– Przyszliśmy w sprawie samochodu – powtórzył stanowczo dziadek.
– Nic nie wiem o żadnym samochodzie.
– Ktoś go dzisiaj specjalnie porysował.
– Dzisiaj? – Matka Siobhan prychnęła.
– Tak.
– Siobhan jest w Brighton. Z Jeremym.
– Jeremym?
– Jej chłopakiem. Zresztą to nie wasza sprawa.
Wzdrygnęłam się, kiedy zatrzasnęła nam drzwi przed nosem.
Wróciliśmy do samochodu i w milczeniu pojechaliśmy do domu. Charlie wyjęła komórkę i zaczęła czegoś szukać.
– Jasna cholera! – Podsunęła mi telefon. – Zobacz, kim jest ten cały Jeremy! – Tego ranka Siobhan umieściła na Facebooku selfie z przywódcą grupy dzieciaków, których nazywaliśmy Żywymi Trupami. Na zdjęciu stała wtulona w Jeremy’ego na molo w Brighton. Pustym wzrokiem wpatrywała się w punkt na horyzoncie, a wiatr rozwiewał jej turkusowe włosy. Żadne z nich się nie uśmiechało. – Jeżeli Siobhan jest w Brighton, to znaczy, że jednak to nie ona wysyła ci te listy.
– Rzeczywiście, nie ona. – Przeszedł mnie dreszcz.
W takim razie kto?

Próbowałam rozjaśnić cienie pod oczami korektorem Touche Éclat, który mama kupiła mi pod choinkę, ale i tak szykując się na sylwestrową imprezę w pubie, wyglądałam, jakbym przebalowała całą noc. Nadal nie przepadałam za Siobhan, ale jeśli rzeczywiście to nie ona wysyłała mi listy, byłam jej winna przeprosiny. Przekonanie Charlie, żeby zrobiła to samo, mogło się okazać trudne. Nie cierpiała kłamców: postawa Lexie, która nigdy nie mówiła całej prawdy, odcisnęła na jej charakterze piętno, poza tym niezależnie od tego, czy Siobhan była, czy nie była autorką listów, kamera nagrała ją podczas kradzieży – okazała się zatem złodziejką.

Zadzwoił dzwonek i po chwili do mojego pokoju na piętrze doleciał niski głos Dana. Raz jeszcze szybko przejechałam prostownicą włosy – chociaż wiedziałam, że pod koniec wieczoru i tak będą wyglądały jak stóg rudego, kędzierzawego siana – i popsikałam się waniliowymi perfumami. Stałam przed lustrem i wciągnęłam brzuch; niepotrzebnie jadłam ten ostatni kawałek ciasta. Byłam gotowa do wyjścia.

Dan aż zagwizdał, kiedy chwiejnym krokiem schodziłam po schodach. Zacerwieniłam się i wbiłam spojrzenie w podłogę, a Dan zapewnił dziadka, że wprawdzie zamierza napić się alkoholu, ale pod żadnym pozorem nie wsiądzie potem za kierownicę. Po drodze do pubu zgarnęliśmy Charlie. Jak zwykle przesadziła z dezodorantem i Dan musiał opuścić szybę, żeby było czym oddychać.

Wszystkie miejsca na parkingu były zajęte, dlatego Dan zostawił auto po prostu pod

latarnią.

– Do jutra, kochanie – powiedział czule do maszyny, klepiąc ją po masce.

Przewróciłam oczami. Weszliśmy do pubu i przycisnęliśmy się do baru w trakcie trzeciej kolejki. Kupiliśmy od razu dwie, żeby nie musieć znowu stać w ogonku – ale potem wypiliśmy je dwa razy szybciej. Wieczór mijał błyskawicznie. Dan opowiedział o przygodzie, jaką miał w tym tygodniu: umówił się ze starszą parą, żeby pokazać jej dom na sprzedaż, rzekomo pusty, i nakrył właściciela na uprawianiu seksu w sypialni małżeńskiej.

– Nie byłoby w tym może nic szczególnego, gdyby nie to, że kobieta, z którą to robił, nie była jego żoną! – zaśmiał się.

– Fajnie, że jesteśmy tu wszyscy razem – powiedziałam. – No, prawie wszyscy. – Esmée spędzała święta we Francji i miała wrócić dopiero w następnym tygodniu. – Myślicie, że powinniśmy zadzwonić do Siobhan i ją przeprosić?

– Nie. – Charlie postawiła szklankę na stoliku takim gestem, że cydr spłynął jej po palcach, ale chyba nawet tego nie zauważyła.

– To nie ona wysłała te listy.

Oskarżyliśmy Siobhan o coś, czego nie zrobiła. Przez to wszyscy się od niej odsunęli. Nie zapomniałam, jak traktowała mnie przez te wszystkie lata, mimo to miałam coraz silniejsze i coraz trudniejsze do zlekceważenia poczucie winy.

– Nie wiemy tego na sto procent.

– Jak mogła to zrobić, skoro była w Brighton?

– Siobhan tak, ale nie Abby. Pamiętaj, że uwielbia siostrę. Mogła zająć się listami i porysować ci auto.

Zastanowiłam się nad tym.

– Niewykluczone. Ale Siobhan mówiła, że cała rodzina, w tym Abby, przestała się do niej odzywać.

– Nawet jeśli to nie ona ani Abby, to i tak jest złodziejką i kłamczuchą. Przestań jej bronić – powiedział Dan. – Jesteś dla niej zbyt łagodna.

– Założmy, że to nie ona – zaproponowała Charlie. – Wobec tego kto?

Myśl o tym, że jest ktoś jeszcze, kto nienawidzi mnie tak bardzo, by robić te wszystkie rzeczy, wytrącała mnie z równowagi. W pewnym sensie łatwiej mi było trzymać się przekonania, że za wszystkim stoi Siobhan.

– Dobrze, odpuśćmy sobie. – Odchyliłam się do tyłu i wypuściłam powietrze. To ma być wesoła impreza. Świętowanie nowego początku.

– Idę się wysikać. – Charlie wstała, zachwiała się i zaczęła przeciskać przez tłum.

Rozglądałam się po ludziach w pubie i połowy nie poznawałam.

– Wiesz, dlaczego Charlie i Ben zerwali? – spytałam Dana.

– Nie, ale wiem, że kiedy Ben słyszy imię Charlie, flaki mu się przewracają. Nie chciał dziś przyjść, bo nie ma ochoty już nigdy więcej jej oglądać.

– Powodzenia w takiej małej wiosce jak nasza.

– Po egzaminach wybiera się do Afryki. Będzie budował szkołę jako wolontariusz. Potem pojedzie od razu na studia.

– Szkoda. – Nie lubiłam zmian, chyba po prostu przeżyłam ich zbyt wiele. – Charlie mówiła, że upatrzyła sobie kogoś nowego, ale nie wiem, o kogo chodzi.

Charlie szybko wróciła.

– Masakryczna kolejka do damskiego. Więc poszłam do męskiego. – Klapnęła na krzesło i sięgnęła po szklankę.

Zabrzmiał dzwonek.

– Zamykam bar na odliczanie! – krzyknął Mike, zasłaniając dystrybutory ściereczkami. – Kolejne zamówienia dopiero w przyszłym roku.

– W przyszłym roku? – padło z sali.

– Aha! To już za jakieś... sześćdziesiąt sekund. – Mike wycelował pilota i włączył płaski telewizor, który wisiał nad barem.

Trafalgar Square był wypełniony po brzegi. Dziesięć... dziewięć... osiem...

– Nie mam kogo pocałować. – Charlie ze zboląłą miną weszła na krzesło i rozejrzała się w poszukiwaniu wolnego faceta. – Dobra, podzielimy się Danem.

Siedem... sześć... pięć... Dan wziął mnie za rękę.

Trzy... dwa... jeden... Nasze usta się zetknęły. Zahuczało mi w uszach od gwizdów i okrzyków, ale po chwili hałas zszedł na drugi plan i słyszałam już tylko bicie swojego serca. Kiedy otworzyłam oczy, zorientowałam się, że Charlie gdzieś przepadła.

Żona Mike'a, Liz, i mężczyzna, w którym rozpoznałam naszego listonosza, ale którego imienia nie potrafiłam sobie przypomnieć, porwali mnie w tłum. Zakręciło mi się w głowie, wpadłam na stolik, uderzyłam bokiem o ostry kant i wylałam zawartość szklanki. Nie zdążyłam sprzątnąć bałaganu, który narobiłam, bo pochłonęła mnie rozochociona ciżba z *Auld Lang Syne* na ustach, która przesunęła się bliżej baru.

Straciłam Dana z oczu. Nie znosił śpiewów, więc pewnie gdzieś się zadekował. Ryczałam ze wszystkimi, chociaż znałam tylko pierwszą linijkę, ale jakoś nie miało to znaczenia.

Atmosfera była niezwykła, wręcz szalona, nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś takiego.

Przeważnie czekaliśmy do północy, a potem wznosiliśmy toast za Nowy Rok – babcia sherry, dziadek porto, a ja gorącą czekoladą – i szliśmy spać. Zawsze wydawało mi się to dziwnie rozczarowujące. Patrzysz na zegarek, czekasz, aż wskazówki pokażą północ, a potem uświadamiasz sobie, że nadszedł Nowy Rok i nic się nie zmieniło. Babcia nadal płucze kubki przed położeniem się do łóżka, dziadek wciąż szykuje dla niej termofor, a ja ciągle słyszę to samo przypomnienie, żebym umyła zęby – identyczne co wieczór. Pierwszy stycznia też niczym się nie różnił od pozostałych dni, no może tylko tym, że zawsze jedliśmy pieczeń jagnięcą.

Ale to? To było niesamowite. Czułam się lekka. Niepokonana. I kto by przypuszczał, że potrafię śpiewać? Kiedy wybrzmiały ostatnie nuty *Auld Lang Syne*, Mike włączył płytę z jakąś składanką. Śpiewałam *I'm a Survivor!* razem z Destiny's Child, krążyłam po pubie, śmiałam się, rozdawałam promienne uśmiechy i wymieniałam uściski z nieznanymi. Gdzie się podziewają Dan i Charlie?

Ktoś złapał mnie za rękę. Odwróciłam się upojona uwagą, którą przyciągam. Każdy chciał ze mną gadać. Codziennie powinien być sylwester. Zobaczyłam przed sobą Abby, twarz miała napiętą z niepokoju.

– Głowa do góry! – powiedziałam. Tego wieczoru kochałam wszystkich bez wyjątku. – Mamy Nowy Rok!

Zachwiałam się. Musiałam się złapać ściany, bo podłoga najwyraźniej się poruszyła.

– Widziałaś Siobhan?

– Pewnie baluje z Jeremym pawiogłowym – zachichotałam.

Potrafiłam śpiewać, a na dokładkę byłam zabawna. Dzięki tym nowo odkrytym talentom to będzie mój najlepszy rok.

– Grace. – Abby złapała mnie za ramiona i potrząsnęła. Zabulgotało mi w żołądku i naraz poczułam się nieszczególnie. – Siobhan zaginęła. Jeśli ją spotkasz, powiedz, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze? Okropnie ją potraktowałam i teraz się martwię.

Głowa Abby zamazywała się i rozjeżdżała. Miałam wrażenie, że w moim żołądku kręci się ogniste koło. Zasłoniłam usta obiema dłońmi i pognałam do toalety.

Charlie i Dan stali w korytarzu. Obejmował ją. Kiedy my się przytulaliśmy, opierałam głowę na jego piersi, ale Charlie była tak wysoka, że dotykali się czołami.

– Jutro powiem Grace – odezwał się Dan.

Wycofałam się w stronę drzwi. Nie chciałam tego słyszeć. Nie chciałam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Dan i Charlie? Co takiego miał mi powiedzieć?

Czyjeś dłonie złapały mnie w pasie. Podejrżane głosy domagały się buziaka z okazji Nowego Roku. Wyrwałam się i przeciśniełam w stronę wyjścia. Wypadłam z gorącego pubu na zimną ulicę. Lodowate powietrze uderzyło mnie w pierś tak, że zgięłam się wpół, oparłam dłonie na kolanach i pomyślałam, że zwymiotuję. Po kilku chwilach nudności minęły, a pozostał ostry ból, który przeszywał mi skronie, ilekroć ruszyłam głową. Nigdy, przenigdy więcej nie będę piła. Czułam się zdrętwiała i oziębiała, jak Blaszyński Drwal z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, chociaż ten szczęściarz zamiast serca miał pustkę i nie mógł poczuć się zraniony, tak jak ja teraz.

Mój chłopak z moją najlepszą przyjaciółką? Z jednej strony kusilo mnie, żeby doprowadzić do konfrontacji, a z drugiej miałam ochotę wrócić do domu, schować się pod kołdrą i już nigdy stamtąd nie wyjść. Czemu wszyscy mnie opuścili? Tata, mama... Czy Dan robi to samo? A Charlie? Tak mi źle. Trudno uwierzyć, że jeszcze dziesięć minut wcześniej bawiłam się jak nigdy w życiu.

Ruszyłam chwiejnym krokiem. Miałam wrażenie, że obcasy moich butów są wyższe niż na początku wieczoru. Szłam, wystawiając ręce na boki, żeby nie stracić równowagi. Jak linoskoczek – chociaż przez te rude kędziory pewnie bardziej przypominałam klauna. Nie miałam daleko, ale było późno. I ciemno. I gdzieś tu mieszkał ktoś, kto mnie nienawidził i chciał, żebym się wyniosła. Większość miejscowych taryfiarzy bawiła się w pubie, a nie chciałam zawracać głowy dziadkowi po tym, jak już na pewno wypił to swoje porto z cytryną. Będzie dobrze, powiedziałam sobie. Przecież tysiące razy wracałam do domu piechotą.

Trzask. Cień. Ruch w wejściu na pocztę. Zamarłam. Czułam, że w każdej chwili mogę eksplodować – bo miałam do bólu pełny pęcherz, a moje serce biło zdecydowanie zbyt szybko. Błysk zielonych oczu. Spod poczty wystrzelił kot i przebiegł na drugą stronę ulicy. Pokręciłam głową, dziwiąc się własnej głupocie. Ale... znowu jakiś ruch. I stęknienie. Odgłos, jakby ktoś odchrząkiwał. Zdjęłam buty i puściłam się biegiem w samych rajstopach. Skręciłam za róg, w Green Road. Nie zobaczyłam potłuczonego szkła, ale poczułam je, kiedy wbiło mi się w stopę. Wrzasnęłam i upadłam. Na zimny chodnik popłynęła ciepła krew. Jęknęłam, próbując się podnieść. Zaczęło mi dzwonić w uszach. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to sygnał mojej komórki. Oby to był dziadek. Dan. Ktokolwiek, kto zabierze mnie do domu. Niech ktoś mnie położy do ciepłego, bezpiecznego łóżka.

Dzwoniła Siobhan. Ból w stopie podsycił moją wściekłość. Czego ona chce? Dan i Charlie uważali, że moja chęć wybaczenia jej jest żałosna. Nic dziwnego, że się do siebie zbliżyli. To wszystko jej wina.

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzasnęłam do słuchawki.

– Grace. – Siobhan płakała. – Proszę, nie rozłączaj się. Pomóż mi. Źle się czuję.

– I bardzo dobrze! – Rozłączyłam się i pokuśtykałam do domu, stawiając ranną stopę na pięcie.

Telefon dzwonił jeszcze wiele razy, ale nie odbierałam.

31.

Teraz

Dan obiecał, że pomoże mi znaleźć Łapcię. Szukamy od kilku godzin. Niebo stopniowo zmienia kolor, przechodzi od odcieni błękitu przez róże i szarości po zupełną czerń, której nie urozmaicają nawet gwiazdy, bo chowają się za niewidzialnymi chmurami.

– Grace, wracajmy do domu. Jest zimno i ciemno, nic nie widać.

Razem ze słońcem zniknęło wiosenne ciepło. Danowi leci para z ust.

– Chcę znaleźć Łapcię.

– Wiem, ale jesteś wykończona. Cały dzień nic nie jadłaś. Chodź, zrobimy kolację i położymy się wcześniej spać. Zaczniemy znowu jutro z samego rana.

– My?

– W pracy obejdą się beze mnie jeden dzień. Tobie jestem bardziej potrzebny.

Pozwalam mu wziąć się za rękę, ściskam go za palce.

Znajdujemy nasz dom w egipskich ciemnościach i z ulgą wchodzimy do środka. Idę do pokoju Anny. Jest wysprzątny, łóżko pościelone. Zaglądam do szuflad. Wszystko starannie poukładane, skarpetki do pary. Nie wiem, czego szukam, ale nie chce mi się wierzyć, że Łapcia sama uciekła z domu. Tylko dlaczego Anna ją wypuściła? W jakim celu? To nie ma sensu.

Wchodzę pod gorącą wodę. Odór pokoju przesłuchań wżarł mi się w skórę tak, że muszę ją dobrze wyszorować, aż będzie czysta, różowa i pachnąca. Przechodzi mnie dreszcz, kiedy otwieram drzwi kabiny i sięgam po ręcznik. Wycieram się i schodzę na dół. Dan podgrzewa pomidorówkę i kroi chleb. Chyba jestem zanadto zdenerwowana, żeby przełknąć jakikolwiek stały pokarm, ale czuję wdzięczność do Dana, że się stara. Siedzimy przy stole i w milczeniu jemy zupę. Słychać jedynie brzęk łyżek o miseczki. Odsuwam od siebie puste naczynie i kręcę głową, kiedy Dan proponuje dokładkę.

– Jak myślisz, dokąd poszła Anna?

Macza chleb w zupie, biała kromka robi się pomarańczowa.

– Mam nadzieję, że jak najdalej stąd.

– Uwierzyłeś w to, że Łapcia wybiegła na dwór?

– Nie wiem. To dziwne.

– Zadzwoń do Anny.

Kładę dłonie na brzegu stołu i już mam się odsunąć z krzesłem, gdy Dan przykrywa moje dłonie swoimi.

– Grace, odpuść już sobie dzisiaj. Prześpijmy się, a jutro z samego rana wznowimy poszukiwania. A o Annie porozmawiamy poważnie, kiedy znajdziemy Łapcię.

– W porządku. – Tak chyba będzie lepiej. Sama nie wiem, co bym jej teraz powiedziała. Nie wiem już, co mam myśleć.

Budzę się, kiedy jest jeszcze ciemno i zimno. Deszcz smaga okna, a ja wyobrażam sobie, jak mokra, trzęsąca się Łapcia siedzi pod krzakiem i zastanawia się, którądy do domu.

Rozprostowuję nogi i lodowatymi stopami szukam ciepła ciała Dana, ale jego tu nie ma. Schodzę na dół i znajduję mojego chłopaka przy stole, siedzi pochylony nad laptopem, a blask ekranu rozświetla mu twarz.

– Co robisz?

– Spójrz. – Obraca komputer w moją stronę. Na ekranie zdjęcie Łapci, nad nim napis: „ZAGINAŁ KOT”, a poniżej prośba do okolicznych mieszkańców, żeby zajrzeli do zabudowań gospodarczych i w razie czego zadzwonili pod podany numer. – Rozwiesimy to we wsi. Wydrukuję mniejszą wersję i powrzucamy ją do skrzynek.

Przygotowuję herbatę i popijam ją, aż robi się całkiem zimna. Siedzę na sofie, słuchając terkotu drukarki, która wypluwa kartki zadrukowane uroczą podobizną Łapci. Wstaje dzień. Idę wziąć prysznic i się ubrać, a potem zmuszam się do przeżucia i połknięcia grzanki. Dziś będę potrzebowała dużo energii.

Samochody z włączonymi światłami przejeżdżają główną ulicą, rozchlapując kałuże. Kierowcy niecierpliwie stukają palcami o kierownice i czekają, aż śmieciarka przestanie blokować przejazd. Wszędzie, gdzie spojrzę, widzę mnóstwo niebezpieczeństw czyhających na kota, który nigdy wcześniej nie wychodził z domu. Przed wejściem na pocztę czekają moi dziadkowie, rozgrzewają się, tupiąc w miejscu i rozcierając dłonie w rękawiczkach. Babcia wygląda na bardzo drobną. Włożyła na siebie trochę za dużo warstw. Ściskamy się na powitanie, a potem dzielimy plik ogłoszeń na dwie części. Dan wyjmuję z kieszeni kwadratową kartkę i rozkłada ją – to mapa wsi.

– Tony – zwraca się do dziadka – pomyślałem, że weźmiecie ulice, które zaznaczyłem na żółto.

Dziadek przesuwając palcem po jaskrawożółtej linii i kiwa głową. Babcia wręcza mi reklamówkę.

– Ciasteczka. Żeby ci cukier nie spadł.

Przyklejamy ogłoszenie w witrynach sklepów i na latarniach, przyczepiamy je pinezkami na tablicach w ośrodku kultury i bibliotece.

Na drugie śniadanie wstępujemy z Danem do piekarni, kupujemy kanapki z szynką i idziemy do parku.

Odwracam siedzisko huśtawki, żeby spłynęła z niego woda, a potem wykładam je reklamówką, żeby nie zamoczyć spodni. Siadam z kanapką na kolanach.

– Sto lat tu nie byliśmy – mówię. – Pamiętasz, jakie głupoty wyczyniałeś, żeby zaimponować Charlie?

– Co mam powiedzieć? Byłem idiotą. Nadal jestem. – Przeczesuje włosy palcami.

– Nie mam do ciebie żalu, że ją kochałeś. To nie było trudne. Tęsknię za nią.

– Nie kochałem jej. To było głupie, dziecinne zadurzenie. Ty jesteś tą jedyną, wiesz o tym, prawda? – Odrywa kawałek skórki i rzuca ją drepczącemu nieopodal gołębiowi.

– Myślałam, że Anna będzie taka jak Charlie. Chciałam tego. Ale nie jest, prawda?

– Nie – odpowiada surowym tonem. – Chodź. – Wstaje i zgniata torebkę po kanapce. – Zrobimy kolejną rundę po domach.

Już szósta, a my nadal jej nie znaleźliśmy. Skończyły nam się ogłoszenia i zapukaliśmy do tyłu drzwi, że boją nas kłykcie. Dziadek pisze w esemesie, że poszli z babcią do domu i później zadzwonią. Znowu się rozpadało, krople odbijają się od chodnika i płyną strumieniami do przelewających się studzienek.

– Wystarczy na dzisiaj. Jutro znowu spróbujemy. Proponuję zamówić coś na wynos.

U Chińczyka jest ciepło i duszno. Ze skwierczących woków unoszą się aromaty, które działają na wyobraźnię. Odwiązuję szalik, rozpinam kurtkę i siadam, przeglądając gazetę, podczas gdy Dan składa zamówienie przy kasie. W pewnym momencie otwierają się drzwi,

odwracam więc głowę, żeby zobaczyć, kto wpuszcza zimne powietrze do środka, i widzę, że to Harry i Chloe. Chloe uśmiecha się i podsuwa sobie krzesło. Harry opiera się o blat obok Dana. Obaj zadzierają głowy i oglądają Sky Sports na wielkim telewizorze zawieszonym nad kasą.

– Jak się trzymasz? – pyta Chloe.

Odpowiadam, że od rana szukamy zaginionej kotki.

– To okropne. Wrzuciliście zdjęcie na Facebooka?

– Jeszcze nie.

– Wyślij mi, udostępnię u siebie. Skoro mowa o zdjęciach, to potem wrzucę jeszcze te z kolacji dla agentów nieruchomości. Szkoda, że nie mogłaś przyjść.

– Źle się czułam.

– Wiem, Anna mi mówiła. Byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam, że przyszła z Danem.

– Znasz ją?

– Tylko z klubu.

– Z klubu?

– No tak, z klubu. Piłkarskiego. Pracowała za barem. Wydawało mi się, że stamtąd się znacie.

– Kiedy to było?

– Zaczęła pracować zeszłej jesieni, kiedy ty nie wychodziłaś z domu po... no wiesz, po śmierci Charlie. Ale ostatnio zrezygnowała. Nie wiedziałam, że Dan utrzymuje z nią kontakty.

– Czyli, że znają się od kilku miesięcy?

– Tak.

Znali się, kiedy ich sobie przedstawiałam, a mimo to udawali, że nigdy wcześniej się nie spotkali.

Brakuje mi tchu. Zrywam się z krzesła i idę niepewnym krokiem w stronę drzwi, o mały włos nie potykając się o szalik, który zsunął mi się z kolan.

Biegnę ile sił, nie omijam kałuż, lodowate powietrze szczypie mnie w płuca, ale zwalniam, dopiero kiedy docieram do naszej ulicy. Muszę się dostać do domu. Muszę sobie to wszystko poukładać w głowie, zanim stawię czoła Danowi. Otwieram furtkę i gorączkowo szukam kluczy w kieszeni.

– Grace, moja droga. – Pani Jones stoi w drzwiach swojego domu. Światło z korytarza pada na ścieżkę. Podchodzi, utykając, i podaje mi przez płot małe kartonowe pudełko. – Strasznie mi przykro. Listonosz znalazł ją na poboczu.

– Nie! – Składam dłonie jak do modlitwy.

– Pomyślałam, że chciałabyś, żeby Dan ją zakopał.

Chciałabym zakopać... Dana. Zakopać Annę. Sama wczołgać się do jakiejś głębokiej dziury i już nigdy, nigdy z niej nie wyjść. W milczeniu odbieram pudełko i po raz ostatni zanoszę kota, który mnie kochał – i który nigdy nikogo nie skrzywdził – do domu.

32.

Wtedy

To by było na tyle, jeśli chodzi o Nowy Rok, nowy początek. Usiadłam, otworzyłam oczy i światło stojącej na szafce nocnej lampki rozpołowiło mi mózg jak drut do krojenia sera. Widocznie zasnęłam przy włączonym świetle. Zgasiłam je, zanim babcia się zorientuje i wytknie, że w Afryce są wioski, w których w ogóle nie mają elektryczności. Wyjęłam telefon, który wcześniej schowałam pod poduszką. Dziewięć nieodebranych połączeń. Przewinęłam wszystkie życzenia „szczęśliwego nowego roku!”, szukając esemesów od Dana.

„Przepraszam. Proszę, zadzwoń”. Sześć razy wysłał tę samą wiadomość. Skasowałam wszystkie. Były też esemesy od Charlie z pytaniem, dokąd mnie wywiało. Ani słowa od Siobhan. Zrobiło mi się strasznie głupio, że ją zignorowałam i że nie dotrzymałam słowa Abby. Powinnam była powiedzieć młodszej siostrze, że starsza skontaktowała się ze mną. Obiecałam sobie, że później zadzwonię do obu. Odpowiedziałam na wiadomość od mamy, życząc jej i Oliverowi wszystkiego dobrego w nowym roku, po czym odłożyłam telefon na szafkę. Zaschło mi w gardle. Odruchowo sięgnęłam po szklankę, ale nie trafiłam i zrzuciłam ją na podłogę. Wstałam, żeby pójść po ścierkę. Nagle tak mnie zakuło w zranionej nodze, że zobaczyłam gwiazdy. Oby tylko w ranie nie zostały odłamki szkła. Włożyłam i zawiązałam szlafrok i na chwiejnych nogach – jak żrebak, który dopiero uczy się chodzić – poszłam do kuchni.

Dziadek siedział przy stole, a babcia stała nad patelnią. Zapach bekonu sprawił, że moje usta momentalnie wypełniły się śliną. Dopadłam zlewu i wymiotowałam dotąd, aż nie zostało we mnie już nic poza gorzką żółcią, która piekła w gardle.

– Gracie? – Babcia zmoczyła ściereczkę z wizerunkiem Empire State Building w chłodnej wodzie i przetarła mi czoło.

– Źle się czuję – powiedziałam, tak jakby nie było to oczywiste. – To chyba jakieś zatrucie pokarmowe.

– Raczej alkoholowe – cmoknęła z niezadowoleniem babcia. – Słyszeliśmy, jak próbowałaś trafić kluczem do zamka. Idź się połóż.

Zmusiłam się do wejścia na górę. Padłam na łóżko, nie zawracając sobie głowy zdejmowaniem szlafroka. Zamknęłam oczy i pomodliłam się, żeby świat przestał wirować.

Odgłos otwieranych drzwi wyrwał mnie z niespokojnego snu.

– Śpisz? – spytała babcia. – Przyniosłam ci lunch. – Zerknęłam na zegarek i z zaskoczeniem stwierdziłam, że jest wpół do drugiej.

Z tacy, którą trzymała babcia, unosił się zapach zupy pomidorowej. Tak pachnie pocieszenie. Oczy mi się zaszkliły – więc jednak ktoś mnie kocha. Usiadłam, podsuwając sobie poduszki pod plecy. Przepocona pidżama kleiła mi się do skóry. Poluzowałam pasek szlafroka i zsunęłam go z ramion.

– Jedz, a ja w tym czasie przygotuję kąpiel. Cuchnie tu jak w gorzelnii – powiedziała babcia i otworzyła okno.

Sprawdziłam telefon. Znowu grad esemesów od Dana. Nie odpisałam. Nic nowego od Charlie.

Zupa była bardzo gorąca. Oparzyłam się w język, ale to dobrze, bo nagły ból odwrócił

moje myśli od użalania się nad sobą.

– Kąpiel gotowa! – zawołała babcia.

Odstawiłam niedojedzoną zupę na szafkę.

Weszłam do gorącej wody. Para wodna sprawiła, że znów zrobiło mi się niedobrze, więc tylko prędko się umyłam i oczyściłam ranę na podeszwie z zaschniętej krwi. Rozcięcie nie było aż tak duże, jak się obawiałam. Gdy wychodziłam z wanny, zakręciło mi się w głowie, tak że musiałam chwycić się wieszaka na ręczniki i zaczekać, aż wszystko dokoła przestanie się kołysać.

Myłam właśnie zęby, starając się przy tym nie zakrztusić, kiedy dziadek zapukał do drzwi. Skrzywiłam się, bo dźwięk przeniknął do moich pulsujących skroni.

– Dan czeka na dole – powiedział dziadek.

Zeszłam na miękkich nogach na dół i zaprowadziłam Dana przez kuchnię do pralni. To było jedyne miejsce, w którym mogliśmy liczyć na odrobinę prywatności. Babcia nie pozwalała chłopcom wchodzić do mojego pokoju.

– Wyglądasz tak, jak ja się czuję – powiedział, przeczesując zmierzwione włosy. – Grace, posłuchaj, zeszłej nocy...

– Więc to ty nim jesteś – odezwałam się chłodno, unikając jego dotyku.

– Kim?

– Tym, dla którego Charlie rzuciła Bena.

– Że co? Nie!

– Widziałam was w korytarzu. Przytulałeś ją.

– Mój Boże, Grace. Jak mogłaś tak pomyśleć? Kocham c i e b i e. Charlie to twoja najlepsza przyjaciółka. Była zdołowana, bo Lexie doprowadza ją do szału. Przytuliłam ją tak, jak przytulają się przyjaciele. Naprawdę, to nic więcej nie znaczyło.

Wyciągnął do mnie rękę, a ja ją odtrąciłam.

– To po co wysyłałeś do mnie esemesy z przeprosinami?

– Bo nie wiedziałem, dlaczego wysłaś. Nie wiem, pomyślałem, że czymś cię zdenerwowałem albo coś zrobiłem nie tak. Naprawdę się zmartwiłem, więc przyjechałem tutaj. Widziałem, że świeci się u ciebie światło. Dzwoniłem, ale nie odbierałaś. Nawet rzuciłem kamieniem w okno.

– Jednym?

– Nie chciałem ryzykować, że obudzę twoją babcie.

Oparłam się o suszarkę. W tej pralni było strasznie duszno. Byłam cała mokra i nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że pocę się cydrem. Kręciło mnie w brzuchu i nie potrafiłam skupić myśli na tym, by zrozumieć to, co zobaczyłam na imprezie. Pamiętałam natomiast, co usłyszałam. A może się przesłyszałam?

– „Jutro powiem Grace” – to twoje słowa. Co takiego mi powiesz?

Dan przetaił czoło rękawem, po czym zdjął sweter. Koszulka podjechała mu na brzuchu i poczułam nagłą chęć dotknięcia jego nagiej skóry. Ale zamiast tego odwróciłam się i otworzyłam okno.

– Szkoda, że musisz to usłyszeć w takich okolicznościach. Zamierzałem ugotować jakiś fajny obiad, wiesz, wprowadzić romantyczny nastrój. Pojawił się pewien dom na sprzedaż. Trochę trzeba nad nim popracować, ale cena jest atrakcyjna. Właściciele przenoszą się do domu spokojnej starości i zależy im na szybkiej sprzedaży.

– No i? Co to ma wspólnego ze mną?

– Zapytałem Charlie o zdanie. Chodziło o to, czy będziesz chciała ze mną zamieszkać.

– Słucham?

– Nikt nie zna cię lepiej niż ona. Uznała, że to świetny pomysł. Dodała, że nawet chętnie wynajęłaby u nas pokój. Wyobraź sobie: ty, ja i Charlie pod jednym dachem. Co ty na to?

Przewaliła się przeze mnie fala wstydu. Jak mogłam pomyśleć, że dziewczyna, która wstawiła się za mną pierwszego dnia szkoły, moja najlepsza przyjaciółka, mnie zdradza? Przecież w głębi duszy wiedziałam, że nigdy by tego nie zrobiła.

– Ale nie możemy tak po prostu k u p i ć domu – powiedziałam.

– Możemy. Przemyślałem to sobie. Wiesz, że tutaj rzadko zdarzają się domy na sprzedaż, zwłaszcza tradycyjne, takie jak ten. Wyceniłem go i zrobiłem zdjęcia. Wystarczy trochę wysiłku i będzie wyglądał świetnie.

– Ale ja jeszcze chodzę do szkoły.

– Wiem. Kończysz w maju, potem już tylko egzaminy. A później zaczynasz tę pracę w przedszkolu.

– To dopiero za jakiś czas. Na razie pracuję na część etatu w kawiarni.

– Fakt, mam niską pensję podstawową... ale za to wysoką prowizję. I jestem dobry w tym, co robię. Charlie mogłaby się gdzieś zaczepić.

– Wzielibyśmy kredyt?

– Niekoniecznie. Skończyłaś osiemnaście lat, masz te pieniądze po tacie, a i moi rodzice na pewno też coś dorzucą.

– Chcesz, żebym wydała pieniądze po tacie? – Zjeżyłam się w pierwszym odruchu.

Wiedziałam, że Dan myśli o n a s z e j przyszłości, ale pieniądze z ubezpieczenia taty były dla mnie bardzo ważne i nie spodobało mi się, że Dan już zdecydował, jak powinnam je spożytkować.

– Tylko jeśli sama będziesz tego chciała. Grace, wiem, czego pragnę, i martwię się o ciebie. Te listy... porysowany samochód... Co będzie dalej? Gdybyśmy zamieszkali razem, mógłbym się tobą zaopiekować. Dopilnowałbym, żebyś była bezpieczna. Twój dziadkowie pewnie chętnie by już od ciebie trochę odpoczęli. Moi rodzice na pewno marzą, żeby odpocząć ode mnie.

Naprawdę? Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym zawadzać. „A jeśli rzeczywiście zawadzam?” – pomyślałam zaniepokojona.

– Musiałabym porozmawiać z mamą. Wypada, skoro pieniądze są po tacie.

– Czy to znaczy, że się zastanowisz?

– Nie zaszkodzi się temu przyjrzeć. – To jeszcze nie oznacza zgody.

– Serio? – Dan podniósł mnie i obrócił w powietrzu.

Objęłam go za szyję i wtuliłam się w niego. Oby tylko nie zrobiło mi się niedobrze.

– Co to za zapach? Polo?

– Mój Boże, dzisiaj rano czułem się jak psu z gardła wyjęty. Tak cuchnąłem, że zużyłem połowę butelki miętowego żelu pod prysznic i trzy razy umyłem zęby.

– Miałam to samo. Zresztą nadal się tak czuję.

Postawił mnie na podłodze i klepnął w tyłek.

– Leć po buty, kobieto. Idziemy oglądać chatę.

– Teraz?

– Świeże powietrze dobrze ci robi na kaca. Poza tym pośpiech jest wskazany, synowie właścicieli naciskają, żeby szybko upłynnić tę nieruchomość. Przejdziemy się piechotą, bo chyba jeszcze jestem pod wpływem. Pójdziemy trochę naokoło, wstąpimy do biura po klucze, a przy okazji trochę wytrzeźwiewemy. Chcesz zadzwonić do Charlie? Możemy umówić się z nią na miejscu?

Wlekleśmy się noga za nogą przez wioskę. Babcia zabandażowała mi stopę i dała paracetamol, więc na szczęście już nie bolało, a rześkie powietrze sprawiło, że przeszedł mi ból głowy. Nasze kalosze zostawiały ślady na świeżym śniegu. Mijaliśmy drzewa, które wyglądały jak szkielety, i dzieci, które biegały z piskiem, ciągnąc za sobą sanki. Nie docierało do mnie, że idziemy obejrzeć dom i że być może razem go kupimy.

Charlie nie odbierała telefonu. Gdzie się podziewała? Pewnie odsypia kaca. Dan powiedział, że jeśli dom mi się spodoba, jutro pokaże go Charlie. Szliśmy i szliśmy, aż nagle okazało się, że już jesteśmy na miejscu. Zatrzymaliśmy się przed dwoma niewielkimi budynkami, które przycupnęły na skraju wioski. Z ich okapów zwieszały się sople.

Dan pchnął furtkę, zaskrzybiała na dzień dobry. Fragment ogrodu z przodu budynku pokrywała warstwa śniegu, nie mogłam się więc przyjrzeć, czy cokolwiek tam rośnie, ale zobaczyłam drzewo, chyba jabłonkę, i dwa treliże po obu stronach spłowiełych czerwonych drzwi.

– Róże?

– Chyba tak. Dom nazywa się Różana Chatka.

Klasnęłam w dłonie.

– No, ale to twoja działka. Kobieta dba o ogród, mężczyzna dba o dom. – Walnął się pięścią w pierś jak Tarzan, po czym włożył klucz do zamka i przekręcił.

Zgrzytnęło. Wystukałam śnieg z butów, przestąpiłam próg i stanęłam na podłodze z kamiennych płyt. Korytarz był wąski i pachniał stęchlizną. Ze ścian odchodziła spłowieła żółta tapeta. Tam gdzie przez lata wisiały obrazki i nie dochodziło słońce, zachował się żywszy kolor. Wyobraziłam sobie całe rzędy zdjęć pucułowatych bobasów, chłopczków, którzy wyrastają na mężczyzn będących powodem do dumy dla rodziców, na młodych ludzi, którzy ściskają dyplomy i podrzucają birety na wiwat.

Przed sobą miałam schody prowadzące na górę, ale na początek wybrałam ciemny fragment korytarza i pokój po lewej. Salon był większy, niż się spodziewałam, i jasny, mimo niskiego sufitu z odsłoniętymi belkami. Przez drzwi balkonowe wpadały promienie zimowego słońca i zdawały się koncentrować na zakurzonej palenisku prawdziwego kominka. Jasno latem, przytulnie zimą. Rozglądałam się, stając na palcach. Znajdzie się miejsce na nieduży stół i krzesła, i na regał na książki, i na kanapę. Jeżeli kupimy rozkładaną sofę do spania, mama będzie mogła u nas nocować. Wyobraziłam sobie staroświecki kredens, w którym trzymałabym gramofon. Było idealnie. Ogród za domem był długi i wąski, zwieńczony szklarnią.

– Dziadkom się spodoba.

– Jest i warzywniak... gdzieś tam, pod śniegiem.

Kuchnia znajdowała się po drugiej stronie korytarza i była mniejsza od salonu, ponieważ mieściła się pod schodami. Pod oknem, które wychodziło na wybetonowany taras i karmnik, zamontowano zlew.

– Będziesz mogła oglądać ptaki w trakcie zmywania. – Dan się wyszczerzył i podniósł ręce w obronnym geście, zanim zdążyłam go walnąć. – Żartuję, żartuję, jasne, że będę pomagał.

Na górze znajdowały się duża główna sypialnia i druga, mniejsza, którą mogłaby zająć Charlie, a także łazienka z wolnostojącą wanną i niewielkim prysznicem ze szklanymi drzwiami.

– Nie wyobrażam sobie, że to wszystko mogłoby być moje. Wydaje się takie... dorosłe.

– Przecież jesteś dorosła. – Dan stanął za mną i wsunął mi dłonie pod koszulkę. – Podoba ci się?

– To mało powiedziane. – W takim miejscu mogłabym żyć. I kochać.

– Tak myślałem. Jeśli chcesz, złożymy ofertę.

Rozejrzałam się po pustej sypialni i wyobraziłam sobie, że w niedzielny poranek leżę tu w łóżku z Danem, czytam gazetę i pogryzam kanapki z bekonem. I że robię to do końca życia. Byłam przekonana, że jest tym jedynym. Przypomniałam sobie słowa mamy.

– Włożyłbyś dla mnie różową tutu? – spytałam nagle.

– Słucham? Po co?

Wzięłam go za rękę.

– To ważne. Włożyłbyś? Gdybym o to poprosiła?

– Dla ciebie włożyłbym wszystko... tylko nie przy ludziach.

Uśmiechnęłam się.

– To kiedy się wprowadzamy?

– No... dopiero za kilka tygodni. Ale ochrzcić dom możemy już teraz.

I po chwili nie tylko ściany były gołe.

Rozstaliśmy się na głównej ulicy. Dan chciał wrócić do biura i zadzwonić do sprzedających. Miałam nadzieję, że przyjmą naszą ofertę. Byłam strasznie przejęta. Kalosze zaczęły mi się rozjeżdżać na śniegu, kiedy ruszyłam biegiem w stronę parku i skrótu do domu. Wiedziałam, że poobcieram sobie pięty, ale nie dbałam o to. Chciałam jak najprędzej dotrzeć do dziadków. Wypadłam zza rogu i stanęłam jak wryta. Wejścia do parku pilnował policjant, a między słupkami bramy rozciągnięto żółtą taśmę z zakazem wstępu.

Zamiast na skróty, poszłam więc normalną drogą. Ze świeżego śniegu zrobiła się breja, która kleiła się do spodni, i w efekcie kiedy skręcałam w naszą ulicę, dzinsy miałam już całkiem przemoczone. Przed naszym domem stał radiowóz. Poczułam, jak robi mi się gorąco mimo przejmującego zimna. Weszłam do środka i zobaczyłam, że babcia i dziadek siedzą na kanapie w salonie, a przy kominku stoi dwóch policjantów. Myślałam, że babcia mnie zbeszta, bo nie zdjęłam mokrych butów i będą plamy na dywanie, ale ona tylko wpatrywała się w swoje złożone na podółku dłonie. Odezwał się za to dziadek.

– Grace, usiądź. Musimy ci o czymś powiedzieć.

33.

Teraz

Pudełko stoi na ławie. Jest małe i nieruchome. Kiedy Łapcia zjawiała się w naszym domu, też kartonowym transportem, tak się przeciągała i wierciła, tak była chętna wydostać się i zbadać nowe otoczenie, że pudełko kołysało się na wszystkie strony. Teraz już niczego nie zbada. Przełykam ślinę, bo czuję, że napływają mi do oczu piekące łzy. Nie załamie się. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Biegnę na górę, wpadam do pokoju Anny. Jest jakoś inaczej. Otwieram szafę i widzę puste wieszaki. W szufladach też nic nie ma, jeśli nie liczyć różanego papieru do wyściełania półek, który kupiłam specjalnie dla niej. Dzwoni telefon – to Dan. Odrzucam połączenie i wybieram numer Anny. Ma wyłączony aparat.

Słyszę trzask furtki i pędzę na dół. Kiedy Dan otwiera drzwi, siedzę już na kanapie i jestem z pozoru spokojna. W środku gotuje się we mnie i mam ochotę go zabić.

– Grace? Wszystko w porządku? Chloe powiedziała, że wyglądałaś, jakby miało ci się zrobić niedobrze.

Wpatruję się w niego.

– Zgadza się. Robi mi się niedobrze, kiedy pomyślę o twoich kłamstwach.

Stawia chińszczyznę na ławie, tuż obok pudełka z Łapcią. Tłuszcz przesącza się przez papierową torebkę, a zapach chow mein wywołuje we mnie odruch wymiotny.

– Co się dzieje?

– Ty mi powiedz. – Jestem spokojna, jestem lodowatą oazą spokoju.

Obraca w palcach klucze, patrzy w podłogę i milczy.

– Chloe powiedziała, że Anna pracowała w klubie za barem – informuję go.

Dan siada w fotelu, pochyla się do przodu i chowa twarz w dłoniach.

– Znałeś ją, zanim ci ją przedstawiłam?

– Tak – odpowiada prawie niesłyszalnie.

– Powtórz, bo nie słyszę.

– T a k. Grace, ja...

– Czy naprawdę jest siostrą Charlie, czy to kolejne kłamstwo?

Dan bąka coś pod nosem, ale nic z tego nie rozumiem.

– Dan, kim ona jest? – pytam ostro.

Jego ramiona zaczynają się trząść. Zakrywa całą twarz dłońmi, tak że nie widzę nic ani nie słyszę, więc chwytam go za dłonie, wbijając mu przy tym paznokcie w nadgarstki, i szarpie.

– Kim, do kurwy nędzy, jest Anna?

– Grace, tak strasznie mi przykro. – Płyną łzy, ale nie moje. Siadam na piętach. Nie do końca wierzę w to, co się dzieje, i nie do końca rozumiem. Dan wyciera nos rękawem. – Pójdę po coś do picia.

Jestem tak zaskoczona, że nawet nie protestuję, kiedy wstaje i idzie do kuchni. Wraca z butelką merlota i dwoma kieliszkami, i wygląda to jak kolejny wieczór w miłej, przytulnej atmosferze – jeśli, rzecz jasna, nie liczyć martwego kota w pudełku na ławie.

Siadamy na kanapie, jak najdalej od siebie. Dan nalewa wina. Biorę kieliszek i opróżniam go jednym haustem, po czym podstawiam po dolewkę. Cisza, która panuje między nami, jest tak duszna, że muszę zdjąć sweter.

– Mów. Słucham.

Trzęsącą się dłonią Dan kurczowo ścisną butelkę i napełnia sobie kieliszek. Myślę o dłoniach, którymi mnie dotykał. Czy dotykał też Anny? Chce mi się wrzeszczeć.

– Nie było mi łatwo z tym, jak się załamawsz po śmierci Charlie.

– Biedactwo. – Mój głos ocieka sarkazmem.

– Proszę cię, wysłuchaj mnie. Musiałem być silny dla ciebie, ale kiedy umarła, sam też nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Znałem ją tak samo długo jak ty, nawet dłużej.

– Czyli moja wina polegała na tym, że opłakiwałam zmarłą przyjaciółkę. A może to Charlie jest winna, bo umarła?

– Ani jedno, ani drugie. – Wzdycha. – Pamiętasz, jak było tuż po jej śmierci?

– Oczywiście.

– N a p r a w d ę pamiętasz? Bo przez większość czasu funkcjonowałaś na prochach i zdziwiłbym się, gdybyś cokolwiek z tego zapamiętała. Tygodniami nie wstawałaś z łóżka. Krzyczałaś, kiedy do ciebie podchodziłem, i płakałaś, kiedy zostawiałem cię samą. Nie wiedziałem, co mam zrobić, żeby twój stan się poprawił. Przestałaś gotować i sprzątać, nawet nie wiedziałaś, jak się włącza pralkę.

Mam wrażenie, jakby mówił o kimś zupełnie innym. Naprawdę tak to wyglądało? Leki i szok tworzą zgrany zespół, tak skutecznie zamazują wspomnienia, że czuję się, jakbym usiłowała wypatrzeć obiekt we mgle. Wiem, że c o ś tam jest, ale nie mam pewności co.

– Nie winię cię, Grace, nie robię tego. Ale brakowało mi Charlie, przecież była też moją przyjaciółką. Tęskniłem za tobą i nawet nie miałem z kim porozmawiać.

– Wtedy poznałaś Annę.

Kiwa głową.

– Zaczęła pracować w barze w klubie. Była życzliwa, przyjaźnie nastawiona i dobrze mi się z nią rozmawiało. Przesiadywałem coraz dłużej, a ona mnie słuchała. Naprawdę słuchała.

Przypominam sobie wszystkie te wieczory, kiedy leżałam w łóżku, nie mogłam zasnąć i czekałam, aż Dan wróci do domu.

– Czyli wdałaś się w romans.

Poprawiam się na kanapie. Przysiadam na dłoniach, które trzęsą się ze złości. Mam ochotę wydrapać mu oczy.

– Nie, to nie tak. – Przeczesała włosy. – Byliśmy przyjaciółmi, nic więcej. Potem ona zaczęła flirtować, rzucać różne komentarze...

– A ty nie potrafiłaś się oprzeć? Rzygać mi się chce.

– Nie było tak. Pamiętasz, kiedy wygraliśmy mecz i próbowałem cię namówić, żebyś przyjechała do klubu?

– Tak. – To był dzień, w którym wykopałam pudełko z bankiem pamięci. Jak mogłabym zapomnieć?

– Zacząłem uważać się nad sobą. Bo wiesz, Chloe i dziewczyny chłopaków wszystkie tam były. Nie wiem, chyba wypłem za dużo, nie pamiętam. Naprawdę nie pamiętam. Zostały mi w pamięci tylko urywki tamtego wieczoru. Poczułem się okropnie, kiedy dotarło do mnie, co zrobiłem.

– Tak okropnie, że wprowadziłaś ją do naszego domu. I pozwoliłaś mi uwierzyć, że jest cholerną siostrą Charlie. – Wściekłość buzuje mi w żyłach.

– Nie chciałem. Nienawidzę tej suki. Szantażowała mnie. Powiedziała, że potrzebuje przenocować dzień albo dwa, najwyżej tydzień, aż będzie gotowe jej nowe mieszkanie.

– Nie wierzę ci.

– Ale to prawda. Pamiętasz, jak tamtej nocy zgubiłem komórkę? Nie zgubiłem, ona ją

zabrała. Sfilmowała nas podczas seksu i zagroziła, że roześle nagranie wszystkim, których numery mam w telefonie. Moim rodzicom. Twoim dziadkom. Twojej mamie. Mojemu szefowi. Myślisz, że podnieśliśmy się po czymś takim? Nie chciałem ryzykować, że cię stracę, Grace. Że wszystko stracę. Musiałbym stąd wyjechać. Znaleźć nową pracę.

Kładę obie dłonie na brzuchu i zginam się w pół. Czuję się, jakby Dan wymierzył mi silny cios w brzuch.

– Ale dlaczego... Charlie?

– Wiedziałem, że pozwolisz jej zostać, jeśli uwierzysz, że coś ją łączy z Charlie.

Rzeczywiście trochę ją przypomina z wyglądu. Nie wiedziałem, jak inaczej wytłumaczyć jej obecność. Tak mi wstyd, Grace. Myślałem, że zniknie po paru dniach, uznamy ją za jakąś świruskę, skreślimy z listy i od nowa zaczniemy szukać prawdziwej rodziny Charlie. Nie przewidziałem, że tak się do siebie zbliżycie. Opowiedziałem jej o twoim tacie wtedy, kiedy jeszcze uważałem ją za swoją przyjaciółkę. Nie przypuszczałem, że wymyśli podobną historyjkę, żeby wkupić się w twoje łaski.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś tak okrutny. Opowiedziałeś o naszych osobistych sprawach zupełnie obcej osobie. Poza tym wiedziałeś, jak bardzo mi zależy na odnalezieniu ojca Charlie.

Dan patrzy błagalnym wzrokiem.

– Wiem. Nadal możesz go odszukać. Możemy.

– Nie ma już „my”. Skończyło się.

– Grace, proszę. Źle zrobiłem, że skłamałem, ale spanikowałem. Zrobiłem to dla ciebie, dla nas.

– Myślałeś o n a s, kiedy ją posuwałeś?

Jego policzki są mokre od łez.

– Proszę cię. To było tylko raz.

– Mam w to uwierzyć? Pewnie rzucaliście się na siebie za każdym razem, kiedy wychodziłam. Robiliście to w naszym domu. W NASZYM ŁÓŻKU!

– Nie! Przysięgam. To się zdarzyło tylko raz. Idiotyczny błąd. Nawet tego nie pamiętam. Gdyby nie pokazała mi nagrania, nie uwierzyłbym, że do czegośkolwiek doszło. Poradzimy sobie, prawda? Jakoś z tego wybrniemy.

– Nie – odpowiadam opanowanym głosem. – Może znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie, gdybyś od razu powiedział mi prawdę. Ale wolałeś kłamać, zdradzać mnie i mną manipulować. Założę się, że mieliście niezły ubaw za moimi plecami.

– Nie. Nie chciałem, żeby tu mieszkała. Kiedy się zorientowałem, że się do niej przywiązujesz, próbowałem zmusić ją do wyprowadzki, ale na próżno. Wszystko tak bardzo wymknęło się spod kontroli, że zupełnie nie wiedziałem, jak to przerwać.

Rani mnie nie tylko to, że Anna spała z Danem i go szantażowała. Bolą mnie jej kłamstwa. Pozwoliła mi myśleć, że spotkałam kogoś, kto rozumie, co się czuje, gdy w wieku dziewięciu lat straci się rodziców. Dojmującą samotność i poczucie straty. Nieuzasadnione wyrzuty sumienia i strach przed porzuceniem. Nikomu innemu nie zwierzałam się z takich rzeczy. Nigdy, dopóki nie poznałam Anny, nie sądziłam, że ktokolwiek może mnie zrozumieć. Myślałam, że tak wiele nas łączy, ale to wszystko były kłamstwa.

Nagle głowa zaczyna mi okrutnie ciążyć. Pochylam ją i kładę na dłoniach.

– Dlaczego? Po co chciała z nami mieszkać? Na pewno ma jakąś rodzinę, jakichś przyjaciół?

– Powiedziała, że nie. Może zazdrościła tego, jak bardzo cię kocham. Nie wiem. Ona jest... dziwna. Kiedyś zacząłem podejrzewać, że próbuje cię skrzywdzić...

– W jaki sposób? – pytam, ale przecież znam już odpowiedź.

Przypominam sobie wszystkie negatywne zdarzenia, do których doszło w moim życiu po tym, jak Anna się do nas wprowadziła. Kradzież naszyjnika, włamanie na konto pocztowe, oszczerstwa na Twitterze. Czy to możliwe, że podprowadziła mi klucze i zniszczyła przedszkole? Aż boję się pomyśleć.

– Przestraszyłem się na serio, kiedy dołała ci syropu orzechowego do czekolady.

– Mogła mnie wtedy zabić, mimo to pozwoliła jej zostać. Mój Boże, Dan, dosypała mi czegoś do zupy. Pamiętasz, przed kolacją dla agentów nieruchomości... Jesteś tchórzem.

– Wiem. Nie miałem pomysłu, jak się jej pozbyć. I nie wiedziałem, do czego jest zdolna.

– Ja wiem.

Dan podnosi głowę – ma mokre, czerwone oczy – i po raz pierwszy patrzy mi prosto w twarz.

– Zajrzyj do pudełka – mówię.

– Co w nim jest?

– Sprawdź – odpowiadam nieugiętym tonem.

Kłęka przed ławą, zdejmuje wieko i z trudem opanowuje odruch wymiotny.

– Grace...

– Wynoś się, Dan.

– Ale my...

– Wypierdalaj!

Z całej siły rzuca w niego kieliszkiem. Pudłuję zaledwie o kilka centymetrów. Merlot rozpryskuje się na białej ścianie i spływa po niej jak krew. Odłamki szkła wbijają się w dywan. Przychodzi mi do głowy, że Łapcia może się pokaleczyć, ale po chwili uświadamiam sobie, że jej już nic nie zagraża.

– Wynocha! – wrzeszczę Danowi w twarz, opluwając go śliną i jadem.

Zabiera klucze i idzie w stronę drzwi, zwieszając głowę. Staję w oknie i odprowadzam go wzrokiem. Widzę tylko plecy, w które mam ochotę wbić nóż.

Łapcia ma mnóstwo zabawek – myszy, wypchanych rybek, brzęczących piłeczek – wkładam je do pudełka razem z miseczkami. Potem delikatnie przykrywam ją, choć przecież nie poczuje już zimna, polarowym kocykiem w odciski kocich łap. Kiedy wynoszę pudełko na dwór, mam wrażenie, jakbym przyglądała się sobie z wysoka. Próbuje wbić widły w ziemię, która mimo padającego nieustannie deszczu jest twarda jak kamień. Dźgam, kłuję, uderzam, ale na próżno. Cała energia, jaką w to wkładam, wędruje po trzonku, przenosi się na moje ręce i trafia do kręgosłupa. Nie tak dawno miałam obtarte dłonie po tym, jak musiałam na nowo posadzić krzewy, które Anna celowo – teraz to wiem – wyrwała. I niedawno bolały mnie ramiona, kiedy wykopywałam bank pamięci. A teraz zagrzebuję kolejne pudełko pełne wspomnień. Pojawia mi się przed oczami wizerunek Łapci, która delikatnie głaszcze mnie łapką po twarzy albo ociera się pyszczkiem o mój policzek.

Zamieniam widły na szpadel i wbijam go w ziemię raz za razem, wyobrażając sobie, że ostrze wchodzi w ciało Anny. Zadaję jej taki sam ból, jaki ona sprawiła mnie. Zastanawiam się, gdzie teraz jest i czy Dan się z nią spotka. Dlaczego w ogóle jeszcze mnie to obchodzi? Oboje są siebie warci. Kłękam i rozgarniam ziemię obiema rękami. Już wystarczy. Całuję pudełko i wkładam je do dołka pod jabłónką.

– Żegnaj, Łapciu.

Rzucam garść ziemi na pudełko, a potem zasypuję dół. Następnie sięgam po ceramiczną

doniczkę, w której rośnie pączkująca miniaturowa róża. Doniczka jest cięższa, niż się wydaje, kwiat kołysze się na boki, ale w końcu wysuwa. Listki opadają jak łzy. Z wysiłku kręci mi się w głowie. Siadam po turecku na wilgotnej ziemi. Tym razem pozwalam sobie na płacz.

Nagle słyszę głośne stukanie do drzwi.

34.

Wtedy

Siobhan nie żyła. Znalaziono ją w parku. Na rękach miała ślady po ukluczeniach. Policjanci chcieli ze mną porozmawiać, ponieważ byłam ostatnią osobą, do której zadzwoniła. Dziadek zawiózł mnie na komisariat. Po drodze wysłałam Danowi, Charlie i Esmée esemesy zawierające informację, w którą sama nie mogłam uwierzyć. Dan zaproponował, że po mnie przyjedzie, ale odpisałam, że zadzwonię, kiedy wrócę do domu. Esmée była zdruzgotana i bezradna – nadal przebywała we Francji. Charlie nie odpowiedziała.

Dziadek został w poczekalni, przysiadł na twardej drewnianej ławce, a mnie zaprowadzono do pokoju przesłuchań. Naszła mnie potworna myśl, że już nigdy więcej go nie zobaczę. Usiadłam na krześle w pomieszczeniu bez okien, pomyślałam o tym, jak bardzo chciałabym cofnąć czas, i się rozplakałam. Czy mogłam ją uratować? Tliła się we mnie myśl, że mogłam coś zrobić, siedziało to we mnie, jakby było częścią mojego organizmu – jak kości, nerki, płuca. Skóra się złuszczy, włosy wypadną i odrosną, wątroba się zregeneruje. Ciało z czasem odświeży się i odnowi. A poczucie winy? Wiedziałam, że ze mną zostanie. Na zawsze stało się częścią mnie.

Policjanci byli uprzejmi. Dostałam wodę i chusteczki. Żałowałam dziewczyny, którą Siobhan kiedyś była, ale nie tej, którą się stała. Dziewczyny, która pokonała mnie w grze w klasy, która kręciła z Esmée skakanką, a my z Charlie skakałyśmy. Opłakiwałam nie tylko Siobhan, ale nas wszystkie. To, że dorastałyśmy – i oddalałyśmy się od siebie. Nasza Wielka Czwórka się rozpadła i już nigdy nie miała być, nie mogła być, taka sama. Czasy podawania sobie ręki i potrząsania nią, aż prawie odpadały ramiona – „bo my jesteśmy kumpele, kumpele jakich niewiele!” – minęły bezpowrotnie. Poza tym zostały nas już tylko trzy.

Policja sądziła, że chodziło o przypadkowe przedawkowanie. Sprowadzono na przesłuchanie Jeremy'ego i resztę Żywych Trupów. Jeremy przyznał, że naciskał na Siobhan, żeby ukradła laptopa, którego chciał potem sprzedać, a za uzyskane pieniądze kupić narkotyki. Jeden z członków gangu powiedział, iż Siobhan nie chciała brać heroiny, ale Jeremy oznajmił, że jeśli tego nie zrobi, nie będzie mogła z nimi przestawać. To dopiero przyjaciele! Jeremy zdjął pasek od spodni, zacisnął go na ramieniu Siobhan, a kiedy pokazała się żyła, wbił igłę... a wtedy Siobhan wpadła w histerię, więc zostawili ją tam, gdzie stała, i uciekli. Poszli na imprezę, zapominając o jej istnieniu. I rzeczywiście przestała istnieć.

Powiedziałam policji, że kiedy Siobhan zadzwoniła, było bardzo głośno i nie słyszałam, co mówi, dlatego nie miałam pojęcia, że coś jej grozi. Pomyślałam, że pójdę za kłamstwo do piekła. Chyba na to zasługiwałam.

Miałam wrażenie, że minęło kilka długich dni, zanim w końcu odprowadzono mnie z powrotem do dyżurki. Do dziadka. Przytulił mnie, a guziki jego kraciastej koszuli wbiły mi się w policzek mokry od łez. Poglaskał mnie po głowie, pocieszał, choć na to nie zasłużyłam. Zadzwonił do mamy i opowiedział, co się wydarzyło. Zaproponowała, że przyjedzie, ale pokręciłam głową. W niczym nie mogła mi pomóc.

Pojechaliśmy do domu. Na brązowej jutowej wycieraczce przed drzwiami leżała biała koperta. Proszę, tylko nie to, nie dzisiaj. Podniosłam ją i odwróciłam. Miała inne wymiary niż poprzednie. Tę wysłał ktoś inny. Widniało na niej moje nazwisko, tym razem napisane pismem, które znałam. Otworzyłam kopertę i wyjęłam kartkę. Siedem słów nakreślonych zawijasami

Charlie: „Tak mi przykro, Grace. Proszę, wybacz mi”.

Charlie miała wyłączony telefon. Pobiegłam do samochodu. Silnik zakrzuszył się, a kiedy ożył, wrzuciłam wsteczny bieg i wycofałam się z podjazdu chyba szybciej, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się jechać do przodu. Pędziłam przez wioskę, brałam zakręty z piskiem opon. „Tak mi przykro, Grace. Proszę, wybacz mi”. Co miałam jej wybaczyć?

Zastanawiałam się, co takiego Charlie mogła zrobić. Nie sądziłam, że do czegośkolwiek doszło między nią a Danem. Żadne z nich by mi tego nie zrobiło. Nie traktowała Siobhan gorzej niż pozostali z naszej paczki. Charlie pierwsza powiedziała, że to, co się wydarzyło, było tragicznym wypadkiem. W takim razie co?

Zatrzymałam się na czerwonym świetle. Uderzyłam dłońmi o kierownicę.

– No, zmieniaj się!

Ulice świeciły pustkami, bo cała wioska siedziała w domu i leczyła noworocznego kaca. Nacisnęłam pedał gazu i z piskiem opon przejechałam na czerwonym. Zerkałam to na drogę, to na telefon. Wybrałam numer Charlie, a kiedy ponownie włączyła się poczta głosowa, ze złością cisnęłam aparat na przednie siedzenie.

Zostawiłam samochód przed domem Lexie i ruszyłam biegiem, ale poślizgnęłam się na oblodzonej ścieżce i wylądowałam barkiem na drzwiach. Były zamknięte na klucz.

Zastukałam tak mocno, że musiałam kilka razy rozwinąć i zwinąć pięść, żeby pozbyć się bólu.

– Charlie! – Tym razem uderzyłam otwartą dłonią. – Charlie! – Podskakiwałam w miejscu w oczekiwaniu, aż ktoś mi otworzy.

Lexie rzadko kiedy wychodziła z domu. Zajrzałam przez szparę skrzynki na listy. W kuchni paliło się światło.

– Lexie! – Zaczęłam walić pięściami. – Otwórz!

Światło zgasło.

– Proszę. Wiem, że tam jesteś. Widziałam cię.

Lexie, niczym zombie, podeszła do drzwi, powłócząc nogami.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam, kiedy wystawiła głowę.

Patrzyła szklistym wzrokiem – takie samo spojrzenie mają osoby, które przeżyły katastrofę. Miała twarz pozbawioną wyrazu i nieumalowaną. Rzucił mi się w oczy brak jej nieodłącznej czerwonej szminki.

– A co cię to obchodzi? – bąknęła.

Musiałam się pochylić, żeby ją lepiej słyszeć.

– Gdzie Charlie?

– Nie ma jej.

– A gdzie jest? Poszła do mnie?

– Wyjechała.

– Jak to: wyjechała? – warknęłam zirytowana zdawkowymi odpowiedziami.

Zapaliła papierosa.

– Spakowała plecak i się zwinęła. Odeszła.

– Nie mogła odejść. Siobhan nie żyje.

– No i?

– Co to znaczy „no i”? Czy Charlie o tym wie? Wysłałam jej esemes, ale nie odpowiedziała.

– Czy to ważne?

– Oczywiście, że ważne. Nie mogła tak po prostu odejść. Nigdy nie wspominała, że chce wyjechać.

– Nie wiesz wszystkiego.
– Wiem, że nie wyjechałaby, nie mówiąc mi o tym...
– Bo co? Bo jesteś tak cholernie ważna? Przepraszam, zapomniałam, że świat kręci się wokół ciebie.

Zaczęła zamykać drzwi, ale zdążyłam zablokować je nogą.

– Zostawiła mi wiadomość – powiedziałam. – Prosi, żebym jej wybaczyła. Ale nie wiem co. Nie rozumiem tego. Powiedz mi, co się stało.

– To nie ona zrobiła coś złego – wyrzuciła z siebie Lexie. – A teraz spadaj. – Otworzyła drzwi szerzej, wzięła zamach i zatrasnęła je z całej siły. Cofnęłam prędko nogę, a potem usiadłam na schodkach. Charlie mnie opuściła – tak jak moja mama, tak jak tata. Siobhan nie żyje. Siedziałam bez ruchu w śniegu prószącym ze stalowoszarego nieba, aż skostniałam tak z zewnątrz, jak i od środka.

– Proszę! – Padłam na kolana i krzyknęłam przez szczelinę skrzynki na listy. – Proszę, Lexie! Muszę znać prawdę. Co takiego zrobiła Charlie?

35.

Teraz

Puk, puk, puk.

Spadaj, Dan. Gotując się ze złości, podchodzę szybkim krokiem do drzwi i otwieram je gwałtownym ruchem.

To nie on. Postać w czarnej kurtce biegnie ścieżką w kierunku zaparkowanej na ulicy czerwonej corsy.

– Zaczekaj!

Kierowana gniewem, którego nie mogę wyładować na Danie albo Annie, wychodzę przed drzwi. Postać się oddala. Czuję, jak wilgoć przenika mi przez skarpetki. Postać usiłuje otworzyć furtkę i po raz pierwszy jestem wdzięczna za zepsutą zasuwkę. Wyciągam rękę, łapię intruza za kurtkę i wbijam mu palce w ramię. Wydaje jęk bólu. Zsuwa mu się kaptur. Wypada spod niego burza kręconych blond włosów. Cofam dłoń, jakbym dotknęła czegoś gorącego, i łapię się za nadgarstek. Niemożliwe.

Odwraca się. To oczywiście nie Siobhan, bo jak? Ale podobieństwo jest uderzające. Czuję, jakbym cofnęła się w czasie. Patrzymy po sobie, Abby i ja.

– Śledzisz mnie? – pytam, choć znam odpowiedź.

– Tak. – Odwraca wzrok.

Przypominam sobie tę nieśmiałą dziewczynę, która z pochyloną głową i plecakiem założonym na jedno ramię przemykała obok mnie na szkolnych korytarzach. Kiedy nie było przy niej siostry, nie odważyła się nawet pisać, ale w końcu musiała nauczyć się radzić sobie sama. W szkole była trzy klasy niżej od nas, więc ma teraz dwadzieścia dwa lata. Czego chce? Szuka zemsty? No to proszę, śmiało! Już gorzej nie mogę się poczuć.

– Chcesz mnie nastraszyć? Zabić? No co? – Przysuwam się do niej. – Rób, co chcesz.

Kuli się.

– Chcę porozmawiać.

– I dlatego mnie śledzisz? I obserwujesz? I każesz mi myśleć, że wariuję? Naprawdę uważasz, że to najlepszy sposób? – zaczynam wrzeszczeć. Nie obchodzi mnie, że pani Jones może usłyszeć. Kładę dłonie na piersi Abby i mocno ją odpycham. Mam serdecznie dość gierek, wystarczy mi do końca życia. Uderza plecami o furtkę. – Odpieprz się, Abby.

– Grace! – Jej głos jest ostry i nieprzyjemny. – Proszę. Pomóż mi.

Robi krok w moją stronę i wypowiada te same słowa, które powiedziała do mnie jej siostra przed siedmioma laty. Chcę odmówić, naprawdę, ale nie mogę tego zrobić. Stoimy w ogrodzie. Wieje tak silny wiatr, że zasuwka w końcu ustępuje i furtka uderza Abby w plecy, powalając ją na ziemię. Abby podnosi głowę. Deszcz spływa jej po twarzy, włosy kleją się do głowy.

– Będzie lepiej, jeśli wejdiesz – mówię i odwracam się w stronę domu.

W środku Abby zwija się w kłębek na fotelu Dana – na moim fotelu – i płacze, jakby pękło jej serce. Kręcę się w kuchni, żeby dać sobie czas na zastanowienie. Rozpiera mnie gniew, nie wiem jednak, w jakim stopniu zawdzięczam go Abby, a w jakim Danowi i Annie; chyba każdemu po trochu – ale to siostra Siobhan siedzi i beczy w moim salonie. To ona straciła bliską osobę i nie wydaje mi się w porządku kierowanie całej wściekłości na nią. Mogę przynajmniej wysłuchać, co ma do powiedzenia. Włączam czajnik, wyjmuję kubki z szafki i próbuję zagłuszyć

jej ból krzątaniną w kuchni.

Wracam do salonu, stawiam tacę z herbatą na ławie i odchrząkuję. Abby wyciera nos rękawem swetra.

– Przepraszam cię, Grace.

Nie wiem, czy chodzi jej o śledzenie mnie, czy o płacz, więc nie odpowiadam. Nalewam herbatę, która nie zdążyła się dobrze zaparzyć, dodaję kapkę mleka i podsuwam Abby kubek razem z łyżeczką i cukiernicą.

– Co tu robisz? – pytam.

– Przeprowadziliśmy się z powrotem do wioski. Dziadek ma alzheimera i mama chciała mieszkać bliżej niego.

– Nie chodzi mi o wioskę, tylko o mój dom. Czego ode mnie chcesz?

– Wrócić. Jest tyle wspomnień... Chciałam porozmawiać o Siobhan.

– Porozmawiać?

– Tak. – Sięga po kubek, ale tak bardzo trzęsą jej się dłonie, że wylewa herbatę na kolana. Stawiam przed nią pudełko chusteczek.

– Czemu więc nie porozmawiałaś, zamiast zachowywać się jak stalker?

– Nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam dla ciebie okropna w szkole i zdawałam sobie sprawę, że nie miałam lekko. Słyszałam o Charlie. Bardzo mi przykro.

Odpowiadam krótkim kiwnięciem głową.

– Wiele razy układałam sobie w myślach, co chciałabym ci powiedzieć. Dzwoniłam do ciebie, ale zawsze, kiedy w słuchawce odzywał się twój głos, oblatywał mnie strach. Pomyślałam, że przyjdę do domu. Że tak będzie łatwiej. Ale wcale nie było. Nie mogłam się zebrać, by zapukać do twoich drzwi. Nie wiem, chyba za bardzo się bałam, że zamkniesz mi je przed nosem.

– Abby, o mało nie zepchnęłaś mnie z drogi. Mogłaś mnie z a b i ć!

– Kiedy się mijałyśmy i nagle uświadomiłam sobie, że widzę twój samochód, postanowiłam, że tym razem nie stchórzę. Że się odezwę i cię zapytam. Mocno się nakręciłam. To było głupie, wiem. Dobrze, że nie spowodowałam wypadku. Nie chciałam ci zrobić krzywdy, uwierz mi, Grace. – Policzki ma mokre od łez.

Wzdycham.

– To o co chciałaś mnie zapytać, skoro już rozmawiamy?

– Grace. Czy... kiedy Siobhan zadzwoniła do ciebie tamtej nocy, wspomniała o mnie?

To jedna z tych sytuacji, w których masz ułamek sekundy na zastanowienie się. I wiesz doskonale, że niezależnie od tego, jakiej udzielisz odpowiedzi, nie będzie odwrotu.

Abby patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami pełnymi nadziei. Co mam powiedzieć? Że odmówiłam pomocy? Że przerwałam połączenie? Że nie ma dnia, bym tego nie żałowała? Siobhan mogła przeżyć, gdybym jej wysłuchała. Mogłabym powiedzieć Abby, że czuję się odpowiedzialna za śmierć jej siostry. Cóż jednak dobrego wyniknęłoby z tego wyznania? Nie przywróciłoby Siobhan życia.

Podaję decyzję.

– Tak – mówię.

Czy kłamstwo nadal pozostaje kłamstwem, nawet jeśli przynosi ukojenie? Chyba tak, mimo to brnę dalej, choć nie wiem, czy historia, którą wymyślam, ma posłużyć pocieszeniu Abby, czy uciszeniu mojego poczucia winy.

– Przekazałam Siobhan, że jej szukałaś i że jest ci przykro.

Abby pochyla się i zgniata chusteczkę w dłoni.

– I co powiedziała?

– Że to nieważne. Że i tak cię kocha. Że cię znajdzie.

Kłamstwo na kłamstwie. Gdyby kłamstwa były cegłami, zbudowałabym całą ścianę. Abby zapada się w sobie i wybucha płaczem. Obejmuję ją. Przynoszę więcej chusteczek i więcej herbaty. Opowiadamy sobie historie z życia starszej siostry, którą Abby kiedyś uwielbiała. Nie wiedziałam, że Siobhan chodziła na lekcje stepowania, kiedy była mała. Abby nie wiedziała, że Siobhan była pierwszą dziewczyną z naszej klasy, która całowała się z chłopakiem. „Każdy z nas ma wiele stron” – myślę. Pewnymi rzeczami się dzielimy, inne zachowujemy dla siebie. Dobre i złe. Prawdy i kłamstwa.

Robi się późno, jestem wykończona. Proponuję Abby, żeby przespaała się na dodatkowym łóżku, ale ona woli wrócić do rodziców. Martwią się, kiedy znika na zbyt długo, i trudno im się dziwić. Świat jest pełen zagrożeń – lecz przynajmniej wiem, że nie będzie więcej podejrzanych postaci ani czerwonych cors przed domem. Nie wymyśliłam ich sobie. Czuję wielką ulgę, że wbrew temu, co internet ma do powiedzenia na temat skutków ubocznych moich leków, jednak nie straciłam poczucia rzeczywistości.

– Zadzwoń, jeśli znów będziesz chciała porozmawiać – mówię Abby na odchodnym. – Tylko tym razem odezwij się, kiedy odbiorę telefon!

– Na pewno to zrobię. Dziękuję, Grace. Nie masz pojęcia, jak bardzo mi ulżyło, kiedy powiedziałaś, że Siobhan mi wybaczyła.

Opieram się o framugę drzwi i patrzę za Abby, odprowadzam wzrokiem jej czerwone auto i myślę, że może w sumie nie postąpiłam aż tak źle. Bo prawda boli, czyż nie? I choć jestem daleka od wybaczenia Danowi, to jednak rozumiem, dlaczego skłamał. Wzdrygam się na myśl o Annie. Zamykam drzwi na klucz i zakładam łańcuch.

Burczy mi w brzuchu. Wracam do salonu i sięgam po opakowanie chińszczyzny, które nadal tam stoi. „Kto nie marnuje, temu nie brakuje” – powiedziałaaby babcia. Wstawiam porcję chow mein do mikrofalówki. Talerz zaczyna się kręcić, a ja w tym czasie zapalam świece i nastawiam płytę. Nat King Cole śpiewa *Maybe It's Because I Love You Too Much* na tle trzasków winylu. Tekst piosenki potęguje wciąż zbyt świeży ból po tym, co zrobili Dan i Anna.

Dźwięk kuchenki. Wyjmuję parujące jedzenie. Nabieram trochę makaronu na widelec, podnoszę go do ust – i dochodzę do wniosku, że straciłam apetyt. Zdejmuję igłę z płyty, wyłączam gramofon z gniazdka, zdmuchuję świece i wypowiadam w myślach życzenie. Sprawdzam główne i tylne wejście, szarpię za klamki i dwa razy upewniam się, czy drzwi są zamknięte na klucz. Potem gramolę się na górę. Zaglądam do pokoju Anny i pocieszam się, że rzeczywiście zniknęła. Walczę ze snem, tłumiąc ziewnięcia, ale przed położeniem się jeszcze zmieniam pościel – nie chcę spać w naszym (teraz już tylko moim) łóżku przesiąkniętym zapachem Dana. Starannie ścielę łóżko, wsuwam kołdrę w nową poszewkę i dopiero wtedy się kładę, opatulając się chłodną bawełną. Podwijam nogi pod siebie. Mam zmarzniete stopy i mimo wszystko żałuję, że nie ma ze mną Dana, bo mogłabym się w niego wtulić.

BRZEK!

Otwieram oczy i rozglądam się spanikowana. Szukam kształtów w ciemności. Zastony nie są do końca zaciągnięte, blask księżycy wsącza się do pokoju i rzuca cienie we wszystkie kąty. Przechodzi mnie dreszcz, kiedy nagle wyłania się jakiś obiekt, ale to tylko lustro w toalecie. Nigdy wcześniej nie mieszkałam sama. Serce wali mi w piersi jak szalone. Wsuwam się spod kołdry i stawiam stopy na podłodze. Od okna dzieli mnie tylko kilka krótkich kroków, ale to wystarczająco daleko, by mój umysł wyobraził sobie szajkę włamywaczy, która przetrząsa dom i opróżnia go z dobytku.

Spoglądam za okno. Ulica jest ciemna i spokojna. Jedynym autem, jakie widzę, jest moje. Naraz wzrok wyłapuje jakiś ruch. Aż podskakuję, kiedy wiatr majta furtką i zamyka ją z hukiem. Besztam siebie za tę przesadną nerwowość i kładę się z powrotem do łóżka. Krew jednak nadal pulsuje w uszach. Strach przegnał senność. Włączam lampkę i mrużę oczy przed pomarańczowym blaskiem. Otwieram książkę, mówiąc sobie, że przeczytam najwyżej dwa rozdziały. Znajduję stronę, na której skończyłam, i pozwalam słowom przenieść mnie do innych czasów.

Powoli zaczynają mi opadać powieki, kiedy nagle słyszę huk. Tym razem to nie furtka, tylko drzwi wejściowe. Zastygam w bezruchu i ściskam książkę tak mocno, że marszczą się kartki. Lampka gaśnie i naraz pokój tonie w ciemności. Z moich ust dobywa się jęknięcie. Zasłaniam je prędko dłońmi. Czekam na charakterystyczne skrzypienie schodów, ale w domu panuje cisza. Jestem sztywna ze strachu, siedzę na łóżku, bojąc się poruszyć, bo nie chcę, żeby skrzypienie sprężyn w materacu zdradziło moją pozycję. Zaczynają mnie boleć plecy, więc delikatnie przenoszę ciężar – i krzywię się, kiedy trzeszczą deski podłogowe pod łóżkiem. Wstrzymuję oddech, zastanawiam się, kto tam jest i czy mnie słyszał. Nie dochodzi do mnie odgłos kroków, słyszę jedynie szum krwi w uszach. Zastanawiam się, czy to wszystko mi się nie przywidziało i przesłyszało, kiedy nagle zaczynam kasłać.

Dym.

Czas zwalnia i najwyraźniej tracę zdolność logicznego rozumowania, mam bowiem wrażenie, że mija cała wieczność, zanim w końcu otrząsam się z odrętwienia i zaczynam po omacku szukać w ciemności telefonu. Przewracam szklankę z wodą, zimny płyn wsiąka w rękaw pidżamy. Wyskakuję z łóżka – prosto w mokrą plamę na dywanie – i rzucam się do drzwi. Uderzam palcem u nogi o stelaż łóżka, krzyczę z bólu i się przewracam. Wstaję z trudem, naciskam włącznik światła, modląc się, aby się okazało, że po prostu przepaliła się żarówka w lampce, ale nie, żyrandol się nie zapala, sypialnia nadal tonie w mroku.

Spoconymi, śliskimi dłońmi sięgam do metalowej klamki. Waham się przez chwilę, zanim jej dotknę, lecz na szczęście jest chłodna. Przez ułamek sekundy myślę, że może wszystko jest w porządku, ale kiedy otwieram drzwi, gryzący dym wdziera się do gardła, nosa, piersi. Pieką mnie oczy. Zatrząskuję drzwi i opieram się o nie plecami, tak jakbym mogła w ten sposób powstrzymać pożar. Wstrząsają mną spazmy bolesnego kaszlu, aż zgina mnie w pół. Zrywam kołdrę z łóżka, klękam i zatykam szczelinę pod drzwiami. Pocę się tak obficie na piersi i plecach, że pidżamę można wyżymać. Przy podłodze dym wydaje się rzadszy, więc czołgam się w stronę okna. Chwytam się grzejnika i podciągam. W końcu udaje mi się wstać, ale nogi mam jak z waty. Okno się zacina. Nie otwierałam go od wakacji. Wyję z rozpaczy, szarpnię z całych sił, aż w końcu ustępuje. Przechylam się przez parapet i tak wiszę, z wystawionym językiem, jak pies w upalny dzień, łapczywie nabierając powietrza.

Ulica jest nieoświetlona i pusta. Ta samotność, którą uwielbiam, teraz wydaje mi się groźna. Wrzaskiem wzywam panią Jones na pomoc, ale wiem, że to nic nie da, bo sąsiadka albo śpi, albo ogląda telewizję, a telewizora na pewno nie przekręcę. Umrę. Słyszę szelest w krzakach i wydaje mi się, że widzę postać, która się z nich wyłania. Przecieram obolałe i szczypiące od dymu oczy, lecz zanim udaje mi się odzyskać ostrość widzenia, nikogo już nie ma. Rozsądek podpowiada, że nie powinnam oddalać się od okna, bo tu przynajmniej mam czym oddychać, ale przecież muszę znaleźć telefon. Podczołguję się do łóżka i obmacuję wilgotny dywan, tam gdzie rozlałam wodę. Modlę się, żeby telefon nie zamókł i żeby działał. Szukam na oślep, dym wżera mi się w gardło i kiedy już jestem gotowa się poddać, natrafiam na coś twardego i zimnego – komórka. Naciskam przycisk, ekran się rozjaśnia, a ja czuję, że zaraz rozplącę się ze szczęścia. Wracam do okna – poruszam się coraz wolniej – wychylam się

i napęlam piekące płuca tlenem.

Wybieram numer alarmowy.

– Centrum powiadamiania ratunkowego. Z którą służbą łączyć?

Otwieram usta, by odpowiedzieć, ale już samo to, że słyszę ludzki głos, przynosi mi taką ulgę, iż nie jestem w stanie wykrztusić słowa.

– Halo? O którą służbę chodzi? Straż pożarną, policję czy pogotowie ratunkowe?

– Straż. Proszę. Szybko – udaje mi się wychrypieć.

Operatorka prosi mnie o podanie nazwiska i adresu. Rozszyfrowuje moje urywane zdania, potwierdza dane. Mówi, że ma na imię Mia, i zapewnia, iż pomoc jest już w drodze. Opisuję rozkład domu, podaję swoją pozycję. Głos Mii jest łagodny i uspokajający, a jej pytania delikatne, ale duszę się tak mocno, że nie jestem w stanie odpowiedzieć na każde z nich. Przekładam prawą nogę za okno, siadam na parapecie jak na grzbiecie konia i wpatruję się w ciemności. Mówię Mii, że wyskoczę. Zapewnia mnie, że strażacy są już blisko, że dzieli ich ode mnie zaledwie kilka minut, ale wszystkie komórki w moim ciele walczą o przetrwanie. Przytrzymuję ramieniem przytknięty do ucha telefon, chwytam się parapetu i próbuję przesadzić lewą nogę. Mam spowolnione ruchy, mimo że rządzi mną paniczny strach. Czuję się, jakbym utknęła w ruchomych piaskach.

Słyszę niewyraźne wycie syren. Z trudem przebijają się przez mój urywany oddech. Widzę migające światła, skręcają w moją uliczkę. Wrzeszczę: „Pomocy!”, unoszę obie ręce, żeby pomachać na strażaków – i czuję, że się ześlizguję. Spadam z krzykiem w ciemność.

36.

Teraz

Gorąco mi, strasznie mi gorąco. Skóra łuszczy się płatami, ciało się topi i odchodzi od kości. Otwieram szeroko usta, ale coś tłumi mój krzyk, krztuszę się, łapię się za gardło, rzucam się, próbując uwolnić się od ciężaru, który napiera na moją pierś.

– Grace. – Czyjaś ciepła dłoń bierze mnie za rękę i delikatnie ściska. – Grace, słyszysz mnie?

Babcia? Z trudem otwieram oczy. Łzawią i szczypią w blasku świetlówek. Otoczenie jest białe, surowe. Leżę w łóżku, zbyt ciasno opatulona. Pościel jest sztywna.

– Był pożar. Nic ci się nie stało, ale myśleliśmy... – Głos jej drży.

Próbuję uwolnić dłoń, usiąść, wyciągnąć rurki z gardła.

– Nie ruszaj się, kochanie. – Dziadek delikatnie powstrzymuje mnie przed wstaniem. – Pójdę po lekarza. Twoja mama już tu jedzie.

Lekarz jest bardzo młody, wygląda na stażystę. Chłopiec w za dużym kitlu i okrągłych szylkretowych okularach. Zerka do mojej karty, po czym odchrząkuje, tak jakby obawiał się, że głos załamie mu się w pół zdania.

– Ma pani szczęście, Grace.

Nie odpowiadam, bo nie mogę, ale nie wiem, czybym się z nim zgodziła.

– Proszę się nie przejmować rurkami. Nawdychała się pani dymu, który lekko podrażnił pani drogi oddechowe, i musimy zapewnić ich drożność. Nie ma pani nadmiaru płynu w płucach, nie ma infekcji. Za dwa dni panią wypiszemy.

Babcia rytmicznie masuje mi dłoń kciukiem, a ja bezskutecznie próbuję zwalczyć senność.

Niespokojny sen przychodzi i odchodzi, pojawiają się w nim języki ognia i skłębiony dym. Babcia wkłada mi pod poduszkę torebeczkę z lawendą, ale nieważne, jak głęboko wdycham jej zapach, i tak czuję jedynie sadzę. Ani przez chwilę nie jestem sama. Obok mojego łóżka stoi fotel i za każdym razem, gdy się budzę, złana potem i spanikowana, zawsze ktoś jest przy mnie – dziadkowie, mama, Lyn. W myślach wciąż wracam do domu. Pamiętam, że zapaliłam świeczki, ale nie przypominam sobie, czy je zgasiłam. Mam w głowie istny diabelski młyn, który kręci się z zawrotną prędkością; chciałabym móc po prostu nacisnąć guzik i wysiąść. Czy to naprawdę moja wina? Czy zawsze to ja jestem winna?

Usuważają mi rurki. Wymiotuję krwawą żółcią do kartonowej miski. Boli mnie żołądek, boli mnie brzuch. Z ulgą zdejmuję drapiącą szpitalną koszulę i wchodzę pod prysznic. Płytki na podłodze w łazience kiedyś musiały być białe, ale dziś fuga ma gołębi kolor. Ostrożnie dotykam fioletowych sińców na brzuchu i piersi. Myślę o tym, co by się stało, gdyby strażacy przyjechali później i gdyby nie wynieśli mnie z domu, gdy straciłam przytomność i upadłam na podłogę w sypialni – i czuję, że płyną mi łzy. Wyjmuję z reklamówki czystą koszulę nocną, którą przyniosła babcia, przykładam ją do nosa i sprawdzam zmysł węchu. Czuję delikatną woń środka do zmiękczenia tkanin. Babcia jest niższa ode mnie, dlatego koszula, która na niej sięga do ziemi, na mnie kończy się tuż za kolanami i ciśnie po bokach. Nie wiem, czy wszystkie moje rzeczy poszły z dymem, i boję się zapytać.

Pożyczone różowe kapcie spadają mi z nóg. Kiedy wracam do sali, powłóczę nogami, czuję się, jakbym przebiegła maraton. Nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś podszedł do mnie i narzucił mi na ramiona koc termiczny. W płucach mi grzechocze, mam rżący oddech i czuję ukłucia bólu w piersi.

Babcia owija koldrę, poprawia poduszkę i pomaga mi się położyć. Mama otula mnie tak jak kiedyś, gdy byłam mała.

– Wiem, że masz trudności z przełykaniem, ale zanim się obejrzysz, będziesz zdrowa jak ryba. – Babcia otwiera plastikowy pojemnik na jedzenie i pokazuje mi grube kawałki ciasta cytrynowego.

Od zapachu cytryny zbiera mi się na kaszel. Babcia wyciera mi oczy i podaje chusteczkę, żebym wydmuchała nos. Chusteczka jest po tym czarna. Zgniatam ją i rzucam, celując w szafkę przy łóżku.

– Poradzisz sobie przez kilka godzin sama? Denise źle się poczuła i nie może dowieźć posiłków staruszkom. Zaproponowałam, że jej pomogę razem z twoją mamą. Dziadek poszedł po samochód.

Babcia ma siedemdziesiąt dwa lata, ale gdy tylko może, chętnie pomaga „staruszkom”.

Kiwam głową.

– Zostanę, jeśli chcesz – proponuje mama, ale kręcę głową.

Gardło boli mnie tak, że nie mogę mówić. Odprowadzam je wzrokiem i gdy znikają za drzwiami wahadłowymi, za którymi kończy się oddział, kładę się na boku i zamykam oczy. Mam żywy, barwny sen. Zapach dezodorantu Impulse pobudza moje nozdrza, biegniemy z Charlie przez las, liście szeleszczą, a gałęzie się pochylają. Chcą podzielić się ze mną tajemnicami, a ja nastawiam uszu, by wyłović ich przyciszone głosy.

Budzę się z suchością w ustach. Siadam na łóżku i sięgam po wodę. Na szafce leży prezent w lśniącym złotym opakowaniu. Na papierze widnieje moje imię, napisane odręcznym pismem, które skądś kojarzę, ale nie potrafię sobie przypomnieć skąd. Potrząsam pudełkiem – grzechocze. Rozglądam się po sali, czy nikt mnie nie obserwuje, po czym odklejam taśmę z jednej strony i wysuwam zawartość.

Rzucam pudełko na łóżko i cofam się przed nim jak przed jadowitym wężem. Z przerażeniem patrzę na opakowanie orzechów brazylijskich w czekoladzie. Tylko jedna osoba mogła mi je kupić – i raz już to zrobiła. Anna.

Babcia owija mi nogi fioletowo-różowym szydełkowym kocykiem, mimo że w salonie jest co najmniej dwadzieścia pięć stopni. Tym samym kocykiem okrywała mnie, kiedy miałam różyczkę i zapalenie migdałków. Podciągam go pod samą brodę. Naciskam guzik na pilocie – telewizor ożywa i atakuje rykiem. Szukam przycisku, którym zmniejsza się głośność; widocznie dziadek oglądał jako ostatni.

Babcia wysuwa najmniejszy z zestawu mahoniowych stolików i umieszcza go tuż obok kanapy, po czym stawia na nim szklankę soku i talerz ciasteczek z lukrem. Czuję się, jakbym miała sześć lat, ale cieszę się, że tu jestem i że spałam w swoim dawnym pokoju, gdzie nie słyszałam kłopotu szpitalnych wózków i teatralnego szeptu pielęgniarek. Upewniwszy się, że nic mi nie będzie – w każdym razie w sensie fizycznym – mama wróciła do Devonu.

Zlizuję różowy lukier z ciasteczka, czuję, jak rozpuszcza się na języku, i z przejściem oglądam program Jeremy’ego Kyle’a, przerażona i jednocześnie zafascynowana. Babcia udaje, że nie ogląda, że siedzi i robi na drutach, ale co pewien czas słyszę, jak druty przestają stukać i cmoka z niezadowolaniem.

Rozlega się pukanie do drzwi. Babcia dźwiga się z fotela. Mam wrażenie, jakby przez ostatnie kilka dni bardzo się postarzała. Wychodzi z salonu, zamykając za sobą drzwi. Słyszę rozbrzmiewający w korytarzu męski głos. To pewnie Dan. Przyglądam włosy i strzepuję okruchy ze szlafroka. Sprawdzam oddech, próbuję sobie przypomnieć, czy w ogóle myłam dziś zęby. Powinnam była wziąć prysznic i się ubrać.

Kiedy drzwi się otwierają, poprawiam się na kanapie, choć wydaje mi się absurdalne, że nadal pragnę być atrakcyjna dla Dana.

– Grace. – Babcia pokazuje na dwóch mężczyzn, którzy za nią stoją. Nie znam ich. – Pójdę po dziadka.

– Dzień dobry, sierżant Harry Mills, prowadzę dochodzenie w sprawie pożaru w Różanej Chatce – odzywa się wyższy. – Mój kolega to Mick Walker, oficer śledczy z państwowej straży pożarnej hrabstwa Oxfordshire. Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

Nie wiem, gdzie się podziać ze wstydu. Jakbym była uczennicą i stała przed dyrektorem szkoły. Podciągam koc wyżej.

Dziadek wpada do salonu, wycierając dłonie o ciemnobrązowe sztruksy.

– Proszę, niech panowie usiądą. – Pokazuje na fotele.

Obaj przysiadają, ale tylko na brzegu. Swoimi długimi nogami zajmują tyle miejsca, że naraz salon wydaje się mały i ciasny.

Słychać brzęk porcelany. Po chwili babcia rozdaje filiżanki na spodeczkach, a następnie nalewa do nich herbatę z dzbanka Royal Doulton, którego używa wyłącznie przy specjalnych okazjach. Zabiera ciasteczka z lukrem i zastępuje je herbatnikami z ciemną czekoladą, których nikt nie je. Wkładam palce w dziury w kocyku i czekam, aż zaczną się pytania.

– Proszę powiedzieć, o której godzinie położyła się pani spać tamtego wieczoru.

Nie pamiętam dokładnie i czuję, że się czerwienię, tak jakbym miała coś do ukrycia.

– Wydaje mi się, że około jedenastej – chrypię w odpowiedzi.

Dziadek podaje mi szklankę wody.

– Czy oprócz pani był ktoś w domu?

– Nie.

– Czy wszystko było wyłączone, kiedy wychodziła pani z salonu? Czy wszystko wydawało się w porządku?

– Została wychowana tak, by nie marnować elektryczności – odzywa się babcia.

Trzymam dziadka za rękę.

– Wydaje mi się, że wszystko wyłączyłam, zgasłam świece... – Wbijam spojrzenie w dywan.

Dziadek ściska moje palce.

– Gdzie stały świece?

– Na kominku.

– Źródłem pożaru był kosz na śmieci stojący obok stołu. Czy w jego pobliżu znajdowały się świece albo jakieś źródła zapłonu?

– Nie.

– W koszu znaleźliśmy zapalniczkę. Czy pani pali?

– Nie. – Kręcę głową zaskoczona. – Nie trzymam w domu zapalek. Bo nigdy ich nie używam.

– Czy wie pani, że w czujniku dymu w korytarzu nie było baterii?

– Nie...

– Ależ była – wtrąca dziadek. – Sprawdzam regularnie. Ostatnio wymieniałem ją parę tygodni temu. Kupiłem lepsze, markowe. Warto trochę dopłacić za święty spokój.

– Czy budynek był zamknięty, kiedy kładła się pani spać?

– Tak. Kilka razy sprawdziłam drzwi.

– Strażacy musieli je wyważyć.

– Nie rozumiem.

Walker zdejmuje okulary w srebrnych oprawkach. Patrzy mi prosto w oczy.

– Uważamy, że pożar został wzniecony celowo. To, że dom był zamknięty, kiedy kładła się pani spać, i nadal taki pozostał, kiedy przybyliśmy na miejsce, wskazuje, że ogień zaproszył ktoś, kto znajdował się w domu, bądź ktoś, kto miał klucze. Drzwi od frontu wciąż były zabezpieczone łańcuchem, zatem podpalacz nie mógł dostać się nimi do środka. Kto oprócz pani dysponuje kluczami do tylnego wejścia?

Czuję lodowaty powiew na karku. Włoski na rękach stają mi dęba.

– Anna – szepczę. – Anna ma klucze.

37.

Teraz

Dziadek wyjmuję chusteczkę z kieszeni i wyciera babci oczy. Ta wrywa mu ją i mówi:
– Mam już dość zmarszczek, dziękuję bardzo. Nie musisz mi jeszcze dodatkowo naciągać skóry.

Dziadek robi minę za jej plecami. Z jednej strony czuję, że wszystko się zmieniło, a z drugiej jestem krzepiąco, choć pewnie naiwnie, przekonana, że niektóre rzeczy zawsze pozostaną takie same.

Z głośników pada ledwo zrozumiały komunikat. Mój pociąg wkrótce odjeżdża. Mam małą, ale ciężką walizkę, którą podnoszę z niemałym trudem. Klepię się po kieszeni, sprawdzam, czy bilet jest na miejscu.

– Nie musisz wyjeżdżać – mówi babcia. – Nie boję się tej całej Anny.

– A powinnaś.

– Mogłabyś zostać – dodaje dziadek.

– Lepiej nie. Zaczekam, aż policja ją złapie. – Obejmuję ich wolną ręką. – Przyślę esemes, kiedy dotrę na miejsce.

Taszcze багаж do środka, rozglądam się, czy nikt mnie nie śledzi, a potem zatrzymuję się w wejściu do wagonu i przyglądam pasażerom, szukając lśniącej blond fryzury. Upewniwszy się, że w wagonie nie ma Anny, przesuвам gazetę z kanapy upstrzonej śladami po papierosach – mimo naklejek z zakazem palenia na wszystkich oknach – i siadam. Podłoga jest szara od brudu. Stawiam walizkę na sąsiednim miejscu, a torebkę kładę sobie na kolanach. Drzwi się zasuują, odcinając drogę ucieczki powietrzu przesiąkniętemu dymem, perfumami i potem. Wyglądam przez pokryte smugami okno i macham dziadkom na pożegnanie.

Słychać burczenie, kiedy pociąg rusza ze stacji, a potem terkot, gdy nabiera prędkości. Opieram głowę o brudną szybę i wpatruję się w pola przesuujące się za oknem. Nie otwieram książki, którą wzięłam na drogę, zatapiam się w myślach, które towarzyszą mi do stacji King's Cross. Kiedy skład wjeżdża na peron, zbieram swoje rzeczy i wstaję, usiłując nie stracić równowagi w kołyszącym się wagonie. Ściskam mocno багаж i idę za pozostałymi pasażerami, którzy przepychają się do wyjścia. Wzdrygam się przy każdym dotknięciu, bo boję się, że to Anna. Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. Odwracam się przestraszona.

– To ja. – Esmée obejmuje mnie drobnymi ramionami i mocno przytula.

Jest silniejsza, niż mi się wydawało. Zostałyśmy już tylko dwie, myślę. Nie odwzajemniam uścisku, choć nie widziałam się z nią od pogrzebu Charlie. Wolę nie okazywać emocji tu, na zatłoczonym peronie, bo obawiam się, że jeśli to zrobię, jeśli uwolnię smutek, ten zaleje tory i porwie wszystkich dokoła – tak wiele mam go w sobie.

– Jesteś już bezpieczna – szepcze Esmée, wtulając się we mnie, a ja próbuję myśleć o czymś pozytywnym, żeby się nie rozplakać. – Chodź, pojedziemy do domu.

Bierze ode mnie walizkę. Cieszę się, że przejmuje kontrolę. Podróż mnie wykończyła. Wydaje mi się, że jeszcze nie w pełni doszłam do siebie po pożarze.

Esmée porusza się po metrze z pewnością siebie nieprzystającą do nieśmiałości, którą okazywała jako młoda dziewczyna. Siedzę wypompowana i wpatruję się w zamocowany na ścianie wagonu schemat połączeń. Stolicę oplatają czerwone, niebieskie, zielone nitki spaghetti. Kolejna rzecz, której nie potrafię zrozumieć; zrobiła się z tego całkiem długa lista. Przymykam

oczy. Drżenie pociągu mnie usypia. Ziewam.

– Na następnym wysiadamy. – Esmée klepie mnie w kolano.

Wstaję i lecę do przodu, łapię Esmée za rękę, żeby nie upaść. Rozglądam się, ale nikt na mnie nie patrzy. Pocieszam się anonimowością. Idziemy zaśmieconą ulicą. Trzymam się blisko przyjaciółki. Wzdrygam się, słysząc kakofonię klaksonów. Wdycham zapach spalin i fast foodów – i tęsknię za wiejskim powietrzem.

Zatrzymujemy się przed szeregiem sklepów.

– To tu. Niech cię nie zrazi fasada. – Na lewo od pralni samoobsługowej znajdują się drzwi pokryte łuszczącą się kanarkową farbą oraz graffiti. Esmée wkłada klucz do zamka, przekręca i kopie drzwi u dołu. – Zawsze się zacinają.

Wchodzimy wąskimi schodami. Walizka obija się o ścianę. Mimo wiszącej u sufitu gołej żarówki jest tak ciemno, że ledwo widzę, dokąd idę. Esmée otwiera masywne szare drzwi na samej górze i docieramy na miejsce.

Mieszkanie jest maleńkie, ale urządzone ze smakiem, w kremowych odcieniach. Po matce paryżance Esmée odziedziczyła naturalną elegancję. Salon, jadalnia i kuchnia stanowią nieduże sekcje tego samego pomieszczenia. Esmée w czterech krokach podchodzi do okna i je otwiera. Ciepłe powietrze miesza się z jeszcze cieplejszym.

– Masz szczęście, że przyjechałaś wiosną. Gorąco z suszarek na parterze wędruje na górę i sprawia, że robi się tu jak w piekarniku. Świetne rozwiązanie zimą, ale latem nie do zniesienia. Zresztą w ciągu dnia rzadko jestem w domu. Rozejrzyj się, a ja zaparzę herbatę. – Idzie do aneksu kuchennego. – Zajmiesz sypialnię, mi wystarczy kanapa w salonie.

Protestuję, ale zbywa mnie machnięciem ręki; drugą wyjmuję z szafki czarne, błyszczące kubki.

Otwieram pierwsze z dwojga drzwi prowadzących do pomieszczeń, które sąsiadują z salonem. Wchodzę do łazienki wyłożonej białymi kafelkami. Na podłodze leżą płytki w szachownicę. Mogę zamknąć drzwi, dopiero kiedy wpasują się między umywalkę a sedes. Rozkładam ramiona i niewiele brakuje, a dotknęłabym palcami obu przeciwległych ścian jednocześnie. Na półeczce w lśniącej szklanej kabinie prysznicowej zestaw produktów Molton Brown. Nagle czuję się brudna po podróży. Idę dalej.

Ściany w sypialni mają jasnożółty kolor, szafę zdobią lustrzane drzwi, a łóżko – turkusowa pościel. To będzie mój kokon. Być może wyłonię się z niego jako motyl.

– Dobrze, że mam oddzielną sypialnię. To wcale nie takie oczywiste. – Głos Esmée wrywa mnie z zamyślenia.

Biorę kubek, który mi wręcza.

– Pewnie, u nas za tę samą cenę mogłam kupić bliźniaka z trzema sypialniami, ale kto by chciał utknąć w miejscu, które jest za duże na wieś, a za małe na miasto, i w którym szczytem emocji był dzień, kiedy pękła rura w szkole i zwolnili nas z zajęć? – Wzrusza ramionami. – Londyn to Londyn. Codziennie widzę nowe twarze, a kiedy kichnę, nikt nie przybiega do mnie z zapiekanką ani nie rozsiewa plotek, że złapałam zarazę.

– Mieszkanie jest doskonale, Esmée. Naprawdę, bardzo mi się podoba. – Rzeczywiście tak jest. – Ale czy nie tęsknisz choć trochę za domem?

„Lubię znać wszystkich dokoła” – myślę. Lubię plotki i zbiorowe oburzenie, jak na przykład wtedy, kiedy poczta ograniczyła się do odbioru listów raz dziennie. We wsi rozmawiało się o tym przez kilka tygodni. Ktoś powie, że to nuda, dla mnie jednak oznacza bezpieczeństwo. Oznaczało. Zanim pojawiła się Anna.

– Czasem. Wolę jednak mieszkać tutaj. W stolicy toczy się życie, wiecznie coś się dzieje. W wiosce bez Siobhan zrobiło się jakoś inaczej. A teraz Charlie... Nie sądzę, żebym kiedykolwiek wróciła tam na stałe. Teraz tu jest moje miejsce.

– Ja już sama nie wiem, gdzie jest moje miejsce. – Próbuję łykiem herbaty zamaskować drżenie w głosie. – Mogę wziąć prysznic?

– Nie musisz pytać.

Strumień wody jest tak silny, że nagle mnie zatyka. Przecieram oczy i łapię za pokrętko, by zmniejszyć ciśnienie. Szampon Esmée pachnie imbirem, ale nieważne, ile razy szorowałabym włosy i skórę głowy, i tak wciąż wyczuwam woń dymu.

Ręcznik jest puszysty jak wata, wycieram się w sypialni i przeglądam zawartość swojej walizki, którą rozłożyłam na łóżku. Zastanawiam się, czy ubrać się w zwykłe ciuchy, w końcu decyduję się jednak na pidżamę. Idę bosą po miękkim dywanie do salonu.

Potem siedzimy przed telewizorem – oglądamy powtórkę *Przyjaciół*, dziwiąc się, jak niewiele Jennifer Aniston postarzała się przez te wszystkie lata – rechoczymy ze śmiechu ijemy lasagne ze szpinakiem. Cieszę się z tego powiewu normalności, z pozorów, że wpadłam do koleżanki ze zwykłą przyjacielską wizytą. Mimo zapewnień Esmée, że sama sobie poradzi, pomagam jej w sprzątaniu – wycieram talerze, które umyła, a suche i lśniące układam w równy stosik na wąskim blacie.

– Jak się czujesz? Tak naprawdę. – Esmée wyciera ręce, nalewa mi kieliszek pinot i prowadzi na kanapę.

– W porządku.

Unosi brew.

– No dobrze – wzdycham. – Bywało lepiej. Jeszcze kilka miesięcy temu miałam świetną pracę, kota, piękny dom i chłopaka, którego kochałam. Naprawdę go kochałam.

Bierze mnie za rękę.

– Przyszedł do domu dziadków. Chciał się ze mną zobaczyć. Babcia zamierzyła się na niego wałkiem, aż dziadek musiał ją powstrzymać.

– Palant. Ten chłopak.

– Wiem, ale mój palant. Wciąż do mnie wydzwania.

– I co mówi?

– Nie wiem, nie odbieram.

– Mądra dziewczynka.

– Wysyła też esemesy. Chce się spotkać. Wytłumaczyć.

Esmée ponownie unosi brew.

– Nie ma wytłumaczenia dla tego, co zrobił. To nie jest Dan, którego, jak sądziłam, znałam.

– No właśnie. – Opieram głowę na jej ramieniu. – Nie mogę uwierzyć w to, jak postąpił. I nie rozumiem, dlaczego Anna tak bardzo mnie nienawidzi. – Rozglądam się po pokoju, tak jakby mogła wyskoczyć zza któregoś mebla.

– Nie wiem. Może była zazdrosna? Może zakochała się w Danie?

– On uparcie twierdzi, że to była przygoda na jedną noc. Że nic nie znaczyła. Nawet jeśli to prawda, ona i tak mogła coś do niego poczuć, to przecież nie jest wykluczone.

– A może nie potrafi znieść tego, że została odrzucona?

– Kto wie? Cieszę się, że nie poznałam jej z Lexie. Pomyśl tylko, jak Lexie by zareagowała, gdyby najpierw uwierzyła, że w Annie żyje częśćka Charlie, a później dowiedziała się, że to wszystko kłamstwo.

– Anna jest obłąkana. Już nie musisz się nią martwić.

Obie wiemy, że to nieprawda.

– Zobaczysz, że zamkną ją na wiele lat. Próbowwała cię zabić, to nie może jej ująć płazem.

Przechodzi mnie dreszcz.

– Podobno nazywa się to podpalenie z zamiarem narażenia życia.

– Jak zwał, tak zwał. Wariatka i tyle.

– Mam tylko nadzieję, że policja ją znajdzie.

Esmée opróżnia butelkę do mojego kieliszka, po czym wstaje, przynosi kolejne wino i przesypuje chipsy do miseczki.

– A co z domem? Wszystko straciłaś?

– Na szczęście nie. Udało się opanować ogień. Spalił się dywan, część mebli się osmałiła, ale większość rzeczy ucierpiała tylko od dymu. Babcia trzy razy prała moje ubrania, ale... – głos mi się łamie – było tyle dymu, że...

– Miałaś dużo szczęścia.

– No, podobno.

– Co teraz z domem?

– Zapieczętowany. Najcenniejsze rzeczy stoją u dziadka w garażu. Policja zrobiła, co miała zrobić, i teraz wszystko w rękach firmy ubezpieczeniowej. Minie pewnie z miesiąc, zanim będzie się można znów wprowadzić.

– Możesz zostać u mnie, jak długo chcesz.

– Dziękuję ci. Nie chciałam jechać do mamy, bo pomieszkuję z nimi córka Olivera z dziećmi, więc i tak mają ciasno. Kiedy policja złapie Annę, znów zatrzymam się u dziadków. Policjanci powiedzieli, że w razie potrzeby mogą liczyć na przyspieszoną interwencję, ale chyba wolę nie ryzykować. Nie chcę nikogo narażać. – Chrupię chipsy. Sól i ocet drażnią moje obolałe gardło. – Tutaj Anna nie będzie mnie szukała.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Esmée.

W milczeniu pijemy wino. Za oknem włącza się alarm w samochodzie. Staram się go ignorować, mówię sobie, że jestem tu bezpieczna, że Anna mnie nie znajdzie. Jednocześnie zastanawiam się, gdzie ona jest.

38.

Teraz

Dzbanek do kawy bulgocze i paruje. Przelewam gorący płyn do kubka termicznego Esmée i wręczam jej banana. Esmée odłącza telefon od ładowarki i wrzuca go do przepastnej torebki.

– Co planujesz dziś robić? Zapowiadają małą falę upałów, więc w mieszkaniu nie da się wysiedzieć. Typowe. W kwietniu skwar, a kiedy wyjeżdżam w sierpniu – deszcz.

– Może wyjdę na miasto – kłamię.

Powtarzamy tę rozmowę co rano. Czekam, aż Esmée rzuci: „Spędź miło dzień”, na co błysnę uśmiechem i odpowiem: „Tak zamierzam”, po czym ona znów położy na blacie listę zakupów.

– Może kupisz po drodze parę rzeczy?

– No nie wiem...

– Grace, w Londynie mieszka dziesięć milionów ludzi. Nawet gdyby Anna wiedziała, że przyjechałaś do miasta, a nie wie...

– Nie możesz być tego pewna.

– Jesteś tu prawie od tygodnia. Gdyby miała cię znaleźć, już by to zrobiła.

– Nie znasz jej.

– Ty tak naprawdę też nie. Co zrobisz, jeśli policji nie uda się jej złapać? Będziesz tu siedziała do końca życia?

Zaczynam obgryzać paznokciec kciuka. Esmée wzdycha i zgniata kartkę.

– Przepraszam, Grace. Nie chcę naciskać. Po prostu nie mogę patrzeć, jak się tak męczysz.

Zabieram kartkę.

– Zostaw listę. Spróbuję.

– Nie musisz...

– Wiem. Leć już, bo pociąg ci ucieknie.

Pochylam głowę i wyglądam zmiętą kartkę. Esmée chowa klucze i zabiera kubek.

– Naprawdę chciałabym, Grace, żebyś miło spędziła dzień. Zajrzyj do mojej szafy, znajdź sobie coś lekkiego.

Połykam łyzy i się uśmiecham.

– Dobrze.

Esmée wychodzi. Stuka obcasami na drewnianych schodach. Zamykam drzwi do mieszkania i zakładam łańcuch. Wkładam dwie kromki chleba razowego do tosterka. Lecą okruszki, zbieram je na dłoń i wrzucam do zlewu. Czekając na grzanki, przeglądam kolekcję płyt DVD Esmée: *Lśnienie*, *Duch*, *Halloween*. Większość z tych filmów oglądałabym, ze strachu zasłaniając twarz poduszką. Aż podskakuję, kiedy toster wyrzuca gotowe grzanki. Smaruję je grubo masłem i marmite'em. Jem na stojąco z dłonią pod brodą – żeby łapać okruszki. Mam przed sobą długi, samotny dzień. Przełykam ostatni kęs, opłukuję palce. Telefon zaczyna wibrować i przesuwając się po blacie. Dan. Częstotliwość, z jaką dzwoni, zmniejszyła się, ale nadal robi to minimum trzy razy dziennie. Nie odbieram. Nigdy. Aparat cichnie. Bateria jest na wyczerpaniu, chociaż od przyjazdu do Londynu ani razu nie korzystałam z komórki. Nie wzięłam ładowarki, a model Esmée nie pasuje.

Szyby w oknach trzęsą się od wiercenia gdzieś na zewnątrz. Rozmasowuję skronie, chcę złagodzić ból głowy oplatający moją czaszkę. Oglądam mapę, którą zostawiła mi Esmée, przesuвам palcem po liniach metra. Sprawdzam, którą z nich musiałabym pojechać, gdybym zdecydowała się wyjść z domu. Gdyby.

Siadam na kanapie i wybieram numer na telefonie stacjonarnym.

– Grace, jak się czujesz?

– Dobrze. Coś nowego?

Dziadek codziennie dzwoni na policję.

– Jeszcze nie. Ale ją złapią. Bądź spokojna. – Kaszle do słuchawki.

Odsuwam aparat od ucha.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Oboje z babcią złapaliśmy lekkie przeziębienie, ale to nic takiego. Babcia poszła sortować datki w sklepie charytatywnym. Pani Jones się przewróciła.

– O rety! Nic jej się nie stało?

– Uszkodziła sobie staw biodrowy. Na szczęście ekipa malarzy usłyszała jej walenie łaską w ścianę. Pogotowie zabrało ją do Świętej Anny. Ale wołę do niej nie jechać, bo pozarażałbym ludzi.

– Odwiedzę ją, kiedy wrócę do domu. Może dzisiaj wyjdę na miasto...

Czekam na sprzeciw. Na ostrzeżenia, że „tam nie jest bezpiecznie”.

– Świeże powietrze dobrze ci zrobi. – Dziadek nigdy nie był w Londynie.

– Powietrze w stolicy... – Rozłącza mnie. Zapada cisza. – Dziadku?

Wybieram ponownie numer, ale nadal nic nie słychać.

Naraz rozlega się walenie do drzwi na dole. Telefon ląduje na kanapie, a ja padam na kolana. Zasłaniam usta dłonią. Znów to samo, tylko głośniej. Czuję się w stronę okna. Podciągam się i wystawiam głowę nad parapet. Na dole stoi jakiś człowiek w bejsbolówce. Widzę blond włosy wystające spod czapeczki z logo New York Yankees. Oblewa mnie fala gorąca. Znowu walenie do drzwi. Postać robi krok do tyłu i zadziera głowę.

Chowam się, ale robię to zbyt wolno. Ten ktoś mnie widział.

Schodzę na dół i uchylam drzwi. Kiwam głową na słowa fachowca, który mówi, że wymienia kable, więc mogą występować chwilowe przerwy w działaniu telefonu.

Zamykam drzwi, przekręcam klucz i zastanawiam się, skąd się wziął u mnie ten strach. Czy jego przyczyną jest wyłącznie Anna, czy też lęk ma źródło głębiej? Wydaje mi się, że od śmierci taty nigdy nie czułam się do końca bezpieczna. Zawsze mieszkał we mnie niepokój. Myślę o babci, która mimo wszystko – mimo Anny, mimo choroby – wiezie normalne życie, i chciałabym, żeby była ze mnie dumna tak, jak ja jestem dumna z niej. Opanowuje mnie dyskretna odwaga. Nie wybrałam sobie tego nowego życia, zostało mi ono narzucone, ale może, tylko być może, okaże się dla mnie odpowiednie.

Esmée ma powłóczystrą sukienkę maxi w kwiatowy wzór. Pasuje na mnie. Wkładam do niej sandały. Próbuję złożyć mapę, ale jakoś mi to nie wychodzi, więc po prostu robię z niej harmonijkę i wciskam do torby. Biorę klucze, zbieram się na odwagę i po raz pierwszy sama wychodzę na ulice Londynu.

Przyklejam się plecami do ściany z cegły i walczę z chęcią powrotu do mieszkania. Nigdy wcześniej nie widziałam tylu ludzi walczących o przestrzeń. Wszyscy się spieszą, nikt nie zauważa pozostałych – a jeszcze nawet nie dotarłam do centrum. Powoli przesuвам się w stronę metra. Nikt nie zważa na przeprosiny, które mruczę pod nosem. Dojście na stację zajmuje mi całą wieki.

Przepuszczam dwa pociągi, zanim w końcu decyduję się wsiąść, w ostatniej chwili

uskakując przed zamykającymi się drzwiami. Wybieram miejsce pośrodku wagonu. Stoję na rozstawionych nogach, obiema dłońmi trzymając się słupka. Udaje mi się uniknąć szarpnięcia, kiedy pociąg rusza, i zapisuję sobie pierwsze tego dnia zwycięstwo. Nie wszystko naraz, Grace. Stłumiony głos informuje, że dojechaliśmy do Charing Cross. Wsiadam razem z tłumem – ostre łokcie i kanty teczek – i idę za nim do bramek, a potem wspinam się po schodach i wychodzę na jasne światło dnia. Tłum niesie mnie dalej. Poddaję mu się, kurczowo ściskając torebkę. „W Londynie roi się od kieszonkowców” – ostrzegła babcia.

Pożyczone sandały kłapią o chodnik. Nie mam dokąd iść ani co robić. To wyzwajające i zarazem niepokojące. Przy ulicy stoi rząd sklepów. Woń kadzidła miesza się z zapachem hamburgerów i mydła. Po drugiej stronie jezdni dostrzegam punkt sprzedaży telefonów. Naciskam przycisk przy przejściu dla pieszych i czekam na zielonego ludzika.

– Poproszę nowego iPhone’a – mówię w sklepie.

– Oczywiście. Czy chciałaby pani zachować dotychczasowy numer?

– Zdecydowanie nie.

Poraża mnie liczba ludzi na ulicach. Kiedy tak krążę, nie mogę pozbyć się wrażenia, że ktoś mnie śledzi. Wydaje mi się, że kątem oka dostrzegam podejrzaną postać. Włoski na karku stają mi dęba. Zatrzymuję się i odwracam na pięcie, ale widzę jedynie morze pełnych irytacji twarzy, które mnie wymijają. Powtarzam sobie, że czas skończyć z tą paranoją.

Siedzę na stopniach na Trafalgar Square. Kręcą się przy mnie gołębie. Rzucam im parę frytek. W starym telefonie baterii wystarczy akurat na przejrzenie listy kontaktów i przerzucenie danych tych osób, które chcę zachować. Wyślę wszystkim wiadomość z nowym numerem. Coś ściska mnie za serce, kiedy dochodzę do Dana, ale zaraz sobie przypominam, po co kupiłam nowy telefon, i postanawiam nie wysłać mu esemesa. Nowy początek. Plastikowa obudowa starej komórki łatwo się otwiera. Wyjmuję kartę SIM, wkładam ją do papieru po frytkach i wrzucam do najbliższego kosza na śmieci. Nie mam pamięci do numerów i mimo że bez trudu mogłabym znaleźć kontakt do Dana, gdybym tylko chciała, to jednak czuję się, jakbym zrobiła duży krok naprzód.

Kto by pomyślał, że to dopiero kwiecień? Upał jest niesamowity, w dodatku robi się coraz cieplej. Nogi mi puchną, sandały cisną. Mijam mężczyznę, który siedzi skulony na stopniach, ściskając w ręku cały swój dobytek. Leży przed nim odwrócona czapka, a w niej garść drobnych i paperek po gumie do żucia.

– Przyda się panu? – Pokazuję stary telefon. – Najnowszy model Samsunga. Może pan go oddać w zastaw? Nie mam do niego ładowarki, ale...

Mężczyzna przyjmuje aparat i chowa go do plecaka.

Wchodzę do kawiarni, siadam przy okrągłym stoliku, pod parasolem w niebiesko-białe pasy, zamawiam smoothie z owoców leśnych i bawię się nowym telefonem. To koniec. Dan i Anna nie mogą się ze mną skontaktować. Nie znajdują mnie.

– Ale duszno, prawda? – Kelnerka przeciera czoło fartuszkiem. – Życzy pani sobie coś jeszcze?

– Nie, dziękuję – odpowiadam. – Mam wszystko, czego potrzebuję.

Chciałabym zobaczyć Big Bena, Tower i wszystkie te atrakcje, o których czytałam, ale jestem wykończona – mam spuchnięte stopy – i muszę jeszcze znaleźć rzeczy, które Esmée umieściła na liście zakupów. Wlokę się noga za nogą w kierunku metra, kiedy nagle moją uwagę zwraca migający różowy neon salonu tatuażu. Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Pora, bym rozwinęła skrzydła.

– Nie byłam umówiona, ale może mogłabym się wcisnąć między klientami? – Trzymam kciuki, choć sama nie wiem, jaką odpowiedź chciałabym usłyszeć.

– A co chce pani zrobić?

– Motyla. Niedużego. O tutaj. – Pokazuję miejsce nieco powyżej łopatki.

– O, to bez problemu. Proszę sobie przejrzeć katalog, może coś pani wpadnie w oko, a ja dopiję kawę.

– Dziękuję. – Oglądam strony pełne zamasztych wzorów, celtyckich plecionek i misternych napisów. W końcu znajduję obrazek podobny do tego, który wytatuowała sobie Charlie. – Ten poproszę. – Pokazuję palcem.

– Ładny i prosty. Zapraszam. Mam na imię Rick.

Pomieszczenie jest niewielkie i oddzielone od pozostałej części zakładu. Zsuwam z ramienia sukienkę Esmée i kładę się na brzuchu. Co kilka sekund omiata mnie fala ciepłego powietrza od chodzącego w kącie wiatraka.

– Gotowa? – pyta Rick.

– Tak. – I rzeczywiście jestem gotowa.

Spinam się, kiedy igła dotyka mojej skóry. Boli, ale do wytrzymania. Przystaję zaciskać pięści i biorę kilka głębokich oddechów przez nos.

Spójrz na mnie, Charlie. Ja latam.

Szcypie mnie ramię. Co rusz dotykam opatrunku, tak jakbym szukała potwierdzenia, że naprawdę jestem aż tak dzielna. Kiedy straciłam dziewictwo, wydawało mi się, że każdy, kto na mnie spojrzy, będzie wiedział, że coś się we mnie zmieniło. Że ja się zmieniłam. Tak samo czuję się teraz, stojąc na peronie i czekając na pociąg metra. Zażenowana, ale dumna – to jednak jakieś osiągnięcie. Rozglądam się, spodziewając się po trosze, że ktoś mnie zaczepi, zapyta o opatrunek, ale tu nie jest jak w domu, w mieście ludzie nie zaczynają rozmowy bez powodu. Uśmiecham się do pary stojącej obok mnie. Oboje mają tatuaże. Spójrzcie, mam ochotę powiedzieć, jestem jedną z was.

Wtedy ją zauważam. Obok przejścia z łukowatym sklepieniem. Mignięcie lśniących blond włosów, różowa skórzana kurtka. A n n a.

Wyciągam szyję. Staję na palcach. Ze strachu kręci mi się w głowie i się potykam. Przebieram palcami po udzie. Myśl, Grace, myśl. Obracam głowę na wszystkie strony, gorączkowo przeszukuję peron. Nabieram powietrza, licząc do pięciu, a potem powoli je wypuszczam. Powtarzam sobie, że nie powinnam się bać, nie tutaj. Otaczają mnie ludzie. W grupie bezpieczniej. Większe powody do obaw mam, kiedy jestem sama – wtedy w każdym cieniu kryje się zagrożenie.

Nie widzę jej. Przechodzę tłum, wyławiam blondynki. Żadna z nich nie ma na sobie różowej kurtki. Żadna nie jest Anną. Dochodzę do wniosku, że widocznie się pomyliłam, i serce mi się uspokaja. To nie była ona. Nie mogła być. Wtedy dostrzegam ją po raz drugi. Znow mignięcie różowego. Opanowuje mnie złość, która spycha strach na dalszy plan. Zabiła mi kota. Zniszczyła dom. Rozbiła związek. Czego jeszcze chce? Zakładam torbę na ramię tak, jak noszą je kurierzy, i zaczynam przeciskać się między pasażerami, ignorując ból, kiedy ktoś trafia mnie w świeżo zrobiony tatuaż. Myśliwy staje się zwierzyną.

Wyciągam ręce przed siebie jak egipska mumia i toruję sobie drogę przez ciżbę. Myślę o tym, co zrobię Annie, kiedy ją złapię – na razie muszę jednak zrezygnować z tych planów, bo okazuje się, że ją zgubiłam. Ludzi na peronie jest zbyt wiele, patrzą na mnie spode łba i przeklinają. Czuję, jak adrenalina opada. Zatrzymuję się i nagle uświadamiam sobie, że mówię

do siebie. Na pewno wyglądam jak wariatka i być może nią jestem. Chyba pora opuścić to miejsce.

Słyszę ryk i czuję wstrząs. Nagły podmuch powietrza. Odwracam się w stronę pociągu metra toczącego się z hukiem w moją stronę. Przysuwam się bliżej krawędzi. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do mieszkania. W ciemnym tunelu po mojej prawej pojawiają się światła składu. Czyjeś dłonie uderzają mnie w ramiona i popychają. Instynktownie odchylam się do tyłu, próbując odzyskać równowagę, ale jest już za późno. Lecę do przodu, młóćąc rękami. Widzę, że tory wybiegają mi na spotkanie, i mocno zaciskam powieki.

39.

Teraz

Esmée chodzi tam i z powrotem po mieszkaniu, a ja leżę na kanapie z kubkiem herbaty w rękę i staram się uspokoić.

– Ktoś cię specjalnie popchnął?

– Tak.

– Może po prostu ktoś na ciebie wpadł. Wiem, jakie tłumy potrafią być na peronie.

– Wydawało mi się, że zobaczyłam...

– Grace, wierzę ci, że pomyślałaś, iż to ona, ale realnie rzecz biorąc, w Londynie są tysiące blondynek. Albo nawet miliony. – Odwraca się w moją stronę. – Jesteś pewna?

Zamykam oczy. Widzę blask blond włosów. Różową skórę. Ale za nic nie potrafię dostrzec jej twarzy.

– To było naprawdę silne przeczucie.

– Grace. – Esmée kuca przy mnie tak, jak sama robiłam, kiedy rozmawiałam z małymi dziećmi. – Jeśli uważasz, że to była ona, musimy powiadomić policję.

– I co powiedzieć? Wydaje mi się, że ktoś próbował mnie zabić, ale nie widziałam kto. Nie mam żadnych świadków i nic mi się nie stało.

– A ten chłopak, który cię uratował?

Kto by pomyślał, że życie ocali mi obwieszony kolczykami nastolatek z gatunku tych, których omijam szerokim łukiem. Złapał mnie za torbę i postawił do pionu jak marionetkę. Nadal piecze mnie miejsce, w którym pasek od torby werznął się w skórę.

– Wsiadł do pociągu, zanim zdążyłam mu podziękować.

– Zadzwońmy do twojego dziadka. Przekonajmy się, co on o tym sądzi.

– Nie. Dziadek źle się czuje. To samo babcia. Zaczęliby się martwić.

Esmée przeciera oczy nasadą dłoni.

– Myślę, że woleliby wiedzieć. A twoja mama?

– Jest zajęta rodziną Olivera. Słuchaj, dajmy spokój. Nic mi nie jest. Pewnie było tak, jak mówisz, że ktoś mnie potracił w tłumie. Wiesz, że jestem teraz przewrażliwiona. – Odstawiam kubek. Herbata i tak wystygła. Przywołuję uśmiech na usta. – To był wypadek. Anna nie wie, że tu jestem. Nie może wiedzieć.

Ale kiedy poprawiam poduszkę pod głową, na plecach wciąż czuję dotyk tych dłoni. Pchnięcie. Upadek. Strach.

Wypinam w górę tyłek, opuszczam głowę i układam ciało w pozycji psa głową w dół. Miałam zdecydowanie zbyt długą przerwę od jogi i zdążyłam zapomnieć, jaka to dla mnie przyjemność. Wypuszczam powietrze i przechodzę do pozycji dziecka. Napięcie opuszcza moje ciało, oddech zwalnia i się wyrównuje. Z głośników podpiętych do iPod'a płyną odgłosy fal bijących o brzeg, a przez otwarte okno wpada ciepły wietrzyk. Nabieram powietrza, przygotowuję się do przejścia do pozycji kota.

Od strony zewnętrznych drzwi dolatuje głuchy odgłos. Przebiega mnie dreszcz rozdrażnienia. Ponownie skupiam się na oddechu i próbuję odzyskać zaburzony spokój wewnętrzny. Zamykam oczy. Słucham fal. Ktokolwiek się dobija, prędzej czy później sobie

pójdzie. Kilka chwil ciszy i znów to walenie. Podchodzę na czworakach do okna i wyciągam rękę, żeby je zamknąć. Kolejne stukanie. Zerkam w dół. I naraz zamieram, bo rozpoznaję tę uniesioną dłoń, która za moment ponownie zapuka do drzwi.

– Dan. – Nie mogę się powstrzymać przed wypowiedzeniem jego imienia. Podnosi głowę i spogląda na mnie. Jest blady i nieogolony. – Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Zadzwoiłem do Esmée.

– Powiedziała ci?

– Powiedziała, że się z tobą nie widziała, ale zrobiła to tak nieskładnie, że nie uwierzyłem.

– Czego chcesz?

– Mogę wejść?

– Nie. Nie mam ci nic do powiedzenia.

– W takim razie po prostu mnie wysłuchaj. Proszę, Grace.

– Nie.

– Kocham cię.

Chwytam te słowa, zgniatam je i odrzucam w nowej, zmiętej postaci.

– A ja cię nienawidzę.

– Wcale nie. Nie ruszę się stąd, dopóki nie powiem tego, co mam ci do powiedzenia.

– Jak sobie chcesz.

Próbuję zatrzaskać okno, ale się zacina, a ponieważ jest otwierane pionowo, to żeby je zamknąć, muszę poruszać nim w prawo i w lewo i powoli przesuwać w dół. Dan stoi na ulicy i prosi mnie o wysłuchanie, a mi płoną policzki. Kiedy w końcu udaje mi się zamknąć okno, szyba tłumi głos Dana. Zaciągam zasłony, siadam po turecku na podłodze, plecami do grzejnika. Coś we mnie pragnie wysłuchać Dana, ale nie podnoszę się, żeby wpuścić go do środka.

W mieszkaniu ciemnieje, choć jest dopiero czternasta. Nagle błyskawica rozświetla pokój, a chwilę potem przez miasto przetacza się grzmot. Zaczyna padać, deszcz zacina o szyby. Rozsuwam zasłony i wyglądam na pogrążoną w mroku ulicę. Dan przestępuje z nogi na nogę. Trzyma ręce w kieszeniach, włosy kleją mu się do głowy. Przejeżdża biała furgonetka, wpada w kałużę i ochlapuje Dana fontanną wody. Ten pluje i przeciera oczy.

– Proszę – bezgłośnie porusza ustami, kiedy zauważa mnie w oknie.

Waham się, ale w końcu kiwam głową, wkładam bluzę z kapturem, szybko przeczesuję włosy szczotką i otwieram drzwi.

Dan zdejmuję koszulkę i wyciera się ręcznikiem. Krzątam się w kuchni, biorę czajnik i podstawiam go pod kran, chociaż wiem, że jest w nim dość wody na herbatę. Po prostu nie chcę patrzeć na tors Dana. Nie chcę widzieć piegów, które całowałam; ramion, w które wtulałam zapłakaną twarz. Stawiam kubki na ławie i siadam na drugim końcu kanapy. Cisza między nami wypełnia przestrzeń i wysysa powietrze. Gryzę się w policzek. Nie odezwę się pierwsza. Spokojnie wysłucham tego, co ma do powiedzenia, a potem pożegnamy się i zostanę sam na sam z własną godnością.

Dan wypija cały kubek herbaty. Opiera się o zagłówek, splata dłonie i kładzie je z tyłu głowy, rozkładając łokcie na boki. Wygląda na rozluźnionego, ale chodzi mu prawe kolano i wiem, że tak naprawdę jest potężnie zakłopotany. Odchrząkuje.

– Moje zachowanie było niewybaczalne.

– Co konkretnie? To, że pozwoliłeś mi trwać w przekonaniu, że odnalazłam siostrę Charlie, a może to, że sprowadziłeś swoją kochankę do naszego domu?

– Nigdy nie była moją kochanką. To był tylko jeden raz. Błąd.
– Błąd, za który to ja zapłaciłam. Zabiłeś mi kota, zniszczyłeś nam dom. O mało nie straciłam życia. Tego chciałeś? Pozbyć się mnie?
Dan wygląda na dotkniętego.
– Nie. Chcę...
– Nie obchodzi mnie, czego chcesz. – Mam dość jego tłumaczeń.
– Nie winię cię...
– To bardzo szlachetnie z twojej strony.
– Grace, proszę...
– O co prosisz? Żeby ci wybaczyła, mimo że jesteś kłamliwym, niewiernym draniem?
Co tu robisz? – Krew coraz szybciej pulsuje mi w uszach. Pochyliam się. – Czego, kurwa, ode mnie chcesz? – W moich żyłach krąży lava.
– Porozmawiać – odpowiada cicho.
– Ale ja nie chcę cię słuchać! – Boję się tego, co mógłby powiedzieć, i zarazem rozpaczliwie pragnę to usłyszeć. Nie wiem, co robić.
– Czemu więc mnie wpuściłeś? Posłuchaj, wiem, że zachowałem się... – Głos mu się łamie. Nabiera powietrza i zaczyna jeszcze raz. – Wiem, że zachowałem się jak kutas.
Kiwam głową. Owszem, to prawda.
– Po śmierci Charlie odsunęłaś się ode mnie. Odgrodziłaś się. Nie wiedziałem, jak do ciebie dotrzeć.
– Bardzo cię przepraszam, że umarła moja najlepsza przyjaciółka. – Moje słowa są ciężkie od sarkazmu.
– Nie była tylko t w o j ą przyjaciółką, nie sądzisz? No, ale moje uczucia nie miały znaczenia. Chodziło wyłącznie o ciebie.
Nie wiem, co powiedzieć.
– Nie mówię, że to coś złego. Wiem, że śmierć Charlie obudziła w tobie wspomnienia o ojcu. Musiałaś sobie poradzić z wieloma rzeczami. Ale ja też musiałem.
Gniotę chusteczkę w dłoniach.
– Przypomnij sobie, Grace. Przypomnij sobie, jak to wyglądało. Całkowicie odcięłaś się od wszystkiego. Próbowałem wspierać cię emocjonalnie, dbałem o dom, gotowałem – a sama wiesz, jak marnie mi to wychodzi. Bałem się wziąć urlop, bo firma akurat przeprowadzała zwolnienia. Nie wiedziałem, czy wrócisz do pracy, więc obawiałem się, że będziemy musieli się utrzymywać wyłącznie z mojej pensji. Żyłem w stresie.
– Nic nie mówiłeś – bąkam.
– Nigdy nie zapytałaś, jak się czuję. Ani razu.
Podnoszę głowę i spoglądam w jego ciemne, nabiegłe krwią oczy. Te same oczy, które widziały, jak dorastam, patrzyły, jak rozpaczam, i chłonęły widok mojego nagiego ciała.
– Przepraszam – mówię i rzeczywiście jest mi przykro. – Ale... Anna...
– Anna nic dla mnie nie znaczyła. Sprzedawała piwo i słuchała, a ja czułem się dobrze, bo mogłem opowiedzieć jej o Charlie. Wydawała się zainteresowana...
– ...tobą.
– To nie było tak. Żałuję, że...
– ...ją przeleciałeś.
– Tak.
– Dan, dlaczego Charlie wyjechała tak nagle, kiedy mieliśmy po osiemnaście lat? Co chciała powiedzieć, zostawiając taką, a nie inną wiadomość? Co takiego miałam jej wybaczyć? Wiem, że już cię o to pytałam, ale proszę cię, nie ukrywaj niczego przede mną.

Dan w zakłopotaniu wykrzywia twarz.

– Nie wiem. Ale...

– Dlaczego sprowadziłeś Annę do naszego domu? – Strzelam pytaniami, nie daję mu czasu na zastanowienie.

Zazwyczaj kiedy kłamię, składa dłonie jak do modlitwy, ale tym razem trzyma je na kolanach.

– Nie chciałem. Bałem się, że roześle wszystkim ten filmik z nami. A ty zaczęłaś brać się w garść: wróciłaś do pracy, powoli znów się do siebie zbliżaliśmy. Nie chciałem tego zniszczyć.

– Przecież musi mieć jakąś rodzinę, znajomych. Nie wie, że istnieją hotele?

– Powiedziała, że nikogo nie ma. Przyszło mi do głowy, że mógłbym wynająć jej pokój w pensjonacie, ale wiedziałem, że zobaczyłabyś rachunek z karty kredytowej i nie umiałbym tego wytłumaczyć.

– No, ale podszywanie się pod siostrę Charlie? To było umyślne i okrutne.

– Spanikowałem. Zadzwoiła tego samego wieczoru, kiedy opublikowaliśmy ogłoszenie na Facebooku. Nie miałem pomysłu, jak inaczej wytłumaczyć jej obecność. Pozwoliłem jej trzymać rzeczy i spać w pokoju gościnnym, ale zabroniłem przyjaźnić się z tobą.

– Przyjaźnić się? O mało mnie nie zabiła.

– To, co zrobiła, jest niewybaczalne, ale...

– To, co o b o j e zrobiliście, jest niewybaczalne.

– Wiem. Nie chciałem cię skrzywdzić. Myślałem, że pomieszka u nas kilka dni, a potem, kiedy jej sprawy się ułożą, odejdzie. Nie dowiedziałybyś się o nas. Przyjechałem, żeby cię przeprosić i powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro. Naprawdę. – Zasłania twarz dłońmi.

Wiem, że płacze, ale nie mogę go pocieszyć, po prostu nie potrafię tego zrobić. Zabieram kubki. Wstawiam czajnik.

Kiedy Dan milknie, podchodzę do kanapy.

– Powinieneś już iść.

– Wróc ze mną.

– Nie mogę. Tam nie jest bezpiecznie. Tu zresztą też nie.

– Co to znaczy? – pyta, marszcząc czoło.

Opowiadam mu o incydencie na stacji metra.

– Mój Boże. Grace, wróć. Pozwól mi się sobą zaopiekować. Proszę.

Zakłada mi kosmyk włosów za ucho i przesuwając palcami po moich policzkach.

– Dan...

Chcę się wycofać, ale on dotyka dłonią mojej twarzy, czołem mojego czoła, i nie ruszam się, nie mogę się ruszyć. Mam nierówny oddech, pokój znika, zostaje Dan, tylko Dan, i nasze usta się łączą. Zsuwa dłoń z mojej twarzy, ale nadal się nie ruszam. Kiedy zaczyna pieścić moje sutki, wydaję jęk rozkoszy. Mam mokro między nogami i nie mogę usiedzieć na kanapie. Zrzucamy ubrania – lądują na podłodze – i dosiadam go. Nie trwa to długo. Dan stęka moje imię i przyciąga mnie do siebie. Po wszystkim nie mogę uwierzyć w to, co zaszło. Zbieram ubrania i przyciskam je do piersi jak tarczę.

– Zapomniałem, jaka jesteś piękna – mówi Dan. – Nie ubieraj się. Jest tu wanna?

Wykąpmy się razem.

Wanna... Anna... To imię rozbrzmiewa echem, odbija się od wszystkich powierzchni i atakuje moje zmysły. Nieważne, co się wydarzyło i dlaczego, Dan świadomie próbował zataić „przygodę z Anną” i tego nie mogę mu wybaczyć.

– Nie mogę. – Wkładam majtki i zapinam biustonosz. – To był błąd.

– Miałem inne odczucie. Dobrze nam razem.

– Musi być coś więcej. Dobry seks...

– ...świetny seks...

– ...nie wystarczy. – Zapinam bluzę. – Dan, między nami od dawna się nie układa. I nie chodzi tylko o Annę.

– Wiem. O Charlie też... – Dan wkłada koszulkę.

– O Charlie też nie. Oddaliśmy się od siebie. Ja lubię siedzieć w domu, ty wolisz pójść się zabawić. Ja lubię, kiedy panuje porządek, a tobie się wydaje, że mam nerwicę natręctw. Ja zawsze kleiłam się do ciebie, bałam się być sama, obawiałam się, że stracę cię tak, jak straciłam tatę.

– Nie straciłaś mnie...

– Ależ tak. I wiesz co? Świat się wcale nie skończył. Nadal żyję i mimo wszystko całkiem nieźle sobie radzę. Chyba tego potrzebowałam. Musiałam pobyć sama. Zastanowić się, czego naprawdę chcę. Powiedz szczerze: czy przed tą sprawą z Anną i przed Charlie byłeś szczęśliwy?

Słowa wylatują z moich ust i układają się przed Danem w wielki, domagający się odpowiedzi znak zapytania.

Długo zwleka z odpowiedzią.

– Nie, nie byłem.

Zapada cisza. Słychać jedynie nasze oddechy. I serca, które niegdyś były wspólnym rytmem. Obcy sobie ludzie stają się przyjaciółmi, potem zostają kochankami, później są dla siebie wszystkim – a na końcu stają się niczym. Koło się zamyka.

– Idź już. – Czuję, że jeśli teraz zasnę, prześpię cały tydzień.

Dan wstaje.

– Przepraszam, Grace. Za wszystko.

– Wiem. – Kiwam głową.

– Mylisz się co do jednego.

– Słucham?

– Szłaś przez życie z przekonaniem, że mnie potrzebujesz. Że nie poradziłabyś sobie, gdybym cię opuścił, tak jak tata, tak jak Charlie. Ale bez względu na to, jak silny czujesz niepokój albo jak bardzo się boisz, idziesz przed siebie. Nie zatrzymujesz się. To nie ty mnie potrzebowałaś, Grace, ale ja potrzebowałem ciebie. Bo jesteś silniejsza. Bo możesz wszystko. Musisz przestać się obwiniać. Ponieważ te wszystkie rzeczy nie wydarzyły się przez ciebie.

Jego słowa są jak policzek, który przywraca mi przytomność. Dan otwiera ramiona – dawniej pragnęłam, aby nigdy nie wypuszczał mnie z objęć – a ja pozwalałam się w nich zamknąć. Czuję jego zapach. To już koniec i oboje o tym wiemy. Wspomnienia naszych wspólnych chwil będą się zacierały, aż w końcu Dan stanie się dla mnie po prostu chłopakiem, którego kiedyś znałam.

– Zostaniemy przyjaciółmi? – pyta szeptem.

– Może.

Łzy zamazują widok Dana, który przygarbiony odchodzi ulicą, aż całkiem znika mi z oczu. Wibruje telefon. Budzi się we mnie nadzieja, że to on, że poprosi, czy może wrócić, ale przypominam sobie, że przecież nie zna mojego nowego numeru. To wiadomość od Lexie.

„Jestem w szpitalu. Nagły wypadek. Możesz przyjechać?”

40.

Teraz

Pociąg mknie z łoskotem przez ciemnogrnatowy krajobraz. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Chcę wyrzucić za okno, ale widzę jedynie własne blade, strapione oblicze odbite w szybie. Splatam dłonie na kolanach i próbuję się rozluźnić.

Kiedy do niej zadzwoniłam, Lexie była niespokojna. Powiedziała, że spadła ze schodów, ale już wszystko w porządku, po prostu nie może się doczekać, kiedy wypiszą ją ze szpitala. Sąsiedzi słyszeli, jak krzyknęła – jej lokatora akurat nie było – i zadzwonili po karetkę. Powiedziała, że ma już serdecznie dość „cholernych wydziwiających pielęgniarek”, „cholernej drapiącej koszuli szpitalnej” i tego, że nie ma „ni cholery nic do roboty”. Dodała, że musi mi przekazać coś ważnego, ale koniecznie w cztery oczy. Chodzi o Charlie. Próbowałam ją przekonać, żeby zdradziła tę tajemnicę przez telefon, bo zanim dotrę do szpitala, będzie już dawno po porze odwiedzin, ale nie chciała się zgodzić. Stwierdziła, że wobec tego spotkamy się jutro o dziesiątej.

Dzwonię z pociągu do dziadka, żeby go uprzedzić o wizycie, ale nie odbiera. Kilka minut później wysła mi esemes:

„Nie możemy rozmawiać, bo oboje straciliśmy głos. Leżymy już w łóżku”.

Odpisuję:

„Potrzebujecie czegoś?”

„Nie, wypiliśmy grog z whisky i zaraz idziemy spać”.

„Branoc”.

Jednak nie uprzedzę ich o przyjeździe. Znając babcię, to nieważne, jak źle się czuje, wstanie, zmieni pościel i pewnie jeszcze upiecze ciasto. Niech odpoczywają. Jutro do nich zajrzę i zrobię im miłą niespodziankę. Dom podobno już prawie nadaje się do zamieszkania. Dół jest w każdym razie skończony. Dziadek osobiście nadzoruje remont i pogania ekipę, żeby szybciej sprzątała i malowała. Sam siebie nazwał kierownikiem remontu. Codziennie rano babcia szykuje mu plastikowy pojemnik pełen babeczek i naleśników – dla robotników, żeby ich udobruchać.

Opieram głowę o zagłówek, zamykam oczy i czuję, jak ruch pociągu wprawia moje ciało w drzenie. Nie dziwię się, że dzieci w pojazdach zasypiają. Kilka sekund później – a przynajmniej mam wrażenie, jakby nie upłynęło więcej czasu – gwałtownie prostuję opadającą głowę, jakby popieścił mnie lekki prąd. Pociąg stoi. Wycieram usta – mam nadzieję, że się nie zaśliniłam – i się przeciągam. Nagle dociera do mnie, co jest napisane na tabliczce za oknem.

– Cholera! – Łapię torbę i wybiegam na peron.

Jestem w domu. Zapinam kurtkę, siadam na ławce i dzwonię po taksówkę.

W mieszkaniu Esmée zawsze, nawet w środku nocy, słychać jakieś odgłosy: warkot suszarek na parterze, szum samochodów, wycie syren, krzyki wracających do domu wstawionych facetów, brzęk szkła. Natomiast we wsi panują cisza i spokój, tak jakby apokalipsa zombie wymiotła wszystkich mieszkańców. Większość domów tonie w ciemności.

Nie jestem zmęczona, choć już późno. Proszę taksówkarza, żeby zawiózł mnie do Lexie. Jeżeli nadal chowa klucz w tym samym miejscu, przynajmniej wstąpię, wezmę szlafrok, przybory toaletowe i parę tych kolorowych gazetek, nad którymi wiecznie ślęczy, i zaniosę jej do szpitala. Włączam latarkę w telefonie i kieruję snop światła na nudnego, odrapanego, wiecznie skrzywionego Briana, krasnala wędkarza. Obrosło go zielsko i wcale nie tak łatwo go przesunąć.

Ale przynajmniej wciąż leży pod nim srebrny klucz. Obracam go przez chwilę w dłoni, a potem otwieram drzwi.

Włączam światło – w słabym świetle żarówki tańczą drobinki kurzu – i od razu mozołę się na górę. Drzwi do pokoju Charlie są uchylone i nie mogę oprzeć się pokusie, by zajrzeć do środka, z pełną świadomością, że teraz tę przestrzeń zajmuje ktoś inny. Pokój Lexie właściwie się nie zmienił: nadal wszędzie, na każdej możliwej powierzchni, leżą ubrania, dokładnie tak samo, jak kiedy bawiliśmy się tu z Charlie w przebieranki. Pamiętam, jak moja przyjaciółka włożyła minispódniczkę i koszulkę ze stanikiem z lycry, po czym wypchała miseczki papierem toaletowym. „Spójrz, moja droga, jestem fantastyczna”. Czekam, aż zapieką mnie lzy i coś ściśnie za gardło, ale okazuje się, że tylko się uśmiecham do wspomnień.

Pod poduszką Lexie znajduję kusą czarną, jedwabną halkę z koronką. Zaglądam do komody, szukając czegoś odpowiedniejszego do szpitala, czegoś, co przynajmniej zasłoni jej tyłek. W szufladach leżą starannie poskładane, prawie nienoszone ciuchy. Wybieram duży biały T-shirt z szerokim czarnym napisem RELAX. Na podłodze leży jutowa torba. Wkładam do niej koszulkę, dorzucam czystą bieliznę i przybory toaletowe, a także ostatni numer „Cosmopolitana” oraz, ponieważ Lexie to Lexie, czerwoną szminkę i szczotkę do włosów. Już mam wychodzić, już zamykam za sobą drzwi, kiedy przypominam sobie o kapciach. Nie znajduję ich przy łóżku i zastanawiam się, czy w ogóle kiedykolwiek widziałam, żeby Lexie chodziła w kapciach. Chyba nie, ale pamiętam, że na któreś święta babcia kupiła jej mokasyny. Założę się, że ani razu nie miała ich na nogach.

Wracam na górę, otwieram szafę i muszę cofnąć się o krok, bo przygniotłaby mnie lawina ubrań, które spadają z górnej półki. Najpierw składam je w zgrabne stosiki, a potem klękam i szukam kapci. Z tyłu szafy znajduje się kilka pudełek, wydaję je więc po kolei i otwieram. Niektóre buty wyglądają na całkiem nowe, na przykład czerwone lśniące szpilki albo złote rzymianki. Zdejmuję wieczko z ostatniego pudełka. Ze środka wysypują się jakieś kartki. Zbieram je z podłogi i odkładam na miejsce. Wpada mi w oko złożone świadectwo urodzenia. CHARLOTTE ELIZABETH FISHER, URODZONA 1 WRZEŚNIA 1990 ROKU. MATKA: ALEXANDRA CLAIRE FISHER. OJCIEC: PAUL MICHAEL LAWSON. Składam je delikatnie, tak by nie zrobić nowych zagięć, i chcę odłożyć, lecz wtedy zauważam drugi identyczny dokument. W pierwszym odruchu zakładam, że to po prostu metryka Lexie, ale czytam widoczne na kartce nazwisko i nie mogę uwierzyć w to, co widzę.

ANNABELLE LAURA FISHER, URODZONA 1 WRZEŚNIA 1990 ROKU. MATKA: ALEXANDRA CLAIRE FISHER. OJCIEC: PAUL MICHAEL LAWSON.

Ta sama data urodzenia co u Charlie. Annabelle. Belle. Ona istnieje. Wymyślona przyjaciółka Charlie. Belle.

Annabelle. Belle. Siostra Charlie.

Anna.

Przechylałam pudełko i na dywan wysypują się listy. Wybieram ten, który wylądował najbliżej mnie, i wydaję kartkę z koperty.

Mamo,

dla czego nie odpowiadasz na moje listy? Co takiego zrobiłam? Dla czego mnie oddałaś?

Belle

Czytam kolejny:

Droga jędzio,

wiem, że byłaś w domu, kiedy przyjechałam się z tobą zobaczyć – dlaczego nie otworzyłaś mi drzwi? Masz pojęcie, ile kosztuje pieprzony bilet na pociąg?

Nienawidzę cię.

Belle

Czuję się, jakbym wsiadła do kolejki górskiej w wesołym miasteczku. Kręci mi się w głowie, nie mogę skupić spojrzenia. Siadam na piętach. Anna. Annabelle. Belle. Dzwonię do Lexie na komórkę. To nie może czekać do rana. Włącza się poczta głosowa. Wybieram numer szpitala. Mówię, że to wyjątkowa sytuacja, że muszę się zobaczyć z Lexie albo przynajmniej z nią porozmawiać, ale kiedy pytają mnie, kim jestem, zaczynam się jąkać i płatać, po czym się rozłączam zirytowana. Powinnam była przygotować jakąś wiarygodną historię. Nigdy nie potrafiłam kłamać. Nie to co Lexie. Albo Anna.

W kuchni śmierdzi zgnilizną, ale nie dbam o to. Na stole pełno niezapłaconych rachunków, lakierów do paznokci i pustych paczek po papierosach – zrzucam to wszystko na ziemię. Popielniczka spada na podłogę i roztrzaskuje się na kawałki. Odłamki szkła rozsypują się jak confetti, ale ich nie zmiotam.

W lodówce pustki, za to w zamrażarce znajduję wódkę. Biorę szklanekę, płuczę ją, nalewam sobie trochę alkoholu i wypijam – lodowaty alkohol uderza mnie tak, że wybucham kaszlem. Dopiero po drugiej szklaneczce siadam przy stole i układam listy w kolejności chronologicznej według daty na stemplu pocztowym. Czytam najwcześniejszy:

Droga mamo,

mam nadzieję, że rozczytasz moje pismo – tak strasznie się cieszę, że aż mi się ręce trzęsą!!!

Wreszcie skończyłam osiemnaście lat!!!! Na pewno czekałaś na ten dzień z taką samą niecierpliwością, co ja. Wiem, że nie wolno ci jako pierwszej nawiązać kontaktu, i jestem pewna, że bardzo wolno minął ci ten czas. Dianie od adopcji nie chcieli mi podać twoich danych, więc odłożyłam wszystkie pieniądze, które zarobiłam na opiece nad dziećmi, i wynajęłam prywatnego detektywa – zupełnie jak w filmie! Bardzo szybko znalazł twój adres. Kosztowało to majątek, ale warto było, bo w końcu będziemy razem, prawda?

Mam niewiele wspomnień o tobie, ale pamiętam, jak siedziałam u ciebie na kolanach, śpiewałaś mi, a twoje różowe włosy laskotały mnie w szyję.

Nie wiem, czy moja siostra trafiła do adopcji, czy tylko do rodziny zastępczej, tak jak ja, ale pomyślałam, że jeśli nie wiesz, co się z nią dzieje, mogłabym poprosić tego detektywa, żeby ją też odnalazł. Wtedy byłybyśmy wszystkie razem.

Nie mogę się doczekać, kiedy staniemy się rodziną. Niczego więcej nie pragnę. Marzyłam o tym od ZAWSZE!!!!

Odpisz i powiedz, kiedy mogę przyjechać. Jestem już spakowana!!!

Gorące buziaki,

Twoja córka, Belle.

Listy są różne. Z jednych przebija miłość, niektóre są błagalne w tonie, a inne pełne nienawiści. Wynika z nich jasno, że Lexie na żaden nie odpowiedziała.

Ostatni przyprawia mnie o ciarki.

Wydaje ci się, że możesz mnie ignorować? Zastanów się dobrze.

41.

Wtedy

Zesłałam na dół w szlafroku i podniosłam listy z wycieraczki. Była wśród nich pocztówka z fontanną di Trevi. A na odwrocie: „Znowu w Rzymie. Nie mogę usiedzieć! Gorące pozdrowienia od Charlie”.

W kuchni zamontowałam tablicę korkową i przeznaczyłam ją w całości na kartki, które przychodziły regularnie przez te sześć lat, jakie minęły od zniknięcia mojej przyjaciółki. Ilekroć zjawiała się nowa pocztówka, czułam pomieszanie ulgi, że Charlie żyje, ze wściekłością, iż nie wraca. Kartki wisiały jedna na drugiej, a pinezki ledwo dawały radę utrzymać ich ciężar. Często znajdowałam je porzucane po podłodze.

Nie widziałyśmy się, odkąd skończyłyśmy osiemnaście lat. Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego wyjechała i co takiego zrobiła, że miałam jej wybaczyć, ale śledziłam jej drogę, gdy jeździła od kraju do kraju, wiecznie w ruchu i coraz mniej dla mnie realna. Wreszcie znów mogłam się cieszyć, widząc listonosza. Listy z pogroźkami przestały przychodzić po wyjeździe Charlie. Staralam się nie poświęcać myślom o nich zbyt wiele uwagi. Ani nie wyciągać pochopnych wniosków. Przyglądaj się faktom, powiedziałyby moja dawna terapeutka Paula. Rodzice Siobhan wyprowadzili się krótko po jej pogrzebie. Zabrali Abby w jakieś odległe miejsce, w którym, jak sądzili, będzie bezpieczna. Ale czy takie miejsce w ogóle istnieje?

Wyspałam płatki owsiane do rondelka i zalałam mlekiem. Śniadanie odpowiednie do wyzwania tego dnia. Kiedy owsianka zaczęła bulgotać w garnku, rozsunałam zasłony w salonie. Zebrałam pozostawione przez Dana puste puszki po piwie i pudełko po pizzy. Potem dodałam borówki do owsianki, nalałam sobie soku pomarańczowego i wysłałam ze śniadaniem na zewnątrz. Sierpień był ponury, za to wrzesień przyniósł babie lato. Niebo miało kolor akwamaryny, a chmury były białe i puszyste. Wiał lekki wiatr, za który później podziękuję.

– Wychodzę.

Dan wystawił głowę przez drzwi balkonowe.

– Myślałam, że dzisiaj nie idziesz.

– Przecież zawsze gram w sobotę.

– Sądziłam, że przyjdiesz mi pokibicować.

– Zasponsorowałam cię, to mało? A ty jak często przychodzisz na nasze mecze?

– Może gdybym była mniej zajęta sprzątaniami po tobie...

– Nie zaczynaj znowu... – westchnął.

Wrzuciłam łyżkę do miseczki, wstałam i wyminęłam Dana.

– W takim razie do zobaczenia później – rzuciłam.

Rozpłakałam się, kiedy wyszedł.

Na ciężkich nogach powlokłam się na górę. Wyczerpywały mnie te nieustanne sprzeczki. Czy byłoby inaczej, gdyby Charlie nie wyjechała? A może odrzuciłyby ją nasze wieczne kłótnie? Zresztą, nawet gdyby została, przecież niekoniecznie nadal by z nami mieszkała. Mogła kogoś poznać i wyjść za mąż. Trudno było mi sobie wyobrazić zameżną Charlie, w ogóle nie umiałam myśleć o niej inaczej, jak o tej osiemnastolatce, która uwielbiała stawać na stołku w pubie i śpiewać razem z Madonną, wymachując butelką cydru; Mike wrzeszczał na nią, żeby zjeżdżała z hokera z tymi upapranymi buciarami. Bolało mnie, kiedy uświadamiałam sobie, że Charlie prowadzi zupełnie nowe życie, którego nie jestem częścią. Zapewne ma też nową najlepszą

przyjaciółkę.

Dopiero za trzecim razem udało mi się otworzyć okno w sypialni. Wystawiłam głowę na zewnątrz, chciałam, żeby ciepły wiatr potargał mi włosy. Dawno nie było tak pogodnego września. Przypomniałam sobie poprzedni, sprzed wielu lat. Zaczęła się szkoła, ale zamiast pójść na lekcje, usiadłyśmy z Charlie, Esmée i Siobhan w lesie nad rzeką – moczyłyśmy nogi i spławiałyśmy pudełka z drugim śniadaniem. Czułam się wtedy niesamowicie odważna. Babcia dowiedziała się, co zrobiłyśmy, i uziemiła mnie na dwa tygodnie, ale ja i tak uznałam, że z pomocą innych mogę wszystko.

A teraz co? Siobhan nie żyje, Charlie jest Bóg wie gdzie, Esmée mieszka w Londynie. Zostałam sama i przekonałam się, że jednak nie jestem taka odważna. Często myślałam, że spakuję plecak i pojedę do tych miejsc, z których Charlie przysyłała mi pocztówki. Że spróbuję ją odnaleźć. Ale wiedziałam, że tego nie zrobię. Zanadto się bałam, że jej nie odszukam. Albo że odszukam. Poza tym miałam Dana i choć dogryzałam mu, że znów nie zakręcił tubki z pastą do zębów, albo narzekałam, że jak zwykle nie opuścił deski w toalecie, kochałam go i miałam nadzieję, że z wzajemnością.

Weszłam pod prysznic, umyłam wysuszoną po lecie skórę lawendowym żelem i ogoliłam nogi. Rzadko ostatnio zwracałam sobie głowę tą czynnością, ale akurat tego dnia nie miałam wyjścia. Koszulka pachniała środkiem do zmiękczenia tkanin. Założyłam frotkę na nadgarstek – później się przyda – i ruszyłam na wiejskie błonia.

Dziadkowie i mama siedzieli już za kiwającym się stołem na kozłach i rozdawali numery biegaczom, którzy ustawili się w kolejce. Ucieszyłam się, że mamie udało się przyjechać. Była tak szczęśliwa z Oliverem, że miałam czasem wrażenie, jakby zapomniała o tacie. Kiedy opowiedziałam jej o swoim planie, przejęła się i zadeklarowała, że za nic nie przepuści takiej imprezy.

– Dzień dobry. Sporo ludzi. – Zrobiłam daszek z dłoni i się rozejrzałam.

– Jak na razie zarejestrowało się pięćdziesiąt osób. Kto by pomyślał, że nasze pierwsze wiejskie zawody wzbudzą takie zainteresowanie. Miałaś fantastyczny pomysł, Grace.

– Dzięki. Myślę, że byłoby większe, gdybyśmy ustawili namiot z piwem. Cieszę się, że później zaśpiewa Lexie.

Z czasem wrogość Lexie w stosunku do mnie zelżała i poruszałyśmy się teraz po przyjacielskim, choć niepewnym gruncie. Nie chciałam stracić kolejnej osoby.

– Zobaczysz, że będzie super. A gdzie Dan?

– Gra w piłkę. Później przyjdzie. – Oby, pomyślałam, krzyżując palce.

Oparłam się dłońmi o szorstki pień dębu i zaczęłam rozgrzewać. Ktoś poklepał mnie po ramieniu. Wyprostowałam się.

– Grace? – Cichy głos. Patrzyłam przed siebie i czułam przyływ adrenaliny. N i e m o ż l i w e. Bałam się spojrzeć. – Grace?

Odwrociłam się powoli.

Kąciki ust Charlie powędrowały w górę, ale jej oczy nie rozbłysły, skóra wokół nich się nie zmarszczyła. Charlie miała na sobie kuse szorty i koszulkę na ramiączkach, spod której wystawały chude obojczyki.

Postawiła na ziemi brudny różowy plecak.

– Tadam! – rozłożyła ramiona i rozcapierzyła palce. Jej uśmiech przygasł. – No powiedz coś.

Otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam.

– To może chociaż się przytulisz? – Zrobiła krok w moją stronę.
Przykleiła się do mnie, tak że poczułam jej żebra i walące serce. Zadrżała i się rozplakała. Jej łzy kapały mi na koszulkę. Odsunęłam ją od siebie trochę mocniej, niż to było konieczne.

– Dlaczego wyjechałaś? – Zacisnęłam pięści. Próbowałam ściszyć głos. – Nawet raz, do cholery, nie zadzwoniłaś...

– To skomplikowane.

– Słucham. – Założyłam ręce na piersi.

– Wszystko ci wytłumaczę. Obiecuję. Tęskniłam za tobą.

– Zniknęłaś bez słowa. Uciekłaś, kiedy umarła Siobhan.

Drżały mi dłonie. Nie byłam pewna, czy mam ochotę ją spoliczkować, czy wyściskać.

– Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– I przez sześć lat nie przyszło ci nic do głowy?

– Im dłużej zwlekałam, tym było trudniej.

– Pierwszy bieg, na dwieście metrów, rozpocznie się za pięć minut. – Z głośników popłynął głos dziadka.

– Muszę już iść. Posłuchaj – powiedziałam łagodniej – zostań i obejrzyj zawody. Potem porozmawiamy. Twoja mama będzie śpiewała. Czy ona wie...

– Nie. – Charlie spochmurniała. – Niezła impreza – skomentowała, wskazując na tłum widzów.

– Zorganizowałam ją razem z babcią. Nie spodziewaliśmy się, że przyjdzie tyle ludzi.

– Z jakiej to okazji?

– Zbieramy na cele dobroczynne. Na leczenie osób z urazami głowy.

– Takich jak twój tata?

Pokiwałam głową.

– Niedługo mija piętnasta rocznica. Wiesz...

– Pobiegnę z tobą.

– Na pewno? Wyglądasz na wykończoną.

– Nie, chcę to zrobić. Chyba że boisz się konkurencji? – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

Nie mogłam się powstrzymać i odpowiedziałam jej tym samym. Cała Charlie. Wróciła – co do tego nie było wątpliwości. Postanowiłam, że później wszystko sobie wyjaśnimy.

– No to dawaj – odparłam. – Niech ci będzie, nawet cię zasponsoruję.

Poszliśmy na linię startu i przepchałyśmy się na sam przód. Uklękłam, żeby zawiązać sznurówki w podwójny węzeł.

– Proponuję, żebyś zrobiła to samo. – Pokazałam na buty. Pokręciła głową i zaczęła truchtać w miejscu. – Wróciłaś na dobre? – spytałam.

– Mam nadzieję. W ogóle nie chciałam wyjeżdżać, ale czułam, że muszę. – Zagryzła wargę. – Zrobiłam coś strasznego, Grace. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Na odgłos pistoletu wystrzeliłam do przodu i popędziłam, młócąc rękami i nogami, jakbym próbowała doścignąć słowa Charlie. Kucyk uderzał mnie o kark. Niebo było bezchmurne, a powietrze parne. Słyszałam doping tłumu, ale nie patrzyłam w jego stronę. Nie mogłam oderwać oczu od Charlie, bo bałam się, że znów zniknie, zanim zdąży wytłumaczyć, co miała na myśli. Co takiego zrobiła? Wyprzedzała mnie. Zignorowałam klucie w boku i przyspieszyłam.

– Szybciej, Grace! – doleciał do mnie zagrzewający głos babci.

Meta była blisko. Ostatnim zrywem wydłużyłam krok i właściwie zrównałam się z Charlie. Jeszcze odrobina wysiłku i ją prześcignę. Obie wyciągnęłyśmy przed siebie ręce. Kątem oka zobaczyłam, że Charlie się przewraca. „Powinna była porządnie zawiązać

sznurówki” – pomyślałam i zerwałam żółtą wstęgę. Gdy tylko przecięłam linię mety, spróbowałam obejrzeć się za siebie i wyłożyłam się jak długa. Poczułam przeszywający ból w lewej kostce. Jęknęłam i usiadłam na trawie, rozmasowując spuchniętą skórę. Dziadek ruszył biegiem w moją stronę – i wyminął mnie. Odwróciłam głowę. Charlie leżała na ziemi i się nie ruszała.

– Wezwijcie karetkę! – krzyknął ktoś.

Dźwignęłam się na nogi i dokuśtykałam do Charlie. Możliwe zresztą, że to ja wrzasnęłam.

Leżała nieruchomo.

Upiornie nieruchomo.

Podbiegła Lexie i przepchnęła się obok mnie. Uklękła przy córce.

– Charlie? Kurwa, co się dzieje?

„Wstań, wstań, wstań” – powtarzałam w myślach.

Ktoś objął mnie ramieniem. To Dan – a jednak przyszedł. Odtrąciłam jego rękę i uklękłam przy przyjaciółce. Ukończyłam kurs pierwszej pomocy, na który poszłam, kiedy zaczęłam pracę w przedszkolu, ale na chwilę wszystko zapomniałam. Ocknęłam się, dopiero kiedy sprawdziłam puls Charlie. Zaczęłam robić jej sztuczne oddychanie i uciskać klatkę piersiową. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

– Dajcie karetkę! Gdzie ta pieprzona karetka? – wrzeszczała Lexie, a ja liczyłam, wtłaczając powietrze w suche usta Charlie. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

Nie reagowała. Jej skóra zrobiła się woskowata i mimo upału wyraźnie traciła temperaturę. Liczyłam, a Lexie szlochała. Liczyłam, a Charlie nadal się nie ruszała. Pielęgniarze podbiegli i mnie zastąpili. A gdy w końcu zrezygnowali, kręcąc głowami, ja nadal liczyłam.

42.

Teraz

Jest już druga w nocy, kiedy w końcu zamykam drzwi do domu Lexie i chowam klucz pod krasnałem. Idę szybkim krokiem przez wioskę. Straszy mnie kot, który wyskakuje spomiędzy zaparkowanych samochodów. Wszędzie widzę Annę: za kołyszącymi się i szumiącymi na wietrze gałęziami; skuloną w krzakach tonących w ciemności; przyczajoną w mrocznych przejściach. Oddalam się od centrum, tu jest znacznie mniej latarni, a kiedy docieram na skraj miejscowości, nie ma ich już wcale. Zatrzymuję się przy wlocie mojej ulicy. Patrzę na nią i wydaje mi się rozdziawioną czarną gębą. Na niebie wiszą chmury. Nie widzę swojego domu. Słyszę uderzenie, kawałek dalej, brzmi jak wystrzał z pistoletu – i nogi się przede mną uginają. Już mam zawrócić i uciec, kiedy uświadamiam sobie, że to moja furтка. Cholerny Dan. Przez chwilę zaciskam i rozluźniam pięści, po czym ruszam biegiem, potykając się o wyboje. Torba z listami obija mi się o udo. Dopadam drzwi, wkładam klucz do zamka – trafiam dopiero za trzecim razem – i już jestem w środku. Zatrząskuję za sobą drzwi i opieram się o nie plecami. Czekam, aż minie pieczenie w piersi.

Wciążam do płuc zaduch świeżo malowanego wnętrza. Wchodzę ciężkim krokiem na górę i otwieram okno w sypialni. Nie pachnie tu jak w domu. Babcia zdjęła zasłony, żeby je uprać. Moja tapeta od Laury Ashley jest okopcona i odchodzi od ściany – trudno rozpoznać deseń w żółte i kremowe kwiaty – ale prawie nie zwracam uwagi na otoczenie, tylko siadam po turecku na gołym materacu, narzucam na ramiona kołdrę bez poszewki i przeglądam listy, próbując zrozumieć przebieg zdarzeń. Anna zaczęła pisać do Lexie kilka tygodni po tym, jak skończyła osiemnaście lat. O ile pamiętam, mniej więcej wtedy Lexie się zmieniła. Wcześniej piła jedynie do towarzystwa – później w zasadzie przestała trzeźwieć, stała się opryskliwa i często wybuchwała płaczem. Również z grubsza w tym samym czasie zaczęłam dostawać listy z pogrozkami. Czy ich autorką była Anna?

Anna pisała do Lexie przez pół roku, próbowała się z nią spotkać, ale potem korespondencja ustała. Przestały też przychodzić listy z pogrozkami. Dlaczego? Czy Anna spotkała się z Lexie? Czy spotkała się z Charlie? Czy to dlatego Charlie zniknęła? „Zrobiłam coś strasznego, Grace. Mam nadzieję, że mi wybaczysz”. Litera się rozmywają. Ziewam po raz drugi w ciągu minuty. Wyjmuję pidżamę, która pachnie babcinym proszkiem do prania, kładę się do łóżka i gaszę lampkę.

Kiedy byłam mała i nie mogłam zasnąć, tata przysiadł na brzeжку mojego wąskiego łóżeczka i głaskał mnie po głowie, mówiąc: „Pomyśl o dziesięciu przyjemnych rzeczach, które dzisiaj ci się przytrafiły”, a wtedy ja wymieniałam je, jedna po drugiej, ani razu nie zdradzając, że najprzyjemniejsze było to poczucie, że jesteśmy – bezpieczni w mojej słonecznikowej sypialni – jedynymi ludźmi na świecie, którzy jeszcze nie śpią.

Dziś daleko mi do poczucia bezpieczeństwa. Nie mogę usnąć mimo zmęczenia, które przenika do moich kości, i alkoholu, którego niemało wypiałam. Wychylam się z łóżka, sięgam do torby, znajduję fiolkę z tabletkami nasennymi i wyjmuję jedną. Potem myślę o tym, jaki miałam dzień, i decyduję się na kolejną. Czytam ostrzeżenie na opakowaniu i waham się, bo przecież wypiałam sporo wódki – więcej niż zwykle – ale w końcu wkładam oba proszki do ust, połykam je i popijam ciepłymi ostatnimi kroplami wody, którą kupiłam na stacji. Opatulam się kołdrą, oddycham powoli i czekam, aż zmorzy mnie sen.

Kiedy miałyśmy z Charlie czternaście lat, moi dziadkowie zabrali nas na wyspę Wight. Stałam na pokładzie promu z rozłożonymi ramionami i zlizywałam słone kropelki wody z ust pociągniętych wiśniową pomadką ochronną, a wiatr szczypał mnie w policzki i rozwiewał włosy. Pamiętam, jaka byłam wtedy zdezorientowana: pod stopami miałam twardą powierzchnię, wydawało mi się, że ledwo się poruszamy, mimo to traciłam równowagę. Ślina napłynęła mi do ust, a kiedy zwracałam zawartość żołądka do spienionego, niebieskoszarego morza, Charlie trzymała mi włosy, żeby nie wleciały do ust.

Przez chwilę mam wrażenie, jakbym znów znalazła się na tym promie. Mam identyczne poczucie zarazem ruchu i bezruchu. Robi mi się niedobrze. Delikatne palce głaszczą mnie po włosach, gorący oddech omiata mi ucho. Czuję zapach dezodorantu Impulse.

– Grace – brzmi kojący głos.

Charlie?

Wiem, że to tylko sen. Ciemność kłębi się i wiruje i raz jeszcze wciąga mnie w swój odmęt.

Jest już jasno. Palcami wycieram sen z oczu. Czuję duszący zapach farby i lakieru, mam w ustach posmak emulsji. Piecze mnie w gardle, a w skroniach pulsuje ból. W pokoju unosi się jeszcze inna woń, wciągam ją do nosa, ale mówię sobie, że to na pewno pomyłka. A jednak – znów to czuję. Bekon.

Podnoszę głowę z poduszki, siadam na łóżku, a potem podciągam kolana i chcę postawić nogi na podłodze. Czuję coś zimnego na prawej kostce, ta rzecz spowalnia moje ruchy. Podnoszę kódrę i nagle zasycha mi w gardle, widzę bowiem metalowe kajdanki z łańcuchem, który biegnie ku nogom łóżka. Na pewno jeszcze się nie obudziłam, myślę i wbijam paznokcie w miękką skórę brzucha. Boli. Więc jednak nie śpię. Pochylam się do przodu, klękam i chwytam łańcuch obiema rękami. Jest cięższy, niż sądziłam. Dzwoni, gdy za niego ciągnę, ale się nie poddaje. Jest przymocowany do ozdobnego elementu w podstawie ramy łóżka. Obok wisi drugi, identyczny, z pustymi kajdankami na końcu. Na lewą nogę? Co się dzieje? Sięgam po telefon, ale okazuje się, że zniknął. Tak jak lampa. Wychylam się z łóżka i zaczyna mi się kręcić w głowie. Torby też nie ma.

Słychać kroki na schodach i po chwili otwierają się drzwi do sypialni.

– Dzień dobry, Grace. – Do pokoju wchodzi Anna, kołyszając biodrami.

Niesie tacę ze śniadaniem. Tyle że nie wygląda już jak Anna. Włosy ma krótsze, obcięte na boba i przefarbowane na biały blond. Włożyła pomarańczową, nierównomiernie farbowaną koszulkę Charlie i – pomimo chłodu – kuse szorty z białego dżinsu, również należące do mojej przyjaciółki. Wygląda identycznie jak Charlie na zdjęciu na dole.

Cofam się przed nią, przywieram plecami do zagłówka.

– Sok pomarańczowy, świeżo wyciśnięty, tak jak lubisz. Kanapka z brązowym sosem.

Próbuję krzyknąć, ale strach ścisza mnie za gardło, tak że udaje mi się tylko zaskomleć jak udreżonemu szczeniakowi.

– Dobrze się czujesz? Późno poszłaś spać. Zdecydowanie nie powinnaś tego łykać. –

Potrząsa opakowaniem proszków nasennych. – To nie jest naturalny sen.

Anna stawia tacę na podłodze i kiedy się pochyla, widzę, że na jej szyi lśni mój łańcuszek z dwiema połówkami serca, który straciłam w spa.

– Ty jebana suko! – Wściekłość bierze górę nad strachem.

Rzucam się na nią, ale robię to niezdarnie, bo mam spowolnione ruchy, i zupełnie nieskutecznie. Anna cofa się pod drzwi. Łańcuch dzwoni i napina się, a ja wydaję z siebie skowyt

bólu i spadam na podłogę tuż obok śniadania. Kajdanki wpijają mi się w kostkę, a dywan szoruje kolana. Robi mi się niedobrze od zapachu bekonu i wymiotuję na tacę.

– To się, kurwa, nazywa wdzięczność! – rzuca Anna, wypada z pokoju, zostawiając otwarte drzwi, i zbiega po schodach.

Kłęczę, opierając się na łokciach, i czekam, aż pokój przestanie wirować. Dopiero wtedy siadam i wycieram usta rękawem. Łapię obiema dłońmi za łańcuch i ciągnę z całej siły, aż czuję, że za chwilę wyrwę sobie ręce ze stawów. Solidne sosnowe łóżko, które dziadkowie kupili nam na dobry początek życia w nowym domu, ani drgnie. Dan chciał mieć łóżko ze sztucznej skóry – takie, z którego po naciśnięciu guzika wysuwa się telewizor – podpatrzył je w którymś odcinku *W domu u...* na MTV – ale uznałam, że to zbyt tandetne i nie pasowałoby do charakteru Różanej Chatki. Teraz żałuję, że go nie posłuchałam. I żałuję, że go tu nie ma. Usiłuję dobrać się do kajdanek, może jakoś je rozewrzeć, ale tylko łamię paznokiec.

Znów nachodzą mnie mdłości. Opieram głowę o kolana. Oddycham zbyt szybko i zbyt płytko. Zastanawiam się, czy Anna wróci. Boję się, że tak. Boję się, że nie. Próbuję się uspokoić. Słyszę kroki na schodach i powraca strach.

– Masz. – Anna popycha beżowe wiadro, które toczy się w moją stronę.

Sypie się z niego piasek. Dan śmiał się z tego, że trzymam wiadro gaśnicze przy tylnym wejściu do domu, ale widok kłębow dymu, które tworzył, spopielając hot dogi i hamburgery, zawsze napelniał mnie niepokojem.

– Żebyś nie mówiła, że nie masz nocnika. – Rechocze, a mi włosy na karku stają dęba. – Przy okazji posprzątaj po sobie. – Rolka czarnych worków leci w moją stronę, rozwijając się po drodze, i ląduje obok tacy.

– Anno, to szaleństwo. Zdejmij mi kajdanki i porozmawiajmy – odzywam się spokojnym, wyważonym tonem, walczę ze łzami i próbuję ułożyć usta w kształt przypominający uśmiech.

– Z chęcią. – Sięga do kieszeni spodenek, wyjmując kluczyk i macha nim przed sobą. – Jak tylko wyjaśnimy sobie pewne rzeczy. Kiepsko zaczęłyśmy, ale chciałabym, Grace, żebyśmy zostały przyjaciółkami. A nawet siostrami. Rodzina jest ważna, nie sądzisz?

– Tak. – W tej chwili zgodzę się ze wszystkim, co powie. – Możemy zacząć od nowa. Będziemy przyjaciółkami. Tylko mnie rozkuj.

– Na razie nie mogę.

– Możesz. Nic złego się nie stało. Wiem, że z Łapcią to był błąd. Nie szkodzi, naprawdę... – Słowa same płyną, paplam jak nakrecona.

– Ale przecież nie chodzi wyłącznie o Łapcię, prawda, Grace? Chodzi o to, że ukradłaś mi życie.

– Nie rozu...

– To ja powinnam była dorastać z Charlie, nie ty. Ja! – Bije się w pierś, a ja się kulę.

– Przykro mi.

– Owszem, będzie ci przykro.

– Zacznę krzyczeć, jeśli mnie nie puścisz.

– Śmiało. – Anna zakłada ręce na piersi.

– Pomocy! Pomocy!

Wrzeszczę do zdarcia gardła. Oblewam się potem. Krzyczę coraz słabiej i ciszej, aż w końcu daję radę jedynie chrypieć i dyszeć ze zmęczenia.

– Skończyłaś? – Wykrzywia usta w uśmiechu. – Niby kto miałby cię usłyszeć? Jest sobota, robotnicy mają wolne. Pani Jones leży w szpitalu, a tą ulicą nikt nie chodzi. Sądziłam, że chcesz się zaprzyjaźnić.

– Bo chcę – odpowiadam szeptem.

- Jeżeli chcesz, żebyśmy zostały przyjaciółkami, musisz mi wynagrodzić pewne rzeczy.
 - Jak?
 - Przekonasz się. – Anna odwraca się na pięcie i wychodzi.
 - Anno! – chrypię. – Wróć.
- Zostaję sama.

43.

Teraz

Zastanawiam się, jakie mam możliwości. Łańcuch jest za krótki, żebym dosięgnęła do okna. Anna ma rację, że mogę krzyczeć do woli – i tak nikt mnie nie usłyszy. Dom stoi przy ślepej uliczce. Nikt tędy nie chodzi tak po prostu.

Co robić? Przetykam ślinę, smakuje goryczą. Drżącą dłonią sięgam po kubek z sokiem pomarańczowym. Obracam go powoli, sprawdzając, czy nie ubrudził się wymiocinami i czy nic nie wpadło do środka. Wydaje się czysty. Upijam łyk, płuczę usta sokiem jak płynem do jamy ustnej i wypluwam. Nie ma mowy, nie wypiję tego. Pewnie mnóstwo w tym zmielonych orzechów. Mam pełny pęcherz, a nie zamierzam sikać do wiadra.

Oglądam kubek: zielony, plastikowy, stoi przeważnie z tyłu szafki i czeka na odwiedziny znajomych z małymi dziećmi. Kanapka, którą przyszykowała mi Anna, leży na jednym z papierowych talerzyków, które trzymamy w spiżarni z myślą o nieplanowanym grillu. Anna wzięła cienką, lichą tackę ze szklarni – zwykle stawiam na niej sadzonki – zamiast ciężkiej, posrebrzanej, którą wyjmuję, gdy mamy gości. Wszystko jest lekkie i tępe, niczego nie mogę użyć w charakterze broni. Czy wiedziała, że akurat w ten weekend będę w domu? Nie mogła, chyba że...

Chyba że wypadek Lexie wcale nie był wypadkiem.

Ile minie czasu, zanim ktoś zacznie się zastanawiać, gdzie się podziewam? A zanim ktoś mnie odnajdzie? Budowlańcy przychodzą w poniedziałek. Anna najwyraźniej nie chce mnie zagłodzić. Co więc wymyśliła?

Nie wolno mi snuć domysłów. Zajmij się faktami, rozpraw się z nimi jeden po drugim, powiedziałyby moja dawna terapeutka Paula. Próbuję to zrobić, ale czuję się jak na karuzeli, która się kręci i nie może przestać. Zasłaniam oczy dłońmi, które wciskam w oczodoły. Myśl, Grace. Wstaję. Krew uderza mi do głowy, zataczam się i muszę rozłożyć ręce, żeby nie upaść. Lewą nogą robię krok do przodu, prawą ciągnę za sobą, sprawdzam, jak długi jest łańcuch, i zastanawiam się, czy dosięgnę do komody i znajdę w niej coś, co pomoże mi się uwolnić. Łańcuch się napina, kajdanki wrzynają się w ciało i ciągną do tyłu. Próbuję położyć się na brzuchu i podczołgać na łokciach najdalej, jak zdołam. Gdyby udało mi się otworzyć choć dolną szufladę. Wyciągam palce, ale nic z tego.

Wracam na łóżko. Oglądam kajdanki, badam je, prostuję palce i usiłuję zsunąć metalową obręcz z kostki. Ciekawe, skąd Anna je wzięła. Przypominam sobie, że czytała *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, i przechodzi mnie dreszcz. Przesuwam, przepycham kajdanki ku pięcie, metal rozcina mi skórę, krew kapie na materac, ale dochodzę do wniosku, że za nic nie przecisnę kostki. Pamiętam, jak któregoś dnia po szkole oglądałyśmy z Charlie *Misery* na wideo. Kiedy Kathy Bates młotem łamała nogi Jamesowi Caanowi, zasłoniłam twarz poduszką. „Słysząc, jak pękają kości”, zapiszczała Charlie.

Opieram głowę na kolanach. Przeczesuję palcami włosy i zsuwam frotkę, którą wczoraj wieczorem zapomniałam zdjąć, bo byłam zbyt zmęczona. Na materac wypada wsuwka i naraz budzi się we mnie nowa nadzieja. Rozprostowuję wsuwkę, wkładam ją do zamka kajdanek i zaczynam manipulować, jednocześnie usiłując opanować drżenie rąk. No dawaj. Wycieram pot z czoła. Jeszcze raz. Tyle razy widziałam na filmach, jak to się robi. To chyba nie takie trudne? Napinam mięśnie aż do bólu, opanowuję drżenie, ale kombinacje przy zamku nie dają rezultatu.

Kajdanki nie chcą się otworzyć.

Przesuwam palcami po łańcuchu, docieram do stelaża łóżka i dotykam zdobień. Próbuję rozruszać ten fragment, o który zaczepiony jest łańcuch. Zdobienia są mniej solidne od nóg, stanowią słaby punkt łóżka. Może uda się kawałek wyłamać. Układam się na plecach, z rękami wzdłuż tułowia, podciągam nogi pod brodę i biorę głęboki oddech, jakbym przygotowywała się do przyjęcia pozycji w jodze. Potem raptownie wyprostowuję nogi, uderzając stopami w drewno – i krzyczę z bólu, który nagle przeszywa mi staw biodrowy.

Chyba znowu będę wymiotowała. Drewno nie pękło, nie pojawiła się nawet maleńka rysa. Obracam się na bok i czekam, aż przejdą mdłości. Nastawiam uszu, wyczekując odgłosu kroków na schodach, ale w domu panuje cisza. Słyszę jedynie szalone bicie własnego serca. Kładę na nim obie dłonie, jakby było przestraszonym zwierzęciem, które mogę uspokoić. Podkurczam nogi, zwijam się w kłębek. Nie wiem, czy to ze względu na stres, czy może chodzi o skutki wymieszania proszków nasennych z alkoholem, ale zaczynają mi ciążyć powieki, zamykam oczy i zapadam w niespokojny sen.

Światło pod okopconym abażurem traci ostrość, ale i tak mnie budzi. Mrugam szybko i zwijam się w kłębek.

– Zrobiłam kolację – informuje Anna.

Postawiła tacę obok łóżka i odsunęła się, zanim zdążyłam usiąść.

– Anno – odzywam się chrapliwym głosem. Krzywię się, bo od krzyku boli mnie gardło. – Proszę, uwolnij mnie.

– Makaron – mówi, ignorując moje słowa.

– Czego ode mnie chcesz? Skąd wiedziałas, że będę w domu?

– Byłam wczoraj u Lexie, spałam w pokoju Charlie. Śledziłam cię.

– Lexie dała ci klucz do domu?

– Nie. Wpuściła mnie jej sąsiadka. Przedstawiłam się jako siostrzenica Lexie. Kobieta stwierdziła, że podobieństwo jest uderzające. – Anna poprawia fryzurę. – Jak ci się podoba? Mam wrażenie, że trochę za krótko.

– Myślę, że zwariowałaś. Wypuść mnie. – Ciągnę słabo za łańcuch.

– Jeszcze nie.

– Dziadek spodziewa się mnie na kolacji – blefuję. – Jeśli nie przyjdę, zorientuje się, że coś jest nie w porządku.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

– To ciekawe. – Wyjmuje z kieszeni mój telefon. – Bo według mnie leży chory w łóżku i myśli, że nadal jesteś w Londynie.

– Esmée...

– ...myśli, że jesteś u dziadków. – Macha aparatem. – No popatrz, nawet wysłałaś jej esemes z wiadomością, że dotarłaś na miejsce cała i zdrowa. Miło z twojej strony. No już, zjadaj kolację, bo będzie zimna. I posprzątaj tu, bo śmierdzi.

– Anno. Anno! Proszę!

– ZAMKNIJ SIĘ! – ryczy i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Słucham jej oddalających się kroków i cała się trzęsę.

Pęcherz mam jak balon z wodą, jest pełny i za chwilę eksploduje. Patrę na wiadro i zaczynam płakać z bezsilności, ale nie mam wyboru. Schodzę z łóżka. Nogi mi się trzęsą – nie wiem, ze zmęczenia albo ze strachu – tak że najpierw muszę usiąść i zsunąć spodnie od pidzamy,

a dopiero potem wstać i kucnąć nad wiadrem. Oblewa mnie pot, kiedy kieruję strumień moczu do plastikowego pojemnika. Obiecuję sobie, że nigdy nikomu o tym nie powiem – po czym uzmysławiam sobie, że być może już nigdy nikogo nie zobaczę. Wciągam spodnie i kładę się z powrotem na łóżku. Płaczę w poduszkę, tak żeby Anna nie słyszała.

Niepojęte, jak mogłam znowu zasnąć, ale najwyraźniej mi się udało, bo kiedy się budzę, księżyc wisi już wysoko na niebie. Dobrze, że nie mam zasłon – przynajmniej widzę migoczące gwiazdy i mogę dojrzeć piękno świata. Burczy mi w brzuchu, przypominam sobie, że nie jadłam od ponad dwudziestu czterech godzin. Sięgam po plastikową miseczkę z makaronem i wkładam do suchych ust zimne świderki z zaschniętym serem. Szum spłuczki w łazience za ścianą sprawia, że nagle coś ściska mnie za gardło. Rzucam miskę na podłogę i kulę się pod kołdrą, tak jakby warstwa bawełny i pierza mogła mnie przed czymkolwiek ochronić. To okropne, kiedy człowiek nie czuje się bezpieczny we własnym pokoju. Zastanawiam się, czy po tym wszystkim będę się musiała wyprowadzić. Jeśli w ogóle będzie jakieś „po wszystkim”, przychodzi mi do głowy i natychmiast pozbywam się tej przerażającej refleksji. Muszę myśleć pozytywnie. Anna musi mnie przecież uwolnić, prawda?

44.

Teraz

W sypialni cuchnie, zapach to drażniące pomieszanie wymiocin z moczem. Śmierdę zwierzałym potem, pidżama klei mi się do ciała. Chciałabym móc dosięgnąć okna i zaczerpnąć świeżego powietrza. Deszcz bębni o szybę. Chciałabym być na zewnątrz, czuć, jak krople rozbijają się na twarzy i spływają po szyi. Dziadkowie na pewno cieszą się, że pada. Babcia martwiła się, że zbyt długo jest sucho, a dziadek musi posadzić cebulki. Jeśli dziś będzie miał siłę do pracy, zastanie w ogródku ładną, miękką ziemię. Zastanawiam się, jak się czują i czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczę. Mam zawroty głowy i trzymam się kurczowo kołdry, bo mam wrażenie, jakbym unosiła się na fali.

Trzeszczy łóżko w pokoju gościnnym. Kroki Anny na podeście, skrzypnięcie drzwi do łazienki. Serce mi przyspiesza. Nie sprzątnęłam po sobie, a nie chcę jej dodatkowo zezłościć. Prędko siadam i opuszczam nogi na podłogę. Ciało boli mnie jak po pierwszych zajęciach jogi. Mam nieskładne ruchy. Podchodzę do wiadra, kucam nad nim – czuję, jak drżą mi mięśnie ud – i sikam. Odsuwam wiadro jak najdalej od łóżka, sięgam po rolkę worków i odrywam jeden. Wkładam tacę do worka i go zawiązuję. Zastanawiam się, czy nie rzucić worka w drugi kąt pokoju, ale zamiast tego wsuwam go pod łóżko. Zawiniątko nie jest ciężkie, ale może uda mi się uderzyć tym Annę, jakoś ją zaskoczyć i odebrać jej kluczyk. Zapamiętuję ten pomysł, wkładam go do przegródki z innymi, które dają mi jaką taką nadzieję.

Zastygam, kiedy drzwi się otwierają.

– Dzień dobry – uśmiecha się Anna. – Dobrze spałaś?

Mam na to ripostę, ale gryzę się w język.

– Tak się zastanawiałam – mówię. – Może poszłybyśmy na grób Charlie? Ty i ja.

Mogłybyśmy zabrać ze sobą Lexie, jeśli chcesz. To nie w porządku, że...

– Świetny pomysł – rozpromienia się Anna.

– Naprawdę?

– Nie!

Opadam na poduszkę.

– To może chociaż przyniesiesz mi kubek herbaty? – „Chlusnę jej nią w twarz” – myślę.

Anna mruży oczy. Zabiera wiadro i wychodzi bez słowa. Spuszcza wodę w łazience i schodzi na dół. Nienawidzę tego wiadra, ale boję się, że nie przyniesie go z powrotem. Zamykam oczy i nasłuchuję. Woda szumi w rurach, kran w kuchni jest odkręcony. Czuję się jak Spiderman, który korzysta ze swoich superczułych zmysłów. Wraca Anna. Ma na sobie mój fartuch od Cath Kidston, w jednym ręku trzyma plastikowy kubek, a w drugim wiadro. Skubię nitkę wystającą z kołdry i obserwuję Annę kątem oka. W jaki sposób poda mi herbatę, skoro nie ma tacy? Powoli podchodzi do łóżka. Czuję przyływ adrenaliny. Kładę dłonie na materacu, przesuwam się nieco, ustawiam nogi pod odpowiednim kątem, przygotowuję się do wymierzenia kopniaka. Anna się zatrzymuje. Odstawia wiadro. Wsuwa dłoń do kieszeni fartucha i wyjmuje nóż do obierania. W jego ostrzu odbija się światło, a ja czuję, jak żółć podchodzi mi do gardła.

– To na wypadek, gdyby przyszło ci do głowy coś głupiego. – Stawia herbatę na szafce nocnej i wycofuje się, nie spuszczając mnie z oka.

Sięgam po kubek. Nie potrafię opanować drżenia rąk i spora część napoju wylewa mi się na udo.

– Zimna. – Upijam łyk dla pewności.
Ryzykuję, pijąc to, co podaje mi Anna, ale jestem tak spragniona, że błyskawicznie opróżniam kubek.
– Oczywiście. Masz mnie za idiotkę?
– Nie. Jesteś zdenerwowana. To zupełnie zrozumiałe. Anno, wypuść mnie. Nikomu nie powiem. Jutro i tak zjawi się ekipa remontowa. – Jęczę jak dzieciaki w Little Acorns, kiedy są przemęczone, ale nic na to nie poradzę.
– Nie martw się, Grace. – Anna przesuwa palcem po grzbiecie noża i podchodzi bliżej. – Wkrótce będzie po wszystkim.
Czuję się, jakby ściany na mnie napierały, a sufit walił mi się na głowę. Brakuje mi powietrza. Kiedy Charlie umarła, pragnęłam znaleźć się przy niej po tamtej stronie, ale teraz tak przeraźliwie boję się śmierci, że naraz dociera do mnie, jak bardzo chcę żyć.
Nagle odzywa się dzwonek do drzwi.

Anna wychodzi szybkim krokiem i zamyka za sobą drzwi, a ja klękam na łóżku i krzyczę, aż czuję, że za chwilę stracę przytomność. Słyszę dwie pary stóp na schodach i wypełnia mnie ulga, że do kogoś dotarło wołanie i zostanę uratowana. Opieram dłonie na biodrach, pochylam się do przodu i dyszę, jakbym przebiegła maraton.

Otwierają się drzwi i staje w nich Lexie z ręką na temblaku i opuchniętym, posiniaczonym policzkiem. Sprawia wrażenie małej i słabowitej. Spod szarej szpitalnej koszuli wystaje para chudych nóg. Za jej plecami wyrasta Anna.

– Grace. – Lexie kuśtyka do mnie, ale zatrzymuje się, kiedy zauważa łańcuch. – Belle, co ty, kurwa, wyprawiasz? Uwolnij ją.

– O nie, najpierw sobie porozmawiamy. Jesteś mi to winna, m a m u s i u.

– Pogadamy, kiedy przestaniesz trzymać Grace na łańcuchu jak cholerne zwierzę.

– Och, biedna Grace. Wszyscy ją kochają, prawda?

– Nic ci nie zrobiła.

– Nie chciała mnie ci przedstawić. Miałaś mnie dzięki niej poznać i polubić. A potem powiedziałabym ci, kim naprawdę jestem. Byłybyśmy prawdziwą rodziną, ale nie. Grace chciała cię zatrzymać dla siebie.

– To nie tak...

– Zamknij się. – Anna robi krok w moją stronę. – Chciałam cię polubić, Grace. Naprawdę chciałam. Próbowałam być miłą, ale ty mnie ciągle wkurwiałaś. Im dłużej słuchałam twoich opowieści o tym, jak kochałaś Charlie, tym mocniej cię nienawidziłam. Wszyscy kochają Charlie. Wszyscy kochają Grace. A mnie, kurwa, kto pokocha? Ale – wykrzywia twarz w uśmiechu – jestem gotowa dać ci jeszcze jedną szansę. Charlie już nie ma, ale my, we trzy, nadal możemy być rodziną, prawda?

– Nie – ucina Lexie. – Puść ją albo zadzwonię na policję.

– Proszę bardzo. Zanim dokuśtykasz do najbliższego telefonu, będę już daleko.

A Grace? – Wyjmuje nóż z kieszeni fartucha i wymachuje nim w powietrzu. – Grace wciąż tu będzie. To znaczy, jakaś jej część. Jazda na łóżko. – Anna kieruje ostrze w stronę Lexie, jakby poganiała bydło. Ta stoi niewzruszona, ale ostrze wbija jej się w ramię, krew zaczyna przesączać się przez koszulę i Lexie się zatacza.

– Anno, ranisz ją. – Próbuję dosięgnąć Lexie, ale łańcuch mi nie pozwala.

– Ranię ją... a to dobre!

Lexie siada na łóżku obok mnie. Anna chwyta ją za lewą nogę i zamyka jej kostkę

w kajdankach.

– Czego chcesz, Belle?

– Chcę spędzić trochę czasu z matką. Czy to zbyt wiele? Ugotuję coś smacznego, posiedzimy sobie i lepiej się poznamy.

Anna wychodzi, trzaskając drzwiami.

– Krew ci leci. – Wyciągam rękę, ale Lexie ją odtrąca.

– Nic mi nie będzie.

Czerwona plama się powiększa. Wpatruję się w nią i naraz zaczyna kręcić mi się w głowie, pokój wiruje i blednie, aż całkiem niknie. Huczy mi w uszach, jakbym słuchała szumu morza z muszli.

– Oddychaj, Grace. – Lexie masuje mnie po plecach okrężnymi ruchami. – Nabierasz powietrza, ale to za mało. Musisz je jeszcze wypuszczać.

Sapię, opróżniam płuca, po czym napełniam je z sykiem. Słyszę szept Lexie, czuję jej ciepłą dłoń na kręgosłupie i powoli się uspokajam. Przestaję się trząść i odzyskuję widzenie.

– Lepiej? – Lexie mocno mnie obejmuje.

– Tak.

– To dobrze. – Puszczam mnie. – Śmierdzisz, wiesz? – Odsuwa się.

Opadam na poduszkę, a Lexie ciągnie za łańcuch i zdrowym ramieniem napiera na ramę.

– Już próbowałam.

Układa się na plecach. Zdejmuje buty i opiera stopy na zdobionej desce. Przysuwam się bliżej i kładę stopy obok jej.

– Gotowa? – pyta.

– Na trzy.

Napieramy i kopiemy, aż uda bolą mnie tak, że nie mogę nimi ruszać. Wrzeszczę, ale tylko dzwoni mi w uszach. Drewniana rama nie ustąpiła nawet na milimetr.

– Kurwa. – Lexie rozmasowuje stopy. – Jak się z tego wyplączemy?

Spoglądam jej w oczy i widzę w nich odbicie mojego strachu.

– Nie wiem.

45.

Wtedy

Szóstego dnia po śmierci Charlie poranne niebo było szare i czarne jak zaogniony siniak. Iglicę wieży kościoła, zazwyczaj dobrze widoczną z mojego okna, spowijała mgła. Wszystko wydawało się przygaszone, przytłumione. Milczały nawet ptaki, jak rzadko kiedy. Charlie zabrała ze sobą słońce. Dan przyniósł herbatę, która była dla mnie bez smaku, i grzanek, której nie mogłam przełknąć. Powinnam wybierać ciuchy na imprezę – bo były dwudzieste piąte urodziny Charlie – a zamiast tego musiałam ubrać się na czarno – bo szłam na jej pogrzeb. Szmizjerka, którą kupiłam sobie na gwiazdkę rok wcześniej, wtedy była dość ciasna, ale teraz zapinała się z łatwością, materiał nie przywierał do ciała, lecz łagodnie po nim spływał. To dlatego, że od śmierci Charlie prawie nic nie jadłam. Dan włożył garnitur, w którym lata temu był na rozmowie o pracę, i pożyczony czarny krawat. Wystrojony chłopczyk.

Pojechaliśmy taksówką do domu Charlie. Oboje byliśmy zbyt roztrzęsieni, żeby prowadzić. Ponieważ Charlie nie miała nikogo poza Lexie, uznano, że pojedziemy z nią karawanem. Przybyli mama i Oliver. Spotkali się z nami i dziadkami w krematorium. Otworzyłam drzwi prowadzące do domu, który kiedyś traktowałam niemal jak własny, i poszłam za kłębami dymu papierosowego. Lexie siedziała przy stole w kuchni, wpatrując się w przepelnioną popielniczkę. Dotknęłam jej ramienia. Odtrąciła moją dłoń. Posłałam Danowi gniewne spojrzenie. Powiedz coś!

– Zrobię herbatę – stwierdził.

Włączył czajnik, a ja nalałam gorącą wodę do zlewu lepiałego się od brudu i zaczęłam szorować kubki i talerze, które piętrzyły się na każdej wolnej powierzchni w kuchni. Wypełniałam ciszę chłupotem, szumem wody i brzękiem porcelany. Dan podsunął mi mleko, żebym powąchała. Zmarszczyłam nos, więc wylał je do zlewu. Z kartonika wyleciały żółte grudy, które wepchałam łyżeczką do odpływu. Zrobił gorącą czarną herbatę, na którą nikt nie miał ochoty. Wytarłam naczynia, a Dan opróżnił cuchnący kosz na odpadki i wystawił na zewnątrz puste butelki po winie i puszki po piwie.

Nie pozostawało nic innego, jak czekać. Siedzieliśmy we troje przy stole, milczeliśmy i unikaliliśmy się wzrokiem. Poczuliśmy ulgę, kiedy rozległo się stukanie do drzwi. Dan zerwał się z miejsca i pobiegł otworzyć, a Lexie wbiła we mnie wściekłe spojrzenie, w którym utonął mój smutek.

– Muszę się przewietrzyć – powiedziałam i poszłam do Dana, który rozmawiał z kierowcą.

Podeszłam i chwyciłam się jego paska z tyłu, bo gdybym tego nie zrobiła, uniosłabym się w bańce żalu.

W lśniącym karawanie znajdowała się dębowa trumna. Z białych goździków ułożono imię Charlie. Dziadek pomógł Lexie zorganizować pogrzeb. Podejrzywałam, że wsparł ją też finansowo, ponieważ pieniądze nigdy się jej nie trzymały. Lexie wsiadła do auta jako pierwsza, potem Dan, na końcu ja. Ruszyliśmy. Wyglądałam przez okno, powoli jadąc pożegnać się z osobą, która była tak pełna życia, że nadal nie mogłam uwierzyć, iż odeszła. Patrzyłam na ludzi na ulicach, którzy rozmawiali, śmiali się. Wydawało mi się niewytłumaczalne to, że śmierć Charlie nie miała wpływu na ich życie. Dla nich to kolejny zwykły dzień. Zazdrościłam im.

Niebo było stalowoszarym całunem gniewu, pełnym łkających chmur. Przed podwójnymi

dębowymi drzwiami kaplicy czekał ubrany w większości na czarno spory tłum żałobników, którzy wycierali łzy i nosy. Mieli wieńce i kartki z kondolencjami. Wyglądali na równie wstrząśniętych jak ja.

Zaczekaliśmy w aucie, aż wszyscy wejdą do środka, po czym wyszedł po nas dyrektor zakładu pogrzebowego. Nie płakałam, bo wszystko to wydawało mi się surrealistyczne. Szliśmy w ponurym nastroju korytarzem krematorium, a Eva Cassidy obiecywała błękitne niebo w *Somewhere Over the Rainbow*, którą to piosenkę wybrała Lexie. Charlie pewnie by się skrzywiła i powiedziała: „Madonna też by się nadała”.

Usiedliśmy na drewnianych ławach, zaprojektowanych, by odbierać czucie w tyłku, paraliżować go tak, jak pogrzeb paraliżuje serce. Z przodu, za cokołem, na którym stała trumna z Charlie, wisiały szkarłatne aksamitne kotary ze złotymi lamówkami. Na trumnie znajdowało się oprawione w srebrną ramkę zdjęcie roześmianej Charlie na plaży w Cromer. Pamiętałam, że zrobił je dziadek.

Nabożeństwo poprowadził mężczyzna w średnim wieku, który, co było widać, nie znał Charlie. Po przemówieniu pełnym ogólników, takich jak „ciepła”, „zabawna” i „życzliwa”, przyszła kolej na mnie. Na nogach jak z waty podeszłam do pulpitu i spojrzałam na rzędy żałobników o oczach mokrych od łez. Odchrząknęłam.

– Charlie była moją najlepszą przyjaciółką – zaczęłam.

Opowiedziałam o dniu, w którym się poznałyśmy. O tym, jak posmarowała Danowi keczupem kanapki z dżemem. Kilka osób ostrożnie się roześmiało. Dodałam, że już wtedy wiedziałam, iż Charlie będzie jedną z najważniejszych osób w moim życiu.

– Więc dlaczego? – Ochrypli głos Lexie rozniósł się po krematorium.

Brział tak, jakby od śmierci Charlie odpalała jednego papierosa od drugiego.

Otworzyłam usta, ale nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Dlaczego? – powtórzyła głośniejsz Lexie i wstała.

Miała mroczne, wykrzywione oblicze.

– Dlaczego? – powtórzyłam. Nie rozumiałam, o co mnie pyta.

Ludzie zerkali to na nią, to na mnie, zupełnie jakby oglądali makabryczną partię tenisa.

– Dlaczego ją zabiłaś?

Lexie wpatrywała się we mnie z taką nienawiścią, że aż się zatoczyłam. Podbiegł do mnie Dan. Stałam krzywo na kostce, którą zraniłam sobie podczas biegu, ale to nie ten ból sprawił, że z moich oczu popłynęły łzy.

– Lexie, to zrozumiało, że jesteś zdenerwowana – odezwał się dziadek spokojnym, opanowanym tonem.

– Jestem zdenerwowana nie tylko dziś, ale każdego dnia, bo ta pierdolona zołza zabiła moją córkę. I zabiła Siobhan. To jej wina. Wszystko przez nią.

– Nie zrobiłam tego. Nie rozumiem... – Rzucałam spanikowane spojrzenia w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Przecież ustalono, że Siobhan umarła w wyniku przypadkowego przedawkowania. Gdzie w tym wina Grace? – Dłoń, którą Dan trzymał na moich plecach, parzyła jak rozgrzane żelazo. – Nie pojmuję też, jak możesz zrzucać na Grace odpowiedzialność za śmierć Charlie.

– Gdyby Charlie nie wyjechała...

– A dlaczego wyjechała, Lexie? To przecież twoja córka – oświeć nas. – Dan podniósł głos, na co dziadek położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie czas to i nie miejsce, synu. Proponuję, Lexie, żebyśmy poszli zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Pierdolę świeże powietrze! Chcę, kurwa, odzyskać córkę! – Lexie padła na kolana

i zaczęła lamentować.

Dyrektor zakładu uśmiechnął się do nas chłodno i obrzucił lodowatym spojrzeniem.

– Myślę, że powinna pani wyjść.

Ludzie kręcili się i wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć.

Cała się trzęsłam. Byłam w szoku. Kiedy zśliśmy do wyjścia, Dan podtrzymywał mnie, jakbym miała dziewięćdziesiąt lat – jedną ręką obejmował mnie w talii, a drugą trzymał za łokieć.

– Nigdy ci tego nie wybaczę, Grace! – wrzasnęła za mną Lexie.

Na dworze uczepliłam się ramienia Dana.

– Pójdę po samochód. – Dziadek pobiegł na parking, a Dan masował mnie po plecach.

Mama, Oliver i babcia zbili się w gromadkę i milczeli zszokowani.

Zanim dotarliśmy do domu, zdążyłam zużyć całe opakowanie chusteczek. Drapało mnie w gardle i czułam się, jakbym natarła sobie oczy piaskiem.

– Co ze złożeniem prochów do grobu?

– Chcesz pójść? – spytał dziadek.

– Nie – wychrypiałam. – Ale Charlie...

– Charlie cię kochała. Zrozumiałaby.

Wysiadłam z samochodu na nogach, nad którymi nie panowałam.

– Wchodzicie? – spytałam.

– Myślę, że powinniśmy pojechać do pubu i sprawdzić, jak się czuje Lexie – odparł dziadek.

– Jebać Lexie – stwierdził twardym tonem Dan.

– Ona nikogo nie ma – powiedział dziadek. – Ale zostaniemy z tobą, jeśli chcesz.

Pokręciłam głową. Dziadek zawrócił na trzy. Oliver pojechał za nim.

– Zajrzymy do ciebie przed wyjazdem – obiecała mama.

Staliśmy w korytarzu i nie bardzo wiedzieliśmy, co teraz.

– Herbaty? – odezwał się Dan.

– Czegoś mocniejszego. – Miałam ochotę spać się do nieprzytomności.

Zsunęłam sukienkę, która przesiąkła zapachem kaplicy, i narzuciłam luźny sweter z misia. Przenikał mnie chłód, mimo że w domu było dwadzieścia stopni.

Dan podał mi wódkę z colą. Usiedliśmy na kanapie i wznieśliśmy toast za dziewczynę, która na zawsze pozostanie dwudziestoczterolatką.

46.

Teraz

– Pewnie nie masz peta? – pyta Lexie.

– Nie.

– Tak myślałam.

Leżymy w ciszy. Rozdziela nas ściana wzniesiona z pytań bez odpowiedzi. Nie wiem, od czego zacząć burzenie tego muru.

– Wiedziałam, że coś jest nie tak, bo nie odwiedziłaś mnie wczoraj. Kiedy dostałam od ciebie esemes...

– Nie ode mnie.

– W każdym razie z twojego numeru. Z prośbą, żebym przysłała, dałam nogę ze szpitala. Podwiózł mnie furgonetką facet z piekarni. No to poznałaś moją Belle...

– Annę.

– Annę?

– Dan...

– Dan? Dziewczyno, do cholery, pleciesz bez sensu. Mów, o co chodzi.

– Dan miał... nie dochował wierności. – Czuję, że węzeł niepokoju w żołądku coraz mocniej się zaciska.

Wylewają się ze mnie słowa.

Mówię, że Charlie bardzo pragnęła odnaleźć ojca, i widzę, że oczy Lexie zachodzą łzami. Unosi brew, gdy przyznaję, że ukradłam zdjęcie Paula i próbowałam namierzyć go za pośrednictwem mediów społecznościowych. Leży bez ruchu i milczy. Kiedy opowiadam o tym, jak Anna zaczęła pracować w barze, do którego chodził Dan, jak uwiodła go i szantażowała, jak wprowadziła się do nas i zwodziła mnie, że jest przyrodnią siostrą Charlie, twarz Lexie robi się biała jak poduszka, na której spoczywa jej głowa.

– Specjalnie wybrała Dana jako ofiarę?

– Tak. Sfilmowała ich, jak uprawiali seks. Dan mówi, że pamięta tę noc jak przez mgłę. Nie uwierzyłam mu, ale teraz już wierzę. Myślę, że ona jest na tyle szalona, że mogła dosypać mu czegoś do drinka. Pewnie myślała, że jeśli do ciebie napisze, ty znów ją zignorujesz.

Lexie się wzdryga.

– Myślę, że jesteś mi winna wyjaśnienia. Widziałam świadectwa urodzenia. Zakładam, że Belle i Charlie były bliźniaczkami?

– Tak.

– Charlie nie wiedziała?

– Nie.

– Dlaczego?

– To skomplikowane – ucina Lexie.

Znajduje nitkę wystającą z bandaża i zaczyna go strzępić.

– Skomplikowane?! – wybucham. – Pozwól, że powiem ci, co n a p r a w d ę jest skomplikowane. Przez twoją córkę straciłam pracę i chłopaka. Twoja córka zabiła mojego kota i próbowała spalić mi dom, gdy byłam w środku.

– Co? Jak to...

Podnoszę dłonie, jakbym chroniła się nimi przed słowami Lexie.

– Powiedz. Wreszcie. Prawdę.
Lexie wzdycha tak głęboko, że jej ciałem wstrząsa dreszcz.

– Powiedziałam prawdę – odzywa się tak cicho, że muszę się pochylić, by cokolwiek słyszeć. – O tym, że Paul był ojcem. Ale nie wiedział, że jestem w ciąży. I nie dlatego wyjechał. Odszedł, ponieważ sądził, że jego była dziewczyna spodziewa się dziecka. Chciał namówić ją na aborcję.

– Dlaczego?
Lexie milknie. Trwa to tak długo, że mam ochotę złapać ją za ramiona i wytrząsnąć z niej słowa.

– Słyszałaś o zespole Marfana?
– Nie.
– To choroba dziedziczna. Paul był nosicielem. Nie chciał zakładać rodziny. Bał się, że przekaze ją dzieciom. Nie wiedziałam zbyt wiele o tej chorobie, ale Paul powiedział, że może doprowadzić do niewydolności serca, zwłaszcza podczas wysiłku.

– Charlie. Wyścig. – Zastaniam usta dłońmi.
– No właśnie. Dlatego winiłam ciebie. Nie umarłaby, w każdym razie nie wtedy, gdyby nie pobiegła.
– Ale nie wiedziałam...
– Wiem. Ona też nie. Zachowałam się niesprawiedliwie. Wolałam obarczyć winą ciebie, niż zmierzyć się z własnymi porażkami. Nie wiedziałam, że Charlie miała tę chorobę. Należało szukać objawów. Wysokiego wzrostu...
– Przecież b y ł a wysoka.
– Ale nie była żadnym pieprzonym wielkoludem, nie? Nie męczyła się. Nic jej nie bolało. Nie miała rozstępów. Nic. Żadnych objawów.
– Nie robi się badań przesiewowych? Nie mogłaś jej zbadać?
– Nie powiedziałam lekarzom, że istnieje możliwość choroby. Byłam młoda, robiłam w portki ze strachu. Próbowałam udawać, że wcale nie jestem w ciąży, nie chodziłam na kontrole, ale strasznie urosłam. Wyglądałam, jakbym schowała cholernego arbuza pod swetrem. Rodzice wywalili mnie za drzwi, przestali się do mnie odzywać. Do porodu tułałam się po znajomych. To była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek przeżyłam. Potem, kiedy jedna się urodziła, znowu zaczęło mnie boleć i lekarze powiedzieli, że wychodzi kolejna. Bliźniaczki, do kurwy nędzy! Miałam siedemnaście lat. Bez domu, bez kasy. Ale pokochałam je obie, gdy tylko je zobaczyłam.

– I co się potem stało?
– Dostałam mieszkanie komunalne i zasiłek. Zarabiałam, sprzątałam tu i tam. Przez większość czasu padałam na twarz, ale jakoś dawałyśmy sobie radę. Bałam się tylko, zawsze się bałam, że dziewczynki zachorują. Opieka nad dwojgiem zdrowych dzieci już i tak mnie wykańczała. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby któraś okazała się chora.

– Tak było? Belle okazała się chora?
– Odstawała. Nie wiedziałam, czy to kwestia choroby. Nic jej nie cieszyło. Kiedy była malutka, ciągle płakała, a później, kiedy trochę podrosła, dostawała jakichś szalonych napadów złości.

– To normalne.
– Niszczyła rzeczy i kłamała w żywe oczy. Nie mogłam spać ani jeść.
– Byłaś u lekarza?
– Lekarka powiedziała, że mam depresję. I że Belle z tego wyrośnie. Ale później Charlie też zrobiła się niegrzeczna, jak nigdy wcześniej. Mówiła, że Belle każe jej robić różne rzeczy.

Kiedy besztalam Belle, ta wyzywała sie na Charlie – gryzła ja i bila. Ktorego dnia nakrylam ja na zabawie papierosami i zapalkami. Przezolylam ja przez kolano i dalam klapsa w tytek. Później rozwieszalam pranie i nagle poczulam zapach dymu. Belle wybiegla na zewnatrz. Zobaczylam Charlie w oknie. Myslam, ze juz po niej. – Lexie lamie sie glos.

Zaczyna byc mi jej szkoda, ale naraz przypominam sobie, jak sie wsciekla, kiedy spyalam ja o pozar, o ktorym wspominala Charlie. Jak oklamala mnie w zywe oczy. Jak przekonala Charlie, ze ta ma po prostu bujna wyobraznie i jej wspomnienia sa nieprawdziwe.

– Wtedy wkroczyła opieka społeczna. Umieścili Belle w rodzinie zastępczej, tymczasowo, zeby odetchnęła, ale powiem ci, ze bez niej bylo mi duzo lzej. Charlie zrobila sie pogodniejsza. I ja tez sie lepiej czulam. Nie chcialam jej z powrotem. Probowalam udawac, ze Belle nigdy nie istniala. Za kazdym razem, kiedy Charlie o niej wspominala, przekonywalam ja, ze Belle to tylko wymyslona przyjaciolka i nie jest prawdziwa.

– Nie wierze, ze dala to sobie wmowic.

– Pamietasz, jak mialas cztery lata?

Zastanawiam sie przez chwile.

– Nie.

– Dzieci maja krotka pamiec. Wierza w to, w co kazesz im wierzyc.

– Kiedy wiece Anna sie z toba skontaktowala...

– Bylam w cholernym szoku. Spanikowalam. Nie wiedzialam, co robic. Jak powiedziec Charlie, ze przez tyle lat ukrywalam przed nia istnienie siostry. Probowalam sie zapic.

– Wydaje mi sie, ze wlasnie wtedy, kiedy ty nie reagowalas, Anna odezwała sie tez do mnie. Pamietasz te listy z pogrozkami, ktore dostawalam?

Cisza. Westchnienie.

– One nie byly od Belle.

– Chyba nie od Charlie? – Ogarnia mnie przerazenie.

„Zrobilam cos strasznego”. Jak mogla?

– Nie. – Lexie kręci głową. – Ode mnie.

– Od ciebie? – Wzdrygam sie, jakby wymierzyla mi cios pięścią.

– Przepraszam cie, Grace.

– Od ciebie? To ty podrzucilas mi pudelko psiego gówna? Dlaczego?

Trzese sie ze zlosci. Wsuwam dlonie pod uda, zeby nie zlapac jej za te potargane kudly i nie wyrwac ich z glowy.

– Bylam wtedy w cholernej rozwalce. Na swojej osiemnastce weszlas do mojego pokoju, kiedy lezalam padnieta na lozku. Slysalam, jak mowilas Charlie, ze pomozesz jej znalezc ojca, jak ja namawialas, i spanikowalam. To byla ostatnia rzecz, jakiej pragnelam – zeby Charlie odnalazla Paula. Pomyslalam, ze zapomnisz o tym, jezeli odwrócę twoja uwage. Ale nie zapomnialas. Te durne programy Jeremy'ego Kyle'a. To gadanie, ze „dziewczyna z naszej klasy odnalazla tate”. Naprawde sadzilas, ze jestem glupia? Wyslalam pierwszy list, a potem juz nie potrafilam przestac. Stracilam nad tym panowanie. Nie chcialam, zeby Charlie go poznala. Zeby dowiedziala sie, ze nosi chorebe, ktora moze ja zabic. Zeby zobaczyła metryki i odkryła istnienie Belle. Nie chcialam, zeby mnie znienawidzila. Tak bardzo ja kochalam. Ale ja odstraszyłam.

– Dlaczego wyjechala? Co takiego zrobilas? – Zaczynam krzycec, ale mam to gdzieś.

Lexie jest blada jak sciana, ma zapadniete policzki. Na jej gornej wardze zbieraja sie kropelki potu. Wyglada tak paskudnie, jak ja sie czuje – i bardzo dobrze.

– Charlie chowala moje buty po imprezie sylwestrowej i znalazla w szafie niedokonczone list do ciebie. A razem z nim gazete z powycinanymi literami i klej. Bardzo sie zdenerwowala, nie moglam jej uspokoic. Przyniezlam, ze przestanę wysylac listy. Blagalam, by nikomu nie

mówiła. W końcu powiedziała, że nie zdradzi mnie przed tobą. Już myślałam, że wszystko będzie dobrze, ale wtedy Siobhan musiała wziąć i umrzeć.

– Nie „wzięła i umarła”, tylko przedawkowała, ponieważ czuła się samotna. Winiłyśmy ją za listy. Nikt nie chciał z nią rozmawiać. Te épuny były jej jedynymi przyjaciółmi.

– Charlie powiedziała, że Siobhan żyłaby, gdyby nie moje listy. Była wściekła. Bałam się, co mogłoby się stać, gdyby policja wszczęła dochodzenie i prawda wyszła na jaw. Wybłągałam na Charlie obietnicę, że nigdy nikomu nie piśnie słowa. Zwłaszcza tobie, Grace.

– Nienawidziła kłamców. Przez ciebie stała się jednym z nich.

– Nie chciała kłamać. Chciała powiedzieć ci prawdę, ale postawiłam ją przed wyborem: ty albo ja. Odparła, że wobec tego nic nie powie – i nie zostanie w domu. Nie mogła znieść mojego widoku. I nie potrafiła spojrzeć ci w twarz.

„Zrobiłam coś strasznego Grace. Mam nadzieję, że mi wybaczysz”. Obietnica, którą złożyła... Tajemnica, której dochowała. Jak w ogóle mogło mi przyjść do głowy, że to ona wysyłała te listy?

– Jesteś odrażająca.

– Wiem, Grace, ale...

Wyciąga do mnie rękę, ale ją odtrącam.

– Nawet się, kurwa, nie waż mnie dotykać.

– W porządku.

Milkniemy i przez kilka chwil leżymy zatopione w myślach.

– Zmywajmy się stąd – odzywa się Lexie.

– Och, nie pomyślałam o tym. Co ja bym bez ciebie poczęła?

– Daruj sobie, Grace. To do ciebie nie pasuje. Musimy coś wymyślić. Razem.

Panuje zupełna cisza, jeśli nie liczyć odgłosów krzątania Anny w kuchni na dole.

– Co mamy zrobić? – pytam. – Nie wyłamiemy ramy łóżka. Jeśli zaczniemy krzyczeć, i tak nikt nas nie usłyszy. A otworzyć kajdanek nie umiem...

– Co?

– Mam to. – Wyjmuję wsuwkę spod poduszki.

Lexie wrywa mi ją z ręki.

– Już próbowałam – informuję ją.

– Jest taki myk. Jeden punkowiec mnie nauczył. – Wystawia język między zębami, wkłada wsuwkę do zamka i zaczyna manipulować. – Poszło! – oznajmia i uwalnia się z kajdanek. – Ma się ten dryg, nawet z jedną ręką. – Szczerzy zęby w uśmiechu i wbrew sobie odpowiadam jej tym samym.

– Otwórz moje. Pospiesz się.

Lexie pochyla się i majstruje wsuwką. Słychać szcęknięcie i metalowa obręcz zsuwa się z mojej kostki. Czuję taką ulgę, że zaraz się rozplącę.

– Uciekajmy.

W tej samej chwili słychać głośne kroki i drzwi do pokoju zaczynają się otwierać.

47.

Teraz

Stopy Lexie już dotykają podłogi, ale łapię ją za rękę i marszczę brwi.

– Nóż – syczę. – Zaczekaj.

Kiwa głową. Wciąga nogi z powrotem na łóżko. Przykrywam je kołdrą, licząc, że Anna nie zechce sprawdzić kajdanek i łańcuchów. Kiedy wchodzi do pokoju, krew szumi mi w uszach. Czuję napięcie Lexie i modlę się, żeby nie zrobiła niczego pochopnego. Anna stawia tacę na toaletce. Trzymając w dłoni nóż, drugą podnosi miseczkę.

– Makaron. – Podaje naczynie Lexie, wycofuje się, sięga po drugie – dla mnie.

Dolatuje do mnie zapach parmezanu i czosnku i czuję, jak coś ściska mnie w żołądku.

Mięso w makaronie ma postać grud, na których zbiera się tłuszcz.

Anna przesuwając stół obity kwiecistą tkaniną spod toaletki pod drzwi i przysiadła na nim. Byłam w siódmym niebie, kiedy wypatrzyłam go w sklepieniu z używanymi rzeczami przy głównej ulicy. Wieki mi zajęło oczyszczenie i polakierowanie nóg. Materiał wybrałam w sklepie Johna Lewisa. Teraz mam ochotę wrzucić ten taboret w ogień.

Anna bierze trzecią miseczkę i zaczyna jeść makaron.

– Na co czekacie? – mamrocze.

Podnoszę miskę, mieszam spaghetti z mięsem i obiecuję sobie, że jeśli wyjdę z tego żywa, już nigdy nie tknę makaronu.

– Ja tego, kurwa, nie ruszę. – Lexie ciska miską, która spada na podłogę, zanim doleci do Anny. Sos pomidorowy wsiąka w okopcony dywan.

– Nie potrafisz być miłą, co? – Anna głośno odstawia swoją porcję.

Lustro na toaletce wpada w drżenie. Pot spływa mi między piersiami.

– Miła? Przykułaś mnie łańcuchem do łóżka.

– Przynajmniej nie oddałam cię obcym ludziom. – Palce Anny zaciskają się na czarnej rękojeści noża.

– No, wreszcie przechodzimy do sedna. Czego chcesz? Przepraszam? Proszę bardzo: przepraszam.

– Chcę... – Anna cała się trzęsie. – Chciałam zjeść posiłek z mamą. Ale to już nieważne.

Unosi nóż. Podkurczam nogi, gotowa skoczyć w obronie Lexie, lecz Anna wbija ostrze we własne udo. Skóra pęka, a krew barwi białe szorty Charlie na czerwono. Dociera do mnie, że blizny, które widziałam na ciele Anny, kiedy relaksowałyśmy się w spa, były po ranach, które sama sobie zadała.

– Belle!

Anna ponownie unosi nóż. I wbija go raz jeszcze. Rozcina skórę w poprzek istniejącej rany, tak że powstaje krzyż. Jest blada, niemal biała jak kreda.

– Bell, nie rób tego. Bardzo cię przepraszam – mówi Lexie błagalnym tonem.

– Czemu mnie nie kochałaś? – W głosie Anny słychać rozpacz.

Chcę czuć do niej nienawiść, ale jest mi jej tylko szkoda.

– Kochałam cię. Nadal Kocham. Myślałam, że tak będzie lepiej – odpowiada drżącym głosem Lexie. – Sądziłam, że będziesz miała lepsze życie.

– Dlaczego oddałaś mnie, a nie ją? Co takiego zrobiłam, że byłam taka okropna?

Lexie bierze mnie za rękę. Dłoń ma lepka od potu.

– Nie wiem. Przepraszam. Nie potrafiłam sobie poradzić z wami dwiema.
– Ze mną nikt sobie nie potrafił poradzić.
– Tymi, którzy zginęli, byli twoi rodzice zastępczy? – pytam.
– Zginęli?
– W samochodzie, w drodze nad morze.
– Wymyśliłam to, żeby wzbudzić w tobie współczucie. Nie było żadnej rodziny zastępczej. Przenosili mnie z miejsca na miejsce. „Och, Belle to zły duch”. „Och, ma zły wpływ”. Kiedy miałam dwanaście lat, już nikt mnie nie chciał. Woleli słodkie dziewczynki. Mieszkałam w sierocińcu. Jak jebany Oliver Twist. Masz pojęcie, jakie to przygnębiające miejsce? Jedyne, co miałam, to zdjęcie, które zostawiłaś. Wyglądałyśmy na nim na takie szczęśliwe... ty, ja i Charlie. Spałam z tym zdjęciem pod poduszką. Nie potrafiłam zrozumieć, co poszło nie tak.
– Och, Belle... Spieprzyłam to. Wiem. Ale trzymanie nas tutaj niczego nie rozwiąże.
– Chciałam, żebyś mnie wysłuchała, i żaden inny sposób nie przychodził mi do głowy. Przez lata jedyną rzeczą, która dodawała mi siłę, była myśl, że kiedy skończę osiemnaście lat, będę mogła cię odnaleźć. Mamo. Razem mogłyśmy odszukać Charlie. Ale okazało się, że przez cały ten czas Charlie była przy tobie. Zatrzymałaś ją. Świetnie się bawiłaś, za to ja...
– Wcale świetnie się nie bawiłam. Oddałam cię, bo byłam w depresji...
– I co, trzymało cię przez osiemnaście lat? Dlaczego nie odpowiadałaś na moje listy?
– Byłam w szoku.
– Nienawidziłam cię wtedy, chciałam zrobić ci krzywdę, żebyś cierpiała, żebyś...
– Więc czemu tego nie zrobiłaś? – wtrącam. – Zerwałaś kontakt na sześć lat. Dlaczego?
– Przestałam jej potrzebować. Założyłam własną rodzinę. Znalazłam kogoś, kto mnie pokochał.
– Masz rodzinę?
– Wysłałam za chłopaka z domu dziecka. Za Sama. Byliśmy szczęśliwi. Mieliśmy mieszkanie, nie komunalne. Na parterze, z ogródkiem. Zbudowałam skalniak, sadiłam zioła. – Anna wpatruje się w dal, jakby widziała tam coś, czego my nie możemy zobaczyć. – Sam chciał mieć oczko wodne z rybkami, ale ja wolałam kota. Przyniósł mi kiedyś kociaka z pracy. Zawsze mi ustępował. Kotka była czarna, miała białe łapki. Nazwaliśmy ją Skarpetka. Nie zrobił oczka, bał się, że kot zje mu rybki.
– Sam musi być fajnym facetem – mówię łagodnie.
– Był taki. Oszczędzaliśmy na własny dom. W mieszkaniu, w dodatku z Lucasem, zrobiło się ciasno. – Anna zamyka oczy.
– Lucasem? – Lexie ściska mnie za rękę tak mocno, że boję się, iż połamię mi kości.
– Mieliśmy mnóstwo zabawek. Nie było gdzie się ruszyć. Wciąż kupowałam mu coś nowego. Sam mnie beształ, bo przecież mieliśmy oszczędzać. Ale tak bardzo kochałam Lucasa. Chciałam, żeby miał wszystko to, czego mi samej brakowało.
– Co się stało, Anno? Gdzie jest Lucas?
Robi mi się zimno. Nie muszę pytać, bo znam odpowiedź. Lexie przywiera do mnie, czuję, jak się trzęsie.
– Pływalismy tego dnia – mówi cicho Anna przez ściśnięte gardło. – Uwielbiał wodę. Sadiłam go w pomarańczowym kółku do pływania w kształcie kacuszki, a on kopał nóżkami i chichotał jak szalony. W drodze powrotnej zasnął w autobusie. Zaniósłam go do łóżeczka. Włączyłam elektroniczną nianię. Wydawało mi się, że zamknęłam drzwi. Zeszłam na dół, żeby poprasować, ale byłam zmęczona. Wiecznie czułam się zmęczona. Położyłam się na kanapie i zamknęłam oczy. Obudziłam się, dopiero kiedy Sam wrócił do domu. Spojrzałam na zegarek, zobaczyłam, która godzina, i spanikowałam. Lucas nigdy nie uciął sobie drzemki dłuższej niż

godzinna. – Anna zawiesza głos, a ja wstrzymuję oddech. – Pobiełam do jego pokoju. Leżał nieruchomo. Mój śliczny chłopczyk. Obok niego mruczała Skarpetka. Sam wydarł się, że kot nie ma wstępu do pokoju dziecka. Podniósł Lucasa – jego ciało było takie... bezwładne – i zaczął robić mu sztuczne oddychanie, ale... – Anna sztywnieje i zaczyna dyszeć. – Zabrali go. Nie chciałam, żeby go zabierali.

Lexie zasłania usta dłońmi, mimo to z jej ust wydobywa się zboląły jęk.

– To była moja wina. Powinnam być uważniejsza. Sam odszedł. – Anna zaczyna zawodzić, a jej ciałem wstrząsają konwulsje. – Wszyscy ode mnie odchodzą. A ja tylko chciałam do mamy. Po prostu potrzebowałam mamy.

Nóż spada na podłogę. Anna zakrywa twarz dłońmi i kołysze się do przodu i do tyłu, lamentując jak zranione zwierzę.

– Och, moja biedna córeczko. – Lexie wstaje z łóżka. Klęka przed Anną, zdejmując temblak i zamyka córkę w ramionach. – Jestem przy tobie, Belle. Jestem tutaj.

– Mamusiu.

– Cii. To nie była twoja wina. To pewnie przez chorobę, przez tę genetyczną chorobę. Charlie ją miała. Możliwe, że ty też i że przekazałaś ją dziecku. Nic nie mogłaś poradzić.

– Przez chorobę genetyczną? A więc to ty jesteś winna? **TO TY ZABIŁAŚ MOJE DZIECKO!** – Anna wrzeszczy i napiera na Lexie, aż ta przewraca się do tyłu.

Czuję się jak zawieszona w powietrzu – jak marionetka: sznurki są napięte, nie jestem w stanie poruszać kończynami z własnej woli. Lexie krzyczy, a ja przypominam sobie słowa Dana: „Możesz wszystko”. Odrzucam kołdrę, wyskakuję z łóżka. Łąduję pod nietypowym kątem i czuję przeszywający ból w lewej kostce – tej, którą skręciłam podczas wyścigu z Charlie. Padam jak długa. Kostka strasznie piecze i to doznanie na moment przenosi mnie w czasie do tamtego feralnego dnia. Charlie leży na ziemi. Znów czuję strach. Panikę.

W następnej chwili uczepiam się szuflad i dźwigam na nogi. Rzucam się na Annę, która w tym samym czasie wyciąga rękę po nóż i zamyka dłoń na rękojeści. Dopadam ją i chwytam za nadgarstek. Ostrze przecina mi skórę na udzie. Czuję nacisk, ale nie ból, dlatego krwawą kreskę, która nagle wykwita na mojej bladoróżowej pidżamie, przyjmuję z zaskoczeniem. Łapię Annę za rękę, w której trzyma nóż, unieruchamiam jej palce i nie puszczam, choć na wszelki wypadek odskakuję, kiedy bierze kolejny zamach.

– Już dobrze, kochanie. – Lexie klei się do Anny jak małąpiątko do matki. – Mamusia jest przy tobie.

– Mamusiu. – Anna rozluźnia uchwyt na rękojeści ostrza. Szloch wstrząsa jej ciałem. Zabieram nóż i ruszam, potykając się, na dół, by znaleźć telefon.

Epilog

Pięć miesięcy później

Zamykam oczy i pozwalam palcom przemykać po klawiszach. Ćwiczę sonatę Księżycową Beethovena. Jedną z ulubionych kompozycji taty. Zbliżam się do końca, kiedy przerywa mi dzwonek do drzwi. Zamykam pokrywę i wstaję od pianina.

– Dzień dobry. Włożyć od razu do auta? – Lexie grzechocze starym pudełkiem po chipsach.

– Jeśli możesz. Moje już tam jest. – Celuję pilotem w moją nową hondę, naciskam przycisk i otwiera się bagażnik.

Nowi sąsiedzi wsiadają do samochodu. Macham do nich – ona jest pielęgniarką, a on policjantem. Ich profesje dodają mi otuchy, ale mam nadzieję, że nigdy nie będę miała okazji sprawdzić ich umiejętności zawodowych na własnej skórze. Pani Jones mieszka z córką, często ją odwiedzam.

Zostawiłam torebkę w salonie. Idę po nią i po drodze głaszczę czarno-białego kociaka, który zwinął się w kłębek na stolku do pianina.

– Cześć, Mopciu. Wrócę później. Bądź grzeczna.

Rzucam rzeczy na fotel pasażera. Odwracam się do Lexie.

– Dasz sobie radę sama? – pyta.

– Tak.

– Wczoraj Belle pytała o ciebie.

– Jak się czuje?

Lexie często bywa na oddziale, na którym leży córka, ale ja nie chcę. Jeszcze nie teraz. Może nigdy.

Staram się wybaczyć Lexie. Chodzi na terapię, przestała pić, próbuje zmienić się na lepsze. Chce być dobrą mamą. Ja zaś uciszam w sobie ten głos, który podpowiada mi, że gdyby nie zaczęła wysyłać do mnie listów, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. I gdyby Charlie nie odeszła. „Nie można żyć przeszłością” – mawia babcia, a ja uświadamiam sobie, że spędziłam w przeszłości większość życia – pragnąc, aby było inaczej, obwiniając się. Świadomość tego, że mogę umrzeć, zwróciła mnie do teraźniejszości, w której chcę i staram się pozostawać. Mam wiele powodów, by żyć.

– Chodzi półprzytomna. Dali jej nowe leki. Ale wczoraj przynajmniej przestała ignorować panią psycholog i zaczęła z nią rozmawiać. To już coś.

Chcę pocieszyć Lexie. Powiedzieć jej, że Belle wyzdrowieje, ale słowa więzną mi w gardle. Wiem dobrze, jak żal i smutek potrafią odmienić człowieka, położyć mu na barki niewidzialny ciężar poczucia winy. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak straszna musi być strata dziecka.

Kładę dłonie na brzuchu i gwałtownie nabieram powietrza.

– Wszystko dobrze? – pyta Lexie.

– Kopie.

– W końcu to on czy ona?

– Wczoraj byłam na badaniu. Już wiadomo na pewno, że to chłopak.

– Dan na pewno się ucieszył.

Kiwam głową. Nie sądziłam, że jeszcze zobaczę Dana po rozmowie w mieszkaniu Esmée,

ale kiedy nudności, które zaczęły mnie męczyć, utrzymywały się i w końcu poszłam do lekarza, okazało się, że to coś więcej niż nerwy i niepokój. Przeszłam z nogi na nogę, a łokieć albo noga malucha znów daje mi do wiwatu. Dan był zachwycony, kiedy mu powiedziałam. Z miejsca się oświadczył – i od tamtej pory oświadcza się co tydzień, ale na razie wolę być sama. Mieszkanie w pojedynkę dało mi wolność i spokój, których nie potrafiłam sobie wyobrazić. Pozbyłam się nieprzeniknionego poczucia straty, które spowijało mnie przez połowę życia, i jestem szczęśliwa. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będziemy z Danem razem – być może zbyt wiele się między nami wydarzyło – ale jesteśmy przyjaciółmi i chcemy być jak najlepszymi rodzicami, a to już jakiś początek.

– Wybraliśmy imię.

– Jakie?

– Charlie.

Lexie kiwa głową i połyka łyżę. Ścisza mnie za rękę.

– Jedź ostrożnie.

Siadam za kierownicą i zapinam pas na brzuchu, który rośnie z każdym dniem.

Autostrada jest pusta. Nawigacja podpowiada, że została jeszcze godzina jazdy. Włączam radio. Z głośników płyną dźwięki *Mr. Blue Sky* Electric Light Orchestra. Uśmiecham się pod nosem, myślę o tacie i podkręcam głośność. Zawodzę razem z Jeffem Lynne'em. *It's a beautiful new day, hey, hey.*

Chyba dotarłam na miejsce. Skręcam w polną drogę i telepię się w stronę zabudowań. Zatrzymuję się za kombi volvo. Czarno-biały pies obwąchuje mi nogi i merda ogonem. Otwieram bagażnik.

– Grace, prawda? – Spoglądają na mnie dobrze mi znane zielone oczy.

Ma siwe włosy i brodę, ale podobieństwo do Charlie jest uderzające.

– Paul Lawson. – Uśmiecham się.

Przez pewien czas uparcie pisałam ogłoszenia w mediach społecznościowych i kiedy już zaczynałam tracić nadzieję, że kiedykolwiek go odnajdę, dostałam odpowiedź. Lexie najpierw się wściekła, a w końcu uznała, że Paul Lawson ma prawo dowiedzieć się o córkach, więc zadzwoniła do niego i potem kontaktowała się jeszcze wiele razy, wyjaśniając mu wszystko. Wzburzył się, to zrozumiałe. I załamał, gdy usłyszał o Charlie i Lucasie. W przyszłym tygodniu przyjeżdża w odwiedziny do Anny – to znaczy: do Belle, muszę się przyzwyczaić do tego imienia. Dziś jednak przyjechałam do niego w imieniu Charlie.

Paul wyjmuje pudełka z bagażnika i stawia je na dużym stole. Zdejmuję sweter – w środku jest ciepło od kuchni węglowej – po czym wypakowuję zdjęcia i kasety wideo, i wręczam Paulowi plastikowy pojemnik z tortem.

– Piekła moja babcia – wyjaśniam. – Dzisiaj Charlie obchodziłaby dwudzieste szóste urodziny.

Przywiozłam stary magnetowid dziadka na wypadek, gdyby Paul nie dysponował własnym, ale widzę, że ma odpowiedni sprzęt, składa je na nim taśmy z Monty Pythonem.

Paul wkłada kasetę do odtwarzacza. Słychać pracę silniczka i trzaski i po chwili na ekranie pojawia się najpierw śnieżenie, a potem obraz, z początku rozmyty, ale coraz wyraźniejszy. Nagranie ze szkolnego konkursu talentów. Charlie stoi na scenie w srebrnym, błyszczącym trykocie, różowych rajstopkach i fioletowych getrach. Płasa do rytmu disco, wyrzuca nogi wysoko w górę i ze wszystkich sił potrząsa płaską klatką piersiową.

– Widzę, że nie należała do nieśmiały!

– Ani trochę. Miałyśmy zatańczyć w duecie, ale ja dygotałam ze strachu za kulisami.
Wygrała.

Obraz znika, ekran robi się na chwilę niebieski, po czym następuje ujęcie, na którym siedzimy z Charlie na plaży i budujemy wielką motorówkę z piasku.

– Jeździłyśmy razem na wakacje – mówię Paulowi. – Była szczęśliwa.

Śmiejemy się i płaczemy, oglądając pochód przyjęć urodzinowych, gwiazdek, polowań na jaja wielkanocne i pikników. A kiedy nie mamy już co oglądać, zapalamy świece na torcie i śpiewamy *Sto lat* dziewczynie, której życzeniem urodzinowym zawsze było mieć przy sobie ojca. Paul ze łzami w oczach zdmuchuje za nią świece.

Odnalazłyśmy go, Charlie. Odnalazłyśmy.

List od autorki

Witaj,

chcę ci podziękować za lekturę mojej debiutanckiej powieści *Siostra*. Poślanie w świat pierwszej książki napelnia mnie radością i zarazem napawa strachem. Jestem ci bardzo wdzięczna za to, że postanowiłeś poświęcić swój cenny czas na poznanie historii Grace i Charlie.

Pomysł *Siostry* zrodził się podczas jednego ze spotkań grupy pisarskiej. Dostałam do dyspozycji dziesięć minut i trzy wyrazy – na tej podstawie powstał zrab pierwszego rozdziału. Kiedy po spotkaniu wracałam do domu, nie potrafiłam przestać dociekać: na czym polegała tajemnica Grace? Jak umarła Charlie? Co się znajdowało w różowej kopercie?

Wieczorem nie byłam w stanie zasnąć, bo Grace tupąła nogą i głośno domagała się ode mnie, abym przelała jej historię na papier. Następnego dnia, tłumiąc ziewanie, z wahaniem usiadłam nad kartką z zamiarem opowiedzenia o następstwach poczynań Lexie.

Chętnie poznam twoje przemyślenia. Czy współczujesz Annie? Czy Lexie budzi w tobie litość? Czy Grace powinna dać Danowi drugą szansę?

Czuję się potwornie skrępowana tym, że muszę wspomnieć o recenzjach, ale cóż, są one niezmiernie ważne. Dlatego jeśli *Siostra* ci się spodobała, będę niewymownie wdzięczna, jeśli podzielisz się swoimi wrażeniami.

Możesz skontaktować się ze mną za pośrednictwem bloga, na którym regularnie zamieszczam krótkie prozy oraz spostrzeżenia z życia pisarki.

Liczę też, że sięgniesz po moją drugą książkę. Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, namawiam cię do zapisania się do mojego newslettera na stronie www.bookouture.com/louise-jensen.

Serdecznie pozdrawiam

Louise

Podziękowania

Chciałabym podziękować tak wielu osobom, że sama nie wiem, od kogo zacząć. Na początek wielkie, ogromne dzięki całemu zespołowi Bookouture, zwłaszcza mojej redaktor Lydii Vassar-Smith, która uwierzyła we mnie i dała mi szansę, Natashy Hodgson, a także wszystkim autorom spod szyldu Bookouture, tworzącym niezwykłą sieć wsparcia.

Dziękuję:

– Louise Walters, mojej opiekunce w ramach fantastycznego WoMentoring Project, której słowa zachęty dodały mi pewności siebie i przekonały, że warto spróbować napisać książkę;

– społeczności blogowej Wordpress – szczególnie Lyn Churchyard (wiesz, za co!) – która poddaje moją pracę życzliwej krytyce i pomaga mi rozwijać się jako pisarce;

– Mickowi Roddenowi ze straży pożarnej hrabstwa Northamptonshie za cenne uwagi do sceny pożaru i scen w szpitalu; wszelkie pomyłki biorę w całości na siebie;

– Andrew Lockhartowi za mądre słowa, Gary’emu Tippingowi za opanowanie moich nerwów na ostatniej prostej oraz Jane Isaac za to, że zawsze odbierała telefon i odpowiadała na moje szalone pytania;

– pierwszym czytelnikom: Leah Gee, Ceri Wickens, Michele Harris i Karen Coles; oraz Lee Harris za korektę – dzięki, kuzynko!;

– Mickowi Wynnowi, z którym obgadałam niejedną myśl. Mam wrażenie, że przeczytał rękopis *Siostry* więcej razy niż ja sama;

– wspaniałej Bekkii Bridges za pomoc przy nadaniu ostatecznego kształtu zakończeniu;

– mojej cudownej przyjaciółce Natalie Brewin, która chętnie czytała wczesne wersje książki i wiele razy słuchała, jak biadolę niczym małe dziecko;

– mojej siostrze Karen Appleby za jej (często brutalnie szczere) opinie oraz mamie za to, że wydała nas obie na świat;

– Timowi, bodaj najcierpliwszemu mężowi pod słońcem, który nigdy się nie poskarżył, kiedy musiał w ostatniej chwili pojechać do szkoły po dzieci albo ugotować obiad, bo ja chciałam napisać „jeszcze tylko jedną stronę”. Dziękuję za twoją niezachwianą wiarę w to, że mi się uda. A udało się!;

– moim wspaniałym synom: Callumowi, Kaiowi i Finleyowi, od zawsze będącym siłą napędową wszystkich moich poczynań; kocham was i jestem z was bardzo dumna;

– Ianowi Hawleyowi, który nieodmiennie wspiera mnie we wszystkim, czego się podejmuję. Zawsze powtarzałeś, że potrafiłabym napisać książkę. Wielka szkoda, że nie ma cię między nami i nie możesz jej przeczytać.

¹ W Wielkiej Brytanii przyszła panna młoda nosi podczas wieczoru panieńskiego tabliczkę nauki jazdy (duża litera L) [przyp. tłum.].

² Mowa o tytułowej postaci z popularnej amerykańskiej serii komiksowej *Little Orphan Annie* oraz o pierwszych słowach piosenki *Tomorrow* z musicalu *Annie*, opartego na motywach tego komiksu [przyp. tłum.].

³ Guy Fawkes – jeden z uczestników nieudanego spisku prochowego na protestanckiego króla Jakuba, którego katolicy zamierzali zastąpić jego córką, księżniczką Elżbietą Stuart. 5 listopada w Wielkiej Brytanii jest obchodzony Dzień Guya Fawkesa, podczas którego pali się jego kukłę [przyp. red.].